Nowy bestseller

Sir John

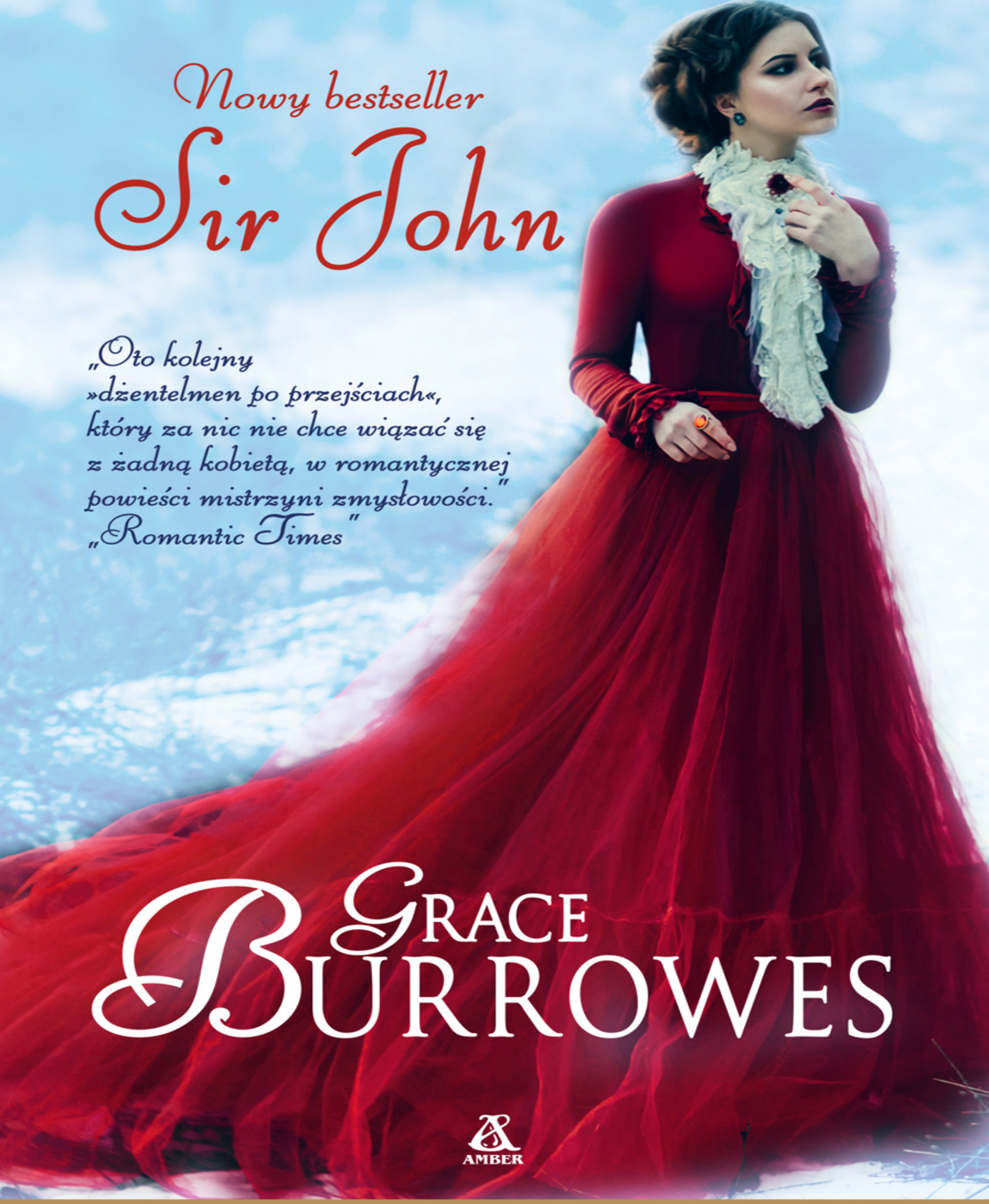

„Oto kolejny »dżentelmen po przejściach«, który za nic nie chce wiązać się z żadną kobietą, w romantycznej powieści mistrzyni zmysłowości."
„Romantic Times"

Grace Burrowes

AMBER

Romans historyczny

GRACE
BURROWES

Sir John

Przekład
Aleksandra Januszewska

AMBER

Korekta
Renata Kuk
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Irina Kharchenko | Dreamstime

Tytuł oryginału
Jack

Copyright © 2016 by Grace Burrowes
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6560-5

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Czcigodnemu W. Kennedy'emu Boone III,
który zawsze wiedział dokładnie dlaczego, kiedy i jak pójść nieco na skróty.

1

*M*ój biedny mały Charles jest prawie martwy – Mortimer Cotton ciskał gromy świętego oburzenia. – To właściwie mord w biały dzień, sir Jack.

Biedny, maleńki, kudłaty, ponad stupięćdziesięciofuntowy Charles – baran rasy mocno mieszanej – leżał na ziemi w grudniowym słońcu, jakby oddawał ducha wyczerpany nadmiarem uciech fizycznych.

– Oto grabież, jakiej się dopuszczono pod naszym nosem – grzmiał dalej Cotton, opierając potężne pięści na biodrach. – Ta kobieta bezwstydnie ukradła mojego barana. I proszę, jak on teraz wygląda.

Sir John Dewey Fanning żywił głębokie przekonanie, że baran o imieniu Charles II dojdzie do siebie po miłosnych ekscesach przed zachodem słońca, o ile przechwałki Mortimera na jego temat kryły w sobie coś z prawdy. Owce Hattie Hennessey promieniały zadowoleniem, co świadczyło zapewne o tym, że Charles obdzielił swoimi legendarnymi łaskami całe stado.

– Zważ moje słowa, sir Jack: potwarz, oto, z czym mamy do czynienia – odparowała Hattie Hennessey. – Pan Cotton oskarża mnie o kradzież swojego leniwego barana, podczas gdy to on powinien zapłacić karę za to, że nie potrafi utrzymać w gospodarstwie swojej trzody. I oto jego baran raczy się moją paszą i moimi nieszczęsnymi owcami.

Fioletowoczerwona twarz Cottona przybrała groźny wyraz.

– Twoje skarlałe, przeklęte owce nie znały prawdziwego ogiera, odkąd się urodziły, Hattie Hennessey. Czy okazuje mi się wdzięczność za to, że

spotkało je takie szczęście? Czy padło choć słowo o rekompensacie za wielkoduszność Charlesa? Nie, plecie się tylko o karze i obraża, bo ponoć źle dbam o swoje gospodarstwo.

Opinie w hrabstwie były podzielone w zależności od tego, jakie akurat powody do skargi miały skłócone strony – bo Hattie i Mortimer kłócili się nieustannie. W tym wypadku to Hattie zawiadomiła sir Jacka, że wśród jej owiec znajduje się zabłąkany baran.

Ten sam baran, za którego usługi Mortimer zawsze ściągał od niej fortunę.

– Panie Cotton, czy mogę z panem zamienić słowo na osobności, między nami, dżentelmenami ludzkiej rasy? – wtrącił sir Jack w potok narastających obelg.

– Tyle słów, ile pan chce. Każde obraziłoby delikatne uszy Charlesa.

Podczas gdy Cotton zerknął złowrogo na zmęczonego barana, sir Jack puścił oko do Hattie. Kobieta popatrzyła na swoje owce, główne źródło skromnych dochodów i zapewne najbliższe towarzyszki życia poza psem collie i kotem.

Jack przeszedł w drugi koniec stogu siana, Cotton, po paru chwilach nadąsanego milczenia, podążył za nim.

– Hattie Hennessey nie ma siły, żeby przenosić barana przez kamienne murki – oznajmił Jack – a co dopiero dźwigać go przez całą drogę z pańskiej farmy na swoją. – Nie do końca mówił prawdę. Hattie Hennessey miała właściwą dla tej rodziny mocną budowę ciała i wzrost, nawet na starość. Na krótką odległość dałaby sobie radę z potulnym baranem.

Nie mogła jednak, pod żadnym pozorem, prosić kogoś o pomoc; rodzina Hennessey słynęła z uporu i niezależności – bardzo podobnie jak Cottonowie.

– A zatem zleciła komuś, żeby go ukradł – burknął Cotton.

– Fakty przeczą tej hipotezie – stwierdził Jack, strząsając źdźbło siana z rękawa. – Po pierwsze, Hattie nie ma grosza na zbyciu. Po drugie, sądzę, że

pewien sąsiad, zbyt dobry dla własnego dobra, postawił barana wśród owiec Hattie pod osłoną nocy, oszczędzając biednej wdowie błagania o pomoc, której rozpaczliwie potrzebuje.

Krzaczaste, białe brwi Cottona zlały się w jedną linię z konsternacji.

– Może pan Belmont? Albo jego synowie? Chłopcy w tym wieku psocą bez opamiętania. Charles jest przyjazny, kiedy nie zajmuje się akurat tym, do czego ma szczególne skłonności.

Charles był owczym hedonistą.

– Nie oskarżam Belmontów o źle pojmowaną dobroczynność, panie Cotton.

Brwi pana Cottona wystrzeliły w górę, a zanim ich właściciel zdążył coś wtrącić, Jack podjął na nowo swoje teoretyzowanie. Służąc w Indiach, nauczył się, że jeśli starszym oficerom oszczędzano konieczności odniesienia się do raportów zbyt wcześnie, sprawy przybierały korzystniejszy obrót.

– Wie pan, że sytuacja Hattie uległaby znacznemu pogorszeniu, gdyby nie zdołała zastąpić barana, który zdechł tego lata – powiedział Jack. – Wie pan, że nie stać jej, żeby nie zapewnić sobie co roku nowych jagniąt. Żeby nie urazić jej zwykłą dobroczynnością, jakaś dobra dusza wymyśliła tę intrygę, żeby oszczędzić jej dumę i poprawić położenie. Proboszcz zapewne pochwaliłby ten uczynek.

Proboszcz tak się zmęczył nieustającym sporem między Mortimerem Cottonem i Hattie Hennessey, że raz po raz wygłaszał kazania o dobrym Samarytaninie.

Cotton regularnie wycierał kościelne ławy swoim szacownym siedzeniem. Rzadziej wrzucał monety do skarbonki na biednych.

– Myśli pan, że ja to zrobiłem, sir Jack?

Nie, nic takiego nie przyszło Jackowi do głowy, ale co robić, kiedy sędzia sam już nie wiedział, jak z tego wybrnąć.

– Ta intryga nosi pańskie piętno, Cotton, pańskiego zmysłu praktycznego i rozmachu. Ale jeśli postoimy tu chwilę dłużej, chwaląc pańskie cnoty chrześcijańskie, Hattie wyciągnie widły i przegna barana z gospodarstwa.

– Nie będzie się znęcać nad moim Charlesem, kiedy jest taki strudzony. Nie pozwolę na to. Charles nie wie, która owca należy do którego gospodarstwa.

Dla Charlesa każda owca należała wyłącznie do niego, przez parę minut. Jack poznał wielu oficerów w służbie Jego Królewskiej Mości, którzy podzielali ten pogląd w kwestii miłosnych podbojów.

– Pewnie zdołam przekonać Hattie, żeby pozwoliła Charlesowi odpocząć tutaj przez dzień czy dwa – oznajmił Jack. – Nie chciałbym, żeby ktoś mógł powiedzieć, że takie wspaniałe zwierzę nie dało rady takiemu małemu stadu. – Przez te dwa dni Charles skończyłby zaczęte dzieło – zapewne parę razy z rzędu.

– Mój Charlie nie dałby rady?

– A zatem się zgadzamy. Jeśli zdołam przekonać Hattie, Charles odpocznie sobie tutaj, powiedzmy do czwartku, kiedy osobiście go panu odwiozę. Jeśli odejdzie pan teraz zagniewany, Hattie nie domyśli się w żaden sposób pańskiej szlachetności.

Cotton łypnął na Jacka, jakby słowo „szlachetność” należało do wymyślnych słówek, jakich używały wyższe sfery na balach maskowych. Dla Mortimera Cottona szlachetność znaczyła z pewnością to samo, co głupota, ale miał tyle samo dumy, co każdy inny człowiek. Jack niemal słyszał, jak cytuje pobożne upomnienia proboszcza na następnym turnieju rzutek.

– Przejrzał mnie pan, sir Jack – powiedział Cotton, kopnąwszy kupkę ziemi. – Nie piśnie pan nikomu słowa? Hattie Hennessey jest bardziej dumna niż chrześcijaninowi wypada.

Och, dajże spokój.

– Może pan liczyć na moją dyskrecję, Cotton. Niedolę biednych wdów powinno mieć więcej ludzi na względzie w tym hrabstwie; to szlachetne, że okazał pan serce.

– Z ust mi pan to wyjął. Pójdę już, ufając pańskiej, hm… dyskrecji. – Cotton ukłonił się elegancko i przemaszerował przez podwórko, ledwie uchylając kapelusza w stronę Hattie.

Hattie obserwowała go w zamyśleniu bladoniebieskimi oczami.

– Dobrze, że wyrzucił pan tego chwalipiętę z mojego gospodarstwa, sir Jack. Ale zapomniał zabrać swojego puszczalskiego barana.

– Barany właśnie to robią, Hattie. – A czego Jack nie robił już nazbyt długo, skoro już o tym mowa.

Jedna z owiec podeszła, żeby obwąchać rozłożone na ziemi ciało Charlesa. Charles podjął wysiłek, żeby dotknąć się nosami z przybyłą, po czym znowu opadł na siano z głębokim, męskim westchnieniem. Owca ułożyła się obok niego, przeżuwając karmę.

– Eloise – powiedziała Hattie, potrząsając palcem w jej stronę – zwykła z ciebie nierządnica. Na wiosnę oczekuję od ciebie bliźniaków, moja panno.

Charles był znany z tego, że płodził bliźniaki, a od czasu do czasu zdarzały mu się nawet trojaczki.

– Hattie, muszę polegać na twojej dobrej woli – odezwał się Jack – bo mój nadzorca nie będzie w stanie odwieźć Charlesa do domu wcześniej, jak w czwartek. Posunąłem się do tego, że zapewniłem Cottona, że nie zostanie obciążony kosztami utrzymania barana, ani nie będzie skargi, że nie odgrodził należycie swojej trzody.

Hattie strzepnęła kolejne źdźbło słomy z rękawa Jacka.

– Nadużywasz nieco swego stanowiska, sir Jack, rozmawiając w moim imieniu z tym bufonem.

Uprawnienia Jacka wznosiły się ponad rozstrzyganie kłótni na podwórku, ale wolał to, niż cierpieć kolejne wizyty Hattie i Cottona w Teak House.

– Nie należy zgłaszać, że Cotton nie potrafi upilnować swoich zwierząt w gospodarstwie, Hattie. Okaż trochę litości człowiekowi, który najpewniej nie może zaznać spokoju we własnym ognisku domowym.

Hattie parsknęła; odpoczywający baran drgnął przestraszony.

– Ta Perpetua Cotton ma czelność skarżyć się na to czy tamto, węszyć dokoła, obnosić się co tydzień z nowym czepkiem. Mortimer Cotton powinien wziąć tę kobietę w garść.

Jak właściwie roztropny mężczyzna miał wziąć w garść dorosłą kobietę o ostrym języku i wyrobionych sądach w każdej kwestii, mając do tego dziesiątkę dzieciaków, które należało ubrać i wykarmić?

– Mortimer Cotton to z pewnością człowiek, którego życie przygniata – zauważył Jack, wyciągając dłoń w rękawiczce do ciekawskiej owcy. – Okaż trochę litości. Zatrzymaj barana wśród swoich owiec, aż będę mógł zabrać go do domu w przyszłym tygodniu.

Owca pociągnęła delikatnie nosem, a potem przestała się nim interesować. Zwierzęta, pod wieloma względami, tak bardzo górują nad ludźmi kulturą w zachowaniu.

– Idźże sobie – warknęła Hattie, machając na nią ręką. Owca odbiegła parę kroków i legła z drugiego boku Charlesa. Owce, w przeciwieństwie do większości ludzi, instynktownie bronią się nawzajem.

– Uznam to za osobistą przysługę, jeśli pozwolisz baranowi zostać parę dni, Hattie.

Jack całym sobą tęsknił, żeby chwycić widły i napełnić koryto sianem, a także dolać wody do poidła oraz wbić gwóźdź w obluzowaną deskę przy furtce. Hattie nigdy już nie pozwoliłaby mu postawić stopy na swojej ziemi, gdyby poczynał sobie u niej tak swobodnie.

– Baran może tu zostać – oznajmiła Hattie, odmaszerowując w stronę furtki. – Do czwartku rano, nie dłużej.

– Wielkie dzięki. – Jack otworzył przed nią drzwi; skrzypienie zawiasów obudziło jego konia. Szlachetne stworzenie drzemało uwiązane do słupa

przed maleńką chatką Hattie.

– Zostaniesz na filiżankę herbaty – oznajmiła Hattie. – Tyle mogę zrobić, skoro przyjechałeś natychmiast, żeby się sprawić z tą zakałą społeczną.

Hattie miała na myśli Mortimera czy Charlesa?

– Może innym razem, Hattie. Oczekują mnie w Candlewick i już zabawiłem trochę zbyt długo. Czy mam przynieść trochę siana dla barana Mortimera?

Hattie przystanęła gwałtownie, z pięściami na biodrach, zastygając w tej samej pozie co Cotton.

– Nie znoszę litości, sir Jack, jeśli wiesz, o czym mówię. Mortimer Cotton od chłopaka uprawia ziemię w tym hrabstwie, więc jeśli nie zdaje sobie sprawy, że jego baran żre moje siano, to proszę mu tego nie mówić. Dzięki niedopatrzeniu Mortimera będę miała miot jagniąt, choć pewnie będą byle jakie i mizerne.

– Bez urazy – powiedział Jack, chwytając lejce. – Proszę wybaczyć. – W duchu przeprosił również za odmowę filiżanki herbaty. Hattie z pewnością cierpiała samotność, ale Jack na dzień dzisiejszy miał już dość fraternizowania się z mieszkańcami, a do wieczora było jeszcze daleko.

– Przyjmuję przeprosiny, tym razem – odparła Hattie, gładząc konia po nosie. – Jeśli spotkasz moją małą Maddie w Candlewick, to masz jej powiedzieć, żeby odwiedziła starą ciotkę, jasne?

W największym przypływie odwagi Jack nie ośmieliłby się wydać polecenia Madeline Hennessey, która od wielu lat nie była już mała.

– Przekażę pannie Hennessey, że ciotka za nią tęskni.

Wskoczył na konia i ruszył w drogę, podczas gdy Charlie, który najwyraźniej doszedł do siebie, wdrapał się na kapryśną Eloise i zrobił to, co baranom wychodzi najlepiej. Jack pozazdrościł zwierzakowi misji i nieustającego zapału, z jaką wprowadzał ją w życie.

– Madeline, chodź, usiądź z nami – powiedziała Abigail Belmont, poklepując kanapę. – Daję głowę, że ty nigdy nie odpoczywasz, chyba że na polecenie.

Madeline Hennessey nie miała ochoty usiąść, zwłaszcza naprzeciwko sir Johna Deweya Fanninga – dla miejscowych sir Jacka.

– Przyłącz się, proszę, do nas – poparł ją Axel Belmont. – Inaczej narażę się na gniew mojej żony, zjadając więcej ciasteczek do herbaty, niż mi się należy.

Belmontowie zapewniali Madeline pracę i nigdy otwarcie im się nie sprzeciwiała.

– Choć pragnęłabym bardzo uchronić pana Belmonta przed taką kompromitacją, co wydaje się skazane z góry na klęskę, to jednak obiecałam panu Chandlerowi, że pomogę mu przy inwentaryzowaniu…

Sir Jack wstał, tak jakby Madeline należała do rodziny, a nie pracowała jako służąca. Obecnie pełniła funkcję pośrednią między damą do towarzystwa a służącą do wszystkiego, co na ogół jej odpowiadało.

– Proszę zostać chwilę, panno Hennessey – powiedział sir Jack. – Przynoszę pozdrowienia od ciotki Hattie oraz przypomnienie, że za tobą tęskni.

– Dziękuję, sir Jack. – Ciotka Hattie pewnie nagadała mu do przystojnego ucha, narzekając, jak rzadko ją odwiedza. Madeline odwiedzała każdą ze swoich dwóch owdowiałych ciotek co dwa tygodnie, o ile pozwalała na to pogoda. Nie dość często, ale mając tylko pół dnia wolnego na tydzień, nie mogła więcej.

– Usiądź. – Sir Jack wskazał miejsce na kanapie obok siebie. – Hattie była w świetnym humorze, a historia, która spowodowała ten cud, zasługuje, aby ją opowiedzieć.

Madeline pragnęła tylko pomóc panu Chandlerowi przy inwentaryzacji w siodlarni.

Chandler kochał namiętnie swoje konie, w przeciwieństwie do nowego lokaja, który ubrdał sobie, że kocha się w Madeline – albo w jej biuście.

Zajęła miejsce obok sir Jacka, choć doprawdy nie powinna. Należał do tych mężczyzn, którzy dobrze wyglądają po drugiej stronie trawnika albo na dziedzińcu kościoła, a z bliska okazują się jeszcze przystojniejsi. A także skrupulatnie dbał o higienę osobistą.

Madeline nie mogła nie odczuwać szacunku wobec mężczyzny, który pozostawał w dobrych stosunkach z mydłem, wodą i wanną. Jeśli w dodatku miał jasne włosy, lśniące błękitne oczy i nienaganne maniery, to mogła wytrzymać parę minut obok niego na kanapie – mimo jego chłodnego zachowania.

– Czy wpadłeś na ciotkę Hattie przypadkiem w wiosce? – zapytała Madeline. Hattie rzadko opuszczała swoje maleńkie gospodarstwo, głównie dlatego, że stara kobieta miała w nim więcej pracy, niż mogła podołać. Brakło jej także zbędnego grosza, żeby iść na targ, a przyjaciół nie odwiedzała, żeby nie rewanżowali jej się wizytą, opróżniając przy okazji skromną spiżarkę.

– Hattie wezwała mnie w charakterze sędziego pokoju – wyjaśnił sir Jack, podając Madeline talerz ciasteczek.

Wybrała najzwyklejsze, które mogło być pyszne, ponieważ kucharka honor kuchni Belmontów traktowała z największą powagą. Sir Jack wybrał jedyne pozostałe ciasteczko cynamonowe i przekazał talerz pani Belmont.

– Mam nadzieję, że ciocia nie padła ofiarą przestępstwa – powiedziała Madeline.

– Z pewnością kiedy sama o tym opowie, wspomni o krzywdzie, jaką jej wyrządzono – odparł sir Jack. – Najlepszy baran Mortimera Cottona, Charles II, złożył jej wizytę z własnej inicjatywy. Nie wiem, czy Cottona bardziej wprawiło w zmieszanie to, że jego zwierzę wymknęło się z zagrody, czy rozzłościło to, że owce Hattie cieszyły się towarzystwem Charlesa bez żadnej rekompensaty dla właściciela.

Temat nie należał raczej do takich, które zwykle poruszano przy damach, ale Belmontowie nie byli zrzędliwi, a Candlewick leżało w wiejskiej okolicy dwanaście mil od Oksfordu.

– Jak to rozwiązałeś? – zapytał pan Belmont. – Mortimer i Hattie zagrażają pokojowi królewskiemu, odkąd jej baran zdechł. Chętnie bym jej pożyczył jednego z moich, ale wtedy Cotton, albo Charles, podnieśliby larum, że ich pozbawiam potencjalnego klienta.

Madeline ugryzła kawałek ciastka, przełykając pytanie, dlaczego dobre samopoczucie Cottona jest ważniejsze od dobrobytu starej kobiety.

– Gdybyś mnie zapytał o zdanie – odezwała się pani Belmont – powiedziałabym ci, że Mortimer Cotton jest idiotą. Jeśli jego baran pokrywa wszystkie owce w hrabstwie, wszystkie stada będą wkrótce spokrewnione i Charles straci pracę.

Pan Belmont oddał jej salut filiżanką herbaty.

– Gdybym miał dość rozumu, żeby o tym pomyśleć i tak zderzyłbym się z dumą Hattie Hennessey. Miłosne skłonności Charlesa oszczędziły nam wszystkim co najmniej trzech kolejnych kazań na temat dobroczynności i miłości bliźniego.

Madeline zanotowała w pamięci, żeby wspomnieć w modlitwie o zwierzaku, ponieważ pan Belmont miał rację: duma ciotki dorównywała jej uporowi, a upór jej biedzie, dokładnie tak samo, jak u Theodosii.

– Ja potrzebuję dobroczynności – oznajmił sir Jack. – Przyszedłem prosić o pomoc panią Belmont, ponieważ grozi mi najazd rodzinny około świąt Bożego Narodzenia.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytała pani Belmont.

Abigail Belmont miała wdzięk prawdziwej damy, choć urodziła się jako córka oksfordzkiego sklepikarza. Pan Belmont należał do zamożnej szlachty, a Madeline z radością zamordowałaby każdego, kto próbowałby skrzywdzić któreś z państwa Belmontów albo ich dzieci.

Pani Belmont miała około trzydziestu lat, jej mąż kilkanaście lat więcej, ale od ich ślubu nie minął rok, a pierwsze dziecko przyszło na świat całkiem niedawno. Promienieli zadowoleniem i tym rodzajem radości, który Madeline wiązała ze szczęśliwym pożyciem małżeńskim i dużymi rodzinami.

Sir Jack, z kolei, żył sam, jedynie ze służbą i promieniał… cóż, nie promieniał w ogóle.

– To, co możesz zrobić – oznajmił sir Jack – to ocalić mój dom przed kataklizmem. Mój kamerdyner i kucharka ledwie się odzywają, lokaje udają, że nie słyszą albo nie rozumieją poleceń kamerdynera, pokojówki wzniecają bunt, a gospodyni regularnie grozi odejściem. Nie mogę narazić brata, a tym bardziej matki, na podobny bałagan.

– O Boże – powiedziała pani Belmont. – Matki potrafią być…

– Macierzyńskie – przerwał jej pan Belmont, całując dłoń żony i zatrzymując ją w swojej.

Madeline zjadła całe ciasteczko, smakowało gorzej niż pachniało – nie dość słodkie, odrobinę za suche.

– Zdaję sobie sprawę, że proszę o wiele – powiedział sir Jack – ale nie ma nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić. – Dla sir Jacka nawet prośba o radę byłaby narzucaniem się.

– Może będziesz musiał zatrudnić nowego kamerdynera – zauważył pan Belmont. – Albo, że tak powiem, wysprzątać w domu. Nie ma to jak ukarać dla przykładu obiboka, żeby reszta, która się czuje za pewnie, wzięła się do roboty.

Sir Jack wstał i podszedł do okna, które wychodziło na wysadzany klonami podjazd. Chociaż powoli zbliżały się święta, panowała łagodna, jesienna pogoda. Złote liście wyścielały trawnik i wisiały na gałęziach, rozświetlając popołudnie. Jedna zimowa burza, jeden wietrzny poranek i reszta listowia i promienny blask znikną.

Zima dla człowieka, który prawie dziesięć lat życia spędził w Indiach, mogła być długa i ciężka. Dla kobiety, która uwielbiała żyć intensywnie, zima w domu Belmontów stanowiła przytulny, spokojny przedsionek piekła.

– Miałem nadzieję, że pani Belmont porozmawia z moją gospodynią – powiedział sir Jack. – Może przejrzy jadłospisy kucharki, zorganizuje rozkład dnia pokojówek i porozmawia z Pahdim o obowiązkach lokajów.

– Madeline zajmuje się u nas jadłospisami – stwierdziła pani Belmont.

– A pokojówki w Candlewick działają według rozkładów dnia, które Madeline ułożyła przed laty – dodał pan Belmont, łajdak jeden.

Całymi latami była dla niego „Hennessey”, kiedy był wdowcem cierpiącym w żałobie i musiał się opiekować dwoma niesfornymi chłopakami. Madeline żywiła wobec Axela Belmonta sprzeczne uczucia – jako młoda i głupia dziewczyna, a także nie taka już młoda i oddana jego pierwszej żonie.

Sir Jack spojrzał uważnie na Madeline.

– Wydaje się, że panna Hennessey jest kompetentna we wszystkim, co robi.

Och, nie, panna Hennessey wcale taka nie była. W opinii ciotek Madeline zawiodła całkowicie, jeśli chodzi o znalezienie dobrej partii. Sir Jack był winien tego samego niedopatrzenia, ale jako mężczyźnie nikt mu tego nie wypominał.

Poza tym sprawował urząd sędziego pokoju. Madeline nie należała do przesadnych entuzjastek królewskiej sprawiedliwości ani tych, którzy usiłowali ją zaprowadzać.

– Potrzebujesz – oznajmił pan Belmont – zastępcy głównodowodzącego albo adiutanta.

Na szczęście Madeline nie była ani jednym, ani drugim.

– Ma pan na myśli zarządcę domu, panie Belmont?

Pan Belmont przyglądał jej się z wnikliwą uwagą, jaką poświęcał swoim okazom botanicznym i Madelina poczuła się nagle jak roślinka. Oderwana od reszty, niezdolna bronić się przed wzrokową wiwisekcją pod szkłem pana Belmonta.

– Nie zarządcę – odezwała się pani Belmont. – Sir Jack, czy twoja matka podróżuje z towarzyszką?

Sir Jack złożył ramiona na piersi i oparł się o parapet okienny. Był nieprzyzwoicie przystojny w stroju do konnej jazdy. Wysoki, szczupły, noszący się z niedbałą elegancją, sprawiający mylne wrażenie kogoś łagodnego i zadowolonego z życia. Madeline widziała go jednak podczas zawodów w rzutki – z podwiniętymi rękawami i wzrokiem utkwionym w celu.

Choć raczej niezbyt towarzyski, był dobrym sąsiadem, sumiennym gospodarzem i niezawodnym partnerem dla podpierających ściany panien na miejscowych balach.

A jego drużyna wygrywała w rzutki zawsze, pod warunkiem że członkowie drużyny byli przynajmniej w połowie trzeźwi.

– Nic mi nie wiadomo, żeby matka miała towarzyszkę – powiedział sir Jack. – Ma wiele przyjaciółek w Londynie i twierdzi, że zapewniają jej towarzystwo w wystarczającym stopniu. Z moją matką się nie dyskutuje, jeśli chce się z rozmowy wyjść cało.

Z sir Jackiem także nie należało dyskutować. Madeline nie pamiętała, kiedy ktoś ostatnio podjął taką próbę.

– Starsze damy potrzebują, żeby je oszałamiać wdziękiem – stwierdziła Madeline. – Sądzimy, że skoro utraciły młodość, nie dbają o pochlebstwa, a to nieprawda. Potrzebują niemądrego przekomarzania się i szczerych komplementów tym bardziej, że są w tej fazie życia bardziej samotne.

Obaj mężczyźni popatrzyli na Madeline tak, jakby właśnie opisała, w jaki sposób Napoleon mógł wygrać bitwę pod Waterloo. Pani Belmont podniosła pokrywkę czajniczka do herbaty i zajrzała do środka.

– Mam pomysł – oznajmił pan Belmont, a Madeline powstrzymała się od rozbicia czajniczka na jego głupiej, dobrej głowie. Przeczuwała, że pomysł nie przypadnie jej do gustu.

– Panie Belmont – odezwała się jego żona. – Wierzę, że twój koncept wywrze na mnie niezwykłe wrażenie. – Uśmiechnęła się do niego promiennie, a on… Axel Belmont nie potrzebował zachęty. Wysoki na ponad sześć stóp, jasnowłosy, dobrze zbudowany, o bystrym, akademickim umyśle, był też twardy, jak przystało na ojca dwóch młodzieńców oraz jednego niemowlęcia.

Odwzajemnił uśmiech; ich wzajemne uczucie było tak jasne i promienne, jak ostatnie liście na drzewach za oknami i dużo bardziej trwałe.

– Madeline musi przenieść się do twojego domu jako tymczasowa dama do towarzystwa twojej matki – oświadczył pan Belmont, wyraźnie zachwycony własnym geniuszem. – Ustawi twoją służbę na właściwych miejscach i nawet ty nie zrozumiesz, jak dokonała tego cudu.

Madeline zakrztusiła się ciasteczkiem; sir Jack podszedł i poklepał ją po plecach.

– Belmont, to nie było zbyt udane – powiedział, poklepując ją między łopatkami. – Twój niemądry pomysł wyraźnie nie spodobał się pannie Hennessey.

Madeline machnięciem ręki podziękowała sir Jackowi, choć ten pozostał na miejscu.

– Nic mi nie jest – wycharczała. – Okruszek, coś małego, wleciał nie tam, gdzie trzeba.

– Madeline zaskoczyło, że wpadłem na tak dobry pomysł i tyle – stwierdził pan Belmont. – Nie miałem żadnego od…

– Tego ranka – wtrąciła pani Belmont, uśmiechając się do serwisu do herbaty.

Zapadła przeciągając się, trochę niezręczna cisza, podczas gdy wszystkie oczy skupiły się na Madeline, jakby przez ostatnie pięć minut nie siedziała

na tej samej kanapie.

– Pomysł pana Belmonta nie jest niemądry – powiedziała Madeline – ale nie jest dobrze przemyślany. Zbliżają się święta, z Sussex przyjedzie więcej rodziny i będziemy mieli dużo pracy w Candlewick.

– Nie gościmy dworu królewskiego – zauważyła pani Belmont. – Matthew i chłopcy uważają nasz dom za swój własny. A mama sir Jacka przyjedzie dopiero po Bożym Narodzeniu.

Madeline miała wrażenie, że w domu państwa Belmontów, nie wiedzieć kiedy i jak, coś się zmieniło. Najpierw chwalono ją pod niebiosa, a teraz wypychano na podjazd.

A sir Jack przez cały czas wpatrywał się w nią jak w środek tarczy do rzutek.

– Candlewick jest moim domem. – W Madeline oburzenie walczyło z paniką. – Czy moje usługi nie są tutaj już potrzebne?

Jej usługi obejmowały ostatnio nadzór nad niańkami, pomoc gospodyni, wysłuchiwanie zwierzeń kucharki i grę w karty z lokajem.

– Oczywiście, że to jest twój dom – zapewniła pani Belmont łagodnym tonem, który ani trochę Madeline nie uspokoił. – Brakowałoby nam ciebie ogromnie, gdybyś przyjęła pracę gdzie indziej, ale sir Jack to nasz bliski przyjaciel i prosił nas o pomoc.

Prosił o pomoc Belmontów i nie był przyjacielem Madeline.

– To rozwiązanie tymczasowe – powiedział sir Jack. – Moja matka nigdy nie zostawała na dłużej niż dwa, trzy miesiące.

Innymi słowy, głupiec brał ten plan pod uwagę.

– Jak rozumiem, w przeszłości dawała sobie radę bez damy do towarzystwa – odparła Madeline. – Czy nie uzna, że przydzielając jej teraz takową, postępujesz arogancko, sir Jack?

– Moja matka ma chroniczną skłonność do obrażania się, podobnie chyba jak twoja ciotka Hattie. Wybierając dla niej towarzyszkę, dam jej

możliwość zaspokojenia potrzeby wynajdowania afrontów tam, gdzie w grę wchodziła tylko troska.

– A ja mam być tym afrontem?

– Z pewnością jednym z wielu – zgodził się sir Jack. – Jedzenie, zasłony przy łóżku, ustawienie świec na kominku, ton, jakim zwracam się do służby, albo fakt, że w ogóle się do nich odzywam… Moja zdolność do rozczarowywania mojej matki jest tak bezgraniczna, jak…

Zamilkł, ale nie dość szybko, żeby ukryć prawdziwą rozpacz. Madeline oczami wyobraźni ujrzała zimowe wieczory w bibliotece sir Jacka. On szczęśliwie pogrążony w lekturze jakichś wojennych wspomnień, jego biedna matka szalejąca z nudy.

– Może należałoby przekonać matkę, żeby nie przyjeżdżała z wizytą w tak ponurej porze roku – odezwała się Madeline. – Sam mógłbyś przenieść się do Londynu, mogąc dzięki temu wyjeżdżać i przyjeżdżać, kiedy sam byś zechciał.

Pan Belmont nalał żonie drugą filiżankę herbaty i wziął cytrynowy herbatniczek.

– Z własnego doświadczenia wiem, że matki niechętnie przyjmują próby uniknięcia inspekcji. Jeśli sir Jack podejmie jakieś manewry, żeby się wykręcić od wizyty, matka podwoi wysiłki, żeby przyjechać.

– Właśnie – potwierdził sir Jack. – Choć przypuszczam, że starsi synowie Belmonta ten sam upór przypisują własnemu drogiemu ojcu, którego dążenie do celu kojarzy się z rzepem. Panno Hennessey, czy zgodzisz się zostać chwilową damą do towarzystwa mojej matki? Mogłabyś rozejrzeć się wśród służby, zebrać informacje, porozmawiać z panią Belmont i przedstawić jakieś sugestie? Byłbym niezwykle wdzięczny.

Madeline nie chciała wcale wdzięczności sir Jacka ani też nie bawiła jej jego odmiana rzepa.

– Powinnaś się doprawdy zlitować nad nieszczęsnym starym kawalerem – powiedział pan Belmont. – To chrześcijański obowiązek, panno

Hennessey, a służba sir Jacka ci za to podziękuje. Dom w rozsypce nikogo nie czyni szczęśliwym.

Madeline nie interesował szczęśliwy dom, chociaż odpowiadał jej dach nad głową i posiłek codziennie raz albo dwa razy. I nie odpowiadało jej stanowisko pod dachem sir Johna Deweya Fanninga.

– Pochlebia mi to, oczywiście – powiedziała Madeline – ale obie nianie tutaj niedawno podjęły swoje obowiązki, a wobec zbliżającej się zimy…

– Nonsens – przerwała jej pani Belmont. – Wyszkoliłaś je znakomicie, a dziecko ma się doskonale. Świetnie się sprawdziłaś w roli damy do towarzystwa, kiedy owdowiałam, a przedtem byłaś prawą ręką gospodyni w Candlewick. Obie ciotki traktują cię jak skarb, chociaż rzadko kiedy mają dla kogoś dobre słowo. Tymczasowa zmiana otoczenia dobrze ci zrobi.

Nastąpiła kolejna wymiana promiennych uśmiechów, podczas gdy Madeline miała ochotę wyrzucić ten genialny plan przez okno.

Belmontowie byli dobrymi, miłymi ludźmi, którym Madeline mogła szczerze powiedzieć, co jej leży na sercu. Cenili wesołe usposobienie u służby i nie tolerowali niewłaściwego zachowania wobec kobiet mieszkających pod ich dachem.

Madeline ich lubiła. Ta myśl wprawiła ją w zmieszanie, zwłaszcza że nie lubiła sir Jacka.

Chociaż, ściśle mówiąc, nie darzyła go antypatią.

– Niezbyt ci się ten pomysł spodobał – stwierdził sir Jack. Co za niedopowiedzenie. – Jestem przygotowany, żeby być hojnym, panno Hennessey. Rozpaczliwie hojnym. Masz przed sobą mężczyznę pozbawionego dumy.

Madeline widziała przed sobą mężczyznę bez skrupułów i nie tak już czarującego.

– Bałagan w twoim domu, sir Jack, wynika po części z tego, że jesteś sędzią. W jednym tygodniu odbywasz posiedzenia, w innym nie. Nie jesteś panem swojego czasu, a każdej poważniejszej sprawie poświęcasz całą

swoją uwagę. Pan Belmont zachowywał się tak samo, kiedy piastował ten urząd.

– Ma rację – powiedział pan Belmont, pochłaniając jednocześnie maślany herbatnik. – Przeklęta praca zakłóca człowiekowi spokój, kiedy ludzie schodzą na złą drogę. Także kiedy owce schodzą na złą drogę. Twoja matka nie będzie zachwycona, kiedy zaczniesz znikać o różnych porach, żeby badać życie erotyczne owiec Hattie Hennessey.

– Belmont – powiedział sir Jack. – Czy muszę ci przypominać, po kim odziedziczyłem to stanowisko?

– A ty nigdy mi nie podziękowałeś, że się usunąłem, niewdzięczniku. Panna Hennessey zlituje się nad tobą, bo ma miękkie serce.

Tego już było za wiele.

– Nie mam…

– Rozpieszczasz swoje ciotki – ciągnął pan Belmont. – Rozpieszczasz nas, chłopców, dziecko… Porozpieszczaj matkę sir Jacka, podpowiedz parę nowych pomysłów jego gospodyni, pozachwycaj się śmietankowym deserem kucharki, flirtuj z lokajami i wygłoś im parę kazań. Użyj swojej magii, a w jego domu wszystko zacznie się toczyć gładko, tak jak tutaj, w Candlewick.

Madeline otworzyła usta, żeby zbesztać chlebodawcę za tę rażącą przesadę. Candlewick miało znakomitą, kompetentną gospodynię oraz utalentowaną kucharkę, i choć obie panie wchodziły w wiek podeszły, brak energii nadrabiały doświadczeniem.

– Schlebiasz mi bezwstydnie, panie Belmont.

– Gdzieżbym śmiał.

– A ja tak – odezwał się sir Jack – gdybym myślał, że to cię skłoni do przyjęcia tego stanowiska. Zyskasz moją dozgonną wdzięczność, świetne referencje, satysfakcję z wykonywania tak potrzebnej pracy…

– Oraz pieniądze – wtrącił pan Belmont. – Takie, których nie odmówiłaby rozsądna młoda kobieta.

Madeline nie była już młoda. Gdzieś między odrzucaniem zalotów nieopierzonych młodzieniaszków na dziedzińcu kościelnym – większości z nich, w każdym razie, a ciułaniem grosza na potrzeby starzejących się ciotek, zdołała pogodzić się z rzeczywistością. Pracowała ciężko – zawsze pracowała ciężko – i przy odrobinie szczęścia miała nadzieję odłożyć trochę na ten czas, kiedy ciężka praca będzie przekraczać jej siły.

– Pozwolę sobie stwierdzić, że ciotki namawiałyby cię do przyjęcia propozycji. – Sir Jack nie przekomarzał się z nią ani nie przesadzał. Przedstawiał jedyny argument, którego Madeline nie mogła odrzucić. Hattie porządnie zmyłaby jej głowę, gdyby wzgardziła szansą występowania w roli towarzyszki prawdziwej damy.

A sir Jack proponował to stanowisko jedynie tymczasowo, nic więcej.

Gdyby wiosenny miot owiec Hattie nie zależał od zbłąkanego barana, Madeline może by odmówiła, ale sytuacja ciotki stawała się nie do pozazdroszczenia. Finanse Theodosii od lat nie wyglądały lepiej.

Madeline nie będzie miała na starość nawet „wdowiego grosza”, o czym ciotki często jej przypominały.

– Zostanę tymczasową damą do towarzystwa – powiedziała. – A jeśli zauważę, że w domu coś źle funkcjonuje, dam o tym dyskretnie znać.

Sir Jack ujął jej dłoń w obie swoje.

– Trudno mi wyrazić swoją ulgę.

Madeline cofnęła rękę.

– Przedstawię krótko swoje wymagania związane z tą pracą, jeśli państwo Belmont zechcą zostawić nas na chwilę samych?

Belmontowie wstali i byli w połowie drogi do drzwi, zanim Madeline skończyła mówić. Ich pośpiech skojarzył jej się z rodzicami, którzy pragną zapewnić chwilę prywatności młodej damie i jej zalotnikowi.

Która to analogia wydawała się po prostu śmieszna.

2

Każdy żołnierz zdaje sobie sprawę, że zwycięska bitwa to zaledwie połowa zwycięstwa. Podbite ziemie należy utrzymać, kiedy umilkną działa, podbitą ludność poddać władzy zwycięzców, co bywa trudniejsze niż przewaga na polu bitwy.

Madeline Hennessey przystała na propozycję autorstwa Axela i Abigail Belmontów, podobnie jak Jack.

Boże, miej go w swojej opiece, bo panna Hennessey nie kryła niezadowolenia.

– Jakie są twoje warunki, panno Hennessey?

Wstała, Jack także – nie tylko dlatego, że dżentelmen nie siedzi, kiedy dama podnosi się z miejsca. Madeline Hennessey była wysokiego wzrostu, jak na kobietę, miała wspaniałe rude włosy, zgrabną figurę i śliczną buzię. Jack wolał stać, kiedy negocjowali.

Jej uderzającą urodę zwykły czepek, surowe uczesanie i brak wszelkich ozdób jedynie podkreślały. Jack był na tyle uczciwy, żeby przyznać, że patrzenie na nią sprawia mu przyjemność; na kobietę, która pewną ręką, spokojnie, prowadziła dom wdowca, nie budząc urazy starszych domowników. Kobietę, która sprzymierzyła się bez wahania z panią Belmont, kiedy jej przyszły mąż ociągał się z wystąpieniem o jej rękę.

Siła i stanowczość Madeline Hennessey wzbudzały szacunek Jacka; bujnymi kształtami i czarującym uśmiechem nigdy by sobie tego nie

zaskarbiła. Te same cechy sprawiały, rzecz jasna, że musiał zachować czujność.

– Chcę sypialnię na tym samym piętrze, co pańska matka – oznajmiła Madeline Hennessey – choć nie oczekuję zakwaterowania w skrzydle rodzinnym. Schody to przekleństwo, kiedy trzeba je pokonywać w dzień i w nocy o różnych porach.

– Oczywiście. Co jeszcze?

– Niedziela i pół dnia wolnego co tydzień i tyle wolnego czasu, na ile pozwoli mi twoja matka.

– Cała służba ma co tydzień wolną niedzielę i pół dnia. Ci, którzy pracują u mnie dłużej niż pięć lat, mają także zagwarantowane wolne wieczory, pod warunkiem że dopełnią wcześniej swoich obowiązków.

Odwróciła oczy od szkicu dzikiej róży czy innej rośliny przy stawie. Autorem był pewnie sam Belmont.

– Jak wygląda praca po zachodzie słońca, sir Jack?

– Młodsza służba się tym zajmuje. – O ile mu wiadomo. Nie pytał wprost, żeby nie urazić naczelnego lokaja.

– A kiedy młodsza służba ma za sobą pięć lat pracy?

– Młodsza służba zwykle nie przepracowuje roku. Może uda ci się to zmienić.

– Jak długo twoja matka pozostanie z wizytą?

Zbyt długo.

– Moja matka to żywioł natury. Zjawia się i znika, kiedy jej się podoba i nikt, to jest ja, nie ośmiela się wpływać na jej plany.

Panna Hennessey złożyła ramiona.

– To twój dom, sir Jack. Z szacunku do ciebie rodzina musi cię powiadamiać o swoich planach. Jak inaczej służba może odpowiednio ją ugościć, a do tego przewidzieć twoje potrzeby?

Przynajmniej przestała studiować artystyczne dokonania Belmonta.

– W całym hrabstwie nikt nie będzie miał wątpliwości co do potrzeb, opinii czy życzeń mojej matki. Wstąpiłem do regimentu udającego się do Indii, wbrew jej życzeniu, i teraz, prawie po dwudziestu latach, wciąż wypomina mi regularnie, jakim byłem niegrzecznym chłopcem.

– Nie jesteś chłopcem.

Panna Hennessey nie prawiła mu komplementów.

– Nie jestem także zdziecinniały. Jakie masz poza tym wymagania?

Sprosta im, jakiekolwiek by były. Im dłużej Jack rozmawiał z panną Hennessey, tym bardziej nabierał przekonania, że jest ona odpowiedzią na jego modły i godną partnerką dla jego matki.

To, że panna Hennessey wahała się z przyjęciem tej pracy, świadczyło jedynie o jej zdrowym rozsądku.

– Potrzebuję pieniędzy na garderobę – odparła. – Jako dama do towarzystwa twojej matki będę z nią składać wizyty i muszę odpowiednio wyglądać, jeśli nie chcę się narazić na drwiny miejscowej szlachty.

– Nie ośmielą się drwić. – W każdym razie, nie w oczy. Więcej Jack nie mógł jej zapewnić.

Podeszła do biurka Belmonta, imponującego mebla, przy którym powstało zapewne wiele cennych traktatów z dziedziny botaniki. Panna Hennessey wydobyła papier z szuflady, chwyciła pióro i otworzyła srebrną buteleczkę z atramentem.

– Kiedy będzie mi przysługiwało pół dnia wolnego? – zapytała, zbliżając pióro do papieru.

– Chcesz kontraktu na piśmie?

Pióro poruszało się po kartce papieru.

– Oczywiście. W grę wchodzą pieniądze, a kobieta zawsze musi pozostać ostrożna.

W Jacku jej żądanie wzbudziło sprzeczne uczucia – między oburzeniem a rozbawieniem.

– Panno Hennessey, jestem dżentelmenem. Wiąże mnie moje słowo.

Jednak nie porzuciła pisania.

– Dżentelmeni miewają zaniki pamięci, choć nie dam złego słowa powiedzieć o panu Belmoncie. Twoje słowo dżentelmena niewiele mi da w sądzie, sir Jack, nie kupi dla mnie materiału na suknię ani nowych butów na zimę. Jak brzmi twoje pełne nazwisko?

Byłaby świetnym oficerem – komplement w oczach sir Jacka.

– Sir John Dewey Fanning, choć przyjaciele mówią na mnie Jack.

Pióro zatrzymało się.

– Jestem Madeline Hennessey.

Jakże wydawała się zamyślona, siedząc przy ogromnym biurku – i jaka ładna.

– Bez drugiego imienia? – Chciał to wiedzieć, chciał wydobyć od niej wszelkie szczegóły, ponieważ informacja to rodzaj amunicji.

Podjęła na nowo pisanie, szepcząc coś pod nosem.

– Słucham, panno Hennessey?

– Madeline Afrodyta Hennessey. Będę wdzięczna, jeśli nie rozgłosisz tego w pubie Pod Mokrą Łasicą.

– Oczywiście, że nie. – Afrodyta to bogini miłości, rozkoszy i prokreacji, o ile dobrze zapamiętał arcynudne nauki guwernera. – Czy mogę zapytać o pozostałe warunki zatrudnienia w moim domu? – Domu, do którego Jack obawiał się wrócić, martwiąc się, czy służba nie spaliła go do gołej ziemi.

– Zostanę odwieziona na niedzielną mszę, jeśli twoja matka będzie akurat wolała zostać w domu.

Jack bywał na niej regularnie. Nie był szczególnie religijny w pojęciu anglikańskim, ale chciał dawać dobry przykład służbie, a towarzyskie rozmowy na dziedzińcu kościoła pomagały mu w pracy sędziego.

– Z przyjemnością będę cię woził na mszę, madame.

Odłożyła pióro.

– Ty będziesz mnie wozić?

Jack podszedł do biurka i zerknął na to, co napisała.

„Ja, sir John Dewey Fanning, z dniem podanym poniżej, przyjmuję do pracy w domu Madeline A. Hennessey, w charakterze tymczasowej damy do towarzystwa mojej matki, pod następującymi warunkami…”

– Masz zadatki na radcę prawnego, panno Hennessey. – Miała wdzięczny charakter pisma – schludny i czytelny, bez ozdóbek i esów-floresów, które uwielbiały uczennice.

– Jestem kobietą, za którą nie przemówi żaden mężczyzna – chyba żeby polegać na nadopiekuńczym, usposobieniu pana Belmonta – czego ja nie robię.

– Stąd odprawa, jeśli twoje zatrudnienie ustanie po mniej niż miesiącu. – Znacząca suma, jak na wynagrodzenie dla służby.

Za jej pewnością siebie kryła się ostrożność, której Jack się nie spodziewał. Mamie by się to spodobało – mama uważała, że kobieta musi sama dbać o siebie – Jackowi mniej.

– Panno Hennessey, nie jesteśmy przeciwnikami. Mam aż nadto środków i nie muszę wchodzić w drobne szczegóły kontraktu. Moim celem jest, żebyś dobrze się czuła pod moim dachem, w takim stopniu, w jakim to możliwe w towarzystwie mojej matki.

Albo jego. Jack nie łudził się co do atrakcyjności własnego towarzystwa.

Panna Hennessey podsunęła mu papier, podając pióro.

– Ładnie powiedziane, sir Jack.

– Czy potrzebujemy świadków?

– Państwo Belmont mogą to podpisać po tym, jak sporządzę kopię.

– Panno Hennessey, nie chcesz chyba obrazić chlebodawcy, zanim jeszcze podjęłaś obowiązki. Nie potrzebuję kopii kontraktu. Warunki są proste, a ty przywołasz mnie do porządku, jeśli im uchybię.

– Nie, nie zrobię tego. – Złożyła podpis na dole strony tym samym płynnym, zgrabnym charakterem.

– Pozwolisz mi bezkarnie złamać warunki kontraktu?

– Oczywiście, że nie. Jeśli to zrobisz, odejdę.

Belmont następnego dnia stanąłby na progu domu Jacka, rzucając gniewne spojrzenia, jak tylko on potrafił.

– A jeśli ty złamiesz kontrakt, madame?

Wojna nauczyła Jacka rozpoznawać wszelkie odmiany odwagi – od stoickiego milczenia albo hałaśliwej szarży po trzymanie się ustalonego porządku w chaosie żołnierskiego życia.

Nauczył się także rozpoznawać strach. Spojrzenie, jakie rzuciła mu panna Hennessey, zdradzało niezachwiany upór, ale także cień niepewności.

– Jesteś sędzią pokoju – powiedziała. – Potrafisz przyłapać kogoś na niewłaściwym postępowaniu. Nawet pan Belmont wychwalał cię pod niebiosa, a nie jest człowiekiem skłonnym do wylewności.

Pan Belmont to, pan Belmont tamto. Jack uważał Axela Belmonta za przyjaciela. Może przed zawarciem drugiego małżeństwa Belmont był dla Madeline Hennessey kimś więcej niż przyjacielem. Belmont był szlachcicem, nie jakimś wysoko postawionym lordem, a zimy w Oksfrodshire ciągnęły się bez końca.

Czy panna Hennessey nie nabrała przekonania, że zasługuje na coś lepszego?

– Czy jesteś zakochana w Axelu Belmoncie, panno Hennessey? – Ten błysk niepewności coś oznaczał, a pobyt w Indiach oduczył Jacka pochopnego osądzania cudzej moralności. – Kobiety zapewne uważają go za atrakcyjnego i nie jest pozbawiony znakomitych zalet.

W istocie Belmont miał ich wiele.

– To, kto mi się podoba, nie ma najmniejszego znaczenia – oznajmiła panna Hennessey, podnosząc się z krzesła. – A komu ja się podobam, jeszcze mniejsze. Będę ciężko pracować na swoją gażę, a ty będziesz mi ją wypłacać o czasie i co do grosza. To ma znaczenie.

Była wysoka, ale Jack przewyższał ją wzrostem. Stali niemal oko w oko; cień niepewności krył się w jej uniesionej brodzie i spojrzeniu, które mogło

zamienić się w gniewne. Widział w niej upór ciotki i niezależność i… to go niepokoiło.

– Zapłacę z góry – powiedział. – Nie mogę oczekiwać, że przeniesiesz się, kupisz materiał, sporządzisz nową garderobę i podejmiesz nową pracę, jeśli nie okażę dobrej woli. Jeśli możesz zacząć zaraz po drugim dniu świąt, dopilnuję, żeby czek dotarł tu jutro.

– Wolę pieniądze. Żeby zrealizować czek, będę musiała prosić o pomoc pana Belmonta, a to zajęty człowiek.

Belmont był człowiekiem zakochanym w swojej żonie i oddanym dzieciom.

– A zatem pieniądze – zgodził się Jack i wyciągnął rękę.

Ponieważ przed chwilą pili herbatę, żadne nie miało rękawiczek. Spojrzała na niego pytająco, podając dłoń. Pochylił się nad nią, przytrzymując jej palce.

– Jestem twoim dłużnikiem, panno Hennessey. Dziękuję, że zgodziłaś się zmierzyć z tym wyzwaniem. Jechałem podjazdem, zamierzając prosić o jakieś świeże spojrzenie na to, jak się mają sprawy w moim domu. Wrócę do domu wdzięczny, że zyskałem sojusznika pod własnym dachem. – Ładnie powiedziane, nie ma co.

– Będę podwładną, sir, nie sojuszniczką.

Wydawała się tak… zaskoczona, dzielna i zdecydowana, że Jack wolał raczej działać, niż dyskutować z damą.

– Nazwij to, jak chcesz. – Musnął ustami jej palce. – Odczuwam ogromną ulgę, że przeniesiesz się do mojego domu. – Puścił jej dłoń i wyszedł, zanim zdążyła powiedzieć coś kąśliwego.

Abigail Belmont wychowała się praktycznie w księgarni i nie była damą z pretensjami, choć Madeline wolałaby, żeby chlebodawczyni nosiła się z większym dostojeństwem. Zamiast tego, w ciągu tygodnia po wizycie sir

Jacka Abigail pomagała przy szyciu trzech sukien i bardzo chciała przekazać Madeline kolejne z własnej garderoby.

– Możesz nosić jaśniejsze kolory – powiedziała Abigail, kładąc na łóżku rudobrązową suknię podróżną. – Jestem teraz matką i potrzebuję tkanin, które łatwo się piorą i nie plamią.

– Nie będę miała zbyt wielu okazji, żeby chodzić w tak świetnych strojach – sprzeciwiła się Madeline, wygładzając dłonią miękki materiał. – A większość kobiet wygląda w tym kolorze dobrze.

– Na tobie wygląda lepiej niż dobrze – odparła Abigail, kładąc na sukni kremowy szal. – Te przenosiny do sir Jacka mogą być bardzo korzystne, Madeline. Dlaczego jesteś taka niechętna?

Ponieważ w nowym domu Madeline będzie musiała poinstruować gromadę obcych lokajów, że nie należy się na nią gapić, obmacywać jej, traktować lekceważąco czy nie doceniać. Ponieważ sir Jack niemal otwarcie przyznał, że jest na noże z własną matką.

– Uważam Candlewick za swój dom – odparła Madeline, podczas gdy wyszywana koralikami torebka dołączyła do stosu rzeczy na łóżku. – Służba tutaj jest dla mnie jak rodzina. U sir Jacka będę intruzem, który wynosi się ponad swoją pozycję.

Abigail dorzuciła na łóżko parę kremowych rękawiczek.

– Twoja wersja rodziny obejmuje parę zrzędliwych, starych kobiet, a służba spodziewa się, że rozwiążesz wszystkie problemy i po wszystkich posprzątasz. To nie to samo, co mieć przyjaciół. Czy masz zegarek?

– Nie. – Wszelką biżuterię w rodzinie Hennessey sprzedano dziesięć lat wcześniej.

– Dama do towarzystwa musi mieć możliwość sprawdzania godziny – stwierdziła Abigail, podchodząc do toaletki i otwierając szkatułkę z biżuterią. – To może być.

Rzuciła – rzuciła! – Madeline złotą broszkę, która okazała się szpilką z zegarkiem.

– Nie możesz tego robić – powiedziała Madeline, choć nie ośmieliła się odrzucić zegarka. – Nie jestem żołnierzem, który idzie na bitwę, a ty musisz koniecznie wyczyścić moją broń i załadować plecak. Wrócę tutaj na wiosnę i co ja zrobię z tym całym… skarbem?

Abigail spojrzała współczująco, po czym, na szczęście, wróciła do przeglądania biżuterii.

– To są używane rzeczy, Madeline Hennessey. Dałabym ci je wcześniej, należą do wyposażenia osobistej pokojówki, ale sprzedałabyś je, żeby dać pieniądze swoim krewnym. Jestem skandalicznie bogatą kobietą, więc musisz po prostu znosić moje kaprysy. Sprzeciw się tylko, a pójdę naskarżyć panu Belmontowi.

Madeline usiadła na wielkim łożu z baldachimem Belmontów, uświadomiła sobie, co zrobiła i zeskoczyła szybko.

– To nie w porządku. Pan Belmont jest bezwzględny, jeśli chodzi… cóż, bezwzględnie broni twoich kaprysów. Będę potrzebować wozu na bagaż, żeby się przeprowadzić do sir Jacka, jeśli wciągniesz pana Belmonta w tę dyskusję.

Abigail uśmiechnęła się ze słodyczą.

– Więc mnie nie zmuszaj. Weź ubrania, choć trzeba będzie trochę je popuścić w stanie i noś je na zdrowie. Sir Jack, jak wiesz, też jest bogaty.

Madeline zajęła się składaniem ubrań porozrzucanych na łóżku. Abigail wybrała pół tuzina sukien, więcej niż Madeline miała, odkąd wstąpiła na służbę w wieku piętnastu lat. Podniosła brązoworudą, aksamitną suknię; dotyk tkaniny sprawiał, że serce jej śpiewało.

Kiedyś, kiedy była zbyt młoda, żeby to docenić, wszystkie ubrania miała tak dobrej jakości.

– Przestałaś się ze mną sprzeczać – zauważyła Abigail. – Nie dam się zwieść, Madeline, potrafisz zręcznie się wycofać ze względów taktycznych, także z tego powodu w Candlewick wszystko działa tak sprawnie.

Kucharka i pani Turnbull zaprzyjaźniły się dzięki tobie. Nie każdy dom może się pochwalić tak dobrą współpracą pomiędzy wyższą służbą.

– Kucharka i pani T. mają wiele wspólnego – powiedziała Madeline, składając suknię w miękki stosik. – Czasami trzeba im o tym przypomnieć. Kolczyki nie. Stanowczo odmawiam świecidełek.

Abigail stała przed nią z parą prostych złotych kolczyków i cienką złotą bransoletką w dłoni.

– Brak próżności dobrze o tobie świadczy, Madeline, brak zdrowego rozsądku już nie. Weź je.

– Mówisz jak twój mąż.

– Weź je, albo twój upór da mu pretekst do zabawy twoim kosztem.

Madeline wyciągnęła rękę i Abigail położyła jej biżuterię na dłoni. Wpadające przez okno promienie słońca zamieniły skromne ozdoby w świetlistą magię.

– Jestem wdzięczna. Proszę nie myśleć, że tak nie jest.

Abigail wróciła do toaletki, przeglądając szkatułkę z grzebieniami, szpilkami do włosów i wstążkami.

– Skoro jesteś wdzięczna, Madeline, dlaczego chciałabyś się teraz znajdować sto mil stąd, podczas gdy większość kobiet w twojej sytuacji przymierzałaby te suknie? Zostaniesz domownikiem zamożnego mężczyzny i musisz wyglądać stosownie.

Madeline była wdzięczna – i czuła się niezręcznie, tak samo jak lata wcześniej, kiedy mama wyjaśniła jej, że duże dziewczynki nie potrzebują guwernantek ani kucyków.

Następnego dnia jej ukochany mały konik, Gideon, został wyprowadzony ze stajni, a obiecany koń, który miał go zastąpić, nigdy się nie pojawił.

– Jestem zwykłą pokojówką, nie aktorką – powiedziała Madeline, podnosząc niebieską spacerową suknię z wełny merynosów. – Nie

interesuje mnie, żeby wyglądać stosownie do roli. Interesuje mnie, żeby uczciwie zapracować na swój grosz. Nie możesz dać mi tych grzebieni.

– Owszem, mogę. Nigdy nie byłaś zwykłą pokojówką. Pan Belmont powiada, że zapewniłaś chłopcom w okresie dorastania cywilizacyjny wpływ, jakiego potrzebowali, Madeline, a ja będę ogromnie za tobą tęsknić. Pan Belmont przypisuje ci wszelkiego rodzaju cnoty, a nie należy do gadatliwych. Będę często odwiedzać sir Jacka, jak tylko skończą się święta i jeśli cokolwiek nie ułoży się po twojej myśli, natychmiast dasz mi znać.

W oczach Abigail widniała szczera troska, ale także czaiło się w nich poczucie winy. Madeline przyszło nagle do głowy, że może rzeczywiście nie jest już niezbędna w Candlewick. Kiedy pan Belmont owdowiał, dom potrzebował mocnej ręki, ale Axel Belmont w końcu się ożenił, chłopcy wyjechali na uniwersytet, a Candlewick kręciło się jak bączek – szczęśliwy kolorowy bączek.

– Wszystko będzie, jak należy, a sir Jack jest wzorem dżentelmena – odparła Madeline. Brakowało mu także uroku. – Nie musisz się o to martwić.

– Och, troszczy się o panny, które podpierają ściany na balach, przychodzi punktualnie na msze, bierze udział w zawodach w rzutki, ale mężczyźni potrafią być tacy… ślepi na to, co dzieje się tuż pod ich nosem. Pora, żeby sir Jack się ustatkował i jego matka z pewnością przyjeżdża, żeby o to zadbać.

Madeline opadła na fotel przy kominku, Abigail, oczywiście, miała rację.

Matki nie rezygnują z wesołej atmosfery i wygody Londynu, żeby spędzić zimę na wsi z nieżonatymi synami dla samej przyjemności wdychania wiejskiego powietrza.

Och, cudownie. Potyczki między matką a synem przerodzą się zapewne w otwartą bitwę.

– Wesprę panią Fanning w jej wysiłkach, żeby syn się ustatkował – powiedziała Madeline. – Choć mój trud może mnie kosztować wyrzucenie

za drzwi bez referencji.

Czy w takim wypadku przyjęto by ją z powrotem w Candlewick, czy też błąkałaby się od ciotki do ciotki, póki jakiś miejscowy szlachcic nie uzna, że u żony ważniejsze jest doświadczenie w prowadzeniu domu niż urok młodości?

– Madeline, jesteś głupia jak but – powiedziała Abigail tonem, który cechuje głównie matki. Pełnym dobroci, szczerym, karcącym i ostrzegawczym – wszystko naraz.

– Sir Jack to nie książę z rodziny królewskiej. Nie należy do takich, co pół roku spędzają w mieście. Potrafi docenić kobietę uczciwą i inteligentną.

Docenić?

– Dopóki będzie płacić na czas i dotrzymywać zapisów naszej umowy, ja także zdołam docenić jego uczciwość i inteligencję. Lepiej rozejrzę się za kuframi, żeby to wszystko przewieźć. Sir Jack pomyśli, że to najazd.

Podczas gdy Madeline miała wrażenie, że zostaje wyrzucona z własnego domu – po raz kolejny.

Pogoda była wyjątkowo łagodna, jak na porę roku; po dobrych zbiorach nastała wczesna zima, nasączając krajobraz spokojem.

Panna Hennessey siedziała w bryczce obok sir Jacka, który – on, człowiek podejmowany przez radżów i samego regenta – szukał jakiegoś tematu do konwersacji.

Ostatecznie, on i panna Hennessey mieli mieszkać pod jednym dachem, a z tego, co wiedział o damach do towarzystwa, miała mu się plątać pod nogami równie często jak mama.

– Czy będziesz tęsknić za stanowiskiem w Candlewick? – Belmont nie owijał w bawełnę, że jego synowie – dwóch w Oksfordzie o dwanaście mil od domu i mały tyran w pokoju dziecinnym – wpadli w rozpacz z powodu odejścia panny Hennessey.

– Nie wiem.

– Jak możesz nie wiedzieć, czy będzie ci brakować ludzi, dla których i z którymi pracowałaś przez lata? – Dyskretny wywiad potwierdził, że panna Hennessey była zatrudniona w Candlewick od dziesięciolecia.

– Bo ujechaliśmy ledwie milę od domu. Opowiedz mi o swojej matce.

To nie była prośba.

– Jest straszna. Świetnie się dogadacie.

Zerknęła w jego stronę – ledwie przelotnie.

– To miał być komplement. Czy harowałaś dla Belmonta rok po roku, nie słysząc żadnych komplementów?

Wóz wpadł w koleinę – jesienne deszcze wyżłobiły ich wiele na drogach hrabstwa. Panna Hennessey wpadła na Jacka, a ponieważ ten miał ręce zajęte lejcami, nie mógł jej pomóc. Podniosła się, opierając rękę na jego udzie, ale przeklęty koń wleciał w kałużę, która ukrywała kolejną koleinę i dłoń panny Hennessey ześlizgnęła się.

– Wielkie nieba – zawołała, odsuwając się gwałtownie. – Zwykle nie jestem niezręczna. Przepraszam, nie chciałam…

Zaczerwieniła się cudownie, jak tylko rudowłosi potrafią.

– Można się zastanawiać, na co idą nasze podatki – powiedział Jack. – Utrzymanie dróg nie jest chyba jednym z priorytetów. Pytałaś o moją matkę. Jej pełne imię to Florentia Hammerschmidt Fanning z Hammerschmidtów z Carstairs Keep w Hampshire. Uchodziła za piękność w swoim czasie i wciąż szczyci się swoim wyglądem. Proszę, weź lejce.

– Dlaczego sądzisz, że umiem powozić? – zapytała panna Hennessey, przyjmując je.

Wałach w zaprzęgu, Beauregard, ciągnął kiedyś powóz. Dziecko mogłoby go prowadzić podczas burzy z piorunami, a Beau dopilnowałby, żeby dotarło bezpiecznie na miejsce.

– Belmont twierdzi, że sprostasz każdemu wyzwaniu. To jest dobra podobizna mojej matki, choć sprzed pięciu lat.

Pokazał pannie Hennessey miniaturkę starszej kobiety o portretowo niebieskich oczach i miłym uśmiechu. Artysta pozwolił sobie na pewną swobodę interpretacji, jeśli chodzi o uśmiech, ale poza tym twarz matki wyglądała jak żywa.

– Całkiem przystojna – stwierdziła panna Hennessey. – Choć nie bardzo widzę podobieństwo między wami.

Co właściwie sugerowała?

– Jestem podobny do zmarłego ojca – odparł Jack, chowając miniaturkę do kieszeni i przejmując wodze. Ten manewr wymagał muśnięcia rękawiczką rękawiczek panny Hennessey; Madeline zaraz potem znowu cofnęła się o parę cali.

– Kąpałem się zeszłego wieczoru – oznajmił Jack.

– Słucham?

– Przesuń się bardziej w lewo, a wypadniesz z powozu, panno Hennessey. Jeśli mamy mieszkać pod jednym dachem, widywać się przy posiłkach i spotykać w innych sytuacjach w Teak House, będziesz musiała radzić sobie z pewną bliskością mojej osoby.

A Jack z bliskością jej osoby. Dzisiaj miała na sobie brązową suknię z aksamitu z pelerynką z czarnej wełny. Podczas jazdy, nawet przy łagodnej pogodzie odczuwało się szczypanie chłodu i świeże powietrze zabarwiło policzki panny Hennessey może nie na kolor różany… ale kremowy, różowy odcień płatków passiflory, który Jack tak często podziwiał w Indiach.

Atrakcyjność panny Hennessey nie wróżyła dobrze. Mama źle znosiła ładne młode kobiety w swoim otoczeniu.

Jadący z naprzeciwka wózek jednokonny wyrwał Jacka ze smętnych rozmyślań. Woźnica zatrzymał się, podobnie jak Jack, tak że pasażerowie obu powozów znaleźli się w odległości umożliwiającej rozmowę.

– Panie McArdle, dzień dobry.

– Sir Jack, panna… Hennessey? – Wznosząca się intonacja Hectora McArdle wskazywała, że zwrócił uwagę na elegancki strój panny Hennessey, na jej zaróżowione jak kwiaty passiflory policzki zapewne także.

Sprośny stary kozioł.

– Panie McArdle – odparła panna Hennessey, posyłając mu wdzięczny uśmiech, który jednak nie sięgnął jej oczu. – Jakże się pan miewa?

– Cóż, panienko, miło, że pytasz i dobrze, że spotykam naszego sędziego. Właśnie jechałem do ciebie, sir Jack, i to nie zupełnie w celach towarzyskich.

Oczywiście, że nie. Sąsiedzi zapraszali Jacka na przyjęcia, kiedy potrzebowali kawalera, żeby zaokrąglić liczbę mężczyzn – kolejny obowiązek, jaki odziedziczył po Belmoncie – i odwiedzali go, dzięki Bogu rzadko – wtedy, kiedy mieli do przedyskutowania jakąś sprawę prawnej natury.

– Jeśli panna Hennessey zechce poczekać – powiedział Jack – chętnie wysłucham cię teraz. – Chętnie stanowiło dżentelmeńską hiperbolę. McArdle handlował węglem i plótł głupstwa z talentem właściwym ludziom, którym się powiodło.

– Mogę dalej pójść na własnych nogach – zaproponowała panna Hennessey, zbierając spódnicę, jakby zamierzała wysiąść.

– Nie potrzeba, panienko – powstrzymał ją McArdle. – Pani McArdle zwróciła mi na to uwagę, a jeśli wspomni o tym swoim przyjaciółkom przy okazji wspólnego szycia kołder, wkrótce całe hrabstwo będzie o tym gadać.

– Proszę mówić, McArdle – powiedział Jack. – Pomogę, na ile zdołam.

McArdle rozejrzał się, jakby po krzakach czaili się zbójcy, mając nadzieję usłyszeć coś o ukrytym skarbie.

– Cała okolica polega na moich dostawach węgla – stwierdził McArdle, jakby zajmował się działalnością dobroczynną. – Skrupulatnie wypełniam swoje obowiązki i zawsze mam dużo węgla na podwórku. Wkrótce spadnie

na nas zima i nikt w hrabstwie nie będzie cierpiał zimna, bo Hector McArdle czegoś zaniedbał.

– Wszyscy jesteśmy wdzięczni za pańską działalność uczciwego przedsiębiorcy – powiedział Jack, ponieważ McArdle wyraźnie oczekiwał pochwały za dostarczanie jedynego produktu, jaki sprzedawał.

Panna Hennessey podziwiała krajobraz, Beauregard machał ogonem, Jack przeklinał w duchu Axela Belmonta za to, że zrezygnował ze stanowiska, a szanownego Rutlanda – jedynego innego kandydata na to stanowisko – za to, że przeniósł się na stałe na wybrzeże.

– Ktoś poczęstował się moim węglem – ciągnął McArdle. – Zakradł się aż do mojej szopy i pozbierał luźne bryłki, jakie zostały po tygodniu pracy.

Luźne bryłki, biorąc pod uwagę porządek, jaki utrzymywał McArdle w swoim obejściu, oznaczały pewnie kilkaset funtów węgla z samej szopy. Gdyby nie przedsiębiorczy złodziej, ten węgiel leżałby tam pewnie, póki by całkiem nie zamókł i nie uległ rozdrobnieniu, tak że nie nadawałby się do spalenia.

– Przyjadę i rozejrzę się na miejscu, jak tylko rzeczy panny Hennessey zostaną przeniesione do Teak House.

Bladoniebieskie oczy McArdle’a przeniosły się od Jacka na milczącą kobietę, siedzącą u jego boku.

Spotkania kobiet przy szyciu kołder nijak się miały, jeśli chodzi o rozsiewanie plotek, do drużynowych zawodów w rzutki.

– Panna Hennessey będzie przebywać w Teak House jako dama do towarzystwa mojej matki, która wkrótce przybędzie z Londynu.

– Matka, powiadasz?

– A także mój brat, Jeremy. Pozwolisz, McArdle? Im szybciej ruszymy w drogę, tym szybciej będę mógł obejrzeć miejsce przestępstwa.

Jack kiwnął głową i pociągnął lejce, dając Beauregardowi znak, żeby ruszał. Powozik potoczył się, podskakując, a McArdle pognał w przeciwnym kierunku.

– Z takimi zbrodniami musi się mierzyć niestrudzony urzędnik króla – powiedział Jack. – Ale wiesz o tym, jako mieszkanka Candlewick. – Była służącą w Candlewick, a to nie całkiem to samo.

– Pan Belmont tylko zastępował sędziego – stwierdziła panna Hennessey – i w większości drobne występki i głupie żarty, które badał, dawały mu pretekst, żeby opuścić posiadłość i podtrzymywać znajomości z sąsiadami na tyle, na ile był do tego zdolny.

– Czyżbym słyszał słowa krytyki pod adresem szacownego Axela Belmonta, panno Hennessey? Myślałem, że w oczach rodziny i służby to człowiek, który chodzi po wodzie. – Jack także ogromnie poważał Belmonta – za jego niezwykle zdrowy rozsądek oraz niezachwianą uczciwość i poczucie honoru.

– Wielu wiejskich szlachciców żyje samotnie, uprawiając swoje akry, sir Johnie Deweyu Fanningu.

Belmonta bardziej interesowały róże – i żona, z tego co Jack miał okazję zauważyć.

– Przyjaciele mówią na mnie Jack albo sir Jack. – Nie zwracano się do niego po prostu „Jack”, odkąd wrócił z Indii.

Panna Hennessey zachowała znaczące milczenie.

– Co się zatem stało twoim zdaniem z węglem McAdle’a? – zapytał Jack ćwierć mili później.

– Ktoś go wziął.

– Który ktoś?

Panna Hennessey skubnęła spódnicę.

– Ktoś, kto nie chciał zamarznąć na śmierć tej zimy.

Och, świetnie się porozumie z mamą.

– Nie sądzisz, że zabrano go, żeby sprzedać?

– Jeśli ten węgiel to resztki porozrzucane w szopie, to nie jest to węgiel dobrej jakości, który można sprzedać, a złodziej nie wykazał się specjalną zręcznością. Sprzedaż kradzionego węgla po cichu wymagałaby sporych

zachodów na wsi, gdzie plotki rozchodzą się z najlżejszym podmuchem wiatru.

Dlatego Jack nie zwalił na kogoś innego tego zadania: lubił zagadki, czy to chodziło o dostarczenie zapasów dla garnizonu po drugiej stronie rzeki, która wylała, czy o znalezienie rabusia, który zwinął ozdobny obrus Nancy Yoder z wiciokrzewów koło pralni.

– Dlaczego twierdzisz, że złoczyńca był głupi? – Zważywszy na obecny stan angielskiego prawa karnego, każdy złodziej był głupi, zrozpaczony albo obdarzony niebezpieczną żyłką awanturniczą. W nieodległej przeszłości małe dzieci wieszano za kradzież łyżki.

– Złodziej nie był głupi – odparła panna Hennessey – ale niezdarny. Wziął nie tylko najgorszej jakości węgiel, ale także jedyny, którego zniknięcie mogło zwrócić uwagę McArdle'a.

Miała… rację. Na wielkim brudnym podwórku wysokie góry węgla odgradzał od ludzi tylko pojedynczy płot. Dużo węgla leżało pod cynowymi daszkami, niespecjalnie zabezpieczonymi. McArdle nie zauważyłby braku paruset funtów spośród ton towaru.

Jego żona zauważyła jednak, że ktoś w zasadzie oczyścił jeden kąt podwórka.

– Złodziejowi nie brakowało rozsądku – stwierdził Jack, przyglądając się w duchu faktom i snując przypuszczenia. – Zabrał tylko tyle, ile mógł wynieść w ciągu jednej czy dwóch godzin i to w takim czasie, kiedy nikt nie powinien go zauważyć. – Dnie były teraz najkrótsze i większość ludzi spędzała długie wieczory w przytulnym cieple w domu i w łóżku.

– Ktoś nie chciał, żeby jego rodzina marzła zimą – powiedziała panna Hennessey – i dla niego te dwie godziny, kiedy kradł, były bardzo ważne.

Jack wprowadził powóz na podjazd przed Teak House.

– Jeśli schwytam tę osobę, znajdzie się w bardzo poważnych tarapatach. – Choć McArdle nie sprzedałby okruchów i odpadów zaścielających szopę. Więc trudno by było udowodnić szkodę. – McArdle będzie rwał włosy z

głowy przez następne pół roku z powodu czegoś, co można uznać za węglowy pył.

Będzie także puszyć się Pod Mokrą Łasicą w każdy piątkowy wieczór, wypytując Jacka, kiedy złodziej stanie przed obliczem sprawiedliwości.

– Powiedz McArdle’owi, żeby kupił psa – poradziła panna Hennessey. – Nawet przyjazny pies podniesie raban, kiedy ktoś obcy wejdzie na teren obejścia. Cena dużego psa i koszt utrzymania w ciągu jego życia pewnie przekroczą wartość ukradzionego węgla, ale McArdle może sobie pozwolić na taki wydatek. Nie stać go na ambitniejszego złodzieja, który wykorzysta jego niechlujstwo.

– Pies. Mam powiedzieć McArdle’owi, żeby kupił psa? – Jack zatrzymał powóz na podwórku stajennym, ale nie wykonał żadnego ruchu, żeby wysiąść. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, by udzielić McArdle’owi takiej rady.

– Suka mojej ciotki Theodosii oszczeniła się prawie dwa miesiące temu – powiedziała panna Hennessey. – Na oko skrzyżowanie mastiffa z owczarkiem szkockim. Wielkie stworzenia, ale bardzo przyjazne. Może spodobałyby się twojej matce.

Matka nigdy by się nie pokazała z psem innym niż najczystszej rasy, ale Jack lubił wszystkie psy.

– Pomyślę o tym. – Zabezpieczył powóz, żeby się nie poruszył i zeskoczył na ziemię, pomagając damie.

Jak tylko stopy panny Hennessey dotknęły twardej ziemi, cofnęła się, patrząc ponad ramieniem Jacka w stronę dworku.

– Co się dzieje? – zapytał Jack.

– Nic takiego. Sądzę, że twoja matka właśnie przyjechała.

Jack odwrócił się – tragarz i trzech lokajów wyładowywało pod daszkiem przy podjeździe pokaźny bagaż z powozu.

– A jednak coś się dzieje. Mama miała przyjechać najwcześniej za trzy dni.

3

Zamartwiasz się – powiedział Axel Belmont. Stał w drzwiach pokoju dziecinnego; nieśmiały człowiek z ukrytymi pokładami czułości i ciepła, które Abigail wciąż uczyła się doceniać.

– Wejdź, mężu. Jego wysokość prawie zasnął.

Zatrudniali dwie nianie, ale ani Abigail, ani jej mąż nie zamierzali powierzyć swojego dziecka całkowicie w obce ręce w najwcześniejszym okresie jego życia. Maleństwo przyszło na świat parę tygodni wcześniej, niżby wypadało z obliczeń Abigail. Niewielkie rozmiary nadrabiało wigorem.

– Nie jest późno, a oczy mi się kleją – powiedział Axel, sadowiąc się w fotelu przy kominku. – Nie mam pojęcia, jak ty sobie dajesz radę, kiedy nasz syn co rusz wyrywa cię ze snu. – Wstał, żeby dorzucić drew do kominka, ponieważ w pokoju dziecinnym palono drewnem. – Jackowi i Madeline będzie dobrze razem.

Innymi słowy, Axel się martwił.

– Będzie ci jej brakować – zauważyła Abigail. – Ja już za nią tęsknię.

Axel stracił przed laty pierwszą żonę; pierwszy mąż Abigail także zmarł. To małżeństwo, drugie dla obojga, cechowała bliskość serc, tak samo jak bliskość cielesna. Jednak Axel z pierwszego małżeństwa miał dwóch bystrych chłopców, obecnie studiujących na uniwersytecie, a teraz także urodził się syn.

Madeline Hennessey zapewniała Abigail dobre, kobiece towarzystwo.

– Tęsknię za nią – przyznał Axel – i, owszem, jeśli się nad tym zastanawiasz, przyjemnie było patrzeć na Madeline, kiedy zelżał ból żałoby, ale była zbyt rozsądna, żeby z tego skorzystać.

– Zatem mam wobec niej większy dług, niż sądziłam – powiedziała Abigail – ponieważ była twoją przyjaciółką, czy chcesz tak to nazwać, czy nie. Chciałbyś potrzymać dziecko?

Axel wziął zaspany pakuneczek i przytulił do piersi.

– Jack jeszcze nie doszedł do siebie.

Ponieważ pasją Axela – poza żoną i rodziną – była botanika, miał skłonność do obserwacji. A dzięki niezwykłej inteligencji wyciągał z nich na ogół właściwe wnioski.

– Może to się nigdy nie stanie – powiedziała łagodnie Abigail. – Nie wiemy o wszystkim, co się zdarzyło w Indiach, ale poprosił nas o pomoc, a to jest… nigdy przedtem tego nie zrobił. Wydaje się, że odpowiada mu funkcja sędziego.

Axel przytulił twarz do główki dziecka.

– Odpowiada… to eufemizm. To obowiązek, a każdy były żołnierz podejmuje obowiązek, niczym zdrowa winorośl, która pnie się do słońca. Obowiązek czyni mężczyznę chłodnym w łożu.

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym za niego wyjść – oznajmiła Abigail, ponieważ wyczuła kryjące się gdzieś podskórnie pytanie. – Cieszyłam się jego towarzystwem, kiedy odwiedzał nas w dworku Stoneleigh, ale lubiłam także wizyty McArdle’a, który przywoził węgiel. Byłam taka samotna. Czy to dziecko zasnęło?

– Tak.

Siedzieli długą chwilę przy miło trzaskającym ogniu.

– Wtorek – powiedział Axel. – O ile łagodna pogoda się utrzyma, złożę sir Jackowi wizytę we wtorek.

– Madeline potrzebuje czasu, żeby dokonać rozeznania i żadne z nich nie będzie chciało, żebyśmy stali im nad głową. Myślę, że piątek jest lepszy.

Naprawdę dobrze do siebie pasują.

Abigail mogła ufać Axelowi, że ten niczego nie przeoczy, kiedy znajdzie się w Teak House.

– Nie wiedzą, że do siebie pasują – odparł Axel – i będą walczyć z własnymi skłonnościami. Madeline powie sobie, że sir Jack Dewey Fanning jest poza jej zasięgiem, a Jack będzie pamiętał, że dżentelmen nie narzuca się pomocy domowej. Niezbyt mądra ta moja intryga.

Abigail dopracowała szczegóły.

– Co wiemy o wychowaniu Madeline?

Niemowlę westchnęło, jakby żegnało resztki świadomości.

– Wstąpiła na służbę jako pomywaczka i szybko została prawą ręką kucharki. Wtedy rządy w kuchni przejęła pani Turnbull, a kiedy Caroline zachorowała, Madeline zaczęła podejmować decyzje, których… których ja nie byłem w stanie podjąć. Zawsze jednak miałem wrażenie, że nasza droga Hennessey nie jest zupełnie tą osobą, za jaką ją mamy.

U Axela Belmonta obserwacje nieodmiennie prowadziły do konkretnych wniosków.

– To znaczy?

– Wolni chłopi nie są zwykle wysocy – powiedział Axel. – Osobnik pozbawiony dobrej ziemi, odpowiedniej wody i światła zwykle karłowacieje, czy to w szklarni, czy w chłopskiej chacie. Ciotki Madeline żyją w biedzie, ale obie mają silną budowę ciała.

– Czasami przeciwności losu nas wzmacniają. – Miłość Axela dodała sił Abigail i miała nadzieję, że jej uczucie to samo dało Axelowi.

– Madeline zna francuski, choć nigdy się nim nie posługuje.

– Skąd pomywaczka mogłaby się nauczyć francuskiego? Chyba że w poprzednim domu pracodawcy mówili w tym języku?

– Nie wiem. Kiedyś złapałem ją także na tym, jak odkurzała łacińską gramatykę, była jak urzeczona i… miała wypisaną na twarzy tęsknotę, nie umiem inaczej tego opisać.

Abigail wstała i wzięła dziecko od męża.

– To, skąd pochodzimy, nie liczy się nawet w połowie, tak jak to, kim jesteśmy dzisiaj i dokąd zmierzamy. Ja chciałabym pójść na kolację z moim mężem. – W gruncie rzeczy wolałaby udać się prosto do łóżka, ale ciało wymagało wzmocnienia.

Nie podjęli jeszcze współżycia, odkąd urodziło się dziecko i Abigail rozpaczliwie potrzebowała czułości męża. To było jego trzecie dziecko. Miał doświadczenie jako rodzic i pewność siebie, której brakowało Abigail.

Axel towarzyszył Abigail do drugiego pokoju, gdzie niania drzemała w bujanym fotelu przy kominku.

– Dobry wieczór, proszę pani, sir – powiedziała niania, podnosząc się. Spojrzała na zegar z pozłacanego brązu na kominku, ponieważ Madeline hołdowała przekonaniu, że w pokoju dziecinnym należało przestrzegać, w granicach rozsądku, pewnego grafiku. – Dziecko zasnęło?

– Na razie. – Abigail przekazała niemowlę w ręce niani. – Zajrzę tu jeszcze, zanim się położę.

Axel przytrzymał drzwi i wziął Abigail za rękę, kiedy wyszli na korytarz.

– Nigdy nie spuściłabyś dziecka z oczu, gdybyś tylko mogła.

Przez pierwsze dwa tygodnie Abigail nie spuszczała niemowlęcia z oczu, a Axel niemal nie spuszczał oczu z żony.

– Ty też nie – stwierdziła Abigail, całując męża w policzek. – Ale powiadasz, że za piętnaście lat będę zadowolona, odsyłając chłopca do Oksfordu. Nie mogę sobie tego wyobrazić.

Tak samo jak nie potrafiła sobie wyobrazić, co to znaczy dla kobiety osiągnąć dojrzałość na służbie, ciężko pracując fizycznie każdego dnia i nie mogąc marzyć o własnym domu i rodzinie.

– Przestań się martwić – powiedział Axel, kiedy schodzili po schodach. – Odwiedzę ich w czwartek.

– Czwartek może być.

– Zatem czwartek. Madeline do tego czasu zetnie głowę szlachetnemu rycerzowi albo sama polegnie. Myślę, że najpierw pozbawi go przytomności ciosem w szczękę.

– Czekałaś na mnie z kolacją – powiedział sir Jack.

Powinien być sir Johnem, ale wolał mniej formalne imię. Nosił się z taką godnością, jaka przystała człowiekowi z jego pozycją, ale nie był… nie był zarozumialcem. Madeline odczuła dziwną ulgę, dowiedziawszy się, że służba rozpieszcza go na wszelkie sposoby i jest mu niezwykle oddana.

Odczuła także ulgę, że pani Fanning przysłała najpierw bagaż – strzał ostrzegawczy oddany nad dziobem domowej fregaty Teak House. Kiedy dama zjawi się osobiście, pozostawało zagadką.

– Kuchnia czekała z kolacją – odparła Madeline, nie ruszając się ze swojego miejsca przy stole. – Curry łatwo utrzymać w cieple. Na czym stanęło z McArdle’em?

– Jest gotów zostać szczęśliwym właścicielem psa – odparł sir Jack, patrząc na jedzenie ustawione na komodzie. – Czy to także była decyzja służby, żebyś siedziała z mojej prawej strony zamiast cztery jardy dalej?

Madeline przeniosła swoje nakrycie potem, jak lokaj wyszedł z pokoju.

– W tym końcu pokoju jest cieplej, bo masz kominek za plecami.

– Latami patrzyłem, jak rodzice jadali z dala od siebie. Wydawali mi się samotni, zwłaszcza że na ogół dzieliły ich oceany i lądy. Mogę ci podać?

Zwyczajem służby było ustawiać talerze na komodzie – w charakterze bufetu, tak żeby sir Jack mógł sobie nałożyć tak dużo albo tak mało, na ile miał ochotę. To było nietypowe podejście, ale jedzenie nie stygło w naczyniach z pokrywkami i nikt nie musiał czekać w liberii na gospodarza, którego zatrzymał w drodze skradziony węgiel albo zbiegły baran.

– Sama mogę się obsłużyć – powiedziała Madeline, wstając. – Czy często jadasz egzotyczne dania?

Sir Jack uniósł pokrywkę naczynia i w jadalni rozszedł się aromat ziół zbyt licznych, żeby wszystkie wymienić.

– Najpierw dama.

– Co to jest? Nie chcę być niegrzeczna, ale wolałabym nie zmarnować jedzenia tylko dlatego, że moje oczy okażą się bardziej ciekawskie niż żołądek. – A Bogu wiadomo, że mocno przyprawione dania to rzadkość w angielskiej kuchni.

– Głównie kurczak z soczewicą, ziemniakami i sosem, w którym jest kurkuma, curry, szafran… Jeśli nie masz ochoty, nie musisz tego jeść. Curry jada się zwykle z ryżem.

Stał, trzymając srebrną pokrywkę; z naczynia unosiła się para, wzrok miał skupiony. To było pożywienie, które wybrał, jakie wolał, podczas gdy przyprawy były drogie, a w każdym szanującym się klubie dżentelmena podawano rutynowo krwisty befsztyk.

Madeline nałożyła sobie pokaźną porcję na talerz.

– Pod schodami jest się skazanym na jedzenie bez smaku. Monotonia zagraża apetytowi.

Potrzymała pokrywkę i pozwoliła sir Jackowi nałożyć sobie na talerz rodzaj kieszeni z ciasta, którą nazywał *samosa*. Wziął trzy, razem z kopą curry oraz dwoma płaskimi, okrągłymi chlebkami, które pachniały czosnkowo – maślanym niebem.

– Może też spróbuję chleba – powiedziała Madeline.

Sir Jack dołożył jej chleb, miała teraz istną ucztę na talerzu.

– Chleb to *naan*. Kiedy brakuje nakryć, może służyć za talerz.

– A jednak używamy srebrnych szczypiec, żeby przenieść go z koszyka na talerz.

Kiedy wrócili do stołu, sir Jack odsunął krzesło dla Madeline. Nikt jej nie podawał krzesła od czasu jej czternastych urodzin, chyba że jakiś lokaj w pomieszczeniu dla służby, który chciał jej zajrzeć w dekolt. Kurtuazja

wprawiała ją w zmieszanie, ale, podobnie jak egzotyczne dania, sprawiała raczej przyjemność.

– Czy odmawiamy modlitwę? – zapytała Madeline.

Sir Jack zasiadł na swoim miejscu i rozłożył sobie serwetkę na kolanach. Madeline poszła za jego przykładem, zastanawiając się, czy chciał jej przypomnieć o dobrych manierach.

– W tym domu jesteśmy dobrymi anglikanami i cieszymy się, jak diabli, że mamy na talerzach gorące jedzenie w taką chłodną paskudną noc. Odmawiamy modlitwę dziękczynną. Za dary, które spożyjemy, dziękujemy Ci, Panie. Amen. Wystarczy?

– Mogłeś trochę upiększyć – zauważyła Madeline, podczas gdy sir Jack nalał jej wina do kieliszka. – Dla pana Belmonta modlitwa to sposób, żeby udzielać lekcji potomstwu; zwykle dziękuje Bogu, że ze wszystkich przygód jego synowie wychodzili cali i zdrowi. Na coś czekasz?

– Spróbuj wina. Jeśli nie przypadnie ci do gustu, odeślemy je.

To przywołało blade wspomnienie ojca, który praktykował ten sam rytuał z udziałem pierwszego lokaja.

Spróbowała ostrożnie. Owocowy smak zmieszał się z lekką słodyczą na jej języku.

– To jest… Szczerze mówiąc, nie umiem powiedzieć, czy jest dobre, czy nie, ale wydaje mi się bardzo przyjemne dla podniebienia.

Sir Jack napełnił oba kieliszki.

– Nie jestem wielkim koneserem wina, ale Pahdi stara się usilnie prowadzić dom na poziomie dżentelmena. Wino jest zapewne całkiem dobre. Mama da nam znać, jeśli nie będzie i zrobi to z największą chęcią.

Góra kufrów, które przybyły jako zapowiedź wizyty, wskazywała, że jego matka zaszczyci dom sir Jacka, spędzając w nim co najmniej kilkanaście lat.

– Powiedz jej więc, żeby sama zamawiała wina – podpowiedziała Madeline, podnosząc widelec. – Zapewnij, że polegasz na jej rozsądku i

doświadczeniu i podziękuj, że zaprowadzi porządek w piwnicy z winami. Waham się, mówiąc rzeczy oczywiste, ale jesteś dżentelmenem. – Za takiego się przedstawił, kiedy spisywali kontrakt, więc dlaczego w innych kwestiach miałoby być inaczej?

– Lubię dobre lekkie ale – powiedział. – Dżentelmeni się do tego nie przyznają. Mama byłaby zaszokowana. Czy curry ci smakuje?

– Curry jest pyszne.

– Nie jest zbyt ostre?

Posiłek stanowił rodzaj testu. Między jednym a drugim kęsem egzotycznego jedzenia Madeline uświadomiła sobie, że jej gospodarz – chlebodawca – sprawdzał jej reakcje, opinie, decyzje, jakby zdawała ustny egzamin.

– Nie za bardzo ostre – odparła. – Za dużo ognia i wszystkie smaki bledną. To jest doskonałe.

Sir Jack zabrał się do jedzenia, wykazując zdrowy, niepohamowany apetyt.

– Czy rozmieściłaś ziemskie dobra mamy?

– Przydzieliłam pokojówki i lokajów do tego zadania i jeśli pani uzna, że wykonaliśmy je nie tak, jak należy, z uśmiechem umieścimy każdy wachlarz i pantofel tam, gdzie będzie sobie życzyć. Masz dobrą służbę, sir Jack. Dbają o ciebie i o swoją pracę.

Jeden z lokajów stracił słuch, ale nadrabiał ten brak ciężką pracą i wykonywaniem poleceń bez ociągania.

– Podczas gdy McArdle’a obchodzi tylko jego węgiel. – Sir Jack zamilkł, żeby napić się wina. – Czy rodzina McArdle cierpiała biedę pokolenie, czy kilka temu, że nic się dla niego nie liczy poza własną sakiewką?

– Tak dawno temu, to nie wiem. Jestem w tej okolicy, odkąd wstąpiłam na służbę. McArdle zapewne często padał ofiarą kradzieży. Po prostu nie zdawał sobie z tego sprawy. Ma dużą rodzinę i powinien lepiej pilnować interesu, który zapewnia im wszystkim wyżywienie.

Widelec sir Jacka z parującą samosą zawisł w powietrzu.

– Nie miał nawet zamka w furtce otaczającej podwórko. Gdyby moje dzieci marzły, sam mógłbym ulec pokusie, żeby przywłaszczyć sobie parę worków węgla.

– A masz dzieci? – Wielu zamożnych kawalerów miało i wielu je uznawało. Jeśli już nie związki, z których się wzięły.

– Nie mam. A ty?

Sama się o to prosiła.

– Nie, sir.

Ale jak sir Jack radził sobie, jeśli chodzi o damskie towarzystwo? Był atrakcyjny, zamożny i zdrowy. Kolację zjadał z zapałem zdrowego, głodnego mężczyzny, a Madeline po raz pierwszy oceniła go z perspektywy kobiety pozbawionej na co dzień męskiej bliskości.

Umiałby się zachować w łóżku. Może nie był szczególnie romantyczny, ale na pewno obie strony, jeśli tak to ująć, wyszłyby ze zbliżenia usatysfakcjonowane.

– Zjadaj kolację, panno Hennessey. Wiadomo, że ja grasuję w spiżarni późno w nocy i częstuję się zimnym jedzeniem, ale curry najlepiej smakuje na gorąco.

Madeline poszła za jego radą, ponieważ była głodna, ponieważ jedzenie było pyszne i ponieważ ustępując w drobnych sprawach, zyskiwała więcej swobody w poważniejszych.

– Widziałam twoją starszą służbę na niedzielnych mszach – powiedziała Madeline. – Jak sobie z tym radzicie?

Sir Jack skrzyżował nóż i widelec na talerzu, a potem urwał kawałek naan.

– Każę przygotować powóz, służba wkłada najlepsze niedzielne stroje i jadą. Ja wolę mały powozik albo bryczkę vis-à-vis. Ty i mama pojedziecie ze mną, jeśli pogoda dopisze. Jeśli nie, możemy wziąć kryty powóz.

W wyobraźni Madeline nie mieściło się, że jeden człowiek może mieć pięć różnych powozów – albo więcej. Sanie, elegancki powóz, starszy powóz dla służby albo do przewozu rzeczy, spacerowy powozik, bryczkę… Sir Jack miał zapewne również powóz do dalszych podróży oraz faeton, którym jeździł do Londynu.

– Miałam na myśli to, że twój kamerdyner raczej nie urodził się na angielskiej ziemi. Jaką religię wyznaje? Nie chcę być niegrzeczna, ale też nie chcę go obrazić. Kamerdyner jest szefem służby i jeśli zrobię jakiś fałszywy ruch, nie da się tego naprawić.

Kamerdyner był także przystojnym mężczyzną, ciemnookim i szczupłym.

– Pahdi to tolerancyjna, dobra dusza. Wstąpił do Kościoła przed wyjazdem z Indii. Nie sądzę, żebym musiał się interesować spokojem jego duszy, ale jakieś choćby pozory anglikańskiej pobożności ułatwiają przybyszowi z Indii życie w Anglii. Podasz mi masło?

Madeline podała masło, uformowane w kształcie kwiatów lilii.

– Poprosiłam go dzisiaj, żeby mnie oprowadził po domu, ale twierdzi, że ty bardziej się do tego nadajesz.

Sir Jack położył grubą warstwę masła na ciepłym chlebie.

– A ty nie wiesz, bo Pahdi jest uosobieniem nienagannych manier, czy wynikało to z uporu, czy skromności. Pahdi uwielbia tajemniczość. Jutro cię oprowadzę. Byłoby wskazane, gdybyś wysłała wiadomość do Candlewick, do Belmontów, że bezpiecznie przybyłaś na miejsce.

– To zaledwie parę mil stąd.

Sir Jack poklepał ją po ręce.

– Kiedy komuś na nas zależy, uzurpuje sobie przywilej, żeby się o nas martwić. Albo wyślesz wiadomość, albo dawny chlebodawca zjawi się tutaj przed zachodem słońca z parą rękawiczek, które zostawiłaś, albo kilkoma przepisami, albo pod innym uprzejmym pretekstem, chcąc się upewnić, że cię nie zgwałciłem.

Wino było dobre i Madeline wypiła swoje chyba trochę za szybko.

– Może, żeby się upewnić, że ja ciebie nie zgwałciłam, sir.

Sir Jack podsunął jej masło.

– Możesz śmiało próbować. Mama pewnie życzyłaby ci przyjemności przy tak niewdzięcznym zajęciu. Zjadłbym jeszcze jedną samosę.

– Czym zajmowała się panna Hennessey pod moją nieobecność? – zapytał Jack.

Przed odpowiedzią Pahdi pogasił lampy na tylnej ścianie biblioteki. Kamerdyner Jacka cenił niezwykle korzyści płynące z rutyny, porządku oraz zwlekania z przekazaniem pewnych informacji chlebodawcy.

– Panna Hennessey rozpakowała kufry pańskiej matki, tak żeby wszystko było gotowe, kiedy ta szlachetna dama zaszczyci nas swoją obecnością. Panna Hennessey rozpakowała także własny kufer, obejrzała pokoje, które przeznaczyliśmy dla pańskiej szanownej matki, odmówiła podwieczorku i nakazała nam czekać z kolacją, póki pański koń nie pojawi się na podjeździe. Poprosiła także o listę służących z wyszczególnionymi zadaniami, do jakich są przydzieleni, żeby lepiej zapamiętać ich imiona, jak powiedziała, oraz o oprowadzenie jej po domu.

– Dostarcz jej tę listę, a przy okazji sporządź kopię dla mnie. Dlaczego nie oprowadziłeś jej po domu?

I dlaczego Jack zrobił tę głupią uwagę o gwałceniu jej, a potem praktycznie zachęcił, żeby go uwiodła? Uzna go za barbarzyńcę i niewiele się pomyli.

Pahdi opanował nieodgadniony uśmiech na długo, zanim osiągnął pełnoletność, ale Jack nauczył się odczytywać subtelniejsze znaki – napięcie w ramionach, milczenie, które trwało o chwilę za długo, spuszczone powieki, żeby ukryć myśli.

Przybycie panny Hennessey wytrąciło Pahdiego z równowagi.

– Dom należy do ciebie – stwierdził Pahdi. – Do ciebie należy decyzja, które części domu ma zobaczyć, a które nie. Poprosiła o świeże kwiaty do pokojów twojej matki. Wstawiliśmy fiołki i chryzantemy.

– Bratki dla mamy. – Jack oparł buty o róg biurka.

– Matka zbeszta cię za niszczenie mebli, szanowny bohaterze spod Parrakanu.

– Dzięki bóstwom domowego ogniska, że ty nigdy byś sobie na to nie pozwolił. Czy panna Hennessey wzbudziła w tobie niechęć? – Spokój domowy Jacka był iluzją, kolacja jedynie ratowała pozory. Jeśli Pahdi i panna Hennessey wykopią topór wojenny, zima będzie zaiste niezwykle długa.

Chociaż… interesująca.

– Panna Hennessey wydaje się bardzo kompetentną kobietą – oznajmił Pahdi, sprawdzając zegar na kominku według złotego zegarka kieszonkowego. – Ale jest kobietą.

Wspaniałą kobietą – w świetle świec. Niecierpiącą na typową angielską nieśmiałość, jeśli chodzi o podniebienie, nie paplającą niemądrze o pogodzie ani nie oczekującą komplementów.

Nic z tego nie usprawiedliwiało uwagi Jacka, że mogłaby zgwałcić gospodarza.

– Ostatnim razem, jak patrzyłem – powiedział Jack – wszystkie pokojówki w tym domu były kobietami. Kucharka jest kobietą, obie praczki są kobietami, a także, choć sugestia wydaje się może zbyt śmiała, panią Abernathy należy uznać za kobietę. Kwestię jej płci zostawimy na później.

Pani Abernathy, gospodyni, uważała Pahdiego za tylko odrobinę cywilizowanego dzikusa. Zatrudniono ją poprzez agencję, kiedy poprzednia gospodyni odeszła przed rokiem z powodu zaawansowanego wieku i od tamtego czasu Teak House utrzymywało się na krawędzi wojny domowej.

– Pani Abernathy jest dowodem, że w poprzednim życiu byłem plagą siedmiu wsi, tyle cierpień muszę doświadczać w obecnym wcieleniu. –

Pahdi dosypał węgla do kominka, chociaż Jack miał wkrótce pójść się położyć.

– Nie mogę zwolnić pani Abernathy, póki matka nie wróci do Londynu, a ty lepiej nie wspominaj w obecności gospodyni o poprzednim życiu i różnych wcieleniach.

Medeline Hennessey pewnie potraktowałaby jego gadanie tak, jak na to zasługiwało – jak gadanie.

– Odzywam się najmniej, jak to tylko możliwe do pani Abernathy – odparł Pahdi. – Sprawia, że tęsknię za rodzimą dżunglą, gdzie strach budziły tylko tygrysy, kobry i różne choroby.

– Twoja gadanina sprawia, że tęsknię za ciszą i spokojem swojego łóżka – powiedział Jack, podnosząc się. – Pomóż nam przetrwać wizytę matki, a potem zajmę się zwolnieniem pani Abernathy. Nie powiedziałeś mi, jakie masz obiekcje wobec panny Hennessey.

Pahdi umieścił pióra w podstawce, razem z buteleczką inkaustu i ułożył papier do pisania z jednej strony suszki.

– Nie mam zastrzeżeń co do panny Hennessey – odparł Pahdi. – Dogłębnie studiowała Pismo Święte.

A niech to. Jack nie podejrzewał Madeline Hennessey o takie skłonności.

– Czytała Biblię? – Biblia rodzinna leżała na eksponowanym miejscu na stole w bibliotece, chociaż pod dachem Jacka poświęcano jej uwagę głównie podczas odkurzania.

– Nie to, żebym sobie pozwolił krytykować zachowanie kobiety sprowadzonej do tego domu przez twoją czcigodną i znakomitą osobę, ale nie, nie czytała Biblii. Studiowała twoje drzewo genealogiczne.

Raczej wątły krzaczek.

– Więc z pewnością zobaczyła wuja Johna – oby żył długo – i jego tytuł zdobiący gałązkę nad moją. Jeśli zamierzasz mówić zagadkami, idę spać. Nie musisz zarywać nocy, żeby sporządzić dla panny Hennessey listę służby i jej zadań. Musimy wszyscy odpoczywać, póki to możliwe, bo

kiedy matka przyjedzie, nawet pani Abernathy zabraknie czasu, żeby wymyślać, jak nam dokuczyć.

– Oby tak się stało – powiedział Pahdi, kłaniając się z wdziękiem. – Przyjemnych snów, czcigodny panie.

Jack pożegnał Pahdiego, którego styl stawał się tym bardziej kwiecisty, im bardziej kamerdyner czuł się niepewnie. Dla pani Abernathy stosowne były jedynie satyryczne panegiryki, angielskie zimy rozbudzały w nim ironię.

Co do panny Hennessey Pahdi okazał się dziwnie powściągliwy. Jack wolał to uznać za dobry znak – to oraz inny szczegół z rozmowy z kamerdynerem.

Panna Hennessey powiedziała, że to służba trzymała kolację w cieple do powrotu Jacka. Kłamała – podobało mu się, że potrafi być przekonująco nieuczciwa. To ona dopilnowała, żeby na Jacka po powrocie czekał gorący posiłek, jak również chwila odświeżającej, inteligentnej rozmowy; w dodatku wyparła się swojego udziału w tym przedsięwzięciu.

Panna Hennessey o włosach rudych jak płomień, ciętym języku i niezrównanych umiejętnościach w dziedzinie prowadzenia domu, była nieśmiała.

Zima zapowiadała się, doprawdy, interesująco.

Tak czy inaczej, Jack chciał przeprosić za swoje wcześniejsze uwagi, we właściwym miejscu i właściwej porze, o ile takie okoliczności nastąpią.

– Zwracaj się do mnie sir Jack, jeśli już musisz używać tytułu – powiedział Madeline jej tymczasowy chlebodawca. – Byłem zwykłym Jackiem Fanningiem przez ponad dwadzieścia lat. Raczej lubiłem dawnego Jacka, podczas gdy ten sir John Dewey Fanning wydaje się bezużytecznym typem.

Jak na bezużytecznego typa niemal fruwał po domu, który, w ocenie Madeline, był większy od Candlewick o dobre dziesięć pokoi na każdym

piętrze.

– Czym różni się sir John Dewey Fanning od Jacka Fanninga? – zapytała Madeline, kiedy schodzili z poddasza, wymagającego gruntownego odkurzenia i uporządkowania.

– Jack był żołnierzem. Znał swoją powinność i choć może nie wszystkie jej aspekty mu się podobały, wiedział przynajmniej, czego się od niego oczekuje i jak tego dokonać. Sir John Dewey Fanning spędza czas, ścigając zbiegłe barany, roztrząsając domowe kłótnie i przygotowując się na atak matczynego oddania, który potrwa do wiosny.

Dom był piękny. Dębowe meble i elementy umeblowania starannie konserwowano sokiem z cytryny i pszczelim woskiem, najmniejsza drobinka kurzu nie śmiała zbrukać poręczy schodów czy okiennego parapetu, puszyste dywany pyszniły się świeżymi barwami; jednak ten dom nie był kochany. W Candlewick futrynę spiżarni znaczyły ślady ołówka – w ten sposób mierzono wzrost każdego z małych Belmontów w dniu jego urodzin.

Oprawiony list cesarzowej Józefiny do Axela Belmonta na temat hodowli róż wisiał w bibliotece. Późno w nocy pan Belmont grywał na skrzypcach, a muzyka docierała nawet do pomieszczeń służby pod schodami i do sypialni pokojówek na trzecim piętrze.

Tutaj służba nie wiedziała, czego się trzymać, a komody nie zdobił nawet pojedynczy bukiet kwiatów. Nic dziwnego, że matka sir Jacka martwiła się o niego.

– Ciesz się, że masz matkę, która cię może najeżdżać, sir Jack.

Zatrzymał się na półpiętrze, gdzie docierało nieco naturalnego światła.

– Ty nie masz?

Zapytałby Belmontów o jej rodzinę, gdyby Madeline okazała się zbyt skryta.

– Matka umarła, kiedy miałam czternaście lat. Ojciec odesłał mnie do ciotek, a wkrótce potem wstąpiłam na służbę.

Jakiż to był okropny rok. Szkolna edukacja Madeline skończyła się gwałtownie, a edukacja życiowa – i rozczarowanie – zaczęła się zbyt szybko.

– Tęsknisz za nimi – powiedział sir Jack. – Przykro mi. Ledwie znałem swojego ojca. Przebywał w Indiach więcej niż w domu, a matka nie chciała wychowywać dzieci gdzie indziej niż w starej wesołej Anglii. – Ruszył ponownie w dół po schodach szybkim krokiem. – Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, czego mężczyzna może pragnąć bardziej niż towarzystwa własnej rodziny.

– Więc udałeś się do Indii, żeby się naocznie przekonać.

Dotarli na piętro, gdzie spały pokojówki. Żadnych luster międzyokiennych, grubych dywanów czy pięknych komód, ale dach nie przeciekał, szyby w oknach nie były popękane.

Sir Jack się nie uśmiechał.

– Dlaczego tak tu zimno? – zapytał. – Chyba ktoś zostawił otwarte okno.

– Jest zimno, ponieważ pokojówki przebywają na tym piętrze tylko parę godzin potrzebnych na sen – powiedziała Madeline. – Służba wyższej rangi, kamerdyner, gospodyni, pierwszy lokaj, zarządca domu, jeśli masz takowego, mają pokoje na poziomie kuchni, ponieważ jest tam ciepło zimą i chłodno w lecie.

Jak mógł tego nie wiedzieć? Ale był przecież dawnym żołnierzem, który wzbogacił się widocznie w służbie króla. Skąd mógł wiedzieć o niewygodach, jakie znoszą pokojówki?

– Co za głupota – stwierdził sir Jack. – Piechota walczy i maszeruje. Pierwsza powinna dostać żywność i zaopatrzenie.

– Przeniesiesz panią Abernathy na poddasze? – Pani Abernathy za bardzo przywiązała się do swojej pozycji – i to z niewłaściwych powodów. Madeline spotkała już wcześniej podobnych do niej i wolała się trzymać z daleka.

– Chciałbym usunąć panią Abernathy ze swojego domu, ale na razie nie mogę. Umazałaś się… – Sir Jack przesunął kciukiem po szczęce Madeline. W przeciwieństwie do obcesowej mowy i energicznego kroku jego dotyk był delikatny, leniwy, łagodny.

Rany boskie. To wyglądało na pieszczotę; w końcu sir Jack, ku swojej satysfakcji, usunął brud z jej twarzy.

– Nie możesz się tak spoufalać, sir. – Surowe upomnienie zabrzmiało raczej błagalnie. – Spoufalanie się ze służbą może wywołać kłótnie pod schodami. Powinieneś stwarzać wrażenie sprawiedliwego, trzymającego się reguł i traktującego wszystkich jednakowo.

– Pokazywanie się z sadzą na policzku miałoby taki skutek, że uznano by cię za niechlujną, niedbałą i obojętną na dobre imię domu.

Jakże Madeleine pragnęła być obojętną wobec niego. Sir Jack stał niestosownie blisko, wyrazem twarzy prowokując ją do dyskusji.

– Mogłeś mi powiedzieć, żebym użyła chusteczki, wskazać właściwe miejsce na własnej twarzy i trzymać ręce przy sobie.

Oddalał się korytarzem.

– Jesteś podobna do swoich ciotek. Zacięta, z zasadami. Niewiele rzeczy podziwiam bardziej niż odwagę i honor. Zejdźmy schodami dla służby. – Otworzył wyłożone boazerią drzwi, których Madeline w ogóle by nie zauważyła i wszedł, niemal biegiem w mroczną klatkę schodową. Panował tam jeszcze większy chłód niż piętro wyżej i dochodziło mniej światła.

Na następnym półpiętrze sir Jack odsunął zasuwę, ale drzwi nie chciały się otworzyć.

– Co, do diabła – mruknął, szarpiąc zasuwę. – Pani Abernathy usłyszy coś na ten temat. – Hałasował jeszcze mocniej, wydobywając z siebie coraz barwniejsze przekleństwa.

– Pozwól – powiedziała Madeline, wyciągając szpilkę z koka. – Czasami rdza albo kurz mogą uszkodzić mechanizm i trzeba tylko trochę się postarać.

Wsunęła szpilkę w zasuwę, kręcąc nią na wszystkie strony, po czym spróbowała ponownie. Nadaremnie.

– Daj spokój – powiedział sir Jack, biegnąc do góry po dwa stopnie. Madeline podążyła za nim nieco wolniej; ton chlebodawcy zdradzał więcej niepokoju, niżby wynikało z sytuacji. Wyszli z powrotem na piętro pokojówek, gdzie było jaśniej; Madeline zauważyła, że sir Jack pobladł i niemal dyszy.

– Wszystko w porządku, sir?

– Nie, nie w porządku. Nie znoszę ciemnych, zamkniętych przestrzeni. W istocie ich nienawidzę. Jedyne, co męczy mnie bardziej, to brak samotności.

Człowiek, którego Madeline miała przed sobą, nie był przerażony, ale… wytrącony z równowagi.

– Ja też nie lubię tłumów – powiedziała, biorąc go pod ramię. – Poproszę Pahdiego, żeby naoliwił zasuwę albo ją wymienił, jeśli mechanizm się zużył. Czy zastanawiałeś się nad rozrywkami, które mógłbyś matce zapewnić podczas jej wizyty albo świątecznymi dekoracjami na jej cześć?

Teak House był bez skazy, pięknie urządzony, ale bez żadnych świątecznych ozdób. Do wigilii Trzech Króli pozostawał dobry tydzień, a nie było nawet jednej pomarańczy z goździkami, która świadczyłaby o świętach. Żadnych dekoracji we wspólnych pomieszczeniach, żadnej zieleni na ganku…

– Musimy przeżyć święta, panno Hennessey, czy powiesimy wieniec na drzwiach, czy nie.

Schodzili po głównych schodach, trzymając się pod ręce i w związku z tym szli dostojnym krokiem.

– Rozumiem. Czekasz na wskazówki matki, ponieważ ona wie lepiej, jak powinno się toczyć życie towarzyskie w miesiącach zimowych i nie chcesz jej urazić. To mądre z twojej strony, sir Jack.

Kiedy zeszli na sam dół, sir Jack nie zwolnił ramienia Madeline, tylko stał, patrząc na nią z pochmurnym wyrazem twarzy.

– Więziono mnie w celi tak małej, że nie mogłem ani stanąć, ani się położyć. Mówiono mi, że byłem tam kilkanaście miesięcy, ale wtedy nie zdawałem sobie sprawy z upływu czasu. To było lata temu i nieczęsto o tym mówię.

Zapewne nigdy o tym nie mówił. Aż się prosiło, żeby powiedzieć: przykro mi, ale to by mu się nie spodobało.

– Bito mnie niemal codziennie podczas pierwszego roku na służbie. – O tym Madeline też nie wspominała. – Potem pierwsza pani Belmont zorientowała się, co się dzieje i zaproponowała mi pracę w Candlewick.

Sir Jack zaprowadził Madeline do wykwintnej bawialni z ogniem trzaskającym wesoło na kominku.

– Dlaczego ktoś miałby codziennie bić młodą dziewczynę?

Madeline milczała. Doświadczenie życia na służbie dla atrakcyjnej, nieznającej świata dziewczyny było zaiste nieatrakcyjne, chyba że trafiła do domu takiego, jak Candlewick, gdzie ludzki stosunek do służby przyjmowano za punkt honoru.

– Bez względu na powód, nie można tego usprawiedliwić – stwierdził sir Jack. – Nie będę cię wypytywać. Prosiłaś o kwiaty do sypialni mamy, choć widzę, że w jej salonie także znalazł się bukiet. Co sądzisz o bratkach?

– Wesołe kwiaty, sir, i bardziej wytrzymałe od innych.

– Nie musisz się przy mnie silić na wesołość. – Sir Jack odsłonił okno. – Opiekuj się mamą, staraj się załagodzić stosunki wśród służby, mnie zostaw w spokoju, a dobrze cię wynagrodzę. Pada śnieg, niech to diabli.

Jesień ciągnęła się bez końca, z jesienną słotą i mroźnymi porankami, jeszcze zanim nastała kalendarzowa zima. Święta również nie przyniosły zmiany pogody, ale teraz zima postanowiła widocznie nadrobić stracony czas, bo śnieg sypał gęsto z nieba.

– Podoba mi się to, jak śnieg sprawia, że wszystko staje się czyste i świeże – powiedziała Madeline, dołączając do sir Jacka przy oknie. – Zwłaszcza kiedy pada po raz pierwszy.

– Nie spodoba ci się, kiedy Pahdi zacznie marudzić i narzekać z powodu śniegu, chociaż dzięki temu przyjazd mamy może się opóźni.

– A co z tobą? – zapytała Madeline. – Lubisz śnieg, nie znosisz, tęsknisz za wiosną?

Jej pytanie – żeby konwersacja trwała i to o pogodzie, ze wszystkich możliwych, mało ciekawych tematów – wywołało błysk rozbawienia w oczach sir Jacka.

– Belmontowi pewnie nie będzie tak łatwo tu dotrzeć i szpiegować, jeśli śnieg się utrzyma. Mam nadzieję, że napisałaś przekonująco optymistyczny list do niego i jego damy?

– Tak, sir. Czy pójdziemy dalej? Widziałam pokoje twojej matki i jeśli nie doceni tego, co dla niej przygotowano, będzie niemądra.

– Powiedz jej to, dlaczego nie? Lubię patrzeć, jak mama zapomina języka w buzi, choć to zawsze przelotne doznanie. Pozostałe pokoje gościnne są równie przestronne. Mój własny apartament jest za rogiem, dalej korytarzem.

Ruszył do drzwi, Madeline za nim, bo zostało im jeszcze sporo do zwiedzenia w domu. Sir Jack zatrzymał się raptownie przed wyjściem z bawialni, tak że mało na niego nie wpadła.

– To nie w porządku – powiedział. – Nie w porządku, że twój pierwszy rok poza domem okazał się piekłem.

Zostawił draperie rozsunięte w salonie matki, wpuszczając, co prawda, więcej światła, ale powodując także, że w pokoju było chłodno. Madeline nie ruszała ich, tylko otworzyła drzwi i wyszła przed sir Jackiem na korytarz.

– To był tylko rok, przeżyłam, a teraz chciałabym obejrzeć twój apartament. – On także przeżył, chociaż, podobnie jak Madeline, złe

doświadczenia zostawiły na nim ślad.

– Chcesz zobaczyć mój apartament? Zapewniam, że to niepotrzebne. Pahdi osobiście dba o moje pokoje, w sposób bardziej niż wystarczający, żeby zapewnić mi wygodę.

Madeline nie zwalniała kroku, wiedziała, gdzie znajdują się pokoje sir Jacka, wiedziała także, że żadna pokojówka czy lokaj, nawet pani Abernathy, nigdy nie przekroczyli ich progu.

– Czy zdołasz utrzymać matkę z dala od swoich pokojów, sir Jack?

– Jeśli mama ośmieli się zakłócić moją prywatność, to…

– Tak?

– Nie można postawić własnej matki przed sądem wojennym.

– Nie można jej też odesłać do Londynu, kiedy śnieg na drogach.

Przystanęli na skrzyżowaniu korytarzy.

– Mama chce jak najlepiej – powiedział sir Jack. – Ale nie mogę znieść myśli, że mogłaby się wedrzeć do jedynej części domu, którą uważam za swoją.

Wdzieranie się bez zaproszenia w różne miejsca należało do ulubionych zajęć starszych krewnych płci żeńskiej.

– Weź pod uwagę, co może myśleć służba o tym, że tylko Pahdi ma wstęp do twoich pokoi.

– Że lubię prywatność i cenię swoją samotność?

– Że albo utrzymujesz nienaturalne stosunki z własnym kamerdynerem, albo ukrywasz jakieś upiorne tajemnice. – Madeline podejrzewała, że ani jedno, ani drugie nie jest prawdą.

– Nienaturalne, nienaturalne stosunki? Upiorne tajemnice? Panno Hennessey, masz niezwykle bujną wyobraźnię. Gdybym dotknął Pahdiego z jakimś lubieżnym zamysłem, James zamordowałby mnie na miejscu.

James był głuchym lokajem.

– James?

Sir Jack przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze z pozłacaną ramą i przesunął ręką po włosach.

– James. I Pahdi. Są bliskimi przyjaciółmi. I to wszystko, co inni, albo ja, muszą wiedzieć.

Patrzył na Madeline, nie wprost, ale w lustrze. Kolejny test, ale Madeline była daleka od tego, żeby krytykować cudze przyjaźnie. Życie, zwłaszcza życie na służbie, to ogromne wyzwanie.

– Spójrzmy na inne pokoje gościnne.

– Nie sprzymierzysz się z mamą w celu wtargnięcia do moich prywatnych pokoi?

– Każ Pahdiemu zainstalować zamek w drzwiach i dopilnuj, żebyś tylko ty i Pahdi mieli do niego klucze. Pani Abernathy nie ośmieli się wtrącać w tak osobiste sprawy. Jeśli to zrobi, będziesz miał pretekst, żeby ją wyrzucić.

– Zamek. Najpierw pies, teraz zamek. Panno Hennessey, jesteś cudem zdrowego rozsądku. Belmont bez wątpienia przeklina dzień, w którym pozwolił ci opuścić swój dom.

Sir Jack powędrował dalej korytarzem, a Madeline zastanawiała się, dlaczego ma ochotę się uśmiechnąć.

Powiedział jej komplement – szczery i uczciwy i to nie jeden – i wydawało się, że zamierza posłuchać jej sugestii.

Być szanowaną, słuchaną, docenianą… to cudowne. To, że sir Jack nie miał swojej służbie za złe ich przyjaźni, też było cudowne, jednak Madeline przestała się uśmiechać.

W całym domu sir Jack uważał za swoje ledwie kilka pokoi i bał się przybycia członków najbliższej rodziny, co zapewne wskazywało, że jest… samotny.

A samotność mogła być formą niewoli równie zimną, ciasną i straszną, jak więzienna cela.

4

Ta paskudna pogoda to twoja wina, Jeremy Fanning. Gdybyś się tak nie grzebał w Londynie, byliśmy już bezpieczni w Teak House.

Jeremy Fanning uważał się za człowieka pokoju; Fanningowie poszli śladem innych dobrych rodzin, zabezpieczając przyszłość swoich synów. Kiedy jeden syn szedł w kamasze, drugi przywdziewał kościelną sukienkę, jakby od tego zależała kosmiczna i boska równowaga. Jeden syn maszerował na polu bitwy, drugi nawą kościelną w każdą niedzielę. Ten naturalny porządek sprawiał jednak, że bracia nie mieli sobie wiele do powiedzenia przy rzadkich okazjach, kiedy ich drogi się krzyżowały.

– Wybacz, mamo. – Po raz czterdziesty. – Nie panuję nad kaprysami biskupa. Przynajmniej śnieg jest piękny, a my siedzimy bezpiecznie w przestronnej, wygodnej kwaterze.

Śnieg zaczął padać poprzedniego popołudnia, porywisty wiatr targał strumieniami białego puchu i łatwo mógł zepchnąć każdy powóz do rowu.

Modlitwy niekiedy okazywały się skuteczne, choć doświadczenie podpowiadało Jeremy’emu, że nie należy ufać poczuciu humoru Wszechmogącego.

– Nazywasz ją przestronną? – parsknęła mama. – Widziałam szafki na szczotki większe od tego salonu.

Florentia Fanning widziała ostatnio szafkę na szczotki, kiedy schowała się w niej jako dziecko – jeśli w ogóle.

– Właściciel gospody nie żałował węgla ani poczęstunku i za to powinniśmy być wdzięczni – odparł Jeremy, pozwalając opaść zasłonie okiennej. Gospodarz tak nie żałował węgla, że w salonie zrobiło się nie tyle przytulnie, co duszno i dlatego Jeremy stanął przy oknie.

Mama celowała w nieustających narzekaniach. Zbeształa gospodarza za przeciągi w salonie, a teraz skarżyła się na brak wentylacji. Potem mogła zacząć narzekać na przykry zapach albo znów przeciąg. Herbata mogła być za słaba albo za mocna, pościel za zimna albo przegrzana.

Mama była twórcza i niezmordowana w wynajdowaniu i wytykaniu złych stron każdej sytuacji. Nie miała tytułu, ale poślubiła młodszego syna hrabiego i papa dobrze ją zabezpieczył. W związku z tym cieszyła się znaczącą pozycją towarzyską; stała się niczym zrzędliwy, stary wujek, któremu nikt nie śmie wejść w drogę.

– Co to stworzenie tutaj robi? – zapytała, kiedy zza kanapy wyłonił się rudy pręgowany kot. – Jeśli w salonie hulają myszy, nie zapłacę za nocleg.

Jack wysłał Jeremy’emu dość pieniędzy, żeby zapewnić mamie podróż z Londynu z wygodami na miarę królewskiego orszaku.

– Powiedziałbym, że kot wykazuje niezwykle zdrowy rozsądek – stwierdził Jeremy. – Woli nasze towarzystwo od tego, które zapewniłaby mu stajnia.

Kot wyglądał zdrowo, a duża głowa wskazywała, że to samiec. Zwierzak wskoczył na kanapę i powąchał rękaw mamy.

– Bezczelna bestia – powiedziała mama, gładząc grzbiet kota. – Wszędzie zostawi futro. Wyrzuć go, Jeremy.

– To nie mój kot, żebym go brał do domu czy wyrzucał na dwór. Naprawdę chciałabyś wygnać bezradne stworzenie na śnieg?

Kot wszedł mamie na kolana, zwinął się w kłębek wygodnie na spódnicy. Bezradny, rzeczywiście.

– Dlaczego on tak się zachowuje? – Krzywiła się gniewnie, nawet kiedy drapała koci pyszczek. – Kocie, brak ci manier.

Kot ziewnął i oparł pyszczek na łapkach. Może brakowało mu manier, ale nie pewności siebie.

– Potrafi rozpoznać dobrą duszę – zauważył Jeremy i, co dziwne, nie było to tylko pochlebstwo. Kiedy mama przestawała się użalać nad sobą, zwykle była pełna dobrych intencji. Na balach dbała, aby młode pary, które rokowały na przyszłość, tańczyły ze sobą po raz pierwszy. Jeśli młoda dama zyskiwała reputację paskudnej plotkarki, mama przywoływała ją do porządku, zanim ktoś na tym ucierpiał, włącznie z ową damą.

Tylko wobec rodziny mama była tak niestrudzenie krytyczna.

– Kot po prostu lubi bliskość ognia. Spraw, żeby śnieg przestał padać, Jeremy. Jesteś pastorem i powinieneś mieć jakieś wpływy w niebiosach.

– Człowiek nie ma takich wpływów. Wiesz o tym dobrze, mamo.

Kot zaczął mruczeć tak głośno, że słychać go było w drugim końcu pokoju.

– Nigdy nie zostaniesz biskupem, jeśli nie nauczysz się głośniej krzyczeć i nie wyjdziesz z kąta. Jesteś przekonujący, kiedy krzyczysz, jak czegoś chcesz czy kogoś strofujesz. Jesteś, ostatecznie, przedstawicielem samego Boga. Myślisz, że ten kot ma imię?

– Zapytam gospodarza przy najbliższej okazji. Przynieść ci książkę, mamo? – Było jasne, że mama nigdzie się nie wybierze w najbliższej przyszłości. Miała świeżą herbatę i przekąski, przytulny salon prawie dla siebie i pełne uwielbienia stworzenie na kolanach.

– Sądzę, że książka może być. Robótka na drutach przy tym przeklętym stworzeniu w pokoju nie wchodzi w grę. Wskoczy na włóczkę i zniszczy tygodnie pracy.

Kot musiałby się obudzić, żeby skakać.

– Zatem książka, a jeśli masz ochotę, to ci poczytam.

– Coś Wordswortha. Jest na tyle nudny, że święty by przy nim zasnął, niezależnie od mąk, jakim by go poddawano.

Jeremy otworzył drzwi i niemal wpadł na pannę Lucy Anne DeWitt.

– Wielebny! Błagam o wybaczenie. Szłam właśnie, żeby zajrzeć do pani Fanning.

Odważne z jej strony, ale Lucy Anne była wesołą, praktyczną dziewczyną, której nie potrzeba było mówić, co się święci.

I była śliczna – jasnowłosa, niebieskooka, uśmiechnięta.

– Szedłem, żeby przynieść mamie jej Wordswortha. Jeśli zechcesz się do nas przyłączysz, chętnie poczytam wam obu.

Lucy Anne posłała mu promienny uśmiech. Po dwóch dniach siedzenia naprzeciwko niej w dyliżansie Jeremy powinien się uodpornić na ten uśmiech, ale był tak ciepły i szczery, że do głowy przychodziły takie słowa, jak pławić się albo ogrzewać.

– Z największą przyjemnością. – Lucy Anne wsunęła się obok niego do salonu. – Och, kotek! Uwielbiam śliczne koty, prawie tak samo jak kruche, maślane ciasteczka w chłodne popołudnie.

– Jeremy, na miłość boską, zamknij drzwi – parsknęła mama. – Wypuścisz ciepłe powietrze, a kot jeszcze pobiegnie walczyć z żywiołem.

Jeremy zamknął drzwi i zostawił damy – oraz kota – w cieple salonu. Zabrał Wordswortha z apartamentu mamy, najlepszego, jaki gospoda mogła zaoferować i przez minutę cieszył się prywatnością własnego pokoju.

Lucy Anne miała dar oczarowywania mamy; jej czar działał tak zapewne na wszystkich. Mama większość sezonu spędziła, przebierając w pannach na wydaniu i to Lucy Anne przypadł zaszczyt ewentualnego oczarowania – i poślubienia – sir Jacka Fanninga.

Jeremy zaczął schodzić po schodach i zatrzymał się w smudze ostrego, zimowego światła na półpiętrze.

W tym czasie, kiedy poszedł po wiersze, pogoda zmieniła się; burza śniegowa ustąpiła promiennemu słońcu nad boleśnie lśniącym białym krajobrazem. Mama każe zaprząc konie o świcie i los Jacka zostanie przypieczętowany.

Jeremy posłał ku niebu modlitwę za brata – który zniósł dość niewoli na całe życie – i przygotował się na narzekanie, że czyta za wolno, albo za szybko, że coś pominął, albo wybrał niewłaściwie, żeby przeczytać damom.

Lucy Anne przynajmniej zapewniała mamie miłe towarzystwo. Pomimo usilnych modłów o cierpliwość i siłę, Jeremy dawno już cisnąłby mamę w śnieg, gdyby nie dobry humor, którym zarażał go uśmiech dziewczyny.

Panna Madeline Hennessey celowała w sprytnych podstępach.

Jack przygotowywał się na przyjemność spożycia ostatniej dobrej kolacji, zanim mama zamieni każde menu na rosół i befsztyk z ziemniakami, kiedy panna Hennessey poruszyła temat świątecznych dekoracji. Dzień Bożego Narodzenia minął, ale należało ozdobić dom zielenią i jemiołą przed przybyciem mamy. Zwyczajowo, choć z opóźnieniem, należało hol i drzwi frontowe obwiesić sosnowymi gałęziami, żeby mama nie pomyślała, że Jack spędził święta, nie ciesząc się stąpaniem po igłach wbitych w dywan w każdym pokoju.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolona – powiedział Jack, strząsając śnieg z butów. – Przemarzłem od stóp do głów, Pahdi nie odezwie się do mnie przez tydzień, a lokaje są za bardzo skostniali, żeby powiesić przeklęte gałęzie, które ścinali całe rano.

– Niech lokaje napiją się grogu – odparowała panna Hennessey. – Przygotowujemy się na przyjazd gości, a nie na marsz na Moskwę. Chwila oddechu, a lokaje przyniosą drabiny i zaczną urządzać zasadzki na pokojówki.

Madeline odwinęła szary, z jagnięcej wełny szalik z szyi Jacka i potrząsnęła nim, zraszając hol kroplami wody i śniegiem.

– Wydajesz się łagodna i potulna – powiedział Jack, odpinając płaszcz. – Ale jak postawisz jakiś cel, biada rozsądnej głowie, która zaproponuje chwilę namysłu. Mogłaś mnie uprzedzić, że jesteś uparta jak muł, który zakopał się w błocie.

Panna Hennessey ściągnęła Jackowi kapelusz i położyła go na komodzie.

– Twoja matka jest w drodze, sir Jack. Jeśli nie poczuje się mile widziana, każe ci odcierpieć całą zimę ten brak szacunku. Ty może zasługujesz na taki los, ale nie twoja służba.

To także było nieco zwodnicze. Panna Hennessey wydawała się służącą, której dobrze się wiodło w domu szlachetnych i tolerancyjnych chlebodawców. Była, w istocie, dość przebiegła, opanowawszy strategie, których pozazdrościć mógłby jej niejeden generał.

– Służba bierze udział w twoim szaleństwie i jeśli wszyscy dostaną gorączki, ciebie za to obwinią.

Na komodzie leżała wiązka jemioły, na schodach na zewnątrz lokaje zostawili dużo zielonych gałęzi, żeby zrobić z nich dekoracje. Powietrze w holu było w związku z tym chłodniejsze, poza tym pobyt na dworze wywołał rumieńce na policzkach panny Hennessey.

– Kiedy twoi lokaje dostaną gorączki, powiem kucharce, jak przygotować napar, który postawi ich na nogi w ciągu jednego, dwóch dni. Gdzie powiesić tę jemiołę?

Sir Jack rozpiął pelerynę panny Hennessey, żeby w gorączce operacji przygotowań do świątecznej inwazji nie zapomniała, że ma ją na sobie.

– Powieś ją, gdzie ci się podoba, moja pani i nie spodziewaj się, że ja… nie ruszaj się.

Podniosła brodę, żeby mógł rozpiąć pelerynę do końca, a potem odwróciła się, żeby zsunął ją z jej ramion.

– Potrzebujesz nowej peleryny, panno Hennessey. – Jej szalik też był nieco poprzecierany, a ostrożne spojrzenie na buty kazało mu podejrzewać, że nie nadają się, by sprostać wyzwaniu świeżo spadłego śniegu. Stopy mogły jej zmarznąć nawet bardziej niż Jackowi.

Panna Hennessey podała mu rękawiczki, jakby był pierwszym lokajem albo portierem.

– Peleryna to prezent od ciotki Theodosii, która jest prawie taka wysoka jak ja. To była najlepsza, jaką miała, w swoim czasie, a moja jedyna. Wypowiadanie obraźliwych uwag pod jej adresem może być niebezpieczne.

– Chciałem tylko zwrócić uwagę na zwykły fakt. Ty, tam… – Jack podniósł głos, żeby zwrócić uwagę pokojówki przebiegającej za nimi z miotełką do odkurzania w ręce. – Przekaż, proszę, w kuchni, żeby podali grog w pomieszczeniu dla służby i niech podadzą grzane wino dla mnie i panny Hennessey w bibliotece. Chcę także zupę mulligatawny z naan na lunch, który także może być podany w bibliotece.

Gdzie trzaskający ogień ogrzeje stopy panny Hennessey i złagodzi złość Jacka.

Rzucił jej rękawiczki na komodę.

– Ty musisz zdecydować, gdzie powiesić jemiołę i zielone gałęzie – powiedziała panna Hennessey, jakby pouczała tępego ucznia. – Zwykle kamerdyner kieruje lokajami, ale Pahdiemu może brakować znajomości naszej tradycji, żeby zrobić to właściwie.

– Jemiołę wiesza się na belkach pod sufitem – odparł Jack, głównie dla przyjemności dyskutowania z nią. – Pahdi może się tego domyślić.

Panna Hennessey wzięła swoje rękawiczki ze stosu jemioły i włożyła je do kieszeni peleryny, którą Jack powiesił na haku.

– Pahdi pracuje ze służbą, starając się przewidzieć wszelkie potrzeby twojej matki. Czy przywiezie pokojówkę i gdzie ona będzie spać? Czy podróżuje z lokajami i stajennymi, a także woźnicą, czy też wynajętym powozem, który zawróci na podjeździe i zniknie?

– Wzięła pewnie powóz podróżny rozmiarów mniej więcej namiotu księcia – powiedział Jack. Dlaczego nikomu nie przyszło do głowy, żeby zadać mu te pytania wcześniej? – Woli korzystać z gościnności gospodarzy, niż zabierać własnych lokajów, chociaż woźnica i naczelny stajenny są u niej od lat. Co do osobistej pokojówki… możemy wydelegować jedną z naszych dziewcząt do tej funkcji.

Panna Hennessey podeszła bliżej, tak że stanęła niemal twarzą w twarz z Jackiem.

– Którą dziewczynę? Czy któraś ma doświadczenie w takiej pracy? Czy inne pokojówki nie będą zazdrosne? A jeśli twojej matce coś się u niej nie spodoba i inni się o tym dowiedzą? Pani Abernathy powinna przewidzieć te trudności, ale jest zbyt zajęta krytykowaniem pracy lokajów.

– Chodź ze mną – powiedział Jack, biorąc pannę Hennessey za jedną zimną rękę. – Jeśli zgłaszasz bunt, zrób to przynajmniej w intymnym wnętrzu biblioteki.

Intymnym i ciepłym.

Szła dość potulnie – kolejne oszustwo, ponieważ Jack czuł, jak przygotowuje cięte riposty, niczym łucznik ostrzący strzały.

– Teraz złamię wszelkie zasady – oznajmił Jack, kiedy doszli do sanktuarium biblioteki – i zdejmę buty, gdyż inaczej moje palce podkurczą się z zimna na stałe. Tobie radzę to samo.

– Nie zdejmuje się…

Jack usiadł na krześle najbliżej ognia i zrzucił prawy but.

– Widziałem już przedtem damskie stopy, panno Hennessey. W Indiach powszechnie pewne klasy chodzą boso. – Lewy but poszedł za prawym i Jack ustawił oba przed biurkiem.

Panna Hennessey przyglądała im się z pewnym zdumieniem.

– To nie Indie.

– To właśnie sedno problemu. Gdybyśmy byli w Indiach, matka nie planowałaby długotrwałego najazdu na garnizon. Zdejmiesz buty?

Spódnice panny Hennessey zwilgotniały na dole od śniegu, ale przy ogniu powinny szybko wyschnąć.

– Chyba nic się nie stanie.

Jack wsunął kapcie stojące pod biurkiem i zajął się dokładaniem do ognia. W bibliotece utrzymywano przyjemne ciepło o każdej porze, co wymagało wysiłku, również wobec tego, że okien nie zasłaniano.

– Wezmę twoje buty – powiedział, wskazując je palcami, kiedy ściągnęła je z nóg.

– I co z nimi zrobisz? – zapytała panna Hennessey, wstając z kanapy.

– Postawię obok moich, tak żeby gorąco od ognia nie zniszczyło skóry.

Panna Hennessey sama je ustawiła na wskazanym miejscu.

– Co do jemioły.

Przed słowną utarczką uratowało Jacka ciche, potrójne pukanie do drzwi. Do biblioteki wkroczył Pahdi ze srebrną tacą, na której stała waza z zupą, naan, porcelanowy czajniczek i dwie szklanki parującego, grzanego wina.

W powietrzu uniósł się gęsty, pyszny zapach rozmaitych przypraw i dobrego jedzenia.

– Dziękuję, Pahdi – powiedział Jack, biorąc tacę od kamerdynera. – Kiedy lokaje na wpół upiją się grogiem, pokieruję wieszaniem jemioły. Gałęzie wiąże się zwykle w pomieszczeniu dla służby na dole i dzisiaj jest na to dobry dzień. Pokojówki mogą dostać po odrobinie alkoholu, w związku z tym, co nas czeka po południu.

Kiedy przybędzie mama, wszyscy będą się uwijać jak w ukropie przy mniej ciekawych zajęciach.

– Nie chcę okazać braku szacunku dla starych angielskich tradycji – odezwał się Pahdi – ale jako zwykły hinduski służący nie rozumiem, dlaczego trujące krzaki muszą koniecznie być nieodzownym elementem świąt. Przyślę tu Jamesa i Williama, kiedy spożyjecie posiłek, sir. Ich wspaniałe angielskie mózgi z pewnością poradzą sobie z wyzwaniem udekorowania domu gałęziami krzewu, który zwykle można spotkać tylko na zewnątrz.

– Będą potrzebować drabiny – wtrąciła panna Hennessey. – A częścią tej starej angielskiej tradycji jest, że pary, które spotykają się pod jemiołą, całują się dla uczczenia radosnych świąt. Nie powinieneś udzielać reprymendy tym, którzy przestrzegają tradycji, jakkolwiek by to się wydawało dziwne.

– Słyszałem o tej tradycji, ale nie wiedziałem, czy tak godna i znakomita kultura może dopuścić tak frywolne zachowanie.

– Uwierz – powiedziała panna Hennessey. – I unikaj stawania pod jemiołą, jeśli nie chcesz, żeby zaczepiła cię pani Abernathy.

– Panna Hennessey żartuje – uspokoił Pahdiego Jack, widząc jego przerażoną minę. – Raczej. To całowanie to niemądra tradycja, nie bezwzględny nakaz. Idź już, zanim służba pod schodami się zbuntuje.

Pahdi wycofał się, skłoniwszy szybko.

– Od jak dawna jest w Anglii? – zapytała panna Hennessey ze swojego miejsca przy kominku. – Całowanie się pod jemiołą to nie jest jakaś tajemna praktyka.

– Jest ze mną, odkąd wróciłem do domu. Ale moja służba niewiele robiła dla podtrzymania tradycji w ubiegłych latach. Czy pończochy też masz mokre?

Panna Hennessey obróciła się przed kominkiem, jej spódnice otarły się o kratę przed paleniskiem, a z dziurawej pończochy na chwilę wyjrzał goły palec.

Poprawiła spódnice.

– Dżentelmen nie zwróciłby uwagi.

– A dama znosiłaby niepotrzebny dyskomfort z powodu tej udawanej ślepoty. Daj mi pończochy.

– Sir Jacku Fanningu, jeśli choć przez chwilę przypuszczasz, że zdejmę coś z bielizny tylko po to, żeby uniknąć odrobiny wilgoci…

W następnej chwili Jack klęczał przed nią na jednym kolanie, z rękami pod jej spódnicą.

– Nienawidzę zimna, słyszysz? Indie były cudownie gorące. Upalne. Upał był tak gęsty, że oblepiał mózg. Twoje pończochy są przemoczone i nabawisz się odmrożenia, gorączki i zapalenia płuc akurat wtedy, kiedy cię potrzebuję, żebyś trzymała moją matkę…

Rozwiązał podwiązkę i ściągnął jej pończochę z łydki. Podniósł mokrą wełnę niczym zwierzęcą skórkę.

– Teraz druga, panno Hennessey. Zupa stygnie, a twoje stopy się nie ogrzeją, póki mnie nie posłuchasz.

Wzięła od niego mokrą pończochę i powiesiła na parawaniku przed kominkiem.

– Jesteś niemądry. Indyjskie upały wypaliły w tobie dobre maniery.

– Zapewne – zgodził się Jack, rozwiązując następną podwiązkę i ściągając mokrą pończochę z drugiej nogi. Nie zachowywał się frywolnie, ale nie mógł też ignorować faktu, że dotyka kobiety pod spódnicą po raz pierwszy od lat.

I sprawia mu to przyjemność, co okazało się taką ulgą, że nawet nie przeprosił za swoją śmiałość.

– Proszę. – Jack zrzucił kapcie z nóg. – Włóż je, a może zostanie ci oszczędzone zapalenie płuc.

– A co z umartwianiem się? – Panna Hennessey włożyła pantofle, choć były odrobinę za duże. – Są cudownie ciepłe.

– Cieszę się. Zabierzmy się do jedzenia.

Jack omal tego nie zauważył, zajęty wieszaniem drugiej pończochy na parawanie – pierwsza już parowała – ale panna Hennessey uśmiechała się do swoich stóp.

Wyraz jej twarzy wyrażał przyjemność, zmieszanie i pewne zdziwienie i Jack miał ochotę wygłosić jej wykład o pracodawcach, którzy pozwalają swojej służbie chodzić w marnych butach i nędznych okryciach.

Zamiast tego podał jej gorącą, aromatyczną zupę i świeży naan z masłem, następnie sam nałożył sobie pokaźną porcję. Wino było także gorące i pachnące przyprawami; w sumie posiłek okazał się jednym z najbardziej satysfakcjonujących, odkąd opuścił Indie.

– Co do jemioły – odezwała się panna Hennessey, kiedy opróżniła talerz.

– Powieście je… niech diabli wezmą jemiołę. Co za różnica, gdzie to powiesicie? I dlaczego Pahdi nie przysłał więcej wina?

Panna Hennessey pociągnęła maleńki łyczek.

– Należy ją powiesić w miejscach, gdzie bywa służba, w odosobnionych, ale nie niebezpiecznie odosobnionych, miejscach oraz, oczywiście, w holu.

– Może wino mnie otumaniło, ale co to znaczy: niebezpiecznie odosobnionych?

Zerknęła na niego nad szklanką. Takie miała sposoby na milczenie.

– Panno Hennessey, jeśli któryś z moich służących pozwala sobie na zachowania, na które nie ma zgody drugiej strony, zostaje zwolniony bez referencji.

– Ta zgoda podlega tysiącu interpretacji, sir Jack, a interpretacji dokonuje lokaj, który chce mnie pocałować. Pani Abernathy nie należy do takich, które wzbudzają pewność siebie u kobiet, które dla niej pracują.

Pannę Hennessey bito codziennie przez pierwszy rok służby za to zapewne, że nie wyrażała zgody na pocałunki, a może na coś więcej. Kogoś należało wychłostać za to publicznie, zapewne jej pierwszego chlebodawcę. Czy Belmont wiedział, jakie przeżyła piekło, zanim trafiła do jego domu?

– Zgadzam się z tobą. – Przyjmowanie jej punktu widzenia stawało się nawykiem. Panna Hennessey była niezwykle rozsądna, a wkładając ulubione domowe pantofle Jacka, stała się także w pewnym stopniu godna uwielbienia.

Może jednak nie potrzebował więcej niż szklanki wina.

– Zakończmy męki lokajów, dobrze? – powiedział Jack, wyciągając do niej rękę. Przyjęła ją – miała teraz ciepłe palce – i wstała, jakby po winie bała się o zachowanie równowagi.

– Dziękuję, sir Jack.

Nie puszczał jej ręki, a to, co zrobił po chwili, wynikało z czystego instynktu. Panna Hennessey stała na tyle blisko, że poczuł zapach lawendy poprzez zapach ognia i suszących się przed kominkiem wilgotnych

wełnianych pończoch. Bez butów nie była też taka posągowa czy onieśmielająca.

Może to skłoniło Jacka, żeby się schylić i ją pocałować. Nie w policzek, co byłoby najlepszym sposobem okazania żywej sympatii, jaką w nim budziła, ale prosto w jej pełne, rzadko uśmiechające się usta.

Jej ręce spoczywały lekko na jego bicepsach i tak stali, nie ruszając się, z ustami na ustach, aż panna Hennessey mocniej ścisnęła jego rękawy i podeszła bliżej.

Jakiekolwiek były intencje Jacka – świąteczny gest, odruch uczucia czy nawet flirt – nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego przyciągnął ją mocniej i pozwolił, żeby pocałunek się pogłębił. Wtedy, gdy panna Hennessey powinna go spoliczkować, otoczyła jego szyję ramionami i wtuliła w niego swoje bujne kształty.

Gwałtowny przypływ pożądania groził Jackowi porzuceniem wszelkiej samokontroli. Zapomniał, jak intensywne potrafią być tego typu doznania, a może jego ciało chciało nadrobić lata erotycznej abstynencji w najgorszym możliwym czasie.

Pragnął tej kobiety, a w żaden sposób nie mógł sobie na to pozwolić.

Panna Hennessey otrząsnęła się pierwsza, kładąc czoło na ramieniu Jacka. Była najwyższą kobietą, jaką pocałował i ich ciała cudownie do siebie pasowały.

Zupełnie nie przypominała Saras, tak drobnej, że Jack błędnie uznał ją za delikatną.

– Przepraszam – powiedział Jack, choć najwyraźniej nie czuł się na tyle winny, żeby damę wypuścić z ramion.

– Za to, że mnie pocałowałeś?

Jasne, że zada to pytanie i oczywiste, że wyczuje najmniejszy fałsz.

– Za to, że cię pocałowałem bez pozwolenia. Jesteś pod moją opieką i jestem ostatnim mężczyzną, który powinien ci się narzucać.

Belmont zabiłby Jacka, jeśli rzeczywiście by się jej narzucał.

Panna Hennessey cofnęła się i wypiła resztę wina, choć nie mogło już być gorące.

– Nie potrafiłbyś narzucać się kobiecie, choćby twoje życie od tego zależało. Czy odeślesz mnie teraz do Belmontów?

Pewnie powinien. To, jak zareagował na jej bliskość, zaskoczyło go. Jego narządy rozrodcze nie przekazały żadnych sygnałów ostrzegawczych do myślącego mózgu i nie miał wyjaśnienia dla tego raczej nielicującego z godnością dżentelmena zachowania.

– Chcesz wrócić do domu Belmontów? Nie mógłbym cię za to winić.

Ale… tęskniłby za nią. W ciągu paru krótkich dni panna Hennessey otworzyła mu oczy na takie aspekty zarządzania dużym domem, których przedtem zupełnie nie zauważał. I całowała… umiała całować, wiedziała, jak trzymać mężczyznę, jak przekazywać ciałem, że jego dotyk sprawia jej przyjemność.

– Chcesz, żebym odeszła? – odparła, zdejmując pończochy z parawanu.

Jack wahał się potwierdzić – jak nakazywał rozsądek – jednak przyznanie, że nie chce jej odejścia, wydawało się ryzykowną alternatywą.

Rozległo się charakterystyczne, potrójne pukanie Pahdiego do drzwi.

– Wejść! – wrzasnął Jack.

– Proszę o wybaczenie, sir Jack, panno Hennessey, ale duży powóz właśnie wjechał na podjazd. Sądziłem, że chcielibyście państwo o tym wiedzieć.

– Na stanowiska bojowe, Pahdi – powiedział Jack, siadając przy biurku, żeby wciągnąć buty. – Uprzedź panią Abernathy, że ją przedstawię mamie i zabierz tę kupę jemioły z komody w głównym holu. Dopilnuj, żeby ogień trzaskał w pokojach mamy i przygotuj tacę z ciasteczkami maślanymi i herbatnikami na najlepszej porcelanie i bez czegokolwiek, co by smakowało cytryną. Mama nie znosi cytryn.

– Niech ktoś zabierze te naczynia – dodała panna Hennessey – a naczelnego lokaja także należy przedstawić pani Fanning razem z tobą,

panią Abernathy i kucharką. Pokojówki muszą mieć czyste fartuchy i czepki, a lokaje najlepsze rękawiczki.

Pahdi skłonił się i niemal wypadł z pokoju.

– Twoje pantofle – powiedziała panna Hennessey, opierając się o biurko, żeby ściągnąć buty Jacka.

– Zatrzymaj je. A w odpowiedzi na twoje pytanie, nie pozwolę ci teraz opuścić domu, nawet gdyby Belmont przyczołgał się tutaj po śniegu, błagając, żebyś wróciła do Candlewick. Zaczęła się inwazja.

Żeby to podkreślić, a może pokazać całkowitą utratę zdrowego rozsądku, pocałował ją znowu – w usta.

– Dosyć tego, kiedy twoja matka niemal stoi u drzwi – powiedziała panna Hennessey. – Później dokończymy tę dyskusję.

Jack postawił na taktyczny odwrót zamiast ustalania szczegółów z panną Hennessey, ponieważ później mogło oznaczać wiosnę, lato albo kolejne święta. Uzgodnili przynajmniej, że na razie zostanie pod jego dachem, a to już odczuwał jako zwycięstwo.

Rudowłosą służącą o wydatnym biuście całowano, obmacywano, przekomarzano się z nią i flirtowano, póki nie nauczyła się radzić sobie z mężczyznami, którzy się jej narzucali. Nauczyła się podstawowych rzeczy do czasu, gdy skończyła szesnaście lat.

Ubierać się jak biedna zakonnica, co nie było trudne. Nigdy nie patrzyć mężczyznom w oczy, zwłaszcza gdy się złościła – a Madeline często czuła gniew. Udawać głupotę i zachowywać bystre spojrzenie. Nigdy nie mylić męskiego pożądania z szacunkiem, nie zważać na słodkie słówka i żarliwe obietnice.

Do czasu, gdy skończyła siedemnaście lat, pozwoliła sobie parę razy na pewną swobodę – na jej warunkach albo wcale – ale próbka męskich wdzięków utwierdziła ją w przekonaniu, że nic, co mężczyzna może jej

ofiarować, nie równa się z bezpieczeństwem pozycji w takim domu jak Candlewick.

Jack Fanning nie naraziłby jej pozycji, ale w dużym stopniu odebrał jej rozum.

Wkładając najlepsze domowe pantofle, podczas gdy wielki powóz toczył się z chrzęstem zaśnieżonym podjazdem, Madeline usiłowała znaleźć sens w pocałunku sir Jacka.

Pocałunku, objęciach, śmiałości przy zdejmowaniu jej pończoch i własnej zgodzie na to wszystko.

– Nie tylko zgodzie – przyznała Madeline wobec całego pokoju – ale i udziale. Aktywnym udziale wynikłym z lubieżnych skłonności i zwykłej samotności.

Była samotna całe dorosłe życie, nic w tym nowego. Rzecz w tym, że sir Jack też był samotny i ją pociągał.

Cieszył się szacunkiem sąsiadów i służby, choć nie starał się szczególnie, żeby go lubiano. Był niezależny i we własny burkliwy i pozbawiony wdzięku sposób umiał zauważyć to, co się istotnie liczyło.

Madeline sprawdziła, jak wygląda w stojącym lustrze i zobaczyła kobietę, której nie dałoby się pomylić z biedną zakonnicą. W darowanym przez Abigail Belmont stroju stała oto przed lustrem pełna nadziei, szczęśliwa dziewczyna, jakiej Madeline nie spodziewała się już nigdy ujrzeć.

Nie tylko rudzielec o wydatnym biuście, ale kobieta z iskrą w oczach – kobieta, którą całowano, nie używając wobec niej przemocy. Miała na sobie ametystową suknię z błękitnym wykończeniem; Abigail dała jej także szal w pawich barwach, żeby pasował do wykończenia sukni.

Madeline zarzuciła szal na ramiona, uznała, że nie potrzebuje czepka i wyszła z pokoju nie bardziej uspokojona, niż do niego wchodziła.

To była druga strona medalu. Była wytrącona z równowagi i nie wątpiła, że sir Jack czuje się tak samo. Nie planował tego pocałunku, nie odsunął się

z satysfakcją w oczach i zarozumiałym uśmieszkiem, poprawiając spodnie.

Był równie zaskoczony jak Madeline, a czekała ich długa zima.

– Proszę zejść do biblioteki, panienko – powiedział Pahdi, kiedy spotkała go na szczycie schodów. – Sir Jack chciałby cię przedstawić swojej czcigodnej, wspaniałej, niezwykle łaskawej matce.

– Jeden przymiotnik wystarczy, Pahdi. Nie chcesz chyba, żeby myślano, że czujesz się niepewnie na swoim stanowisku.

Pahdi uniósł ciemne brwi.

– Celna uwaga, panno Hennessey.

– Pani Fanning będzie ci wydawać sto poleceń na minutę, chcąc sprowokować cię do reakcji – ciągnęła Madeline, kiedy schodzili po schodach wolniejszym krokiem, niż Pahdi zapewne by sobie życzył. – Przyjmij to jak rodzaj gry. Im bardziej tobą pomiata, tym większą okazuj uprzejmość i gotowość do spełniania jej życzeń.

Powtórzył bezdźwięcznie gotowość.

– Czy byłaś w Indiach, panno Hennessey?

– Nie, ale słyszałam, że są piękne i fascynujące, choć stanowią wyzwanie dla przeciętnego Anglika. Kiedy wniesiesz tacę z herbatą, nie pozwól sir Jackowi jej sobie zabrać. Poczekaj, aż ci powie, gdzie masz ją postawić.

– Oczywiście, sir Jack zapomina.

– Oni wszyscy zapominają, a potem mają pretensje o własne potknięcia. Albo, co gorsza, nie robią uwag, a my żałujemy, że nie, bo moglibyśmy hodować swoje żale.

Oczy Pahdiego zaczęły tańczyć, choć jego zachowanie było tak spokojne jak staw w majątku pana Belmonta w bezchmurny dzień.

– Indie nie stanowiłyby dla ciebie wyzwania, panno Hennessey, pod warunkiem że uważałabyś na palące słońce.

Zastukał w drzwi biblioteki.

– Jak wyglądam? – zapytała Madeline, ponieważ Pahdi był jedyną osobą, którą mogła o to zapytać.

– Ślicznie, ale nie za ślicznie – odparł Pahdi, mrugnąwszy. – Matka uzna cię za ładną, a panna DeWitt zechce się z tobą zaprzyjaźnić.

Otworzył drzwi, zanim Madeline zdążyła zapytać: Kto to jest panna DeWitt?

Jack wiedział z doświadczenia, że tubylcy wolą stosować taktykę zasadzek, kiedy armia brytyjska ma nad nimi przewagę ogniową. Siły zbrojne Jego Królewskiej Mości były zbyt odważne, aby stosować tak tchórzliwą taktykę i ta odwaga – albo błędy oficerów – często kosztowała żołnierzy Jego Królewskiej Mości wczesny grób.

Matka miała instynkt maharadży broniącego zagrożonego tronu, stąd zastawianie pułapek na najstarszego syna.

– Mogłeś mnie ostrzec – szepnął Jack do brata, kiedy panna Hennessey wślizgnęła się do biblioteki.

– Mama nie pisnęła słowa, że panna DeWitt się do nas przyłącza – odparł Jeremy. – Wszedłem do powozu i zastałem dwie damy, zamiast jednej, na frontowej ławce. Kto to jest?

Tak, kto to był? Zniknął feldmarszałek kierujący akcją zbierania jemioły, a na jego miejscu pojawiła się skromna, nieśmiało uśmiechnięta młoda dama, której równie dobrze było w kolorze lawendowym, jak i niebieskim.

– Mamo, panno DeWitt, pozwólcie, że przedstawię pannę Madeline Hennessey, która zechciała zasilić grono domowników, żeby zapewnić wam, miłe panie, trochę przyjemnego damskiego towarzystwa podczas długiej, nużącej zimy w Oksfordshire. Panno Hennesey, moja sznowna matka, Florentia Fanning i panna Lucy Anne DeWitt z rodziny DeWitt z Dorset.

Panna Hennessey ukłoniła się w sposób interesujący. Nie było w tym ukłonie strachliwego respektu pokojówki, która po raz pierwszy styka się z chlebodawcą. Dygnęła wdzięcznie najpierw przed mamą, potem przed panną DeWitt, której uśmiech gdzieś się najwyraźniej zapodział.

– To przyjemność poznać panie – oznajmiła panna Hennessey. – Czy mogę zapytać o podróż? Pogoda nagle przestała dopisywać, nieprawdaż?

– Poradziliśmy sobie – odparła panna DeWitt. – Wielebny Jeremy znalazł nam najwspanialszą z gospód, a powóz pani Fanning jest cudownie wygodny.

Jeremy odchrząknął, co u proboszcza stanowiło zapewne ekwiwalent braterskiego dźgnięcia łokciem w bok. Jack stłumił niechęć do przedstawienia panny Hennessey bratu, która wynikała jedynie z absurdalnej myśli, że się sobie spodobają.

I będą piękną parą.

Jeremy był prawie taki wysoki jak Jack – zgrabnie wysoki, w wypadku Jeremy'ego, niekłopotliwie wysoki – i kolor jego włosów wpadał bardziej w kasztanowy, podczas gdy jasne włosy Jacka były bliżej nieokreślonej barwy. Poza tym Jeremy był od Jacka dziewięć lat młodszy i nigdy nie doświadczył tropikalnego słońca i wiatru, podobnie jak tortur, niewoli i wojskowych racji żywnościowych.

– Panno Hennessey – powiedział Jeremy, schylając się nad jej ręką. – To miło z twojej strony, że zechciałaś się do nas przyłączyć. Z pewnością będzie nam się przynajmniej świetnie grało we czwórkę w wista.

Ta czwórka, jak się wydawało, nie obejmowała Jacka.

– Panno Hennessey, może pani nalać herbaty – powiedziała mama, siadając w fotelu najbliższym kominka, podczas gdy Pahdi wkroczył do biblioteki z kolejną ogromną srebrną tacą.

– Z przyjemnością, proszę pani – odparła panna Hennessey i to był błąd.

Nie wyrażało się łaskawej zgody na polecenia mamy. Wykonywało się je w pełnym uniżenia milczeniu. Panna DeWitt zajęła miejsce między Jackiem a Jeremym na kanapie, panna Hennessey usiadła z boku, na fotelu, dość blisko kominka.

Kiedy Jack chciał się podnieść, żeby wziąć tacę od Pahdiego, kamerdyner rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Panna Hennessey będzie pełnić honory domu – powiedział Jack, wskazując niski stoliczek. – Dziękuję, Pahdi.

Porcelana nawet nie brzęknęła, kiedy Pahdi postawił tacę przed panną Hennessey.

Boże, miej ją w swojej opiece, jeśli nie potrafiłaby sobie poradzić w tej sytuacji.

Panna Hennessey podniosła wieko czajniczka, sprawdziła, na ile herbata naciągnęła i nalała pierwszą filiżankę mamie – z odrobiną cukru i kroplą mleka – potem gładko podała herbatę pozostałym, rzucając parę miłych, niezobowiązujących słów.

Kiedy przyszła kolej Jacka, dopilnował, niczym zadurzony nastolatek, żeby ich palce się musnęły. Panna Hennessey przygotowała filiżankę dla siebie na końcu, w taki sposób jak dla mamy – z odrobiną i kroplą – ale eleganckim wyglądem znacznie mamę przewyższała.

Florentia Fanning nie była młodą kobietą i choć Jack odbył swoją obowiązkową wizytę w Londynie na wiosnę, postarzała się nawet w ciągu tych paru miesięcy, kiedy ją ostatnio widział. Była blondynką, więc kolor jej włosów ulegał subtelnej zmianie, ale linie po obu stronach ust się pogłębiły a cera nabrała niemal ziemistej barwy. Jack usiłował dojść do ładu z własnymi uczuciami w obliczu tych zmian i odnalazł w sobie tylko mgliste życzenie, żeby w późnych latach życia matka znalazła zadowolenie.

– Czy masz samodzielne probostwo, wielebny Jeremy? – zapytała panna Hennessey.

– Chwilowo nie, ale biskup zapewnia, że znajdzie mi probostwo. Na razie jestem zatrudniony u niego, a o ile wiem, jest to niezbędny krok, jeśli chce się awansować w łonie Kościoła.

– Absolutnie niezbędny – stwierdziła mama ze stanowczością nieco dziwną u kogoś, kto nie ma pojęcia o polityce Kościoła. – I podczas gdy Jack upiera się, żeby przez okrągły rok siedzieć na wsi, dobrze, że ty, Jeremy, jesteś w Londynie.

Jack wyprawił się do Indii, kiedy Jeremy był dzieckiem i dlatego nie znał brata zbyt dobrze. Przypuszczał jednak, że jego powołanie jest szczere i deptanie jakiemuś biskupowi po piętach niezupełnie się z nim zgadzało.

– Cieszę się, że Jeremy jest w Londynie – odezwała się panna DeWitt. – Inaczej nie mógłby nas tutaj eskortować, prawda? – Jej uśmiech różnił się od uśmiechu panny Hennessey, był zarazem wyrazistszy i weselszy.

– Cieszę się, że mogłem przyjechać – powiedział Jeremy – z wielu powodów.

– Pani Fanning, czy miałaby pani ochotę na więcej herbaty – zapytała panna Hennessey, kiedy uśmiechy stały się oślepiające.

– Nie, dziękuję. Jack, kiedy odeślesz tego dzikiego chłopca tam, skąd przybył?

Mama wzmocniła się herbatą i widocznie uznała, że uprzejmościom stało się zadość.

– Pahdi świetnie się sprawdza w roli kamerdynera – powiedział Jack łagodnym głosem, żeby nie dać mamie satysfakcji, że udało jej się utoczyć krwi. – Jestem zadowolony z jego usług i brakowałoby mi go, gdyby opuścił Teak House. – Gdyby opuścił Jacka, choć w drodze z Indii o mało nie wyrzucił Pahdiego za burtę.

Życzeniem umierającej Saras było, żeby Pahdi odprowadził Jacka bezpiecznie do Anglii. Pahdi prędzej popłynąłby wpław za statkiem, niż zlekceważył rozkaz siostry.

– Znajdę ci innego kamerdynera, który nie będzie przypominać jednego z tych hinduskich morderców – powiedziała mama. – Nie musisz się tym martwić. Kiedy święta się skończą, odeślesz go z referencjami i odrobiną grosza. Tak to się załatwia, a reszta służby tylko ci podziękuje. Z pewnością nie podoba im się przyjmowanie poleceń od tego stworzenia o imieniu Patty.

Pozostali uśmiechnęli się porozumiewawczo. Jack odstawił filiżankę raczej gwałtownie.

– To nie jest tak, jak pani sądzi, pani Fanning – powiedziała panna Hennessey. – Na pewno nie nalać więcej herbaty?

– Oczywiście, że jestem pewna i nigdy się nie mylę.

– Pahdi nie jest typowym angielskim kamerdynerem – ciągnęła panna Hennessey. – Stanowi rodzaj zagadki dla reszty służby, choć co tydzień są na mszy w jego towarzystwie i chętnie słuchają jego poleceń. Nie jest zwyczajny, a wie pani, jaka jest służba: czerpie dumę ze swoich domów, a egzotyczny kamerdyner wyróżnia Teak House. Sir Jack ma sąsiada, którego służba chwali się, na przykład, różami gospodarza. Panno DeWitt, jeszcze herbaty?

– Pół filiżanki, jeśli można.

Wyraz twarzy mamy zdradzał w równym stopniu zdumienie, oburzenie i zmieszanie.

Mistrzyni zasadzek sama wpadła w pułapkę i Jack miał ochotę śmiać się i machać rękami jak niegrzeczny chłopiec. Jeremy studiował swoją filiżankę, a panna DeWitt zastanawiała się nad wyborem między herbatnikiem a ciasteczkiem maślanym.

– Powiadasz, że chodzi na msze? – wykrztusiła mama.

– Co tydzień, nieodmiennie – odparła panna Hennessey. – Sir Jack prowadzi dom o dobrych zasadach moralnych, a niedziela to często jedyny dzień, kiedy służba może spotkać się ze służącymi z innych majątków. Nie sądzi pani, że morale służby zyskuje na niedzielnych wyjściach, o ile pogoda pozwala na wyjście z domu?

Zręcznie powiedziane. Mama nie mogła się oprzeć przedstawieniu własnej opinii, niezależnie od tego, jak niewiele wiedziała na ten temat. Zaczęła paplać o konieczności dawania przykładu, reputacji i uchybieniach wobec dobrych manier, podczas gdy sędzia pokoju w Jacku zastanawiał się nad nurtującą go zagadką.

Kim była Madeline Hennessey, która spędziła dziesięć lat na służbie i tak świetnie potrafiła wystąpić w roli pani dworu? Prawda, obserwowała z

bliska Abigail Belmont, ale Abigail Belmont pochodziła z zamożnej kupieckiej rodziny, nie ze szlachty, a Candlewick nie było domem z pretensjami.

Panna Hennessey prezydowała przy podwieczorku, zdołała zapobiec zwykłemu wybuchowi złego humoru mamy i pochlebiła kobiecie, która uwielbiała rządzić wszystkim w najbliższym otoczeniu; przy tym wszystkim panna Hennessey sprawiała wrażenie, że jedynie popija herbatę i podaje ciasteczka.

Kim była Madeline Hennessey? Kim jest naprawdę? I kiedy Jack będzie mógł ją znowu pocałować?

5

*D*zisiaj masz swoją połowę dnia wolnego – powiedział Jack, kiedy Madeline usiadła do śniadania.

Madeline uważała zwyczaj jadania z rodziną za uciążliwy. Pokojówka nie musiała przerywać pracy w połowie, przebierać się, poprawiać fryzury i brać udziału w posiłku, który trwał o wiele za długo jak na towarzyskie spotkanie. Jadała posiłki – jeśli w ogóle jadła w ciągu dnia – kiedy praca jej na to pozwalała, bez konieczności prowadzenia grzecznej konwersacji i rodzinnych sprzeczek.

– Dzisiaj normalnie miałabym pół dnia wychodnego – odparła Madeline, siadając po prawej ręce Jacka. Nikt poza nimi jeszcze nie zszedł na dół i zapewne nie zamierzał ruszać się z łóżka przez najbliższą godzinę czy dwie, sądząc po dniu wczorajszym.

– Nie widzę powodu, żeby odejść od tego zwyczaju – powiedział sir Jack, nalewając jej herbaty. – Belmont poskarżyłby się w twoim imieniu, gdyby tylko zwietrzył, że nie dotrzymuję warunków kontraktu.

Herbata smakowała jak ambrozja. Sir Jack w Azji stał się jej prawdziwym koneserem.

– Jestem w twoim domu krócej niż tydzień – powiedziała Madeline, dodając cukier, więcej luksusu, i mleko do herbaty. – Jeszcze nie ustaliliśmy żadnych zwyczajów, a ponieważ ziemię pokrywa warstwa śniegu na stopę, nie mogę wykorzystać wychodnego.

Mogła pójść do ciotki Hattie, której gospodarstwo znajdowało się bliżej, ale to byłyby trzy mile marszu w lodowatym zimnie w obie strony i jej buty po prostu się do tego nie nadawały. Ponadto w tym tygodniu przypadała raczej kolej Theodosii na odwiedziny – trochę ponad sześć mil w obie strony – i zakłócenie tego porządku nie obyłoby się bez konsekwencji.

– Cóż, ja mogę wykorzystać twoje pół dnia – oznajmił sir Jack, napełniając własną filiżankę. – Przyjmij, proszę, moje zaproszenie, żeby zabrać cię z wizytą do ciotek albo do Candlewick, albo gdziekolwiek sobie życzysz, gdzie moja matka nie dosięgnie mnie z krytycznymi uwagami na każdy temat: mojego krawata, lokajów, sposobu, w jaki układam pogrzebaczem drwa w kominku.

Pani Fanning, z siłą naturalnego żywiołu, była zdecydowana nagiąć synów do własnych wyobrażeń tak, żeby stali się wzorami męskości w jej pojęciu.

– Matka prawi ci także komplementy.

– Nie, nieprawda. Chwali moje rysy, jak prowadzący giełdę u Tatta, który chce skłonić kupujących do licytowania wątpliwej wartości okazu. Nie mam dużego nosa, jestem mocnej budowy. Nie jestem marnym rozmówcą, nie ujawniam chętnie swoich zamiarów. W oczach mamy stłumić parę drobnych rebelii tubylców to tak, jakby w pojedynkę ocalić królestwo. Wysiłki mamy na pewno sprawiły, że panna DeWitt ma na mój temat dużo gorszą opinię. Podaj mi, proszę, masło.

– Zastanawiasz się nad panną DeWitt jako ewentualną przyszłą panią tego domu? – Madeline nic do tego, ale panna DeWitt była śliczna.

Sir Jack wyprostował się na krześle, nóż do masła w jego dłoni zalśnił srebrzyście w porannym słońcu.

– Och, oczywiście. Mama naraja mi potencjalne żony, odkąd wróciłem do domu. Jednak pierwszy raz nakłoniła podstępnie młodą damę, żeby gościła w moim domu. Panna DeWitt jest połowę ode mnie młodsza i wszystko, czego pragnie, to przyzwoity mężczyzna z dziesięcioma

tysiącami funtów rocznie, z przeznaczeniem na jej rozpieszczanie. Gdzie jest dżem?

Madeline wyjęła dżem z komody i postawiła obok gospodarza.

– Jesteś przyzwoitym człowiekiem, spełniającym te wymagania.

Podejście sir Jacka do rozpieszczania nie mieściło się w konwencjach – obejmowało między innymi pożyczenie Madeline swoich domowych pantofli – jeszcze ich nie zwróciła – i jeśli wierzyć plotkom, był wart znacznie więcej niż dziesięć tysięcy funtów rocznie.

– Nie jestem przyzwoitym człowiekiem, panno Hennessey. Nie miej co do mnie złudzeń. Zjedz jajka albo ci wystygną.

Nie tyle jajka, co puszysty, serowy omlet podany ze złocistym, posmarowanym masłem tostem.

– Możesz się śpieszyć, żeby uniknąć śniadania z matką, ale moje zadanie polega na razie na tym, żeby zapewnić jej i pannie DeWitt towarzystwo. Może wybierzecie się z wielebnym, na przykład, na polowanie?

Pan Belmont nie był zapalonym myśliwym, choć czasem polował z psami. Chętniej wędrował po lesie czy polach w poszukiwaniu jakichś botanicznych okazów. Wracał po paru godzinach w świetnym humorze, w ubłoconych butach, z torbą pełną roślin i z pustym żołądkiem.

Z kolei sir Jacka, jak się wydaje, z domowych pieleszy wyrywały od czasu do czasu obowiązki sędziego pokoju. Oraz wieczory zawodów w rzutki.

– Nie biorę udziału w krwawych sportach – stwierdził sir Jack. – Gdyby mama została w Londynie, gdzie jej miejsce, nie widziałabyś także na stole tyle wołowiny. Kiedy możesz być gotowa do wyjścia?

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że włóczenie się po wsi z sir Jackiem to nie jest dobry pomysł. Nie szukał okazji, żeby znowu pocałować Madeline, ale spędzała bezsenne noce, wspominając ten pierwszy pocałunek. Wiele nocy.

– Daj mi dziesięć minut – powiedziała, dopijając herbatę. – Spotkamy się przy tylnych drzwiach.

Wstał, kiedy podniosła się z krzesła.

– Daję ci pięć.

Dom przypominał teraz więzienie – mama i panna DeWitt czaiły się w miejscach, gdzie Jack zwykle szukał odosobnienia – bibliotece, gabinecie, salonie. Mama twierdziła, że w gabinecie jest najlepsze światło, w bibliotece najcieplejszy kominek, a w salonie najmiększa kanapa.

Co gorsza, Jack łapał Jeremy'ego na tym, że mu się uważnie przygląda, jakby się spodziewał z jego strony jakiegoś ważnego oświadczenia, ponieważ był o dziewięć lat starszy. Te dziewięć lat, parę kontynentów i ze dwa oceany, które ich dzieliły, oznaczały, że Jack w zasadzie nie miał o czym rozmawiać z bratem, którego ledwie znał.

– Jesteś punktualna – zauważył sir Jack, kiedy Madeline zeszła tylnymi schodami. Włożyła znoszone buty i czarną pelerynę, ale za to porządny, brązowy szalik z wełny. Rękawiczki zostały zacerowane i nie miały widocznych dziur.

– Pół dnia, to pół dnia – stwierdziła panna Hennessey. – Jeśli nie wrócę zaraz po lunchu, twoja matka będzie miała prawo mnie złajać.

– Nie pozwolę na to. – Jack owinął szyję szalem. – Chodź, sanie powinny być gotowe.

– Bierzemy sanie?

Wszystko, co Jack widział z twarzy panny Hennessey, to były jej wyzierające znad szalika oczy. Miała piękne oczy, lśniące i błękitne, inteligentne, wyraziste.

Teraz te oczy wyrażały obawę i to już stanowiło wyrzut sam w sobie.

– Bierzemy sanie – potwierdził Jack. – Teraz, jeśli pozwolisz, zanim mama pojawi się z kolejnym wykładem o obowiązkach rodzinnych i radościach życia małżeńskiego. – Otworzył drzwi i wyprowadził pannę

Hennessey w boleśnie promienny zimowy poranek. Z okapu kapało, a ostry wiatr nawiewał śnieg na podjazd. Przez chwilę ogarnęła go tęsknota jakby za domem – za upałem, wielobarwnością i bogactwem dźwięków Indii – co było żałosne.

Indie nigdy nie były jego domem. Wyniósł z nich najgorsze wspomnienia i nie miał ochoty tam wracać.

Chłopak stajenny, opatulony w wełnianą czapkę, szalik, rękawiczki i ciepły płaszcz, wyprowadził sanie z powozowni.

– Ja będę powozić – powiedział Jack. – Wracaj do stajni, powinniśmy wrócić wczesnym popołudniem.

Chłopak szarpnął lekko czapkę w pozdrowieniu i odszedł. Panna Hennessey wskoczyła na sanie z drobną pomocą Jacka i wkrótce sunęli podjazdem.

– Dlaczego nie miałbyś się ożenić z panną DeWitt? – zapytała panna Hennessey.

Pytanie, które Jack zadał sobie niejeden raz.

– Jesteś teraz poplecznicką mamy?

Jack pocałował pannę Hennessey mocno i prawdziwie jak mężczyzna, który pożąda kobiety, którą całuje. To, że wspomniała o jego widokach na małżeństwo, upokarzało go w najwyższym stopniu.

Czyżby jego pocałunek był tak mało znaczący?

– Według twojej Biblii rodzinnej, jesteś dziedzicem tytułu – powiedziała panna Hennessey, opatulając kolana Jacka kocem. – To znaczy, że ciąży na tobie obowiązek zapewnienia sukcesji. Twój brat pozostaje w stanie bezżennym, a matka najwyraźniej się o ciebie troszczy.

Jack trzymał lejce, więc nie mógł się zająć kocem. Panna Hennessey miała dar sprawiania, że robiło się wszędzie miło i przytulnie, a bliskość Jacka przestała budzić w niej nadmierną nieśmiałość. Cegły pod stopami dawały ciepło, ale wiatr smagający nos i policzki Jacka był ostry i lodowaty.

– Moja matka jest… chce dobrze. – Co do tego Jack nie miał wątpliwości. – Mój ojciec praktycznie ją opuścił dla przygód w służbie króla. To nie było uczciwe.

– Mężczyźni tacy są – powiedziała panna Hennessey. – Uciekają pod jakimś szlachetnym pretekstem i wracają, kiedy zabawa się kończy.

Mówiła tonem nie tyle gorzkim, co ponurym – jakby przekroczyła granicę, za którą już nie mogło jej dosięgnąć rozczarowanie.

– Czy ktoś cię opuścił, panno Hennessey?

– Nie ostatnio. Czy możemy się zatrzymać pod Łasicą? Chciałabym kupić beczułeczkę, ale dla ciotki.

Nie ostatnio. Co to, do diabła, miało znaczyć?

Jack z ochotą ruszył do Łasicy, częściowo dlatego, że każdy pretekst, żeby pobyć dłużej z dala od rodziny, uznałby za dobry, ale również dlatego, że miejscowy oberżysta był znakomitym źródłem plotek. Żaden sędzia wart swego tytułu nie zlekceważyłby plotek, kiedy złodziej węgla był na wolności.

– Oczywiście, że możemy się zatrzymać Pod Mokrą Łasicą. Kiedy byłaś w Candlewick, czy Belmont udostępniał ci powóz do tych cotygodniowych wypadów?

– Mogłam używać powoziku albo konia, jeśli miałam ochotę. Stajenni nie lubią jeździć z damskim siodłem, żeby ćwiczyć konie przeznaczone dla pań.

Panna Hennessey wierciła się, owijając się kocem. Jack tracił czucie w twarzy, ale bardzo wyraźnie zdawał sobie sprawę, że siedzi z damą biodro w biodro pod kocem.

– Jak to jest, że pokojówka potrafi jeździć konno i powozić, panno Hennessey?

Wiercenie się ustało.

– To nie jest trudne, kiedy koń jest dobrze ułożony. W stajniach Candlewick są tylko takie konie. Czy kupiłeś już świąteczny prezent dla

matki?

Jack skierował konie do wsi; minęli Candlewick. Zgodnie z pomocną sugestią panny Hennessey rodzina miała wymienić prezenty na Trzech Króli, za parę dni.

– Miałem wrażenie, że damy do towarzystwa powinny być stale w radosnym nastroju, a oto ty znowu przypominasz mi o moim niedociągnięciu, jednym z długiej listy niedociągnięć. Nie mam pojęcia, co podarować mamie. Nienawidzi wszystkiego, co pochodzi z Indii i jest zdecydowana dać mi taką żonę, jakiej sam bym nie wybrał. Może poszukam jej męża.

– Moje ciotki mogłyby ci udzielić porady. Oceniły przymioty wszystkich dojrzałych kawalerów w hrabstwie i paru niedojrzałych także.

– Czy uznały wszystkich owych kawalerów za nieodpowiednich?

Panna Hennessey utkwiła wzrok w dworku Candlewick, o ćwierć mili dalej. Tęskniła za domem? Czy wolałaby raczej odwiedzić Belmontów niż swoje zrzędliwe ciotki?

Jack, co dziwne, ciekaw był jej spotkania z krewnymi.

– Owi dżentelmeni nie byli zainteresowani starszymi kobietami bez środków do życia. Często mnie ostrzegają, że skończę tak samo, stara i biedna. Ciotki mają plan na chwilę, kiedy to nastąpi.

– Krewne zawsze mają mnóstwo pomysłów. – Jackowi nie podobała się myśl o pannie Hennessey zubożałej i samotnej. Przez ostatnich parę dni wyobrażał ją sobie w swoim łóżku, a to… był problem.

Damy, które znalazły drogę do łóżka mężczyzny, spodziewały się znaleźć dla siebie miejsce w jego życiu, a to wróżyło biedę dla obu stron.

– Ciotki sporządziły testamenty – wyjaśniła panna Hennessey. – Zapisały swoje gospodarstwa na mnie. Kiedy obie umrą, ja dziedziczę wszystko. Więc będę miała skromne wiano albo dostanę niewielkie pieniądze jako ekwiwalent wdowiej zapomogi. Nie mam pojęcia, jak utrzymać małe

gospodarstwo, ale skromna spuścizna jest lepsza niż żadna na stare lata, kiedy człowiek staje się niedołężny.

W czasie potrzebnym, żeby z Teak House dotrzeć do wsi, niebo zasnuło się chmurami, i dzień stał się szary i ponury. Na słupach od frontu Pod Mokrą Łasicą wciąż wisiały gdzieniegdzie sosnowe gałęzie, okna zdobiły wieńce, a drzwi jaskrawa czerwona kokarda, ale przy przygnębiającej pogodzie te gesty wydawały się daremne, a nie zachęcające.

– Od zniedołężnienia dzielą cię dziesięciolecia – powiedział Jack, czując, że on sam już niedołężnieje. – Musi być przyjemnie wiedzieć, że twoja rodzina ma twoje dobro na sercu i plan, jak zabezpieczyć twoją przyszłość. – Plan, który odpowiadał pannie Hennessey.

Podprowadził zaprzęg do tawerny; chłopak zaprowadził konie na tyły, na podwórzec.

– Niech się ruszają – zawołał Jack, rzucając chłopcu monetę. – Nie zabawimy długo. – Wyszedł z sań i obszedł go, żeby pomóc zejść na dół pannie Hennessey, choć dama patrzyła wszędzie, tylko nie na niego. – Obraziłem cię, panno Hennessey?

Zeskoczyła na dół i stała przed nim; wiatr targał luźnymi kosmykami jej włosów, uderzając nimi o jej szczękę.

– Nie obraziłeś, ale też nic nie rozumiesz. Moje ciotki nie mają prawie nic, a żeby to odziedziczyć, muszę stracić jedynych ludzi, których mogę nazwać swoją rodziną. Gorzka wymiana, czyż nie?

Obeszła go i weszła po schodkach do Pod Łasicą, zostawiając Jacka zmarzniętego, lekko zawstydzonego, ale także zdumionego. Zapytał wcześniej, jak nauczyła się jeździć konno i powozić i spodziewał się odpowiedzi, że pokazała jej to pierwsza pani Belmont albo że kochający wujek podarował jej w dzieciństwie kucyka.

Panna Hennessey wykręciła się jednak od odpowiedzi. Obie te umiejętności należały do takich, których nie nabywało się ani szybko, ani

łatwo. Dla większości domów konie były zbyt drogie, a dla wielu najmarniejszy powozik stanowił ekstrawagancję.

Kim była Madeline Hennessey i kiedy – a także dlaczego – porzuciła tradycyjne przekonanie, że święty związek małżeński zabezpieczy jej przyszłość?

Nie było rady, ciotka Theo uparła się, żeby nastawić czajnik i poczęstować sir Jacka słabą herbatą i starym chlebem z masłem, zanim wypuści go na dwór, gdzie szalały żywioły. Znosił z wdziękiem gościnność ciotki, potem przeprosił i poszedł, żeby „zajrzeć do koni". Madeline słyszała, jak siekiera rytmicznie uderza w drewno – rozłupywał kłody, których Theodosia nie była w stanie sama porąbać.

Na zimnie drewno łatwiej się poddawało, ale płuca Theodosii źle znosiły mroźną pogodę.

Ciotka bardzo oszczędzała węgiel i nawet chełpiła się w obecności sir Jacka, że potrafi dostawę od McArdle'a wykorzystywać znacznie dłużej niż sąsiedzi.

Nie był to najlepszy moment na takie przechwałki.

– Sir Jack byłby dobry jako mąż – stwierdziła Theodosia, zawijając chleb w serwetkę i odkładając do pojemnika. Starannie zmiotła okruszki na talerz, oszczędzając je dla swoich cennych kur. Gdyby nie szczeniaki i kury nioski, Theodosia miałaby bardzo niewielki dochód.

– Rozważasz małżeństwo z sir Jackiem? – Madeline też myślała o sir Jacku, a rozsądek jej podpowiadał, że jeśli chodzi o niego, nie ma co marzyć o małżeństwie.

– Nie bądź gąską. Byłby dobry dla ciebie. Nie jest durniem.

Nie jest durniem to była wyjątkowa pochwała dla mężczyzny w ustach Theodosii. Poślubiła durnia, bo takiego wybrali jej rodzice. Rodzice dawno odeszli, kiedy przekonała się, że dureń roztrwonił większość jej posagu.

Umarł jednak bez męskich potomków, więc Theodosia była jedyną właścicielką swoich maleńkich włości.

– Sir Jack jest dżentelmenem – powiedziała Madeline, wlewając swoją herbatę z powrotem do czajniczka. – Kiedy pan Tavis paplał dziesięć minut o turnieju w rzutki i zimowym balu, sir Jack słuchał go z uprzejmą uwagą.

Na zewnątrz uderzenia siekiery rozlegały się w powolnym rytmie. Ciotka nie musiałaby oszczędzać węgla, gdyby Jack bywał u niej regularnie.

– Tavis w połowie nie jest takim entuzjastą rzutek czy tańców, jak pieniędzy, jakie mu przynoszą – odparła ciotka. – Gdyby ale można było dostać gdzie indziej, nie pozwoliłabym ci u niego kupować.

Pan Tavis należał do tych starszych kawalerów, którym nie starczyło rozumu, żeby wziąć sobie żonę.

– Przyniosłam ci herbatniki – powiedziała Madeline, żeby nie pozwolić ciotce przejść do opisywania ułomności pana Tavisa. – Zmarnują się w Teak House, a na mnie wkrótce ubranie przestanie wchodzić, tyle ich zjadłam.

Wyciągnęła paczuszkę zawierającą tuzin herbatników, jak również maślane ciasteczka i dwa zwykłe ciasteczka do herbaty.

– Czy kucharka sir Jacka wie, że je wzięłaś? – zapytała ciotka, nie ruszając niczego.

Kucharka położyła je na tacy czy na talerzu, więc Madeleine mogła odpowiedzieć uczciwie.

– Oczywiście. Przysłała mi je z poranną tacą albo z podwieczorkiem. Sir Jack nie jest sknerą i jego służba dobrze jada. Jestem pewna, że ucieszyłby się, że dostałaś drobny poczęstunek z jego kuchni.

Ręka ciotki zawisła nad słodyczami, jakby mogłyby się rozbiec w panice, gdyby wybrała jedno.

– Sir Jack na ciebie patrzy.

Madeline również na niego spojrzała, na jego usta, na jego trzymające lejce dłonie w rękawiczkach, na ramiona wypełniające kilkuwarstwową

pelerynę. W marzeniach robiła więcej, niż tylko patrzyła.

– Sir Jack jest spostrzegawczy. Świetna cecha u sędziego. Weź ciasteczko maślane. Wiem, że je uwielbiasz.

– Najlepiej smakuje z gorącą herbatą. Zachowam je. – Ciotka odwróciła się, żeby odkaszlnąć delikatnie w kawałek podartej chusteczki.

Nakarmi ciastkami swoje kury, zgodnie z teorią, że szczęśliwe kury znoszą więcej jajek, a więcej jajek to więcej pieniędzy.

– Zjedz teraz jedno – powiedziała Madeline. – Proszę.

Theodosia była kiedyś pięknością. Hattie często to powtarzała ze szczególnym siostrzanym talentem, żeby mówiąc komplement, jednocześnie urazić. Theodosia wciąż mogła uchodzić za przystojną kobietę, ale jej niebieskie oczy zdradzały smutek, a zachowanie – nieśmiałość. Nieśmiałość u wysokiej, przystojnej kobiety w dojrzałym wieku łamała serce.

Siekiera ucichła, Madeline nie miała już czasu.

– Zachowam słodycze – oświadczyła Theodosia, uśmiechając się promiennie. – Zaniesiesz trochę Hattie, prawda?

– Oczywiście. Czy potrzebujesz jeszcze czegoś? – zapytała Madeline, choć znała odpowiedź. Ani Theodosia, ani Hattie nigdy nie przyznawały się, że czegoś potrzebują, jednak w chacie Theodosii panowało nieznośne zimno i psi odór, kromki chleba były rozpaczliwie cienkie, a jej rękawiczki tak pocerowane, że prawie bez oryginalnej włóczki.

– Nic mi nie potrzeba, moja droga. Nie pozwól sir Jackowi czekać.

Sir Jack poprowadziłby konie do domu przez Yorkshire, żeby przedłużyć swoją nieobecność, biedny człowiek.

– A zatem w drogę. Zobaczę cię za dwa tygodnie.

Ciocia miała dość rozsądku, żeby nie chodzić na mszę w taką pogodę.

– Moja miłość jest z tobą, Madeline, a co do sir Jacka…

Madeline owinęła szyję szalem, choć wolałaby zakneblować ciotkę.

– Cokolwiek chcesz powiedzieć, ciociu Theo, nie rób tego…

– Pieniądze są ważne, ale to nie wszystko, a nawet nie to, co najistotniejsze. – Takiej uwagi ze strony Theo Madeline najmniej by się spodziewała. – Jack Fanning nie jest rozpustny i jego służba dobrze o nim mówi. Jest… dobry, choć trochę niezwyczajny. Nie ukradłby twojego posagu i nie przepiłby dochodów z majątku.

Och, chciała jak najlepiej. Ciotki zawsze chcą dobrze.

– On się ze mną nie ożeni. Jego własna droga matka sprowadziła mu, ni mniej, ni więcej, tylko przyszłą pannę młodą, żeby mu umilała ponure zimowe miesiące. Nie daj kurom wszystkich herbatników.

Ciotka posmutniała, ale kiedy Madeline pochyliła się, żeby pocałować ją w policzek, Theodosia chwyciła końce jej szala.

– No to cię nie poślubi. Teraz jest kawalerem i do tego samotnym. Okaż mu trochę względów i zobacz, dokąd to doprowadzi. Wiele kobiet jest szczęśliwych i zadbanych poza małżeństwem.

Ciotka do nich nie należała.

– To skandaliczne, co mówisz, Theodosio Hickman. Wstydź się i zajadaj herbatniki.

Madeline wymknęła się na mróz; sir Jack czekał na nią w saniach na drodze. Wsunęła się obok niego i umościła pod kocem, zanim zdążył uwiązać lejce i jej pomóc.

– Czy będziemy tu czekać do wiosny? – zapytała Madeline.

– Jesteś tak samo niedobra jak ja – stwierdził Jack, cmokając na konie. – Ona jest połową twojej żyjącej rodziny, a wypadłaś stamtąd, jakby łowcy niewolników deptali ci po piętach. Uraziła cię czymś?

Ostatnio wszystko wprawiało Madeline w zły humor, włącznie z troską w oczach sir Jacka i kaszlem ciotki.

– Odkładałam herbatniki z moich podwieczorków, a ona nakarmi nimi kury. – Co gorsza, Madeline mogła czekać podobna przyszłość, jeśli będzie miała szczęście.

– Nie ma to jak upór, który wynika z konieczności samodzielnego utrzymania się. Wśród Hindusów błogosławieństwo żebraka to bezcenny skarb.

A co to miało z nią wspólnego i czy musiało być tak potwornie zimno?

– Moje ciotki nie są żebraczkami. – Jeszcze nie.

– Błogosławieństwo żebraka jest pożądane, ponieważ błogosławieństwo jest wszystkim, co ma, odpowiada całemu majątkowi bogacza. Twoja ciotka może być hojna wobec kur. Pan Tavis może się chwalić turniejami rzutek, mimo że to tylko jedna hałaśliwa, choć dochodowa noc w roku. Z pewnego punktu widzenia wszyscy jesteśmy żebrakami i wszyscy mamy fortunę do oddania.

Ktoś mógłby powiedzieć, że rozważania sir Jacka wzięły się stąd, że za dużo czasu spędził w tropikalnym słońcu, ale Madeline w jego słowach znalazła otuchę. Theodosia nie była ekscentryczna, rozpieszczając kury, była… ludzka.

– Dziękuję – powiedziała Madeline. – Za porąbanie drew także.

– Wysiłek fizyczny to sposób, żeby się rozgrzać.

Nic więcej nie powiedział, ale kiedy skierował sanie na drogę, która miała ich zaprowadzić do Teak House, przełożył lejce do jednej ręki, a drugą objął Madeline za ramiona.

Wtuliła się w niego z wdzięcznością, żałując, że nie kazał koniom zwolnić biegu.

– Jack jest taki jak twój ojciec – oświadczyła matka.

Nawet dla profesjonalnie pobłażliwych uszu Jeremy’ego to nie był komplement.

– W jakim sensie, mamo?

– Jack wykorzystuje obowiązek, żeby robić, co mu się podoba. Podaj mi sól. Lucy Anne, nie masz ochoty na zupę?

Zupa była pieprzną odmianą rosołu z kury, według przepisu przystosowanego dla kogoś, kto cenił sobie indyjską kuchnię. Jeremy zjadł swoją przez uprzejmość, ale Lucy Anne – albo raczej panna DeWitt – głównie na swoją patrzyła.

– Obawiam się, że zbyt ostre przyprawy są dla mnie nie do strawienia – powiedziała, odsuwając talerz o cal od siebie. – Ale jest naprawdę całkiem smaczna, całkiem… interesująca.

– Nie jest także w moim guście – stwierdził Jeremy. – Wolę zwykłą angielską kuchnię, gdzie się nie żałuje soli.

Mama odłożyła łyżkę.

– Gdzie się podział Jack? I to w taką pogodę, jakbym nie miała dość zmartwień.

Jeremy przyjął święcenia po części dlatego, że lubił studiować Pismo. Jakiś fragment przypowieści mógł mu utkwić w głowie, a on obracał go na wszystkie strony, dopatrując się wszelkich możliwych znaczeń i odwołując do hebrajskiego, łaciny czy aramejskiego, żeby zaspokoić swoją ciekawość. Na nieszczęście to samo dotyczyło fragmentów rozmowy, jak na przykład stwierdzenie matki, że ma zmartwienia.

Jack przechytrzył indyjskich zabójców, politykę wojska, swatów i głupich generałów. Da sobie radę zimą na własnym podwórku.

– Sir Jack eskortuje pannę Hennessey – odezwała się Lucy Anne. – Widziałam, jak wyprowadzali sanie, kiedy schodziłam na śniadanie. Dziś podobno część służby ma pół dnia wolnego i sądzę, że to dotyczy także panny Hennessey.

Mama poruszyła gwałtownie łyżeczką w solniczce.

– Pojechali saniami w taką zimnicę?

Na saniach na ogół najlepiej jeździć zimą.

– Jeśli panie miałyby ochotę zażyć świeżego powietrza, chętnie zabiorę was na dwór, kiedy Jack wróci.

Mama machnęła ręką nad stygnącą zupą, co skłoniło lokaja, żeby przenieść jej talerz na komodę. Po chwili zabrał także talerze Lucy Anne i Jeremy’ego i postawił tace z jedzeniem. Stół przyozdobiła szynka, ziemniaki, rzepa, chleb i masło.

– Dziękuję – powiedziała mama. – To wszystko.

Lokaj kręcił się przy komodzie z niepewnym wyrazem twarzy.

– Nie słyszy cię – wyjaśniła Lucy Anne. – Ogłuchł w wojsku. Pan Pahdi mi o tym opowiedział. Działa musiały być strasznie głośne.

Oczywiście, że działa były głośne, ale Lucy Anne miała w sobie tyle słodyczy, tyle dobroci.

– Możesz odejść – powiedział powoli Jeremy, wskazując drzwi dla podkreślenia słów.

Lokaj skłonił się i wyszedł.

– Mam nadzieję, że rozumiesz, co mam na myśli – zwróciła się mama do Lucy Anne. – Sir Jack zostawił część rozumu w Indiach. Włóczy się gdzieś po śniegu, zatrudnia lokajów, którzy nie mogą usłyszeć najprostszych poleceń, zostawia dom na pół udekorowany, choć goście mają się zjawić lada dzień i to wtedy, gdy święta jeszcze trwają w najlepsze. To dobry człowiek, ale nie jest… Będzie dobrym mężem, a wszyscy mężowie mają swoje wady. Kobieta musi być realistką.

Jeremy zawstydził się nagle za brata i za matkę. Nie przyszedł mu do głowy żaden pomocny cytat z Pisma, żaden przydatny żart.

– Lubię Jacka – powiedział Jeremy. – Jest odważny, honorowy i dobry.

– Dobry? – szepnęła Lucy Anne, zerkając z ukosa na puste krzesło u szczytu stołu.

– Oczywiście, że jest dobry. Jakże inaczej zabrałby pannę Hennessey, żeby mogła odwiedzić swoje starzejące się krewniaczki, kiedy ma wychodne? Tyle mi, przynajmniej, powiedział, kiedy spotkaliśmy się przypadkiem rano. Panna Hennessey nigdy by go o to nie poprosiła, więc musiało to wynikać z dobroci.

– Panna Hennessey ma krewnych w podeszłym wieku? – zapytała Lucy Anne.

– Ma, bez wątpienia – stwierdziła mama, biorąc talerz Lucy Anne i wkładając na niego górę rzepy. – Wszystkie płatne damy do towarzystwa ich mają. Żal kobiety, że ma dwie podstarzałe ciotki i te okropne rude włosy na dodatek. Nieszczęsną los pokarał także nadmiernym wzrostem. Jeremy powinien pamiętać o pannie Hennessey w swoich modlitwach, zważywszy, jaki krzyż ta biedna kobieta dźwiga.

Wyraz twarzy Lucy Anne zmieniał się od cudownego zmieszania, do zadowolenia, w końcu przerażenia.

– Pani Fanning, proszę zostawić trochę rzepy dla pozostałych.

– Nonsens. Rzepa pomaga na trawienie. Zaufaj mi. Jeśli będziemy siedzieć zamknięci w tym domu, wszyscy musimy jeść dużo rzepy. Brak ruchu zaburza wypróżnienia. Jeremy, pokrój szynkę, ponieważ twojego brata zatrzymała gdzie indziej jego litościwa natura.

Mama przeszła następnie do diatryby poświęconej własnej działalności dobroczynnej, która, jak podejrzewał Jeremy, albo miała miejsce wiele lat temu, albo należała do świata fikcji.

Wziął talerz Lucy Anne, żeby nałożyć jej szynkę i szybko przełożył połowę jej rzepy na swój talerz, kiedy mama zajęła się okraszaniem ziemniaków masłem.

Uśmiech Lucy Anne, jakkolwiek przelotny, był równie prawdziwy jak zapach rzepy przesycający ciepłe powietrze jadalni.

Kiedy mężczyzna odmawiał udziału w krwawych sportach, zaczynał skłaniać do spekulacji tych, którzy galopowali z psami, strzelali, polowali na kuropatwy i w ogóle zachowywali się jak zwyczajni angielscy posiadacze ziemscy.

Jack nadrabiał brak krwiożerczych instynktów, doskonaląc swoje umiejętności w rzutkach i został nawet nagrodzony za swoje wysiłki

stanowiskiem kapitana drużyny. Axel Belmont dowodził drugą drużyną, chociaż w zasadzie w noce zawodów zajmowano się raczej wymienianiem sprośnych żarcików i piciem niż próbami trafienia w środek tarczy.

– I po to porzuciłem towarzystwo drogiej żony i ukochanego dziecka – szepnął Axel Belmont, przy wtórze ryku zgromadzonych, jaki wywołała uwaga o niecelnym rzucie proboszcza Weekesa.

– Badam sprawę kradzieży paru worków węgla – powiedział Jack, podając Belmontowi kufel ale i biorąc jeden dla siebie. – Tyle przynajmniej przekazałem moim gościom. Usiądziemy?

Belmont ruszył w stronę stołu obok loży, a Jack za nim. Nie zwracali uwagi na nic tak długo, jak długo ale lało się strumieniami, a Tavis pilnował, żeby źródło nie wyschło.

– W słoju z każdym rokiem przybywa pieniędzy – powiedział Belmont. – Do Jego Królewskiej Mości dotrze wkrótce wieść o naszych turniejach i zechce zanurzyć swoje królewskie palce w naszych brzęczących monetach.

Zyski z turniejów brały się stąd, że członkowie drużyn płacili szylinga za udział w każdych zawodach w ciągu roku. Drużyny, które przechodziły do finałów, płaciły znacząco więcej; zwykle to kapitan drużyny pokrywał koszty.

– Lepiej by było, gdyby Tavis urządzał zawody w lecie – zauważył Jack. – Smród tutaj jest powalający.

W Pod Mokrą Łasicą panował typowy angielski smród, na który składała się wilgotna wełna, pot, ale, tytoń, dym węglowy, ubłocone deski podłogi, a do tego podawany z kuchni świeży chleb i duszona wołowina.

– Smród powala tutaj od dwustu lat – stwierdził Belmont. – Jak się miewa panna Hennessey?

– Belmont, twój brak umiejętności prowadzenia niezobowiązującej konwersacji musi doprowadzać do rozpaczy twoją szanowną małżonkę.

– Moja małżonka ceni sobie moją umiejętność porozumiewania się bez słów, a przynajmniej ceniła, zanim dziecko przyszło na świat. Jeśli

Madeline Hennessey jest choć trochę mniej niż bardzo zadowolona, odeślij ją, proszę, do mnie.

Ale było raczej gorzkie, za ciemne jak na gust Jacka. Odstawił kufel na bok, napój jednak nie miał się zmarnować. Dzieci w różnym wieku urządziły sobie zabawę w wypijanie piwa z niepilnowanych kufli.

– Panna Hennessey nie jest częścią mojego stanu posiadania, więc nie możesz jej traktować, jakby została pożyczona niczym baran zarodowy albo zapasowe siodło.

Belmont łyknął ale. Odkąd poślubił swoją Abigail, stał się spokojniejszy i był raczej cichy niż ponury i milczący.

– Ale także panna Hennessey nie jest pozostawiona sama sobie, Fanning. Abigail poleciła mi zażądać od ciebie sprawozdania, jako że pogoda uniemożliwiła mi zwykłą, planowaną wizytę w Teak House. Martwi się o Madeline i dlatego ja też się martwię o Madeline.

Podczas gdy Madeline martwiła się o dwie starsze ciotki, które żyły w ogromnej biedzie.

– Po co martwić się o ładną i niezwykle kompetentną kobietę?

Belmont dał znać służącej z tawerny, która obserwowała popisy proboszcza celującego do tarczy. Skinęła głową i zniknęła w kuchni.

– Nie dokończyłeś piwa. – W istocie Belmont postawił kufel obok kufla Jacka, jakby napój jemu także nie przypadł do gustu.

– Nie zamawiam kolejnego piwa, a ty nie wykręcisz się od mojego pytania.

– Pannie Hennessey udało się pozyskać aprobatę mojej matki w takim stopniu, w jakim to jest w ogóle możliwe. Panna DeWitt także lubi jej towarzystwo, a mój brat, Jeremy, jest w niej zapewne na wpół zakochany.

Belmont, oczywiście, uczepił się tego, co nie miało najmniejszego znaczenia.

– Panna DeWitt?

– Lucy Anne DeWitt, z rodziny DeWitt z Dorset. Jej papa jest młodszym synem jakiegoś wicehrabiego czy kogoś takiego. Moja matka czeka na odpowiedni moment i wkrótce uświadomi mnie co do stanu majątkowego owej damy, nie licząc się z brakiem zainteresowania z mojej strony.

– Moje kondolencje w związku ze zbliżającą się utratą kawalerskiej wolności, ale wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Panna Hennessey jest… – Madeleine stanowiła problem – …dokładnie tym, czego potrzeba w moim domu. Ma dar wyjaśniania mojemu kamerdynerowi sytuacji, co do których nie miałem pojęcia, że mogą być dla niego niezrozumiałe. Utrzymuje spokój pomiędzy moją matką a służbą i potrafi nawet stwarzać wrażenie, że moja matka chwali pokojówki i lokajów.

Madeline pilnowała także, żeby mama i pani Abernathy nie wchodziły sobie w drogę, choć spodziewał się, że lada dzień nastąpi wznowienie działań wojennych.

Znowu rozległ się wrzask a potem burzliwe oklaski; ktoś trafił w środek tarczy albo blisko.

– Madeline jest, zaiste, wzorem cnót domowych – powiedział Belmont. – Oświadczyłeś się już?

– Belmont, wyobraź sobie, jak będziesz paskudnie się czuł, wracając do domu w lodowaty grudniowy wieczór, jeśli przypadkiem wyleję ci kufel ale na kolana.

– Przyszło ci do głowy, żeby to zrobić – nie ustępował Belmont. – Albo myślałeś, żeby się nad tym zastanowić. Tropikalne słońce z pewnością spowolniło twoje procesy umysłowe. Uszy do góry. Madeline jest niezwykle cierpliwa. Dowodem jest, że wytrzymała z moimi chłopcami przez całe lata i groziła odejściem nie częściej niż średnio raz w tygodniu.

– Wytrzymała z tobą.

– I jakoś zdołała wyrwać się z mojego domu przy pierwszej nadarzającej się okazji. Moja duma legła w gruzach.

Żona Belmonta dała mu syna po mniej niż dziewięciu miesiącach po ślubie; to niewątpliwie podbudowało jego dumę.

– Poleciłem stajennym trzymać dla niej przez cały czas w gotowości powóz i konia – powiedział Jack. – Może odwiedzić Candlewick, kiedy jej się podoba. Co sądzisz o kradzieży węgla u McArdle’a?

Belmont, który w przeszłości także pełnił funkcję sędziego, mógł zaprezentować interesujące spojrzenie na ten temat.

– Myślę, że jeśli Madeleine cię zechce, to będziesz miał dużo szczęścia, poślubiając ją. Jeśli problemem jest posag…

– Dwa kufle – powiedział Jack. – Oba prawie pełne. Nie chciałbym zniszczyć pary pięknych butów do konnej jazdy, ale bywam, niestety, rozpaczliwie niezręczny.

Zamilkli, podczas gdy służąca przyniosła tacę tostów serowych. Belmont wziął kawałek i odgryzł róg, rozpuszczony ser skapnął na stół.

– Zjedz trochę – zachęcił Belmont. – Mamy przed sobą jeszcze jedną rundę, zanim będziemy mogli wrócić do naszych przytulnych łóżek, w twoim wypadku do przytulnego, samotnego łóżka.

Tost serowy, jak wszystko, co Jack widział, słyszał, wąchał, smakował albo dotykał, był jednoznacznie angielski. Kiedyś, dawno temu, powrót do takiego otoczenia wydawał się marzeniem ściętej głowy, majaczeniem chorej wyobraźni.

Teraz jedyne, czego Jack pragnął, to był spokój i samotność, a także jeden jeszcze, albo trzy, pocałunki Madeline Hennessey.

– Chciałbym trochę kminku na tym toście – powiedział Jack. – Trochę kardamonu, pieprzu, może odrobinę curry. Nie tylko nudny chleb, podpieczony, żeby ukryć, jak długo leży i do tego nudny, nieodzowny cheddar.

Ręka Belmonta zatrzymała się w połowie drogi do tacy.

– Wiesz, jak bardzo Tavis ceni sobie każdy grosz? Przyprawy, o jakich mówisz, mogłyby go kosztować cały roczny dochód z zawodów w rzutki.

Ów dochód znajdował się w dużym szklanym słoju na półce za barem. Zwycięska drużyna miała dostać z tego trzy czwarte – do podziału między zawodników. Tavis zachowywał resztę.

Jack wziął tost, podzielił na pół i ugryzł kawałek.

– A co z węglem McArdle’a? Jakieś pomysły?

– Węgiel znika z podwórka McArdle’a od pierwszej zimy, kiedy jego ojciec zaczął prowadzić interes. Ktoś, kto go okradł tym razem, oddał mu przysługę.

Nie po raz pierwszy usłyszał Jack tego rodzaju uwagę.

– Dlaczego tak twierdzisz?

– Rodzina w potrzebie mogła wziąć odrobinę węgla z tego czy innego miejsca w bezksiężycową noc, ponieważ na podwórku McArdle’a panuje straszliwy bałagan. Tym razem złodziej zwrócił mu uwagę na to, ile traci towaru na skutek braku organizacji. Wiesz, że jeśli złamiesz Madeline serce, wyzwę cię na pojedynek?

– Belmont, czy małżeństwo całkiem odebrało ci rozum?

– Dzięki małżeństwu zachowałem zdrowy osąd i jestem szczęśliwy. – Następny kawałek tostu został schrupany ze szczętem, znikając w jego ustach. – Odpowiednie małżeństwo to wspaniała instytucja. Powinieneś spróbować.

– Próbowałem.

Niech to diabli, Jack nie wypił tyle, żeby winić ale Tavisa za tę nieopatrzną uwagę.

– Przykro mi – powiedział cicho Belmont.

– Z powodu?

– Nie ma damy u twego boku, musiała zatem odejść z tego świata, zostawiając cię wdowcem. Nic dziwnego, że matka się o ciebie martwi.

Brzęk monet o szkło, przebijający się przez gwar panujący w oberży, sygnalizował koniec gry, choć kolej Jacka przypadała dopiero za dwie

rundy. Słój za barem był niemal pełny, ale po następnym turnieju znowu miał zostać opróżniony.

– Poślubiłem kobietę w Indiach – powiedział Jack. – Ona nie… zabrała ją gorączka. Jej brat został moim kamerdynerem. Moja rodzina nie ma pojęcia, ale kiedy uciekłem z niewoli, przepadłbym, gdyby nie oddanie mojej żony. – Jack poślubił Saras, ponieważ życie oficera wisiało na włosku nawet w czasach pokoju, a Saras zasługiwała na wszelkie formy prawnej pomocy, jakie mógł jej zapewnić.

Na korzyść Belmonta należało policzyć, że dalej jedynie zajadał tosty, jakby wysłuchiwanie tego rodzaju zwierzeń było jedną z wielu rozrywek towarzyskich. Jack nigdy nie odbyłby takiej rozmowy z proboszczem, ale Belmont był wdowcem.

Może to tłumaczyło, dlaczego po latach przerwał milczenie.

– Kiedy moja żona umierała, oddała mi wielką przysługę – odezwał się Belmont. – Rozkazała mi, żebym nie rozpaczał nad sobą. Powiedziała, że nasze dzieci muszą widzieć, że nie położyłem się w trumnie razem z nią. Nigdy nie kochałem jej bardziej niż wtedy, tyle mądrości i taki brak egoizmu, i nigdy nie byłem na nią bardziej zły. Tak dobrze mnie znała.

Jack wsunął dłoń pod udo, żeby nie rąbnąć w kufle i nie strącić ich ze stołu.

– Rozpaczałeś i tak.

– Przez parę lat. Życie toczy się dalej i w którymś momencie dostrzegamy na horyzoncie znak, zapowiedź własnej śmierci; zapalenie płuc, umiera przyjaciel w naszym wieku i zaczynamy żyć bardziej świadomie, szukamy sensu. Nie traciłbym czasu, szukając złodzieja węgla. McArdle dostał nauczkę tanim kosztem, i słyszałem, że teraz trzyma po godzinach psy na podwórku.

Jednak nie nabył szczeniaka od ciotki Madeline. Wolał pójść do „hodowcy”, miejscowego farmera, zamiast do starej kobiety, rozpaczliwie potrzebującej pieniędzy.

– Jaki prezent na święta kupiłeś pani Belmont? – zapytał Jack.

Szelmowski wyraz twarzy, jaki przybrał Belmont, zdradzał też pewne zawstydzenie.

– Uznałem, nie bez podstaw, że moje znakomite towarzystwo na co dzień stanowi dla Abigail najlepszą nagrodę.

– Znakomicie byś wyglądał z talerzem tostów na głowie – stwierdził Jack. – Żadna z ciebie pomoc, Belmont.

– Twoja definicja pomocy różni się z pewnością znacznie od tej, którą podałaby moja droga żona. Ktoś powinien zwrócić proboszczowi uwagę, że powinien celować bardziej w lewo. Ciągle powtarza ten sam błąd.

– Jego błąd polega na tym, że zbytnio sobie ceni ale Tavisa. Moja matka ma wszystko, czego jej potrzeba, a prezent dla panny DeWitt wzbudzi niepotrzebne komentarze.

– Rozumiem twój kłopot. Zapytaj Madeline, będzie wiedziała dokładnie, co im podarować. Powiedz, proszę, mojej drogiej Madeline, że okropnie za nią tęsknimy, pani Turnbull się zaniedbuje, a kucharka nie upiekła swoich słynnych rogalików, odkąd Madeline nas opuściła. Lokaje są beznadziejni i stąd takie marne wyniki drużyny Candlewick dzisiejszej nocy. Jak tak dalej pójdzie, Tavis będzie musiał sobie sprawić większy słój na wygrane.

Belmont wziął dwa ostatnie tosty i zrobił z nich kanapkę.

– Co wiesz o Madeline Hennessey, Belmont? O jej przeszłości?

Prawie połowa kanapki znikła, zanim Jack doczekał się odpowiedzi.

– Niewiele. Caroline, moja zmarła żona, przyjęła ją na służbę. Naprawdę zauważyłem Madeline, kiedy zostałem wdowcem, a do tego czasu już praktycznie prowadziła dom. Sądzę, że to miejscowa dziewczyna, bo obie jej ciotki tu mieszkają, ale możesz zapytać proboszcza… kiedy dojdzie do siebie po wieczorze spędzonym wśród swoich owieczek.

Madeline Hennessey nie była dziewczyną, a wyczulone na dialekty, od czasu pobytu w Indiach, ucho Jacka nie umiejscawiałoby jej raczej wśród

tutejszych. Teraz, kiedy się nad tym bliżej zastanawiał, uznał, że ma tę samą elegancką wymowę co panna DeWitt.

– Zatrudniałeś pannę Hennessey przez blisko dekadę, a jednak nic o niej nie wiesz. Gdyby z takim poświęceniem nie odwiedzała ciotek, wiedziałbyś mniej niż nic.

Belmont skończył kanapkę i otrzepał dłonie nad pustym talerzem.

– Wiem, że się zadurzyłeś i moja żona będzie zadowolona, kiedy to usłyszy. Przyprowadź swoich gości jutro na kolację, na szóstą. Jeśli twoje kobiety będą się grzecznie zachowywać, Abigail może pozwoli im pozachwycać się moim najmłodszym, a ty, wielebny i ja napijemy się brandy w bibliotece.

Innymi słowy, żona Belmonta chciała osobiście ocenić sytuację i zweryfikować raporty, jakie przedstawiał jej mąż.

– Zapytam twoją żonę, jaki prezent na święta by ją ucieszył. Jeśli podasz dobre brandy, może podzielę się z tobą tą wiedzą przed przyszłą zimą.

– Madeline potrzebuje nowej peleryny – powiedział Belmont, podnosząc się – a ja muszę ratować honor Candlewick przy tarczy. Do jutra.

Odszedł, a Jack podsunął swój kufel temu samemu chłopcu, który wcześniej odprowadzał konie do stajni.

– Nie sądzę, żebyś coś wiedział o kradzieży węgla u McArdle’a? – zapytał chłopca.

Oczy chłopca zaokrągliły się jak spodki; potrząsnął głową.

Zatem przestępca był miejscowy, może nawet to sam Tavis, który słynął z tego, że tak ściska swoje pensy, aż błagają o litość. Tavis również skarżył się głośno na ceny węgla, ale nie posyłał wozu do Oksfordu, żeby się zaopatrzyć u któregoś z konkurentów McArdle’a. Może Belmont miał rację. Złodziej oddał McArdle’owi przysługę.

Chociaż Jack, wbrew temu, co twierdził Belmont, wcale się nie zadurzył.

Na razie.

6

W bibliotece Teak House utrzymywano przyjemne ciepło na okrągło, więc Madeline wolała czytać tam niż we własnej sypialni. W ślicznej sypialni, mając za sobą dziesięć lat na służbie, Madeline czuła się trochę nieswojo.

Biblioteka natomiast miała własny charakter. Część wystroju była typowa dla bogatej szlachty. Piękne pianino, duże biurko, globus, stół do czytania, regały z książkami – pasowałyby także doskonale do wystroju Candlewick.

Jednak zapach drzewa sandałowego z kadzideł, które Pahdi palił nieustająco, żeby chronić książki przed wilgocią i robactwem, był wyjątkowy. Egzotyczna tekowa komoda z pewnością kosztowała więcej niż podobne meble w bibliotece w przeciętnym, zamożnym domu na wsi. Lśniący samowar stanowił kolejny dowód bogactwa i światowego obycia.

A jednak Madeline czuła się bardziej na miejscu tutaj niż w sypialni, którą jej przydzielono w rodzinnym skrzydle.

Godzina czytania gdziekolwiek przed snem stanowiła przyjemność okupioną poczuciem winy, ponieważ służbie wydzielano świece, a dama do towarzystwa mogła zużywać tyle świec, nafty do lamp, węgla, a nawet drewna na opał, ile chciała.

– Co cię tak absorbuje? – zapytał sir Jack.

Stał obok zamkniętych drzwi, choć Madeline nie słyszała, jak wszedł.

– Jak długo mnie szpiegujesz?

– Odkąd zacząłem chodzić na bale co kwartał. Przypuszczam, że ty mnie szpiegujesz prawie tak samo długo, jako że szpiegostwo jest głównym celem tych zgromadzeń. Masz ochotę na brandy, żeby przegnać wieczorny chłód?

Miał na sobie strój do konnej jazdy, czubki butów wilgotne od śniegu, włosy potargane wiatrem. Pewnie wstąpił do biblioteki, żeby się ogrzać, podobnie jak Madeline.

– Brandy nie, dziękuję. Życzę dobrej nocy. – Służąca poczekałaby, aż pozwolą jej odejść. Z pozycją damy do towarzystwa wiązało się tyleż dziwnych, co znajomych rzeczy.

– Nie musisz uciekać, panno Hennessey – powiedział, podchodząc do komody. – Widzę, że pod moją nieobecność nie leniuchowano w Teak House.

Jak na standardy pokojówki, Madeline obijała się skandalicznie, odkąd wróciła od ciotki Theo.

– Mam na myśli dekoracje – powiedział sir Jack, opierając się o komodę i krzyżując ramiona. – Powiesiłaś jemiołę we frontowym holu, między innymi, choć święta szczęśliwie mamy już prawie za sobą.

– Mieliśmy więcej jemioły. – Madeline zamknęła książkę i wstała. Powinna już pójść. Powinna przestać gapić się na sir Jacka i zastanawiać, o czym myśli.

– Pan Belmont był Pod Łasicą, broniąc honoru drużyny rzutek z Candlewick. Zagroził, że mnie wyzwie, jeśli się okaże, że jesteś tu nieszczęśliwa. – Sir Jack odsunął się od komody. – Jednak nie mogłem mu odpowiedzieć, nie postawiwszy najpierw tego pytania tobie: Czy jesteś szczęśliwa?

– Jestem płatną damą do towarzystwa, sir Jack. Moje szczęście nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma znaczenie.

Sądząc po wyrazie jego twarzy, nie był zbyt uszczęśliwiony przebiegiem tej rozmowy, a Madeline czuła się bardziej pochlebiona, niż powinna.

– Dobrze się odżywiam, mieszkam wygodnie, mam świetne stroje. – Na razie. – Dlaczego nie miałabym być szczęśliwa?

Podszedł bliżej i podniósł książkę Madeline.

– Panna Austen?

– Panna DeWitt nie była zainteresowana, więc mnie zaintrygowała. – Co za przyjemność zanurzyć się w świecie eleganckiej prozy, zręcznej ironii i bezlitosnej uczciwości.

– Brakowało cię Pod Łasicą. Belmont przesyła swoje uszanowanie. Jutro jemy u nich kolację w Candlewick.

To będzie… niezręczne.

– Jak się miewa pan Belmont?

– Zmaga się z wyzwaniami świeżego ojcostwa. Jego drużyna nie wygra turnieju, jeśli nie włoży w grę więcej serca.

Wiele wieczorów Madeline obserwowała, jak słój zapełnia się monetami, a Tavis ledwie nadąża z podawaniem kufli. Następnego wieczoru zamknie tawernę wcześnie, żeby mieć czas posprzątać i przygotować nowe beczki ale. Proboszcz Weekes rozsądnie organizował studia biblijne w te wieczory, kiedy Pod Łasicą zamykano wcześnie.

– Mistrzostwa w przyszłym tygodniu? – Turniej zawsze odbywał się w pierwszą sobotę po Trzech Królach, jako pocieszenie na koniec świątecznego sezonu. Bal zimowy służył temu samemu celowi – podniesieniu wiernych na duchu, kiedy zimowe mrozy najbardziej dawały się we znaki.

Sir Jack odłożył jej książkę na biurko.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Jesteś tutaj szczęśliwa?

Żaden chlebodawca nie dręczyłby służącej takim pytaniem.

– Jestem zadowolona. Jestem wdzięczna. – A w najbardziej luksusowym łóżku, w jakim spała od lat, śniła o sir Jacku Fanningu.

– Ja też jestem wdzięczny – oznajmił sir Jack, opierając się biodrem o biurko. – Wiodę życie, o jakim marzyłem, kiedy tkwiłem zamknięty w więziennej celi. Moje gorące modlitwy spełniły się w większości, a jednak… nie jestem zadowolony.

To była także, jak się wydawało, wina Madeline.

– Może jesteś zmęczony.

– Ledwie stoję na nogach. Pocałuj mnie, Madeline.

Chciała, przy wtórze trąb skrzydlatych cherubinów, niczego tak nie chciała.

– Dżentelmen nie wydaje damie tego typu poleceń. W istocie żaden pracodawca nie może spodziewać się powolności podwładnej, czyniąc jej bezwstydne awanse. Wolałabym raczej bicie, niż zostać zmuszoną…

Sir Jack dotknął palcem warg Madeline, a potem wskazał coś nad swoją głową.

Z belki pod sufitem zwieszała się gałąź przywiędłej jemioły, pomiędzy bladymi, zielonymi liśćmi błyskały białe jagody.

– Jeśli powiesz mi, kto był twoim pierwszym pracodawcą – powiedział sir Jack – pozwę go przed oblicze sądu pod tyloma zarzutami, ile dostarczy wyobraźnia, a podtrzyma plotka. Nie chcę cię obrazić, Madeline.

Madeline.

Przez lata w Candlewick była Hennessey.

Hennessey, gdzie położyłam okulary? Hennessey, czy możesz iść do stajni i przypomnieć panu Chandlerowi, że jest pora posiłku? Hennessey, czy możesz skończyć mieszać ciasto, podczas gdy ja dam odpocząć starym kościom?

A czasami, kiedy pan Belmont wykazywał się wyjątkową głupotą: Hennessey, zapominasz, gdzie twoje miejsce.

Mylił się. Madeline nigdy nie zapominała, gdzie jest jej miejsce, ale kiedy stała pod jemiołą z sir Jackiem, zwracającym się do niej po imieniu,

zapomniała na chwilę, dlaczego nie powinna go zachęcać do zainteresowania swoją osobą.

Sir Jack dał jej możliwość ucieczki; mogła porwać książkę i zbiec do swojej ślicznej sypialni. Położył dłonie na jej szyi, muskając jej policzki kciukami. Jej rozsądek wyparował przez komin, umysł ogarnęła mgła.

Dłonie sir Jacka, ciepłe i stwardniałe, przechylały delikatnie jej głowę. Czuła jego zapach, świeże nocne powietrze, razem z wonią koni i sosen. Ogień trzaskał cichutko, przejmowało ją cudowne ciepło biblioteki, a potem…

Miękkie muśnięcie jego warg na ustach. Oczy Madeline zamknęły się jak w błagalnej modlitwie. Zrób to jeszcze raz. Posłuchał, drań, dwa razy. Trzy ostrzeżenia, a potem jego usta spoczęły na jej ustach.

Madeline całowano i to raczej dużo. Lokaje, mężczyźni pracujący w gospodarstwie, stajenni, czasami jakiś zapłoniony syn miejscowej szlachty, dwa lata wcześniej wikary. Paru mężczyznom pozwoliła na więcej niż pocałunki. Zbierała doświadczenia, gromadząc informacje.

Co takiego zachodziło między mężczyzną a kobietą, owocując oddaniem całego życia, poezją, skandalem, dynastiami, bitwami, dziećmi, zadowoleniem na starość albo nieutulonym żalem? Dla przyzwoitych młodych dam ta wiedza była niedostępna, ale w granicach rozsądku i przy zachowaniu ostrożności, kobiety na służbie mogły dociekać.

Madeline dociekała i za każdym razem spotykało ją rozczarowanie. Całowanie i pieszczoty były przyjemne. Akt miłosny dawał chwilową przyjemność, ale potem czuła się niezręcznie, słysząc fałszywe obietnice, tak że ogółem rzecz ujmując…

Ogółem rzecz ujmując, prowadziła swoje badania z niewłaściwymi mężczyznami.

Jack Fanning potrafił pieścić kobietę ustami, obdarzać ją powolnymi pocałunkami, cudami rozkoszy, tak że nogi damy zamieniały się w watę i nie czuła nic poza nim: jego ciepłem, smakiem, dotykiem.

Jedwabiste, delikatne włosy, trochę chłodne i wilgotne na skutek pogody. Broda, która nie zetknęła się z brzytwą co najmniej jeden dzień. Pozbawione tłuszczu mięśnie na długich kościach, dobrze skrojone ubranie. Objął ją, a w Madeline wszystko ułożyło się, dostosowując do jego objęć.

Sir Jack zdradzał objawy rosnącego podniecenia i nie miał nic przeciwko temu, żeby Madeline o tym wiedziała. A ona nie czuła potrzeby, żeby studzić jego zapał, ani też, żeby sprawdzać, do czego może doprowadzić.

Całowano ją. Nareszcie całowano ją wprawnie i prawdziwie.

Sir Jack położył dłoń na jej karku.

– Nie uciekasz.

– Ty też nie.

Odstąpił do tyłu, biorąc ją za rękę i prowadząc w stronę kanapy.

– Musimy porozmawiać.

Madeline wolałaby raczej dalej się całować, ponieważ „porozmawianie” mogło grozić rozczarowaniem. Usiadła na kanapie, sir Jack obok niej.

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął mocno.

– Twoje pocałunki oszałamiają. A mnie niełatwo oszołomić.

Madeline ulegała oszołomieniu łatwiej, niż jej się wydawało.

– Nie musisz wygłaszać żadnych deklaracji, sir Jack. Jestem pokojówką, która odgrywa rolę płatnej damy do towarzystwa. Kiedy twoja matka wróci do Londynu, odłożę pożyczone piękne stroje i wrócę do Candlewick, jeśli jeszcze będą mnie tam potrzebowali.

Sir Jack był równie dobry w pieszczotach, jak w całowaniu, a to już było bardzo nie w porządku.

– Byłem kiedyś więźniem. Nie obchodzi mnie to.

– Przykro mi. – Co gorsza, Madeline miała ochotę ścigać łajdaków, którzy potraktowali go z takim okrucieństwem.

– Co chcę powiedzieć, Madeline, to, że nie mogę znieść myśli, że moje awanse… Musisz mi dać jasno do zrozumienia, czy się nie narzucam. Nie staraj się mnie udobruchać, znosić ani w ogóle nie zgadzaj się na coś, co

kłóci się z twoimi chęciami. Nie jesteś częścią żywego inwentarza, niezależnie od tego, co mówi prawo na ten temat. Twoje życzenia nie tylko się liczą, ale będą decydować o przebiegu naszych stosunków.

Mówił szczerze. W ustach innego mężczyzny te szczytne słowa byłyby tylko kolejnymi fałszywymi obietnicami, porzuconymi natychmiast za drzwiami jakiejś pustej spiżarni.

– Będziemy mieć jakieś stosunki? – zapytała.

– To zależy tylko od ciebie.

Chciała go pocałować – na pożegnanie – i uciec do łóżka, żeby o nim marzyć. To był sir John Dewey Fanning, pretendent do tytułu hrabiowskiego, odznaczony weteran wojenny oraz wybrany na – nawet jeśli bez entuzjazmu z jego strony – przyszłego narzeczonego panny Lucy Anne DeWitt z rodziny DeWitt w Dorset.

A także sędzia pokoju.

– Nie szukam męża.

– Nie szukam kobiety do łóżka, a tym bardziej nie chcę się narzucać kobiecie, którą zatrudniam.

Co zostawało? Może kochankowie. Zdecydowanie było o czym myśleć. Ten pocałunek, w przeciwieństwie do poprzedniego, na tyle skomplikował sytuację, że podjęcie jakiejkolwiek decyzji wydawało się niemożliwe.

– Twój pocałunek… – Madeline nie była pewna, czy powinna mu mówić, co znaczył dla niej jego pocałunek.

– Tak?

Sir Jack się uśmiechał, to był pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki Madeline u niego widziała i miał taką samą moc jak jego pocałunek. Czarujący, nieśmiały, szelmowski, męski, męski, bardzo męski… Wiedział, jak działają jego pocałunki i był z siebie zadowolony.

– Powinieneś się częściej uśmiechać, Jacku Fanningu.

– Powinienem cię częściej całować, ale teraz odprowadzę cię do sypialni.

Rozsądny plan. Jack podniósł Madeline na nogi, wziął świecę z półeczki nad kominkiem i odprowadził Madeline wprost pod drzwi sypialni. Zaryzykowałaby kolejny pocałunek, ale on cmoknął ją w czoło, skłonił się i odszedł.

Zostawiając Madeline w ciemnym, chłodnym korytarzu; usiłowała sobie przypomnieć, gdzie jeszcze kazała Pahdiemu powiesić w domu jemiołę.

– Mówiłem ci, czy może nie mówiłem, że sir Jack porzucił grę w rzutki? – zapytał Axel Belmont, układając się w łóżku obok żony.

Dziecko spało w kołysce, w pokoju dziecinnym po drugiej stronie korytarza; Abigail starała się przedłużyć możliwie rodzicielski sen, biorąc pod uwagę godziny karmienia. Kiedy niańka pukała do drzwi, Axel przynosił dziecko Abigail. Potem czekał, aż po skończonej wyprawie do spiżarni maluchowi się odbije i pozwalał mu znowu zasnąć. Axel nauczył się nawet zmieniać pieluchy, co bardzo bawiło Abigail.

– Sir Jack był bardzo cichy przy kolacji – zauważyła Abigail, przysuwając się bliżej.

Ciąża zmieniła jej kształty, zmienił się także stosunek Axela do niej. Miłość zamieniła się w morze czułości. W pierwszym małżeństwie kochał z radością, siłą i sumiennością młodego człowieka. Tym razem miłość opanowała go w całości, jego serce, duszę i ciało.

– Sir Jack pozwalał mówić niezwykle rozmownej pannie DeWitt – powiedział Axel. – Zapomniałem, jak paplają młode kobiety.

– Chcesz powiedzieć, że jestem stara?

– Jesteś mądra. Obawiam się, że młoda dama była zdenerwowana. Pani Belmont, zważaj na swoje ręce.

Uzgodnili, że wznowią małżeńskie stosunki nie wcześniej jak po zimowym balu, a Axel chciał, żeby dzieci przychodziły na świat w rozsądnych odstępach.

Abigail najwidoczniej usiłowała uczynić z niego lunatyka.

– Wielebny Jeremy Fanning nieco mnie zaskoczył.

– Przystojna, raczej niewinna niespodzianka. Pani Belmont, jeśli będziesz to kontynuować…

Abigail dotykała go śmiało tam, gdzie bardzo lubił, żeby go dotykano.

– Co mówiłeś, panie Belmont?

– Mówiłem, że nie uważałem naszej Hennessey za tchórza. – Madeline odmówiła udziału w kolacji, co wydawało się niepokojące.

– Madeline jest nieśmiała, a występowanie w roli gościa w domu, gdzie pracowała jako służąca, byłoby wyzwaniem dla każdego.

– Abigail…

– Hm?

Abigail poruszała dłońmi w doskonałym rytmie, powolnym i słodkim, który w każdym mężczyźnie wzbudziłby głęboką wdzięczność za wygodne łóżko, troskliwą żonę – a także za śpiące niemowlę.

– Candlewick nie jest domem, gdzie panuje sztywna etykieta – zdołał wykrztusić Axel. – Madeline ma tutaj przyjaciół, którzy za nią tęsknią.

Abigail zwolniła tempo.

– Ja za nią tęsknię. Ty także, podobnie jak pani Turnbull, kucharka, pan Chandler…

Axel przykrył dłoń Abigail własną, chociaż czy ją ponaglał, czy współuczestniczył we własnej torturze, nie umiałby powiedzieć.

– Nasz służba się starzeje – powiedział Axel. – Nie zauważyłem tego, zanim Madeline nas nie zostawiła, żeby być z sir Jackiem… żeby zorganizować mu dom.

– Może sir Jacka także podbije. – Abigail pocałowała Axela w policzek. – Jeśli znajdę odpowiednią chwilę, porozmawiam z panią Turnbull o przejściu na rentę.

Przez długie słodkie minuty Axel darował sobie przedstawianie ważnych, rozsądnych uwag, zamiast tego skupił się na bliskości żony. Następne tygodnie nie mogły upłynąć dość szybko.

– Powtarzam sobie, że nie jestem już namiętnym studentem – powiedział, biorąc żonę w ramiona parę cudownych chwil później. – Powtarzam sobie, że dojrzałość przynosi opanowanie i wstrzemięźliwość. Powtarzam sobie różne bajki.

– Jeszcze trochę, a będziesz mógł zbadać moją wstrzemięźliwość do kresu wytrzymałości – odparła Abigail. – Martwisz się o Madeline?

Dorośli mężczyźni z ogromnymi zasobami wstrzemięźliwości nie martwili się o zbłąkaną służbę.

– Co my o niej wiemy, Abigail? Pewnego dnia podniosłem wzrok i zobaczyłem tę wysoką, ładną dziewczynę, jak wymiata popiół z kominka w bibliotece. Kiedy Caroline zachorowała, dziewczyna stała się młodą kobietą i utrzymywała dom w porządku, pomimo że gospodarz upierał się, żeby pić całymi dniami i pracować całe noce. Madeline była w Candlewick blisko dziesięć lat, a jednak…

– Wiem. – Abigail odwróciła się, wtulając plecy w biodro męża. On także się odwrócił, przyciskając do niej całym ciałem. – Przez krótki czas była moją osobistą pokojówką, a jednak nie mam pojęcia, kim jest jej rodzina, poza dwiema trudnymi ciotkami, ani jak się nauczyła tak pięknie haftować. Jeśli pomasujesz mi plecy w ten sposób, zasnę.

Dziecko obudzi ją co najmniej dwa razy w ciągu nocy. Czasami mała szelma spędzała więcej czasu u mamy niż we własnej kołysce, ale Abigail nigdy się nie skarżyła.

– Zaśnij, pani Belmont. Niech ci się przyśni wiosna. – Tak jak Axelowi.

– Pewnie zaraz to zrobię, ale musisz odwiedzić sir Jacka. Potrzebuje posiłków.

Abigail mówiła już śpiącym tonem. Axel masował jej ramiona powolnymi, kojącymi ruchami.

– Sądzisz, że panna DeWitt nastaje na kawalerską wolność Jacka?

W istocie jego wdowieństwo. To wyznanie parę rzeczy wyjaśniło.

– Jeśli tak, to jest uzbrojona jedynie w broń małego kalibru. Podejrzewam, że to artyleria Madeline sprawiła, że Jack był taki cichy i zamyślony.

Dobrze dla Madeline, dobrze dla Jacka Fanninga.

– Spij. Zbiorę dla ciebie więcej informacji w ciągu tygodnia, nawet jeśli miałoby mnie to narazić na więcej paplaniny w służbie mojej królowej.

Abigail zamilkła, jej oddech zwolnił do rytmu charakterystycznego dla dobrze zasłużonego snu. Axel nie zasypiał jeszcze przez parę chwil, masując żonie plecy i zastanawiając się, co jeszcze, poza artylerią Madeline Hennessey, mogło wpłynąć niszcząco na legendarną zręczność w rzutki bohatera spod Parrakan.

Madeline siedziała przy biurku Jacka, z okularami w złotej, drucianej oprawie na nosie. Ten widok był zarazem uczenie poważny, jak i… erotyczny, niech to diabli. Kiedykolwiek by Jack na nią spojrzał – przy partyjce wista albo kiedy jechali do Candlewick, a ona machała im na pożegnanie – odwoływała się do tej jego części, którą z powodzeniem ignorował od czasu wyjazdu z Indii.

– Doszłaś do siebie po migrenie. – Dziś rano nie zeszła na śniadanie.

Skoczyła na równe nogi, przykładając dłoń do gardła.

– Zaskoczyłeś mnie. – Wydawała się zdenerwowana i onieśmielona, może nawet miała poczucie winy.

– Najwidoczniej. – Zaskakiwanie jej było jak najbardziej na miejscu, skoro ona zaskakiwała go co chwila. – Czy miewasz częste bóle głowy?

– Tak, choć zwykle nie są tak silne jak zeszłej nocy. Mam nadzieję, że wieczór w Candlewick okazał się przyjemny?

Jack zgodził się na zmianę tematu, bo dama wydawała się naprawdę wytrącona z równowagi.

– Na kolację podano dobre angielskie dania. Dogotowana wołowina, ziemniaki z masłem, zielona fasolka z sosem i tak dalej. Pani Belmont była

rozczarowana, że nie przyjechałaś.

Jack także się rozczarował wymówką Madeline w ostatniej chwili.

Usiadła z powrotem na swoim – na Jacka, w gruncie rzeczy – miejscu.

– Odwiedzę ich, kiedy będę miała wychodne.

– Kogo odwiedziłaś zeszłej nocy? – Nieładnie tak ją zaskakiwać, ale wzięła powozik po tym, jak wykręciła się od popołudniowej wizyty. Jakiś cichy, męcząco niepewny głos zastanawiał się w jego głowie, czy nie pojechała na spotkanie z kochankiem.

– Odwiedziłam ciotkę Hattie – odparła. – W pół dnia wolnego mogłam odwiedzić tylko ciotkę Theo, a miałam jeszcze zapas herbatników, żeby się z nią podzielić. Świeże powietrze oczyściło moją głowę, a światło pełnego księżyca na śniegu jest takie piękne.

Madeline Hennessey była piękna. Burgundowa, aksamitna suknia uwydatniała zalety jej figury w sposób oszałamiający.

– Byłaś niegrzeczna – powiedział Jack, opierając biodro o róg biurka. – Odebrałaś mi przyjemność zawiezienia cię do ciotki, kiedy będziesz miała następne wychodne. Zamiast tego będę musiał znosić kolejne partie wista i najnowsze londyńskie plotki o ludziach, których mam nadzieję nigdy nie spotkać. Pisałaś list, panno Hennessey?

Jack zachowywał się niegrzecznie, nachylając bliżej, jakby chciał zerknąć na to, co pisała, podczas gdy w istocie wdychał zapach lawendy i wspomnienia. Jej ręce na jego ramionach, jej ciało wtulone w jego, jej pocałunki…

– Sporządzałam listę. Porównywałam listę obowiązków służby według Pahdiego z tym, co sama zaobserwowałam.

– Jakie wnioski wyciągnęłaś?

– Pahdi nie jest w stanie nadzorować pracy w domu, skoro ma otwierać drzwi frontowe.

Jej pismo było pięknym, płynnym pismem wykształconej damy, które dawało się bez trudu odczytać.

– Najbystrzejsza para oczu powinna stać na dole na straży.

– Nie jesteśmy garnizonem w jakiejś dalekiej dżungli, sir Jack.

Jednak Jack czuł się zagubiony. Panna Hennessey miała piegi na grzbietach dłoni. Miałby ochotę pocałować je wszystkie i to uczucie przypomniało mu czasy po wyjściu z niewoli. Uczucia i doznania były za ostre, za jaskrawe, zbyt palące i wprawiające w zmieszanie tam, gdzie chodziło o Madeline Hennessey i nic nie miało sensu.

– Jak wobec tego należy obsadzić, twoim zdaniem, drzwi frontowe?

– Wyznacz na to miejsce lokaja, najstarszego i z najlepszą prezencją. Jeśli dobrze się sprawi, zastanów się nad przyznaniem mu funkcji podkamerdynera. Daj Pahdiemu swobodę nadzorowania pracy na bieżąco i zajmowanie się domem jak zarządcy.

Niezwykle rozsądne propozycje. Najlepsi oficerowie potrafili zaskarbić sobie zaufanie podwładnych, nie spoufalając się z nimi. To często wymagało spacerowania po stajniach, w mesie, na placu apelowym o dziwnych porach.

– Czy pani Abernathy nadzoruje pracę na bieżąco?

– Pani Abernathy nastawia jedne pokojówki przeciwko drugim, spodziewając się, że będą na siebie donosić.

– Niedobrze – powiedział Jack, podsuwając się bliżej i spoglądając na papier. – Donosiciele niszczą *esprit de corps*. Co to jest?

Jego nazwisko także widniało na liście, chociaż pod sir John Dewey Fanning nie wyszczególniono żadnych obowiązków.

Do drzwi rozległo się puk-puk-puk Pahdiego i Jack wyprostował się.

– Wejść.

Pahdi otworzył drzwi, obok niego stał Bartholomew Tavis z poczerwieniałą twarzą.

– Pan Tavis przyszedł w pilnej sprawie, sir.

– Nie potrzebuję hinduskiego lokajczyka, żeby mnie zapowiadał. – Tavis przepchnął się obok szczuplejszego Pahdiego. – Przyszedłem do

królewskiego urzędnika w ważnej sprawie.

Profil Pahdiego mógłby być rzeźbą z mahoniu.

– Zdejmij czapkę, Tavis – powiedział Jack, kiedy Pahdi wyszedł. – Jesteś w obecności damy.

Rozkazujący ton skłonił Tavisa do zdjęcia czapki, mimo zmieszania w jego oczach.

– Panna Hennessey?

Wstała i dygnęła.

– Zostawiam dżentelmenów samych, żebyście mogli swobodnie podyskutować.

Tavis był wielkim, potężnym mężczyzną, który miał więcej krzepy niż rozumu; wśród miejscowych przeważała opinia, że jego zmarła matka lepiej prowadziła Pod Mokrą Łasicą niż on. Tavis ciężko pracował – wszyscy się zgadzali, że ciężko pracuje – ale był także twardym człowiekiem dla ludzi, których zatrudniał, i dla klientów.

Tavis śledził wzrokiem pannę Hennessey, kiedy ta szła przez bibliotekę; jego spojrzenie nie wyrażało specjalnego szacunku, ale też nie było otwarcie lubieżne.

– Kogoś mi przypomina – powiedział. – W tych fatałaszkach kogoś mi przypomina. Z taką figurą sprzedałaby mnóstwo ale.

Taka uwaga mogła go kosztować wyzwanie na pojedynek, pomimo niechęci Jacka do przemocy.

– Usiądziemy? Może coś do picia?

– Specjalnie nie piję – oznajmił Tavis, patrząc wszędzie, tylko nie na Jacka. – Lubię dobrą czarną herbatę, jeśli chce pan wiedzieć.

– Tak jak ja. – Jack pociągnął dwa razy za sznur od dzwonka. – Poczekamy, aż przyniosą tacę, a tymczasem może zapoznasz mnie z powodem swojej wizyty?

– Ma pan strasznie dużo książek.

W bibliotekach zwykle było strasznie dużo książek, natomiast Jack nie miał strasznie dużo cierpliwości.

– Lubię czytać. – Jack usiadł na miejscu, które Madeline opuściła w nadziei, że Tavis usiądzie na którymś z krzeseł przy biurku.

– Nie martwi się pan, że służba może mieć lepkie palce?

Kolejna obraźliwa aluzja dotycząca Pahdiego. Jack nie był zaskoczony, ale rozczarowany.

– Jeśli myślisz o moim kamerdynerze, odpowiedź brzmi: nie. Nie boję się o swoją własność. Pahdiemu powierzyłbym własne życie. Kiedy moi angielscy, dzielni rekruci czmychnęli co do jednego, Pahdi został przy mnie, zabrał mi broń i wycelował prosto w tygrysa. Byłem za słaby, żeby uciekać i tubylcy nieśli mnie na noszach. Oni także nie chcieli mnie opuścić.

Pahdi nie trafił w przeklętego tygrysa, ale hałas broni spłoszył zwierzę. Żołnierze Jacka nie śmieli spojrzeć mu w oczy przez całą drogę powrotną do garnizonu.

– Tygrys?

– W nie większej odległości niż ty od tego pianina. Niewielu ludzi przeżywa, żeby opowiedzieć o takiej przygodzie, ale to z pewnością nie ma nic wspólnego z celem twojej wizyty.

Tavis włożył czapkę, ściągnął ją znowu i usadowił potężne ciało na jednym z krzeseł przed biurkiem Jacka. Woń węglowego dymu, ale, wilgotnej wełny i turniejowej nocy przebiła się przez zapach drzewa sandałowego, panujący w bibliotece.

– Pieniądze z zawodów zniknęły – oznajmił Tavis. – Wszystko. Ktoś zabrał cały słój z wygranymi, a mistrzostwa w przyszłym tygodniu.

Słój sporo ważył i przeniesienie tylu monet w szklanym naczyniu musiałoby wywołać sporo hałasu.

Kiedy lokaj przyniósł tacę z herbatą, Jack odsunął listy panny Hennessey i zaczął pisać własną.

– Kiedy zauważyłeś brak słoja?

Tavis poprzedniego wieczoru zamknął tawernę dość wcześnie, zgodnie ze zwyczajem w noce zawodów. Paru gości pozostawało w pokojach i wszyscy odjechali porannym dyliżansem do Londynu. Tavis zajmował się własnym śniadaniem, kiedy zauważył, że słoja nie ma.

– Czy goście mieli bagaż?

– Tak. Jeden gość bardzo był dbały o to, jak jego kufry zostaną umocowane na tyłach powozu. Myśli pan, że moje wygrane są teraz w drodze do Londynu?

– To możliwe. Rozejrzę się jednak i porozmawiam ze służbą. Czy wiadomo mniej więcej, ile pieniędzy było w słoju?

Tavis podał sumę co do pensa.

– Nie chodzi o pieniądze – stwierdził, dopijając trzecią filiżankę herbaty. – Tylko o to, że ktoś mógł zabrać słój, który stoi za barem przez cały rok. Kradzież to przestępstwo.

W pewnych okolicznościach karana śmiercią. Prawo nie uznawało głupoty za okoliczność łagodzącą.

– Kradzież jest przestępstwem i przykro mi, że padłeś ofiarą złodzieja. Dobrze, że dałeś mi o tym znać. – Złodziej wziął pieniądze, ale, co istotniejsze, uraził godność Tavisa jako właściciela gospody. Ta okoliczność, a nie zaginione monety, skłoniła Jacka do zadawania pytań.

– Mówiłeś, że drzwi magazynu pozostają otwarte, tak żeby kupcy z Oksfordu mogli dostarczać towar bez konieczności pilnowania tylnych drzwi w ciągu dnia. Kiedy podwórko jest zamykane na noc?

Tavis zerknął na filiżankę; krucha porcelana robiła dziwne wrażenie w jego niedźwiedzich łapach.

– Nie zamykam. Podróżni mogą przybyć o każdej porze i jeśli zaczną walić w drzwi frontowe w nocy, obudzą mi wszystkich gości. Drzwi frontowych nigdy się nie zamyka, tak samo jak w kościele. Zawsze gotowi do interesu.

Uśmiechnął się smutny, dumny i zmartwiony.

– Pod Łasicą uczciwie zapracowała na swoją dobrą reputację – powiedział Jack, chociaż owa reputacja była zasługą raczej matki Tavisa niż obecnego właściciela. – Ale jeśli jesteś w magazynie, w kuchni albo w piwnicy, a drzwi frontowe i tylne stoją otworem, to każdy może wejść i zabrać słój z pieniędzmi. Czy zginęły inne pieniądze? Jakieś rzeczy?

Tavis wstał i obciągnął kamizelkę.

– Nic, co bym zauważył. Mam pytanie, jeśli wolno.

Jack podniósł się również, w myślach obmyślając plan dnia, tak żeby mieć czas na wizytę Pod Łasicą.

– Odpowiem, jeśli to pomoże w sprawie.

– Gdzie był pański kamerdyner zeszłej nocy?

Och, na Boga.

– Dlaczego pytasz?

Tavis wpatrywał się w grzbiety książek na półkach biblioteki.

– Nie ośmieliłby się kraść tutaj, ale jego rasa nie uznaje spożywania mocnych trunków. To fakt.

Napady bigoterii, jakie prezentował Tavis – obrażające logikę i zdrowy rozsądek – były niewiarygodne. Jack odprowadził gościa do drzwi, starając się wymyślić uprzejmą ripostę.

– Pahdi należy do Kościoła anglikańskiego, Tavis. Gdyby oskarżać każdego niepijącego o kradzież, wiele owdowiałych ciotek oskarżono by bez dowodów. Korona źle przyjmuje takie oskarżenia, podobnie jak ja. Pomówienia, jeśli całkiem fałszywe, mogą prowadzić do procesów o zniesławienie.

Jack otworzył drzwi biblioteki; Madeline Hennessey i panna DeWitt schodziły właśnie po schodach.

– Ach, panno Hennessey, może pani uspokoić pana Tavisa w drobnej kwestii.

Madeline uśmiechnęła się z wdziękiem, wyraz twarzy panny DeWitt pozostawał niepewny. Bartholomew Tavis nie wystroił się w najlepsze niedzielne ubranie przed wizytą w Teak House.

– Będę szczęśliwa, mogąc pomóc – odparła panna Hennessey.

– Gdzie był Pahdi zeszłej nocy? Nie mogę za niego ręczyć, bo bawiłem w gościnie w Candlewick. Ty, jednakże, nie przyłączyłaś się do nas, możesz więc poświadczyć, czy Pahdi także został wtedy w domu.

– W tym domu – odparła Madeline, poprawiając na ramionach kremowy wełniany szal – kamerdyner otwiera drzwi frontowe, a wiedzieliśmy, że ty i twoi goście zostaliście zaproszeni do Candlewick na kolację. O ile wiem, Pahdi pozostał na swoim stanowisku cały wieczór. Przechodziłam tamtędy parę razy i widziałam, że Pahdi siedzi w dyżurce portiera. Sądzę, że przywitał was po powrocie od Belmontów.

– Tak było. Tavis, jeśli nie masz więcej pytań, odwiedzę cię Pod Łasicą po lunchu.

Tavis skłonił się niezgrabnie damom i wyszedł.

– Jakich to intersujących masz gości – zauważyła panna De Witt, nieco zbyt ożywionym tonem. – Ale, och, tylko spójrz! Stoisz w wyjątkowo szczęśliwym miejscu, sir Jack!

Jej zadowolenie źle wróżyło przyszłości Jacka i jego humorowi.

– Stoję na własnych nogach. Moja ulubiona pozycja, kiedy pozostaję w pionie. Tavis padł ofiarą drobnej kradzieży i zwrócił się do mnie jako sędziego.

Uśmiech panny DeWitt zbladł, kiedy na szczycie schodów pojawił się Jeremy z mamą.

– Drobnej kradzieży? – zapytała Madeline.

– Zginął słój z wygranymi w zawodach. Nie jakaś ogromna suma, ale całkiem sporo pieniędzy. Podejrzewam, że któryś z pasażerów zaopiekował się słojem, który stał osierocony w szynku. Tavis nie zabezpiecza się w żaden sposób przed kradzieżą. Mam nadzieję, że przyjmie parę dyskretnych

wskazówek, kiedy odwiedzę go po lunchu, żeby obejrzeć scenę przestępstwa.

– Odwiedzisz go po tym, jak cię pocałuję – powiedziała panna DeWitt. – Stoisz akurat pod ogromną wiązką jemioły!

Podeszła bliżej, opierając się dłonią na ramieniu Jacka i wycelowała parę różowych, odętych warg w jego stronę. Pachniała cytryną i jej pocałunek był chłodny i wilgotny jak starej kobiety. Celowała w usta Jacka, nie w policzek, ale udało jej się trafić tylko częściwo.

– Wesołych świąt! – powiedziała panna DeWitt. – Szczęśliwego nowego roku!

Panna DeWitt wydawała się całkiem zadowolona, mama triumfowała, podczas gdy wyraz twarzy Jeremy’ego zdradzał… rozczarowanie?

A Madeline Hennessey uśmiechała się kpiąco do swoich znoszonych butów.

7

Pojadę z tobą, Jack – oznajmił Jeremy przy stole, nie zamierzając przyjąć odmowy. – Tak to się robi. W podróży składamy kurtuazyjną wizytę proboszczowi danej parafii. Ty zbadasz sprawę kradzieży, a ja porozmawiam z proboszczem Weekesem o przypowieściach.

Kiedy domownicy zasiedli do lunchu, panna Hennessey podpowiedziała Jackowi, żeby porozmawiał z osobami, które uczęszczają na cotygodniowe studia biblijne, czy nie widziały jakiegoś podejrzanego ruchu przy gospodzie poprzedniego wieczoru. Zwróciła także uwagę, że w wielu miejscach, które służą różnego typu interesom, wiesza się dzwonek nad drzwiami, żeby dać znać właścicielowi o przybyciu klienta.

– Wszyscy możemy pojechać do wsi. – Lucy Anne klasnęła w dłonie. – Weźmiemy sanie i będziemy mieli świetną zabawę.

– Panna Hennessey z pewnością będzie zachwycona, biorąc sanie – powiedział Jack – jeśli chcecie, panie, zażyć świeżego powietrza. Badając jakąś sprawę, staram się skupić uwagę tylko na niej.

Lucy Anne zmarkotniała, ale potem rozpromieniła się znowu.

– Zatem upieczemy herbatniki. Przywiozłam przepis mamy i do czasu, kiedy złapiesz tych łajdaków, będą na ciebie czekać świeże, ciepłe ciasteczka.

Jeremy ugryzł się w język, żeby nie zauważyć, że Lucy Anne jest nadmierną optymistką ze swoją wiarą w szybkie schwytanie przestępców – nie chciał podważać kompetencji Jacka.

– Herbatniki są niewskazane dla zębów – powiedziała mama, dodając drugą łyżeczkę cukru do herbaty. – Jeśli Jack upiera się, żeby w środku zimy włóczyć się po wsi, szukając zaginionych pieniędzy z wygranych jakiegoś hodowcy świń, to mogę tylko mieć nadzieję, że jego własne sprawy są w porządku.

Po takiej uwadze Jeremy padłby przed matką na kolana, błagając o wybaczenie za wszystkie synowskie uchybienia. Mama była w kwaśnym humorze przez cały lunch, ale ostatnia uwaga ocierała się o złośliwość.

– Proszę mieć cierpliwość dla oberżysty, pani Fanning. – Panna Hennessey postawiła dzbanuszek ze śmietanką obok filiżanki mamy. – Matka pana Tavisa zmarła dwie zimy temu, w okresie świątecznym, a on pracuje ciężko ze świadomością, że nigdy jej nie dorówna. Była niezwykle gościnna, a jednocześnie świetnie prosperowała; Łasica nie jest już taka sama bez niej.

– Handel trzęsie się nad najdrobniejszym groszem – stwierdziła mama. – Wysoce niestosowne, ale cóż, Jack jest, jak rozumiem, sędzią. Na razie.

– Właśnie. – Jack podniósł się od stołu. – Pożegnam się teraz z paniami. Jeremy, pora ruszać.

– Będziemy niecierpliwie czekać na te herbatniki – powiedział Jeremy, chwytając ostatnią bułkę z koszyka na środku stołu. – Najbardziej lubię cynamonowe.

Jack wyprowadził go za drzwi za łokieć.

– Czy naprawdę chcesz odwiedzić proboszcza, czy po prostu potrzebujesz odpoczynku od dam?

– Odpoczynku?

– Od gruchania i ćwierkania, paplania i chichotania. Doprowadzają mnie do obłędu. Wkładaj buty, spotkamy się w stajniach.

– Mówisz jak mama – powiedział Jeremy, z ustami zajętymi bułką. – Jest stara, bolą ją stawy, a żaden z nas nie dał jej wnuków, żeby mogła je psuć i rozpieszczać. Skąd ten zły humor?

Jack zabrał bułkę Jeremy’emu.

– Myślisz, że bolą ją stawy?

– Zwłaszcza kolana. Ale głównie, jak sądzę, boli ją serce.

Jack oderwał kawałek bułki i oddał resztę, mierząc brata spojrzeniem, które u guwernantki znaczyłoby, że podejrzewa, że ktoś porwał jej podopiecznego i na jego miejsce podstawił innego. Innego chłopca z plamami od dżemu na koszuli.

– Boli są serce dlatego, że niewiele jej zostało czasu na ziemi, czy dlatego, że potrzebuje męskiego towarzystwa?

Jeremy zostawił buty do konnej jazdy przy tylnych drzwiach i zanim Jack zdążył zrabować więcej przepysznej, świeżej bułki, ruszył w tamtą stronę.

– Te dwie rzeczy są ze sobą związane, nie sądzisz? Smutek to ciężar, który łatwo może osłabić serce. Mama się o ciebie martwi. Wini się za to, że pozwoliła ci wyjechać do Indii. Obwinia się o wszelkie okropieństwa, jakich tam doznałeś.

Schodzili z tupotem po schodach, pręgowany kot posłał im gniewne spojrzenie i syknął, kiedy mijali półpiętro.

– Mama ci to powiedziała? – zapytał Jack.

– Nie musi tego mówić głośno. Widzę, jak na ciebie patrzy. Chyba nie ukradłeś tych pieniędzy, żeby mieć pretekst do wyjścia z domu?

Jack zatrzymał się na dole schodów.

– Co za wspaniały pomysł! Jesteś pewien, że kościół jest miejscem, które najlepiej wykorzysta twoje talenty?

– Tak, nie jestem bohaterem jak ty. Jestem tylko miłym człowiekiem, który chce, żeby wszyscy byli szczęśliwi. Ty sprawiałeś, że ludzie przestawali toczyć wojny…

– Nie bądź niemądry. O mało nie wywołałem wojny, kiedy dałem się złapać i była to tylko moja wina.

Jeremy wpakował resztę bułki do ust.

– Powiedz to mamie.

Jack odsunął się, żeby pozwolić przejść młodej służącej z piękną tacą na herbatę, jedną z tych, które wydawały się bez przerwy krążyć po domu.

– Bądźmy poważni – powiedział Jack, idąc w stronę tylnego wyjścia. – Nie opowiem dobrze urodzonej, starszej damie o niedogodnościach wojny, jakie spotykają aroganckiego angielskiego oficera w dżunglach Indii. Opowieść mówiłaby o brudzie, swędzeniu, robactwie, smrodzie i wulgarnym języku.

– I to zanim jeszcze, jak przypuszczam, dostałeś się do niewoli. Zdobyłeś serce panny DeWitt, jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie.

Po drugiej stronie korytarza, na kołkach, wisiały peleryny, narzutki, płaszcze. Wzdłuż ściany ustawiono parami buty; czapki, szaliki, rękawiczki leżały na półce powyżej. Ten widok przypomniał Jeremy’emu kościelny przedsionek w zmienną pogodę.

W tym domu mieszkała i pracowała cała kongregacja; to wspaniałe domostwo panna DeWitt mogła się spodziewać nazywać swoim własnym.

Czuł, że takie myśli nie są zgodne z duchem chrześcijaństwa.

– Mam brata, któremu się poluzowały klepki w głowie – stwierdził Jack, rzucając Jeremy’emu szalik. – Panna DeWitt nie odbyła ze mną żadnej prywatnej rozmowy, a jej napaść pod jemiołą to pierwsza zachęta do jakiegoś flirtu. Przykro byłoby ranić uczucia młodej damy, ale jej technika wymaga ćwiczeń. Mam nadzieję, że masz rękawiczki.

– Oczywiście, że mam rękawiczki. Nie jesteś zainteresowany panną DeWitt? – Ze względu na damę Jeremy chciał, żeby Jack raczył zauważyć, jaką mu przedstawiono śliczną, słodką, delikatną pannę do wzięcia. Ze względu na Jacka Jeremy wolałby, żeby mama nie była taka natrętna.

Ze względu na siebie… Wolałby, żeby bycie miłym człowiekiem nie było czasami takie straszliwie męczące.

Jack zarzucił ciepły płaszcz na ramiona i nawet ta zwykła, codzienna czynność została wykonana ze swego rodzaju męskim rozmachem. Płaszcz

opadł na szerokie ramiona, wełniany materiał otulał figurę, na którą każda dama miałaby ochotę spojrzeć po raz drugi.

– Masz rację, że przeżyłem w Indiach koszmar – powiedział Jack, wkładając kapelusz dokładnie pod takim kątem, aby nadawał mu wygląd kogoś między śmiałkiem łamiącym kobiece serca a eleganckim dandysem.

Wytworny było właściwym określeniem dla tego wyglądu. Proboszcze nie bywają wytworni.

– Jest jakieś „ale”? – zapytał Jeremy, wkładając ręce w rękawy płaszcza.

– Zaczynam wierzyć, że tak – odparł Jack, naciągając rękawiczki. – Wpakowałem się w tarapaty i wydobyłem się z nich dzięki pomocy tych, którzy mieli prawo zostawić mnie w rowie, żebym umarł.

– Twojego hinduskiego kamerdynera?

– I… jego rodziny. Kiedy moi dowódcy przestali sobie zawracać mną głowę, żeby uniknąć niezręcznej sytuacji, Pahdi i jego krewni nadal mnie szukali. Wyznaczyli okup, bez którego nigdy nie zdołałbym przekupić strażnika i uciec. Miałem przygody, Jeremy, Indie to była częściej przygoda niż koszmar i niektóre były…

Dobrze, że panna DeWitt nie widziała uśmiechu Jacka w tym momencie. Roztopiłaby się z czułości, tworząc kałużę na podłodze, ponieważ cokolwiek Jack wspominał, robił to z pełną wdzięku zadumą.

– Będziemy się ścigać do wsi – powiedział Jeremy. – Jestem mniejszy, młodszy, lżejszy i pokonam cię na dobrym koniu, nawet jeśli jesteś bohaterem i awanturnikiem i wszystkim, czego młoda dama życzyłaby sobie u męża.

Jednym ruchem nadgarstka Jack posłał kapelusz Jeremy’ego w powietrze; wirując, opadł on na jego piersi. Jeremy złapał go lewą ręką i wsadził na głowę.

– Pokonaj mnie w drodze do wsi, jeśli musisz – powiedział Jack, otwierając drzwi i wpuszczając do domu powiew mroźnego powietrza. – Wolałbym, żebyś okazał się ode mnie lepszy pod jemiołą, następnym

razem, kiedy panna DeWitt uzna za stosowne przestrzegać dziwacznych świątecznych obyczajów.

Wymaszerował w mróz na zewnątrz, podczas gdy Jeremy zastanawiał się, czy Jack, wielki amator przygód i bohater, który omal nie spowodował wojny, żartował czy rzucał wyzwanie.

– Pani Weekes twierdzi, że stał tutaj, kiedy przyszła rano, żeby odkurzyć ołtarz – powiedział proboszcz Weekes. – Nie mam pojęcia, jak się tu dostał i wybierałem się właśnie po was, kiedy spotkaliśmy się na drodze.

Słój z wygranymi, z którego monety i banknoty niemal się wylewały, stał na półeczce w westybulu kościoła. Przyczepiona nad nim skarbonka dla biednych wydawała się w porównaniu z nim mała i zniszczona.

– Nie mogę się powstrzymać od myśli, że ktoś czyni kongregacji wyrzuty – powiedział.

– Metafora – szepnął proboszcz, przyglądając się obu przedmiotom, jakby to było dzieło sztuki.

Jeremy wziął małą drewnianą skarbonkę i potrząsnął nią.

– Niewiele tego, a o tej porze roku potrzeby są duże. – Odłożył skarbonkę na miejsce. – Gdybym był wdową albo sierotą, może poszukałbym innej parafii, żeby w niej klepać biedę.

Tyle że przynależność do parafii wymagała zamieszkiwania w niej przez jakiś czas, bez tego nie przysługiwało prawo do pomocy dobroczynnej. Biedni przenosili się, żeby poprawić swój los – szukając pracy, rodziny, lepszego klimatu – często ze szkodą dla siebie.

– Czy popełniono przestępstwo? – Słój z wygranymi stał wcześniej po jednej stronie ulicy, teraz stoi po drugiej.

Słój wielkości małej beczułki musiał sporo ważyć. Żadne dziecko nie mogło dokonać takiej psoty, zwłaszcza przy warstwie śniegu grubości stopy na dworze.

W drzwiach kościoła ukazał się Bartholomew Tavis w poplamionym białym, sięgającym do kolan pod płaszczem, fartuchu.

– Znaleźliście go! – Jego twarz, z zaciętej i surowej stała się nagle twarzą dobrodusznego oberżysty. – Znalazł pan pieniądze tego samego dnia. Świetna robota, sir Jack!

Świetna czyjaś robota.

– Nic nie zrobiłem – stwierdził Jack. – Żona proboszcza znalazła go tak, jak teraz widzimy, ze skarbonką dla biednych powyżej. Ktoś chciał nam na coś zwrócić uwagę.

Uśmiech Tavisa przybladł.

– Powinienem zamykać Łasicę, wiem. Mama nigdy tego nie robiła, ale czasy są inne. Nie można ufać klientom z Londynu i tym z północy.

Proboszcz nie okazał się specjalnie pomocny.

– Pańska matka cieszyła się dużym szacunkiem, prawda? – odezwał się Jeremy. – Przyjechałem tu całkiem niedawno, a już nieraz słyszałem, jaką świetną gospodą jest Pod Łasicą.

Dzięki, braciszku.

– Mama była święta – oświadczył Tavis. – Nigdy nie odmawiała klientom, nikogo nie puściła z pustym żołądkiem. Wyprawiam turnieje w rzutki na jej cześć.

Pani Tavis wychowała człowieka skłonnego do pielęgnowania złudzeń na swój temat, jeśli już po prostu nie kłamczucha. Turnieje wyprawiano ku czci bogini mamony.

– Spędziłem trochę czasu na Wschodzie – powiedział Jack, podchodząc do słoja, ale nie dotykając go. – Widziałem wiele dziwnych i cudownych rzeczy, których nauka nie umie wyjaśnić. Nie sądziłem, że zobaczę coś takiego w starej, dobrej Anglii, ale z drugiej strony, to szczególny czas w roku.

Proboszcz odchrząknął.

– Co w tym dziwnego? – zapytał Tavis, stąpając ciężko przez westybul. – To mój słój z pieniędzmi, wydaje się pełny po brzegi, tak jak go ostatnio widziałem. Po prostu zabiorę go we właściwe…

– Twoja matka zmarła w czasie świąt dwa lata temu – powiedział Jack, potrząsając niemal pustą skarbonką. – Była wdową, słynącą z gościnności i dobroci, a ty upamiętniłeś jej dziedzictwo, wyprawiając turnieje, o jakich mówi się w całym hrabstwie. Nie jestem przekonany, że to złodziej przeniósł twój słój, panie Tavis.

Proboszcz wczuł się w końcu w ducha dramatu.

– Pani Weekes zauważyła niedawno, że nasza skarbonka przynosi nam wstyd. Twoja własna matka, Tavis, była niezwykle hojna i bez jej przykładu, z przykrością muszę stwierdzić, zapominamy o potrzebach tych, dla których los okazał się mniej łaskawy. Nie mają co do garnka włożyć i nie mają się czym ogrzać, kiedy spalą skromny zapas węgla.

Karczma służyła obu potrzebom, do pewnego stopnia, ale pod rządami Tavisa przyjęto politykę: płać, żeby siedzieć.

– Wszyscy tęsknią za mamą – zgodził się Tavis. – Ale mężczyzna musi zarabiać na życie.

Jack milczał. Dawał hojne datki i zapewne bardziej sumiennie niż inni bogaci właściciele ziemscy czy kupcy w parafii. Nie w tym rzecz.

– Z pewnością wie pan więcej o prowadzeniu tawerny ode mnie – powiedział Jeremy – ale czy podejście pańskiej matki nie zyskiwało Łasicy klientów, którzy inaczej minęliby ją, nie zaglądając do środka? Panie potrafią być w takich kwestiach bardzo przebiegłe.

– Dobra wola zawsze była częścią roztropnej strategii w interesach – zauważył Jack, wręczając proboszczowi skarbonkę.

– Dobroczynność należy do obowiązków chrześcijanina – dodał proboszcz. – Nie mogę uwierzyć… – Odwrócił skarbonkę i wysypał na dłoń trzy monety.

– Za to się nie kupi szynki na niedzielę – szepnął Jeremy. – A co dopiero odrobiny węgla albo ciepłych wełnianych pończoch.

– Mam propozycję – odezwał się Jack po chwili stosownej, melancholijnej zadumy. – Tavis, jeśli ogłosisz, że zamierzasz przekazać swoją część wygranych na fundusz wdów i sierot, drużyny mogą pójść za twoim przykładem. Turniej stanie się nawet bardziej trybutem ku czci twojej zmarłej matki i pięknym świadectwem hojności i dobroci gospodarzy Łasicy.

Łasicę najbardziej kojarzono z marnym zimowym ale. Nikt się nie odzywał, bo Tavis wydawał się rozważać propozycję Jacka.

– Nie sądzicie, że pieniądze ukradziono?

Proboszcz postawił skarbonkę na półce i wrzucił do środka trzy żałosne monety.

– Bardzo dziwny złodziej, który przenosi słój pieniędzy z tawerny do kościoła i nie bierze ani pensa. Z pewnością o takim nie słyszałem.

– Myślę, że matka również cię ostrzegła – powiedział Jack. – Możesz prowadzić znakomitą, gościnną oberżę i służyć wszystkim za przykład szlachetnej dobroczynności, wskazując drogę niczym latarnia morska w mroku, ale zamykaj drzwi na noc, powieś dzwonek nad drzwiami i nie dawaj kluczy każdemu.

– Taak – zgodził się Tavis. – Dzwonek to dobry pomysł. Słój jest dosyć duży.

Jack pomyślał o słabej herbacie Theodosii Hennessey i jej czerstwym chlebie, o pozbawionych barana owcach i walącej się furtce jej siostry.

– Jeśli dzięki twojemu przykładowi cała zawartość słoja znajdzie się w gestii proboszcza na cele dobroczynne – stwierdził Jack – to Łasica może zapoczątkować świąteczną tradycję, którą podejmą oberże pocztowe w całym królestwie. Matka byłaby niezwykle dumna, wiedząc, że jej dobry wpływ tak wiele zdziałał dla tak wielu.

To była prawda, choć trochę… ambitna.

– Dostarczysz innym inspiracji – dodał Jeremy. – Opowiem tę historię mojemu biskupowi po powrocie do Londynu. Byłem świadkiem cudu w Oksfordshire.

– Ja także porozmawiam z naszym biskupem – odezwał się proboszcz. – Jesteś dobrym człowiekiem, Bartholomew. Twoja matka często to powtarzała.

Westchnienie Tavisa mogłoby poruszyć belki sufitu.

– Nigdy się nie kłóciłem z mamą. Nikt, kto ma choć trochę oleju w głowie, tego nie robił. Ogłoszę to na turnieju. Chciałbym jednak zabrać słój do Łasicy.

– Oczywiście – przystał na to proboszcz. – Tym łatwiej będzie podziwiać ogrom twojej szlachetności i wspaniały przykład twojej matki. Szczęśliwego nowego roku, Bartholomew.

Tavis nie sprawiał wrażenia uszczęśliwionego, kiedy wychodził z kościoła ze słojem w ramionach.

– Ten fragment o latarni morskiej – przerwał Jeremy, przeciągające się milczenie. – To było natchnione. Może powinieneś zastanowić się nad karierą w Kościele, Jack.

– Ktoś powinien – szepnął proboszcz. – Wspominam o dobroczynności w kazaniach tak często, jak mogę, ale po tym, jak uprosiłem co zamożniejszych parafian o środki na nowy dach w zeszłym roku, nie śmiem zbytnio naciskać w kwestii pomocy dla wdów i sierot. Dzień, kiedy Matilda Tavis otrzymała skrzydła, nie był dobrym dniem dla biednych w tej parafii.

Ponieważ nakarmienie wdów i sierot liczyło się mniej niż postawienie paru wiader pod okapem?

– Moja drużyna zgodzi się przekazać wygrane – powiedział Jack. – Podobnie drużyna Belmonta. Sprawa nabierze rozmachu.

– Wdowy i sieroty będą wam wdzięczne – zapewnił proboszcz. – Tak samo jak ja.

– Nie mnie należą się podziękowania – odparł Jack, prowadząc Jeremy’ego do drzwi. – To najbardziej niezwykła, pomysłowa kradzież, jaką widziałem na trzech kontynentach.

– Albo najniezwyklejszy cud – zauważył Jeremy. – Szczęśliwego nowego roku, proboszczu i niech zwycięży najlepsza drużyna.

Zostawili proboszcza w pustym kościele; uśmiechał się, mimo prawie pustej skarbonki.

– Złapałam go na kradzieży butów, bezczelnego jak pirat! – Pani Abernathy wymachiwała butami Madeline pod nosem Jacka.

Pahdi, głęboko oburzony, stał przed kominkiem w bibliotece.

– Pani Abernathy, zechce pani ściszyć głos – powiedział sir Jack, odbierając jej buty. – Jaki użytek miałby Pahdi z pary damskich butów?

Z pary znoszonych damskich butów, proszących się o nowe fleki. Madeline czuła się okropnie ze względu na kamerdynera, była także zawstydzona.

– Buty panny Hennessey doskonale nadają się jeszcze do użytku – stwierdziła pani Abernathy. – Można je sprzedać w Oksfordzie w wielu sklepach.

Madeline nie miała złudzeń co do tego, dlaczego sir Jack prosił ją wcześniej o poświadczenie, gdzie przebywał Pahdi. Bartholomew Tavis z pewnością oskarżył Pahdiego o kradzież wygranych. Według tego, co u Tavisa uchodziło za rozumowanie, człowiek na co dzień otoczony drogimi srebrami, przyprawami, kryształami, porcelaną, ryzykowałby, rzecz jasna, nocną wyprawę w śniegu, na mrozie, żeby ukraść pieniądze znajdujące się na widoku publicznym.

– Kiedy Pahdi miałby przebyć te ponad dziesięć mil do Oksfordu, żeby wytargować dobrą cenę? – zapytał sir Jack. – Pół dnia nie wystarczy na podróż w taką pogodę, a sklepy są zamknięte w niedzielę.

Pani Abernathy spojrzała na Madeline, najwyraźniej spodziewając się poparcia, choćby z racji solidarności płci; poparcie jednak nie nadeszło.

– Miał buty w ręku, sir – upierała się pani Abernathy. – Widziałam na własne oczy, jak skradał się korytarzem, trzymając je w ręku. Jeśli wątpi pan w moje słowo, dzisiaj wręczę rezygnację.

Proszę, pozwól jej złożyć rezygnację, Madeline posłała milczącą prośbę w imieniu całej służby.

– Nie wątpię w pani słowo – odparł sir Jack. – Wątpię w pani osąd. Co powiesz, Pahdi?

W żyłach Pahdiego z pewnością płynęła książęca krew. Rzucił pani Abernathy spojrzenie, od którego powinna stanąć w płomieniach. Na Madeline zerknął ze skruchą w oczach.

– Panna Hennessey nie zostawia butów każdej nocy, żeby pucybut je wyczyścił, jednak w taką pogodę obuwie wymaga pielęgnacji, żeby utrzymywać stopy w cieple i suchości. Chciałem zanieść buty do kuchni, do pucybuta i zwrócić je do pokoju panny Hennessey, zanim zauważy, że ich nie ma. W Teak House dbamy o siebie nawzajem, a panna Hennessey zasługuje na najwyższe względy.

Mówił z łagodną stanowczością, jakby wyjaśniał podstawowe prawdy komuś o nieco powolnym umyśle.

Cera pani Abernathy przybrała niemal ten sam odcień, co świąteczne wstążki zdobiące wysokie świece na kominku biblioteki.

– Sprytna historyjka – parsknęła. – Sir Jack nie będzie słuchać tego bajania, jeśli chce, żebym prowadziła mu dom. Ty, panie Pahdi, możesz swoje kłamstwa, złodziejstwo, niegodne…

Sir Jack przechylił głowę, jakby zaciekawiony, do jakiego stopnia niewłaściwie pani Abernathy oceniła sytuację.

– Proszę mu powiedzieć, sir Jack – powiedziała pani Abernathy. – Proszę mu powiedzieć, że tacy jak on nie są tu mile widziani. Nie obchodzi mnie, co Bartholomew Tavis bajdurzy o aniołach i cudach, mamy wśród nas

złodzieja i ja wiem, kto to jest. Okazać tym ludziom odrobinę serca, a oni chcą więcej i więcej. To nie pańska wina, że ma pan dobre serce. Wielu dobrych ludzi wyjechało do Indii i wróciło ogłupiałych.

W opinii Madeline to pani Abernathy brakowało rozumu. Ale kobieta spędzała czas głównie pod schodami. Nigdy nie widziała, jak sir Jack rąbie drewno dla starej samotnej kobiety, nie widziała, jak cierpliwie partneruje matce przy grze w wista, nie rozumiała, jak sumiennie wykonuje obowiązki sędziego.

I nie miała pojęcia, jaki jest lojalny. Pani Abernathy brała pieniądze sir Jacka i zastraszała jego pokojówki, uważając zapewne, że to dobra wymiana.

Sir Jack postawił buty na biurku. Żałosne, zniszczone, nie obcierały już jednak stóp Madeline.

– Tylko głupiec ukradłby takie buty – zauważył sir Jack. – A wiem z całą pewnością, że Pahdi nie jest głupcem. Pani Abernathy, rozumiem, że zatrudnienie w Teak House przestało pani odpowiadać. Z przykrością przyjmę pani rezygnację i wydam pani referencje stosowne do pani usług. Z pewnością ma pani rodzinę, którą ucieszy pani obecność. Rano otrzyma pani hojną odprawę i zostanie pani, wraz z bagażem, odwieziona do gospody Pod Łasicą.

Podobnie jak Pahdi, Jack nie podniósł głosu, jednak Madeline miała ochotę zatkać uszy i wybiec z pokoju. Pani Abernathy, z wściekłą miną, drgnąwszy w charakterze ukłonu, ubiegła ją przy drzwiach.

Gospodyni trzasnęła drzwiami w chwili, gdy sir Jack wyszeptał:

– Szczęśliwego nowego roku, pani Abernathy.

– Panno Hennessey, proszę o wybaczenie. – Pahdi skłonił się Madeline. – Powinienem zapytać o pozwolenie, zanim zabrałem twoje buty.

– Nie, nie powinieneś – powiedział sir Jack. – Nie dostałbyś pozwolenia, o czym wszyscy wiemy. Okazałeś troskę, a pani Abernathy jest podłą

kobietą. Jestem w istocie twoim dłużnikiem, bo należało ją zwolnić już dawno.

Mężczyźni wymienili spojrzenia, wyrażające rezygnację, zrozumienie i – o ile Madeline się nie pomyliła – także rozbawienie.

– Sama zadbam o swoje buty – powiedziała Madeline. – Ale dziękuję ci za troskliwość, Pahdi.

Sięgnęła po buty, ale sir Jack powstrzymał ją, ujmując za nadgarstek.

– Pahdi, możesz nas zostawić?

Madeline wysunęła rękę z dłoni sir Jacka. Pahdi skłonił się i wyszedł.

Buty stały na suszce, na biurku, ich powiązane sznurowadła i starte obcasy dawały świadectwo latom służby i zapowiadały kolejne.

– Teak House nie ma gospodyni – powiedział Jack. – Święta ledwo minęły, mamy gości, a pani Abernathy z pewnością nie odejdzie, nie zasiewając paru ziaren niezgody. Usiłuję, bez powodzenia, zacząć się z tego powodu niepokoić.

Madeline czuła niepokój. Była głupią gęsią, całując wcześniej Jacka Fanninga, ale samotnej głupiej gęsi wybacza się parę potknięć. Teraz nic by jej nie usprawiedliwiało, a jednak jedyne, o czym mogła myśleć, to jemioła, wisząca parę kroków dalej.

Jack Fanning był ostatnim człowiekiem, z którym powinna przebywać sam na sam i w żadnych okolicznościach…

– Madeline?

– Pahdi z pewnością nie ukradł moich butów – powiedziała Madeline. – Pani Abernathy jest leniwą, złośliwą i głupią bigotką.

– Głupią?

– Wszyscy widzą, że Pahdi jest ci oddany. Daleko od domu, bez rodziny, przyjaciół, pada ofiarą ciągłych wstrętnych podejrzeń. Nie zostałabym u twego boku w takich warunkach, chyba że bym cię mocno kochała. Nawet jeśli Pahdi kradłby buty, nie powinieneś go zwalniać.

Sir Jack postawił buty na podłodze.

– Gdyby zrobił coś złego, mógłbym nie mieć wyboru, moja droga. Jestem sędzią, a kradzież to kradzież.

Jack Fanning miał za sobą karierę w wojsku, był dżentelmenem i miał… rację. Kradzież to przestępstwo w oczach głupiego, przeklętego, złego prawa.

– Szczęśliwie się zatem składa, że ja nie kradnę butów.

– Powinnaś to rozważyć, chociaż raz. – Wziął ją za rękę i pociągnął na kanapę, obok siebie. – Twoje obuwie lewie zasługuje na tę nazwę. Belmont powinien spłonąć ze wstydu.

– Nie obrażaj przy mnie Axela Belmonta, Jacku Fanningu.

Posłał jej uśmiech – nieśmiały, bezczelny, szelmowski, cudowny.

– Uratujesz mnie przed moim własnym szaleństwem, Madeline? Wiem, że jesteś tutaj zatrudniona chwilowo jako dama do towarzystwa i mama nie poskarżyła się na ciebie jeszcze ani razu. Za moją sprawą straciliśmy gospodynię w takiej porze roku, kiedy kwitnie życie towarzyskie. Niezbyt szczęśliwe posunięcie, zwłaszcza że jak rozsądnie wskazała pani Abernathy, złodziej jest na wolności.

– Chcesz złapać złodzieja – czy też złodziei?

Jack oparł się wygodnie, krzyżując nogi w kostkach.

– Coś w aferze z ukradzionym węglem oraz lewitującym słoikiem pieniędzy każe podejrzewać jedną rękę.

– A co ze zbłąkanym baranem pana Cottona?

– To mogła być zwykła, niewinna wycieczka części żywego inwentarza.

Madeline wstała, temat był dużo mniej interesujący niż pocałunki, choć też niosący duże napięcie.

– Może tak, może nie. We wszystkich trzech przypadkach ktoś skorzystał, nie wyrządzając ofierze znaczącej krzywdy.

– Prawda, a w wypadku McArdle’a i Tavisa można nawet powiedzieć, że ofiary skorzystały z wizyty złodzieja. Baran Cottona też nie stracił na swojej wyprawie.

Nawyki służącej pomogły Madeline oderwać się od widoku ust Jacka Fanninga, układających się w kształt wypowiadanych słów. Chodziła po pokoju, poprawiając narzutę na kanapie, porządkując książki na stole, opuszczając wieko pianina. Układała nuty w porządku alfabetycznym, kiedy od tyłu objęła ją w kibici para mocnych rąk.

– Madeline Hennessey, unikasz mnie.

– Próbuję.

Jack opuścił ręce i odwrócił ją za ramiona.

– Dlaczego?

– Powinieneś ożenić się z panną DeWitt.

Wyjął nuty z rąk Madeline – utwór Clementiego w F-dur, którego uczyła się na pamięć przez miesiąc, kiedy miała jedenaście lat – i odłożył je na bok.

– Powinienem się ożenić z panną DeWitt? A ja myślałem, że jesteś rozsądna i spostrzegawcza.

– Panna DeWitt będzie doskonałą żoną dla rycerza królestwa. Jest ładna i wesoła i nigdy nie usiłowałaby cię podporządkować. Byłaby dobrą matką i wiedziałaby dokładnie, jak podejmować trzydziestu gości.

– Czy wiesz, jak często gościłem trzydzieści osób na kolacji?

Srebra domowe wystarczyłyby dla dwa razy tylu gości, tak samo jak kryształy i porcelana.

– Nie tak często, jak powinieneś.

– Nigdy, Madeline i nie zamierzam teraz zaczynać. Zamierzam jednakże cię pocałować.

Myśli Jacka biegały nieskładnie jak marcowe króliki. A to szukał związku między kradzieżą u McArdle’a i Tavisa, a to patrzył z zachwytem na wygięcie ust Madeline. Potem przypominał sobie, że w domu nie ma gospodyni i odczuwał jednocześnie ulgę i smutek.

Należało wyrzucić panią Abernathy parę miesięcy wcześniej.

I powinien uporządkować tę sytuację z Madeline Hennessey, chociaż nie wtedy, kiedy patrzyła na niego, jakby miała ochotę uciec przez najbliższe okno.

– O ile, oczywiście, nie wolałabyś, żebym tego nie robił – powiedział Jack, cofając się. – Wybór należy do ciebie.

– Całowanie się to nie problem.

Całowanie także nie było, ściśle rzecz ujmując, rozwiązaniem. Problem Jacka polegał na tym, że po latach szczerej obojętności wobec płci pięknej – albo chociaż ładnej – jego organy rozrodcze teraz właśnie uznały za stosowne przypomnieć mu o swoim właściwym przeznaczeniu.

Szczęśliwego nowego roku, rzeczywiście.

Moment był jak najgorszy. Panna Hennessey należała do jego służby, była zatem pod jego opieką jako dżentelmena. Już tylko z tego powodu powinien ją zostawić w spokoju. Ponadto w domu przebywała matka, nie wspominając już o pannie DeWitt z dołeczkami w policzkach czy świętym Jeremym.

A w hrabstwie buszowali złodzieje, którzy nie mieli zwyczaju wydawać się dobrowolnie w ręce sprawiedliwości bez drobiazgowego śledztwa ze strony królewskich urzędników.

Moment, miejsce, osoba – wszystko złe, złe, wszystko złe.

Z drugiej strony Jack był jednak wdzięczny, że zainteresowanie kobietami nie opuściło go całkowicie. Madeline Hennessey wiedziała, co mu chodzi po głowie i dostałby po buzi, gdyby posunął się za daleko.

A gdyby Jack pozwolił sobie zlekceważyć to ostrzeżenie, Belmont dokończyłby, co Madeline zaczęła.

– Jeśli całowanie się to nie problem – zapytał Jack – to co nim jest?

Panna Hennessey usiadła przy pianinie i podniosła pokrywę.

– W małżeństwie kobieta staje się własnością męża.

Jack usiadł obok niej na ławce, przyjemnie krótkiej i ciasnej, nie przejmując się nawet tym, że w rozmowie padło słowo na „m”.

– Twoje ciotki, jak rozumiem, nie wybrały dobrze.

– W ogóle nie wybrały – odparła Madeline, grając jednocześnie utwór muzyczny o żywej melodii i nie korzystając z nut. – Rodzice wybrali za nie, a one nie śmiały się sprzeciwić. Nienawidzę tego.

– Czasy były inne. – Jack obserwował jej ręce, zastanawiając się, kiedy pokojówka znalazła czas, żeby uczyć się muzyki salonowej, a do tego opanować ją pamięciowo.

– Czasy nie były inne. Naprawdę powinieneś poprosić o rękę panny DeWitt. Potrzebujesz żony, a nie przelotnego kaprysu. Tym bym dla ciebie była, a zapewniam cię, że ty dla mnie także.

Zagrała końcowe nuty, po których zapanowała dźwięcząca w uszach cisza.

– Nigdy dotąd nie byłem przelotnym kaprysem. – Obecnie ten status też go nie pociągał.

Mężczyźni z jego sfery obdarowywali swymi łaskami damy o lekkiej cnocie – w liczbie mnogiej – traktując je jak przelotne kaprysy, czasami bardzo przelotne. Jack nigdy nie był specjalnie frywolny, ale zanim się ożenił, nie prowadził klasztornego życia.

– Byłam przelotnym kaprysem raz czy dwa – powiedziała panna Hennessey. – Nie polecam tego. Obietnica przyjemności na ogół okazuje się pusta, uczucie powierzchowne. Poza tym jest kłopot z zachowaniem dyskrecji albo zakończeniem relacji, kiedy zainteresowanie wygasa czy pojawia się ktoś inny. To wszystko jest dosyć… nudne.

Miała rację. Flirty nazbyt często zamieniały się w romanse, które stawały się drobnymi dramatami w mesie oficerskiej.

Choć Jack nie przewidywał jakiegoś kolejnego przelotnego kaprysu w najbliższej przyszłości. Zachowanie dyskrecji w obecnych warunkach także nie wydawało się wielkim wyzwaniem. Jeśli miałby wybrać kobietę nieskłonną do histerii, to najodpowiedniejsza wydawała się Madeline Hennessey.

– Gardzisz małżeństwem – powiedział Jack – i nie jesteś zainteresowana flirtem, a jednak nie użalasz się nad sobą. Czy mogę mieć nadzieję?

Madeline oparła czoło na jego ramieniu, jakby przekazał jej jakieś złe wieści.

– Powinieneś się ożenić i zapewniam cię, że jeśli jakaś głupia myśl w związku ze mną przyjdzie ci do głowy, odmówię.

– Odmowa należy do prerogatyw damy. Byłem raz żonaty, lata temu. Powinnaś to wiedzieć. Zdaję sobie sprawę, czym jest małżeństwo. – Choć nie wiedział, czym byłoby małżeństwo z Madeline ani też ta myśl nie niepokoiła go tak, jak może powinna.

– Kochałeś ją?

– Namiętnie, do szaleństwa, jak kochają młodzi ludzie. Była pół-Angielką; śliczna, strasznie uparta. To dzięki Saras nie umarłem, kiedy uciekłem z niewoli, niemal postradawszy zmysły. Pahdi to jej brat; na łożu śmierci kazała mu się mną opiekować.

Jack nie wiedział, po co Madeline o tym opowiada, chyba że usiłował ją przekonać, że nie różnią się tak bardzo. Był wówczas znużony i zagubiony, daleko od domu i nie całkiem taki jak przedtem. Nie cierpiał biedy, ale ciężkie przejścia ograbiły go z uczuć, czyniąc z niego żebraka.

– Stąd w tobie ten smutek – powiedziała Madeline, składając ręce na kolanach. – Uśmiechasz się tak rzadko i nigdy nie uchylasz od obowiązków.

Czy może Jack próbował zagłuszyć wspomnienia z Indii?

– Lubię być zajęty, podobnie jak ty. Diabeł znajduje zajęcie dla tych, co nie mają nic do roboty, o czym świadczą nasze kradzieże. Jest jeszcze coś, co powinnaś wiedzieć, Madeline.

– Nie lubisz broni. Pan Belmont mi powiedział, ale każdy głupek widzi, że w twoim domu nie obwiesza się ścian bronią. Nie jeździsz z psami, nie strzelasz. Lokaje w Candlewick uznali, że widziałeś za wiele wojny.

Niezwykła rozmowa przypominała całowanie. Intymna, niecodzienna, ryzykowna i cudowna. Jack wziął dłoń Madeline i przycisnął do niej usta.

– Nadużywałem opium. Wieki mi zajęło, żeby się od niego uwolnić. Pahdi i Saras przeszli ze mną piekło, a ja wciąż… To nie jest coś, o czym będę w stanie kiedyś żartować albo mówić swobodnie.

– Moje ciotki popijają. Drżę na myśl, co by było, gdyby mogły sobie pozwolić na regularne spożywanie trunków.

– Twoje ciotki nigdy nie zrobiłyby czegoś, czego musiałabyś się wstydzić – powiedział Jack, choć mogły przywłaszczyć sobie trochę węglowych odpadów albo przenieść słój z pieniędzmi z tawerny na probostwo.

Niech to wszyscy diabli.

Madeline cofnęła rękę.

– Taki jesteś tego pewny, a przecież prawie ich nie znasz. Twoja matka zaraz się obudzi z drzemki, powinnam być na górze, na wypadek gdyby mnie potrzebowała.

Jack podniósł się z ławki i odsunął, tak żeby Madeline mogła wstać.

– Jeśli lubisz grać na pianinie, nie krępuj się, korzystaj z niego. Jest rzadko używany, a jednak to dobry, piękny instrument. – Jak dżentelmen, który przed tobą stoi.

– Teraz ze mną flirtujesz – stwierdziła Madeline, obchodząc go. – Jeśli musisz ze mną flirtować, nie mogę ci przeszkodzić, ale proszę, żebyś robił to jak najdyskretniej. Lepiej by ci było z panną DeWitt.

Jack podszedł bliżej.

– Zanudziłbym się do łez, a ty, panno Madeline Hennessy, stoisz pod jemiołą. Znowu.

Madeline całowała Jacka, jakby miał za chwilę wyruszyć do Indii, jakby to ona kochała namiętnie, do szaleństwa.

Ponieważ tak było. Im więcej dowiadywała się o Jacku Fanningu, tym bardziej go podziwiała i tym bardziej żałowała, że jest dawną pokojówką, która kradnie herbatniki dla swoich ciotek.

Oddawał pocałunki, nie z takim zapamiętaniem jak Madeline, ale sumiennie i z taką czułością, że Madeline wzdychała przy jego ustach.

– Odbierasz mi rozum, Jacku Fanningu.

Jego ubranie doprowadzało ją do obłędu. Chciała dotykać jego, a nie miękkiej wełny marynarki, jedwabiu kamizelki czy miękkiego lnu koszuli. Nie śmiała, bo spośród wszystkich mężczyzn, akurat Jack Fanning nie był dla niej.

Był poza jej zasięgiem, co nie martwiło jej aż tak, jak powinno. Cały był złamanym sercem, serdecznym smutkiem w bryczesach, a ona marzyła tylko o tym, żeby te bryczesy z niego zdjąć.

A potem, nie wiadomo jak, znalazła się na biurku, siedząc na nim ze zwieszonymi nogami, a Jack szedł przez bibliotekę, żeby zamknąć drzwi.

Myśl, Madeline.

– Twoja matka się obudzi…

– Pięć minut – powiedział, ustawiając się między kolanami Madeline. – Daj mi pięć minut, Madeline, a potem możesz ponownie przywdziać skórę skromnej damy do towarzystwa. Zasługujemy na pięć minut, zastanowisz się później, czy przyjemność, jaką obiecuję, warta jest zachodu.

Z pewnością nawet tak zapracowana Madeline nie narazi się na duże kłopoty, poświęcając pięć minut.

Jack zabrał się znowu do całowania, a Madeline wyciągnęła mu koszulę z bryczesów, żeby móc dotknąć jego ciała. Ciepłą skórę na jego plecach pokrywały zgrubienia, które musiały być starymi bliznami. Poznawała zarysy jego cierpienia, kiedy wsunął jej dłoń pod spódnicę.

– Jesteś śmiałym mężczyzną, Jacku Fanningu.

– Jestem zdecydowanym kochankiem, bardzo zdecydowanym.

Jego dotyk był zarazem wprawny i delikatny; obwiódł palcami jej kolana, a potem zaczął posuwać się wyżej.

– Do czego zmierzasz, Jack?

– Szukam skarbu. Połóż się na biurku, Madeline.

Pociągnęła go za włosy, mocno.

– Wybacz, Madeline, czy zechciałabyś położyć się na biurku, podczas gdy ja poświęcę następne trzy i pół minuty na… – Pieszczota dosięgła jej ud i Madeline opadła na suszkę na biurku.

Pozycja nie dodawała jej godności; leżała z rozłożonymi nogami, ze zwiniętą w pofałdowany tobołek spódnicą na brzuchu. Jeden z pantofli zsunął się z jej stopy i uderzył o dywan. Od drugiego także się uwolniła.

– Moje pantofle – powiedział Jack – są dla ciebie za duże.

– Wcale nie za duże – odparła Madeline.

Jack był niezwykle śmiały. Dotknął jej między udami, intymnie i ze zręcznością, o którą nie posądzałaby żadnego mężczyzny.

Z większą zręcznością, bez wątpienia, niż miała ona.

Madeline bywała pobudzona i akt miłosny z taktownym mężczyzną uważała za miłą rozrywkę, ale palce Jacka drażniły, pieściły i kusiły poza granicą zwykłej przyjemności. Pożądanie przeradzało się w palącą potrzebę, a ta w straszliwe, przygniatające, dławiące poczucie niemożliwości.

Wolną ręką Jack objął pierś Madeline; dziewczyna wygięła się w odpowiedzi.

– Spokojnie, Madeline, chcę zobaczyć, jak ulatujesz do nieba.

Część jej umysłu wciąż zdolna do myślenia odebrała błaganie w tym poleceniu; jej ciało także musiało usłyszeć zaproszenie, bo w ciągu następnych paru chwili ogarnął ją płomień, wypłaszając frustrację. Madeline zaparło dech w piersiach; doznała tyle cudownej rozkoszy, jakiej nie dały jej wszystkie poprzednie doświadczenia.

Kiedy, oszołomiona, otworzyła oczy wieczność później, Jack pochylał się nad nią, odsuwając jej włosy z czoła; wyglądał jak zmartwiony książę wikingów.

– Zmierzwiłam ci włosy, sir Jack. – Madeline powinna mu pomóc doprowadzić się do porządku, ale była jedynie w stanie się uśmiechnąć.

Odwzajemnił się uśmiechem błogim i łobuzerskim zarazem.

– W istocie zmierzwiłaś mi włosy, podczas gdy twoje spódnice z pewnością trochę się pogniotły. – Pomógł Madeline usiąść, a ona objęła go ramionami w pasie.

– Nauczyłeś się tej sztuczki w Indiach?

Jego serce biło w stałym rytmie pod policzkiem Madeline.

Zapłaci za te pięć minut, pewnie będzie płacić przez resztę życia, ale potrzebowała paru chwil więcej w ramionach Jacka.

– To sztuczka, którą możesz powtórzyć sama, jest uniwersalna w naszym gatunku.

Cudowny szelma. Jak mogłaby z niego zrezygnować, zwłaszcza na rzecz panny DeWitt i jej mdłych wdzięków?

– Twoje pięć minut minęło, sir Jack. – Madeline nie pragnęła niczego bardziej, niż zasnąć w jego ramionach w blasku zamierającej rozkoszy.

– Mam cię wnieść na górę?

Mógłby to zrobić i zrobiłby to. Madeline odchyliła się i przeczesała mu włosy palcami.

– Nie, dziękuję. Potrzebny ci jest grzebień i musisz poprawić ubranie.

– Nie sądzę, żeby to mi było potrzebne i poświęcę następne tygodnie na to, żeby przekonać cię, że tobie także nie. Myślę, że oboje mamy dość doprowadzania się do porządku. – Pocałował Madeline w usta, ale na szczęście nie przeciągał pieszczoty. Kiedy się odsunął, zeskoczyła z biurka i włożyła porzucone pantofle.

Bajecznie bogaty Jack cieszył się szacunkiem całego hrabstwa. Nie potrzebował jej – nigdy nie będzie mu potrzebna – upierał się jej zdrowy

rozsądek.

Ale jednak jej pragnął.

Ona także go pragnęła, nawet teraz, kiedy czuła się syta rozkoszy.

– Możesz próbować mnie przekonać, że nieco dyskretnego, przyjacielskiego bałaganienia bywa przyjemne – powiedziała, uśmiechając się z wysiłkiem. – Kiedy nie jesteś zajęty ściganiem złodziei albo unikaniem panny DeWitt.

– Rozkwitam, wypełniając obowiązki i podejmując wyzwania – odparł Jack z poważną twarzą. – A moje pięć minut skończyło się… na razie.

Podniósł rękę, zerwał białą jagodę z jemioły i wrzucił ją do pojemnika na popiół obok kominka.

Madeline pocałowała go w policzek i pobiegła do swojego pokoju, chociaż nieco za duże pantofle czyniły pośpieszny odwrót nieco niebezpiecznym.

8

Jeremy rozpoczął poranne studia w rodzinnej bawialni Teak House, przeglądając Księgę Przysłów, jedną ze swoich ulubionych ksiąg Starego Testamentu. Stosowne cytaty z Biblii świadczyły o głębi wiedzy duchownego i uwiarygodniały jego miejsce w Kościele; na proboszczu Weekesie Jeremy'emu nie udało się, jak dotąd, wywrzeć odpowiedniego wrażenia.

„Prawdziwy towarzysz miłuje przez cały czas i jest bratem urodzonym na czasy udręki"[1].

Problem polegał na tym, że ten fragment Pisma nie mówił, który brat urodził się, żeby nieść pomoc w czasach udręki – Jack czy Jeremy?

– Och – powiedziała panna DeWitt. – To ty. Usłyszałam twój głos i myślałam, że jest tutaj sir Jack. – Weszła do bawialni i zamknęła drzwi za sobą. – Nie sądzę, żebyś wiedział, dokąd się tym razem udał?

Jack zabrał pannę Hennessey w odwiedziny do starych ciotek – w jej kolejne pół dnia wolnego.

– Zapewne jeździ po hrabstwie, szukając tego czy innego złoczyńcy i zostawiając mnie, tym samym, całkowicie na twojej łasce, panno DeWitt.

– Lucy Anne, proszę. – Usiadła obok Jeremy'ego na kanapie. – Jak mogę ci pomóc, wielebny Jeremy?

Była dzielnym, małym stworzeniem i ukryła rozczarowanie nieobecnością Jacka. Jeremy nie mógł mieć do brata pretensji, że ściga

przestępców, ale stając się prywatnym woźnicą panny Hennessey, zaczynał zaniedbywać innych domowników.

– Nie czuję się wielce wielebny, więc zwracaj się do mnie: Jeremy. Miałem nadzieję, że miejscowy proboszcz pozwoli mi gościnnie wygłosić jedno czy dwa kazania, skoro już tu jestem, nie zaszczycił mnie jednak dotąd zaproszeniem. Wiesz, tak zwykle robimy. My, proboszczowie. Udostępniamy sobie nawzajem swoje kazalnice.

Tyle że Jeremy nie miał własnego probostwa dłużej niż rok, odkąd biskup odwołał go z Sussex, gdzie, ku swojemu zadowoleniu, wygłaszał kazania dla gromady owieczek na ogół w podeszłym wieku. Tęsknił za swoją kongregacją, co gorsza, brakowało mu poczucia, że robi coś dobrego samą swoją pogodną i dobroduszną, obecnością.

„Serce radosne działa dobrze niczym lekarstwo, lecz duch przygnębiony wysusza kości”[2].

– Słyszałam o pieniądzach z zawodów w rzutki – powiedziała panna DeWitt, poklepując dłoń Jeremy’ego. – Proboszcz musi mieć teraz urwanie głowy, nie sądzisz? Złodziej wygłosił kazanie, w ogóle nie korzystając z kazalnicy.

– Myślisz, że to dlatego?

– Albo może proboszcz nie chce cię wyciągać z domu, sądząc, że wolisz cieszyć się rodziną. Mam wrażenie, że ty i sir Jack nie macie wiele wspólnych zainteresowań.

Poklepała jego dłoń, łagodząc jeszcze tę delikatną uwagę.

– Jack jest prawie dziesięć lat ode mnie starszy i wyjechał do Indii, zanim jeszcze poszedłem do szkoły. Jednak niedawno pokonałem go w wyścigu do wioski. Żaden z nas nie może długo wysiedzieć bezczynnie.

Może Jack pozwolił Jeremy’emu zwyciężyć?

– Dzisiaj zwróciłam przy twojej drogiej mamie uwagę, że jesteś bardzo silnej budowy jak na proboszcza, Jeremy Fanningu. Jestem pewna, że

wszystkie młode damy uwielbiają przychodzić na mszę, kiedy ty wygłaszasz kazanie.

Żadna z owieczek Jeremy’ego nie była specjalnie młoda. Ale damy starały się bardzo nie zasypiać w kościele, kiedy nauczał. Starsi mężczyźni… nie bardzo.

– Czy pojechałabyś ze mną na konną przejażdżkę? – rzucił pytanie Jeremy. – Mężczyźni silnej budowy nie mogą studiować więcej Pisma za jednym posiedzeniem, a pogoda zrobiła się przyjemna.

Jak na środek zimy poranek był łagodny – słońce wyszło zza chmur i wiatr nie dokuczał tak bardzo. Niewiele śniegu stopniało.

– Może później – powiedziała panna DeWitt.

Gładziła teraz rękę Jeremy’ego, zapewne w odruchu nerwowym, ponieważ młodej damie najwyraźniej coś ciążyło na sercu.

– Proszę mi powiedzieć, co mogę dla ciebie zrobić, Lucy Anne. Wiem, że panna Hennessey jest dobrą towarzyszką dla mamy, ale ty z kolei masz za mało towarzystwa.

Panna Hennessey miała cierpliwość świętej, kiedy mama wpadała w niespokojny nastrój. Żadne życzenie nie było zbyt niemądre, żadna uwaga zbyt kwaśna, żeby pozbawić pannę Hennessey spokoju. Nawet Lucy Anne wycofywała się czasami, żeby pisać listy do swoich sióstr, Jeremy modlił się, a Jack… Jack wypełniał obowiązki królewskiej służby.

Albo i nie.

– Nie chcę się narzucać – powiedziała Lucy Anne – ale ostatnio zaczęłam się martwić.

Była bardzo ładna, kiedy się martwiła i ściągała jasne brwi, a jej niebieskie oczy błyszczały niepokojem. Trzymała mocno rękę Jeremy’ego.

– Moim powołaniem jest dźwigać cudze troski, Lucy Anne. Nie jest dobrze słuchać narzekań biskupa w jego pałacu albo skarg mamy, że jej jedwabny szal odłożono na niewłaściwe miejsce, podczas gdy ktoś inny cierpi w milczeniu, mając prawdziwe zmartwienia.

Proboszcz potrzebuje wiele zdrowego rozsądku. Musi być życzliwy, dawać dobry przykład, nie wywyższać się i pod tym względem głębią powołania Jeremy mógł z pewnością konkurować z niejednym uczonym w Piśmie i świątobliwym arcybiskupem.

– Obawiam się, że mam zmartwienie. – Lucy Anne wsunęła palec między różane wargi. – Bardzo osobiste zmartwienie, ale nie wiem, do kogo innego mogłabym się zwrócić.

Jeremy poklepał ją po dłoni, ponieważ wydawała się należeć do kobiet, które uspokajał dotyk.

– Możesz mi się zwierzyć, Lucy Anne. Nigdy nie zawiodę twojego zaufania.

Jeremy wysłuchiwał wielu spowiedzi, to było naturalne w jego pracy. Ludzie chętnie rozmawiali z proboszczem, który nie miał wobec nich innych oczekiwań poza tym, żeby byli dla siebie nawzajem dobrzy. Gwałtownością osiągało się jedynie, że wierni łatwo wydawali sądy o innych, nie dostrzegając własnych wad.

Lucy Anne uśmiechnęła się do Jeremy’ego, jakby machnąwszy ręką, sprowadził wiosnę do hrabstwa.

– Wiedziałam, że mogę ci ufać. Jesteś takim dobrym człowiekiem.

Nawet dobremu człowiekowi wolno zauważyć, jaką wspaniałą figurą Stwórca obdarował młodą damę. W istocie, pokusa stanowiła część życia i dobry człowiek cieszył się z okazji, żeby ćwiczyć wstrzemięźliwość… czy inny nonsens.

Jeremy raczej nie skupiał się na wspominaniu biblijnych mądrości biskupa, ale na tym, jak lśniły oczy Lucy Anne, kiedy się czymś martwiła.

– Chętnie pomogę damie w potrzebie. – To brzmiało nieźle, nie za bardzo po kościelnemu i nie jak brat flirtujący z ewentualną narzeczoną brata.

Chociaż Jack, z tego co Jeremy zauważył, w ogóle nie flirtował z Lucy Anne. Zastanawiające.

– Moja potrzeba jest natury osobistej. – Lucy Anne spuściła powieki. – Bardzo osobistej.

– Zaufaj mi, Lucy Anne – powiedział Jeremy, mimo dzwonów ostrzegawczych, które odezwały się w jego głowie. Wystawiał na szwank swój honor dżentelmena. Był sam, siedział zbyt blisko, trzymając za ręce kobietę, którą mama przeznaczyła dla Jacka.

Jeremy czuł się szczęśliwy – zanadto.

– Obawiam się, że zaprzepaściłam swoje szanse, jeśli chodzi o sir Jacka. Twoja matka niemal rozkazała mi zaczepić go pod jemiołą, ale cóż… byłeś tam. Nie wyszło najlepiej.

Wielki bohater całkiem pokpił sprawę.

– Musisz być z Jackiem cierpliwa. Nie sądzę, żeby często całował piękne kobiety.

Przez chwilę wzrok Lucy Anne wyrażał niedowierzanie, ale tylko przez chwilę. Może Jeremy źle odczytał wyraz jej twarzy albo, co gorsza, nikt jej nie mówił, że jest piękna.

– Sądzę raczej, że problem polega na tym, że ma zbyt duże doświadczenie. Słyszy się różne rzeczy o tym, jak wyglądało życie w Indiach.

Rzeczywiście, słyszało się. Brytyjscy oficerowie, rzuceni z dala od cywilizacji, żenili się z miejscowymi kobietami – czasami z więcej niż jedną miejscową kobietą jednocześnie – nosili indyjskie szaty i przyjmowali miejscowe zwyczaje. Jack z pewnością odstąpił parę razy od ścisłych nakazów dobrego wychowania, ale to było przed laty i na dalekim lądzie. Egzotycznym lądzie.

– Jacka spotkało w Indiach wiele złego, Lucy Anne. Nie mówi o tym wiele i to już odległa przeszłość. Musisz się uzbroić w cierpliwość. To naprawdę wspaniały mężczyzna.

W jej oczach widniała niecierpliwość, chociaż starała się ze wszystkich sił jej nie okazywać. Jeremy jej nie winił za tę desperację; większość winy

spadała na mamę, która zabawiała się w swatkę pod dachem Jacka.

– A jeśli problemem nie jest Jack? – załkała cicho Lucy Anne. – A co, jeśli to ja?

Natychmiast należało podjąć środki zaradcze, żeby droga istota nie rozpłynęła się we łzach. Potem zamartwiałaby się czerwonym nosem albo spuchniętymi oczami czy innymi nieszczęściami z tego wynikającymi; Jeremy zrozumiał, że ani prawda, ani uprzejme kłamstwo nie poprawią humoru Lucy Anne.

– Lucy Anne, Jack jest tylko bezrozumnym kawalerem. – Według mamy wszystkim kawalerom nie dostawało rozumu, podobnie jak większości żonatych mężczyzn. – Jeśli nie potrafi docenić kobiety tak ślicznej, dobrej, o tak słodkim, miłym usposobieniu, to wina leży po jego stronie.

– Naprawdę myślisz, że jestem śliczna, dobra i o słodkim, miłym usposobieniu?

– Oczywiście. – I bardzo pociągająca oraz – Jeremy pozwalał sobie na uczciwość w skrytości ducha – o bujnych, ponętnych kształtach.

– Więc nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby mnie pocałować, czy tak?

Była zatrważająco pełna nadziei w tym, co powiedziała – i miała rację.

– Pocałować cię?

– Naturalnie. Widziałeś incydent pod jemiołą. Przysięgam, że sir Jack wolałby raczej pocałować jeża. To doświadczony człowiek, problem leży zatem w moim braku doświadczenia. Uznałam, że muszę cię prosić o lekcje całowania.

– To całkiem… całkiem logiczne. – A także bezdennie głupie, ale Jeremy nie zamierzał jej tego powiedzieć, kiedy uśmiechała się do niego z taką nadzieją.

– Wiedziałam, że mi pomożesz, Jeremy. Dzięki temu z pewnością następnym razem powiedzie mi się lepiej.

„Prawdziwy towarzysz miłuje przez cały czas i jest bratem urodzonym na czasy udręki”. Jeremy musi sprawdzić źródła, bo przysłowia mogły równie

dobrze ostrzegać, że brat rodzi się po to, żeby sprowadzić czasy udręki.

Wstał i zamknął drzwi.

– Odejdźmy od okna, Lucy Anne i zabierzmy się do tego powoli, krok po kroku.

– Słyszałam, że posłałeś tę kobietę Abernathy z torbami. Dlaczego dopiero teraz? – zapytała Jacka Hattie Hennessey.

Jack musiał przyznać, że pytanie było uczciwie, chociaż brutalne.

– Ciociu – szepnęła Madeline z drugiego końca pokoju, który służył Hattie za kuchnię, bawialnię i jadalnię.

– Nie zwalniam nikogo, bo takie mam widzimisię – odparł Jack, wiercąc się na twardym krześle przy stole. – Inaczej służba zwalniałaby się pod wpływem kaprysu i w domu zapanowałby chaos.

W chacie Hattie panował nienaganny porządek, jak w pudełeczku i, inaczej niż u siostry, nie czuło się tutaj psiego zapachu. Przy kominku stały krosna, z belek pod sufitem zwieszały się pęki suszonych kwiatów, a pleciony chodniczek zakrywał środek drewnianej podłogi.

Jednak w chacie panowało zimno, a jaspisowy czajniczek do herbaty miał wyszczerbiony dziobek. W krześle, które zajmował Jack, brakowało listewki, stół nie stał równo na deskach podłogi. Filiżanki nie stanowiły kompletu i nie pasowały do spodeczków. Nad kominkiem wisiał jednak portret młodej, pięknej dziewczyny w stroju z ubiegłego stulecia.

Dziewczyna była szczupła i wiotka, kasztanowe kosmyki wymykały jej się spod koronkowego czepka. Stanik jej sukni zdobił wymyślny, kwietny haft. W nieprzypudrowane włosy wpleciono sznury pereł; suknia odsłaniała biust w sposób, który w obecnych czasach uznano by za śmiały, jeśli nie skandaliczny u tak młodej kobiety. Wydawała się podobna do Madeline sprzed paru lat, choć jej oczom brakowało żywej inteligencji panny Hennessey.

– Wiem wszystko o zwalnianiu służących – oznajmiła Hattie. – Kiedy byłam na służbie, znalezienie lokajów i pokojówek, którym chciałoby się uczciwie pracować za swoje uposażenie i którzy pozostawaliby trzeźwi podczas wychodnego, graniczyło z cudem. Pan McArdle nie tolerował lenistwa, a jego kamerdyner był jeszcze gorszy.

Jako sędzia pokoju i królewski oficer w Indiach Jack nauczył się słuchać instynktu. Dlaczego Madeline chciała odwiedzić Hattie, skoro podobno zajrzała do niej wcześniej w tygodniu?

I dlaczego Jack nie wypytał dotąd ciotek Madeline o historię rodziny Hennessey?

– Poczęstuj się herbatnikiem – powiedziała Madeline, stawiając tacę przed Jackiem. – Ciocia najbardziej lubi imbirowe, a ja wolę kruche ciasto.

Jack wziął cynamonowy herbatnik, ale nie zamierzał pozwolić, aby jego uwagę odwrócono od zwierzeń Hattie.

– Pracowałaś dla Hectora McArdle? – zapytał, podsuwając talerz Hattie.

Hattie zastanawiała się, choć Jack naliczył cztery herbatniki imbirowe pośród tuzina, jakie zostały na tacy.

– Nie dla Hectora – odparła, biorąc kawałek kruchego ciasta. – Jego ojca, Abnera McArdle. Byłam jego gospodynią, póki mnie nie zwolnił bez referencji. To najlepsze kruche ciasto, jakie jadłam od wieków.

Najprawdopodobniej jedyne kruche ciasto, jakie jadła od wieków, chyba że dostała trochę od Madeline przy poprzedniej wizycie.

Madeline nalała wszystkim herbaty, nie pytając jednak, czy nie dodać mleka lub cukru, ponieważ Hattie, jak się wydawało, nie miała ani jednego, ani drugiego. Jack zwrócił uwagę na ironię losu, kiedy znalazł się poza granicami królestwa. Biedni dzielą się chętnie tym, co mają, choć mają tak niewiele, podczas gdy nababowie gromadzą niezmierzone bogactwa, zabezpieczając na wszystkie sposoby złoto, srebro, biżuterię i dzieła sztuki, które nigdy nie mają ujrzeć światła dziennego.

– Dlaczego Abner McArdle pozbył się ciebie w ten sposób? – zapytał Jack.

– Może porozmawiamy o tym innym razem? – szepnęła Madeline.

– Nonsens – parsknęła Hattie. – Sir Jack nie jest chłopczykiem w krótkich spodenkach, który nie zna świata. Młodszy brat Hectora, Caleb, nie mógł utrzymać rąk przy sobie. Jedna z pokojówek nie chciała mu ulec i musiałam interweniować. Dwa tygodnie później Caleb oskarżył mnie o kradzież łyżki, znaleziono ją w moim pokoju, pod poduszką. Pytam cię, skąd Caleb wiedział, gdzie szukać tej łyżki i jaki głupiec trzyma kradzioną łyżkę pod poduszką?

Madeline wzięła herbatnika.

– Ciociu, nie nudźmy sir Jacka tymi szczegółami.

– Zawsze interesuje mnie, jak działa prawo – powiedział Jack. I nie były to jakieś tam szczegóły. – Skoro łyżkę znaleziono w twojej kwaterze, dlaczego cię nie oskarżono?

– Ponieważ gwałt także jest przestępstwem. – Hattie zanurzyła kawałek ciasta w herbacie. – A doszłoby do tego, gdybym nie wytargała młodego Caleba za uszy. Abner latami rozpieszczał chłopaka i znał go dobrze. Hector odwiedził wtedy swojego papę i widział całe zdarzenie, ale wolał nie donosić na młodszego brata. Ogłoszono mnie złodziejką, chociaż Abner dał mi na odchodne jakieś pieniądze.

Zjadała ciasto w filozoficznym milczeniu, podczas gdy Jack miał ochotę coś potłuc. Takie historie rozgrywały się zapewne w wielu domostwach królestwa, kiedy łamiąc nakazy przyzwoitości, młody, zepsuty paniczyk narażał na szwank swoją reputację.

– Nigdy potem nie chciałaś się zatrudnić?

– Po co? – odparła Madeline, zanim Hattie zdążyła się odezwać. – Służąca, zwolniona bez referencji, nie ma szans na znalezienie przyzwoitej pracy. Caleb twierdziłby z pewnością, że pokojówka go sprowokowała i

więcej łyżek wylądowałoby w dziwnych miejscach. Taki jest świat dla tych na służbie. Jeszcze herbaty, ciociu?

– Nie, dziękuję. Nie możesz być taka zgorzkniała, Madeline, albo sir Jack pomyśli, że nie doceniasz swojego stanowiska.

– Myślę – odezwał się Jack – że Caleba należy oskarżyć o próbę gwałtu, pod warunkiem że znajdę ową pokojówkę. Hector mógł przemilczeć rzecz przed ojcem, ale zatajanie prawdy pod przysięgą jest krzywoprzysięstwem. Przedawnienie w wypadku zbrodni wynosi dwadzieścia jeden lat, a gwałt to zbrodnia.

Filiżanka Madeline stuknęła o spodeczek.

– Skazałbyś człowieka dziesięć lat po popełnieniu przestępstwa?

Wydawała się raczej przestraszona niż zadowolona z sugestii Jacka.

– Prawo jest prawem, panno Hennessey. Młodą kobietę wykorzystano, a kiedy twoja ciotka usiłowała temu zapobiec, spotkała ją sroga zemsta.

– Myśl o tym, żeby ujrzeć Caleba McArdle przed sądem, jest cudowna – stwierdziła Hattie – ale to się nigdy nie stanie. Wyjechał na uniwersytet i umarł, zatruwszy się rybą, o ile wierzyć plotkom. Śmierć chłopaka załamała starego McArdle’a i wkrótce podążył za synem do grobu. Hector odziedziczył cały interes z węglem i dobrze się składa, bo ma dziesięcioro dzieci.

Hector, którego okradł ktoś, kogo Jack pewnie nigdy nie złapie. Ciekawe, wziąwszy pod uwagę przeszłość Hattie Hennessey i zło, jakie jej wyrządził zmarły handlarz węglem.

– Czy to twój portret wisi nad kominkiem? – zapytał Jack.

– Tak – odparła Hattie, nawet nie zerknąwszy na obraz. – Nie byłam pięknością jak Theodosia, ale za to mój mąż raczej nie miał szczęścia w interesach, niż zgrzeszył głupotą, niech spoczywa w spokoju. Poślubiłam kuzyna w trzeciej linii; to często najlepsi mężowie. Madeline, czy możesz zawinąć te pyszne herbatniki, chyba że sir Jack chciałby się poczęstować jeszcze jednym?

Herbatniki zaczynały już czerstwieć, ale Hattie miała je pewnie zachować jeszcze na przyszły tydzień.

– Nie byłbym w stanie więcej zjeść – zapewnił Jack, wstając. – Panno Hennessey, zajmę się końmi, ale nie musisz się śpieszyć. Daj mi parę minut, żebym mógł napoić zwierzęta, podczas gdy wy wymienicie najnowsze plotki ze wsi. – Skłonił się obu damom i wyszedł na chłodne podwórko, między zagrodę dla owiec i dom Hattie.

Najpierw zajął się napełnianiem poidła dla owiec z cysterny obok domu. Drewniane wiadro Hattie przeciekało, woda w cysternie zamarzła, więc było to przedsięwzięcie czasochłonne. Potem, za pomocą szufli stojącej przy drzwiach wykopał w śniegu ścieżkę między zagrodą dla owiec a chatą, a kiedy skończył, widłami nałożył owcom siana z osłoniętego daszkiem stogu.

– Jeśli to ty, Eloise – odezwał się do ciekawskiej owieczki – przekażę twoje pozdrowienia Charlesowi, kiedy go spotkam następnym razem.

Furtka nadal się zapadała, łata zardzewiałej cyny stukała na wietrze o dach zagrody, siano nie było najlepszej jakości. Jeśli wierzyć opowiadaniu Hattie, tę rozpaczliwą egzystencję zawdzięczała młodemu człowiekowi, który nie chciał ponieść odpowiedzialności za swoje czyny.

Jack kładł spory kamień na obluzowanej blasze cynowej, stojąc na ławce w saniach, kiedy Madeline wyszła z domu, zamykając drzwi.

– Napoiłeś konie?

– Konie są całe trzy mile od domu – odparł Jack, zeskakując z ławki. – Nie potrzebują wody. – Jednak Hattie Hennessey jej potrzebowała. Jack nie mógł sobie pozwolić na mówienie przy niej o takich oczywistościach, o ile nie chciał znaleźć się na śniegu twarzą w dół.

– Mówiłam jej, żeby sprzedała obraz. – Madeline dobrnęła do sań. – Myślę, że trzyma go, żeby się zadręczać.

– A może żeby wspominać lepsze czasy? – Jack pomógł Madeline wdrapać się na sanie.

– Jaki sens ma wspominanie lepszych czasów? Dobre czasy minęły i nie przywróci ich, gapiąc się na portret. Hattie lepiej by wyszła, sprzedając przeklęte płótno i kupując za to trochę cukru do herbaty.

Albo płacąc Mortimerowi Cottonowi za usługi jego barana?

– Teak House przyśle Hattie spóźniony prezent świąteczny – powiedział Jack. – A na wiosnę pojawią się jagnięta. – To wszystko i tak za mało, żeby zaradzić biedzie, w jakiej żyła Hattie. – Wszystkie pieniądze z tegorocznego turnieju powinny zostać przekazane na fundusz dla wdów i sierot. Hattie dostanie część z tego, podobnie jak Theodosia.

Pozwolił koniom ruszyć i wkrótce kłusowały dziarsko w stronę Teak House. Słońce nie łagodziło zimnicy. Temperatura raczej nie przestawała spadać.

– Madeline, odezwij się.

Otarła oczy końcem szala i pociągnęła nosem.

– Gdybyś nie dał owcom wody, ja bym to zrobiła. Od łamania lodu w cysternie i wygarniania lodu z koryta ciotkę strasznie bolą ręce, a ona nie ma laudanum… – Madeline odwróciła się i oparła czoło na ramieniu Jacka. – Jestem okropna. Wolałabym, żeby umarły i żebym nie musiała widzieć, jak cierpią kolejnej zimy. Nigdy nie mają dość jedzenia. Theo zaczęła ostatnio kasłać. Zawsze marzną i ciągle martwią się o owce, o kury…

A Madeline ciągle martwiła się o nie.

Jack miał dość pieniędzy, żeby ulżyć nędzy Hattie i Theodosii i zamierzał podjąć w tym celu wszelkie wysiłki, choć podejrzewał, że odrzucą wszystko, co będzie im pachniało dobroczynnością.

– Madeline, sytuacja Hattie to nie twoja wina.

Wydała dziwny dźwięk, jej ramiona drgnęły.

Jack zatrzymał konie pośrodku drogi.

– To nie twoja wina – powtórzył, wyciągając chusteczkę z kieszeni. – Nie płacz, proszę, kochana.

Madeline przycisnęła chusteczkę do oczu, niczym przepaskę zasłaniającą widzenie.

– Nie rozumiesz. To jest moja wina. Od początku do końca. To wszystko moja wina.

Wypowiedziane na głos słowa – to wszystko moja wina – dawały wyraz rozpaczy i wywołały strumień łez.

I to akurat wobec Jacka Fanninga.

– Taki surowy wyrok. – Jack owinął szyję Madeline swoim szalem. W przeciwieństwie do jej, z szorstkiej wełny, ten był miękki i pachniał drzewem sandałowym.

– To prawda – powiedziała Madeline. – Nienawidzę płakać. To także prawda. – Niestety każde słowo, które padło z ust Hattie, także odpowiadało prawdzie.

– Kiedy patrzysz na niesprawiedliwość i niezasłużoną nędzę i nic nie czujesz, wtedy powinnaś się niepokoić. Twoje łzy to dowód, że masz dobre serce.

Spoglądał przed siebie, wiatr targał mu włosy. W jego głosie brzmiał surowy wyrzut.

– Nie mówisz tego, co spodziewałam się od ciebie usłyszeć – odparła Madeline. – Troszczę się o swoje ciotki, a ich sytuacja jest moją winą.

Wałach z boku stuknął kopytem w śnieg. Jack pociągnął za lejce i sanie potoczyły się znowu drogą.

– Twoja wina, bo nie pozwoliłaś młodemu McArdle’owi zajrzeć sobie pod spódnicę?

– Tak. – Nie było sensu owijać w bawełnę, skoro Madeline tak rozpaczliwie usiłowała to ukryć.

– Rozumiem, że szukałaś innej pracy?

Jack mówił jak sędzia, przesłuchując raczej, niż tocząc rozmowę i to pomogło Madeline stłumić łzy – na razie.

– Bez solidnych referencji dziewczyna z zaledwie parotygodniowym doświadczeniem na służbie nigdy by nie dostała innej pracy. Ciotkę zwolniono pod zarzutem rzekomej kradzieży, a nowa gospodyni patrzyła na mnie podejrzliwie. Caleb postanowił odpłacić mi za upór, tak to nazwał, i dlatego często karano mnie za uchybienia, których się nie dopuściłam.

– Bito cię – powiedział Jack. – Żebyś przychylniej zaczęła myśleć o gwałcie. Dlaczego nie kopnęłaś mnie parę razy porządnie w krocze?

– Słucham?

– Czym się różnię od Caleba McArdle'a?

A to mężczyźni oskarżają kobiety o dziwaczne humory.

– Po pierwsze, jesteś żywy, po drugie, nie chciałeś mnie obrazić.

– Chcę się do ciebie dobrać i nie proponuję małżeństwa.

Już się do niej dobierał i poglądy Madeline na erotyczną bliskość zmieniły się całkowicie. Gdyby miała trochę rozumu, powiedziałaby mu, że ich flirt się kończy, zanim się zaczął.

Madeline nie miała rozumu, nie, kiedy chodziło o Jacka Fanninga. Jeśli miała się starzeć, trzęsąc się nad kurami i owcami, to chciała chociaż raz przeżyć namiętność fizyczną z mężczyzną, który wiedział, co robi.

– Gdybyś mi zaproponował małżeństwo, nie zgodziłabym się, sir. Stać się niewidzialną w oczach prawa, stracić władzę nad sobą samą i poddać się wątpliwej opiece mężczyzny, to mnie nie pociąga. Czy jestem rozwiązła?

– Nie bądź śmieszna. Jesteś dojrzałą, zdrową kobietą, która nie ma romantycznych złudzeń.

– Uznaję to za nie. Zgódźmy się, że jesteś dojrzałym, zdrowym mężczyzną, który także nie żywi romantycznych iluzji. Caleb był wyuzdanym, zepsutym nudziarzem, dla którego nowa pokojówka była po prostu zabawką, bawił się, póki się nie złamała albo nie zaszła w ciążę.

Sanie mknęły lekko, oddech koni zamieniał się w białą chmurę w zimowym powietrzu. Jack skierował pojazd na podjazd do Teak House, a później pomógł Madeline wysiąść.

– On tego nie zrobił, prawda? – zapytał cicho Jack.

Kiedy stajenny odprowadzał zaprzęg do powozowni, Madeline stała na podjeździe z dłońmi na ramionach Jacka; jego ręce obejmowały kobietę w pasie.

– Słucham?

– McArdle, nic złamanego, mam nadzieję?

O co pytał?

– Kiedy ciotka interweniowała, zdążył tylko narobić mi parę siniaków i mocno przestraszyć.

– A potem? Mówiłaś, że wytrzymałaś rok w pierwszej pracy, zanim przeniosłaś się do Candlewick.

Jakie to miało znaczenie? Madeline opuściła dom McArdle'ów niemal dziesięć lat wcześniej, dużo mądrzejsza w wieku szesnastu lat, niż wtedy, gdy miała piętnaście, a jednak Jack wydawał się… martwić.

– Nic złamanego, Jack. Brzydki siniak, wszyscy je mamy. Pokojówki i lokaje opiekowali się mną, kiedy królewscy urzędnicy zawiedli. Wyszłam z tego cało, podobnie jak ty.

Podał jej ramię i odprowadził do domu przez boczny ogród. Madeline podziękowała mu za wyjście, nie pocałowała go w policzek i wycofała się do swojego pokoju, żeby zamienić buty na jego domowe pantofle.

Axel Belmont żałował, że nie może zbudzić swojej najdroższej żony z drzemki, młode matki potrzebowały odpoczynku, a sir Jack Fanning potrzebował przyjaznego ucha – w tej chwili.

– Madeline była nowa na służbie – powiedział Jack, przechadzając się po większej szklarni Axela. – Była nieledwie dzieckiem i to niedawno osieroconym przez oboje rodziców.

Madeline, nie: panna Hennessey. I z pewnością nie: Hennessey, jak Axel zwracał się do niej latami.

– Nie wiedziałem, że jest sierotą. – Axel włożył delikatnie sadzonkę do osobnej doniczki.

– I niemającą doświadczenia w pracy służącej. Czy byłeś w chacie jej ciotki Hattie Hennessey, Belmont?

Axel wyprostował się i położył obie dłonie na krzyżu. Stół był na tyle niski, że roślinom nie groziły przeciągi znad podłogi, ale nadal miały miejsce, żeby rosnąć. Pojawienie się noworodka w domu wywołało u Axela gorączkę rozmnażania roślin, bo po zimie przychodzi wiosna.

Sir Jack patrzył na niego wyczekująco, więc Axel skupił się znowu na rozmowie.

– Nie miałem przyjemności gościć przy domowym ognisku Hattie Hennessey.

– Hattie ma obraz nad kominkiem – powiedział Jack, wąchając piękną białą różę na końcu stołu. – Portret, a nie zwykłą, sielską scenkę. To dzieło zręcznego artysty, a tematem jest młoda Hattie Hennessey.

Axel wolał botaniczne ryciny i kwietne martwe natury.

– Jakie znaczenie ma ten obraz?

Jack wędrował między rzędami roślin i Axel żałował, że nie przyjął go w bibliotece. Dwadzieścia cztery godziny po wizycie w chacie Hattie Jack wciąż to przeżywał – a rośliny, zwłaszcza róże – źle się rozwijały, czując ludzką rozpacz i ból. Axel nie wyznałby nikomu, że tak myśli, z wyjątkiem żony, której ufał, że nie będzie się śmiać z jego dziwactw.

– Czy namalowano ci wiele portretów, Belmont?

Axel przeniósł kolejną sadzonkę do doniczki.

– Zamówię portret żony, kiedy będzie mniej zajęta opieką nad dzieckiem. – Abigail może poprosić o portret męża i Axel z pewnością się zgodzi, mimo niechęci do długiego pozostawania w bezruchu.

Jack rzucił mu uważne spojrzenie przez ramię.

– Nieźle zapłacisz za profesjonalny portret. Biedne rodziny nie mają portretów, chyba że ktoś ma rękę do rysunku. To jest olejny, pięknie

oprawiony obraz młodej damy ze sznurami pereł we włosach.

Jeszcze sześć sadzonek do posadzenia, wszystkie róże.

– Zatem rodzina Madeline miała kiedyś pieniądze.

– Dużo pieniędzy i wszystko stracili.

– Fanning, nie możesz… połowa banków Szkocji zbankrutowała z powodu projektu Dariena. Wiele rodzin ucierpiało na skutek złych inwestycji, hazardu, niemądrego szastania pieniędzmi. Hattie i Theodosia dobiegają siedemdziesiątki. Jakie znaczenie mają sprawy rodzinne sprzed pięćdziesięciu lat?

Sir Jack przeszedł między rzędami roślin tak szybko, że wzburzył ich listowie.

– Nie wiadomo, kiedy stracili majątek. Pytałem Pod Łasicą i gdzie indziej. Obie siostry zjawiły się w tej okolicy w związku z małżeństwem. Najpierw Theo, potem Hattie, kiedy zwiedzieli się, że mąż Theo sąsiaduje z odległym krewnym z rodziny Hennessey. Damy miały posagi.

Jeszcze cztery.

– Większość rodzin stara się zostawić coś dla córek. Jakie są twoje wnioski?

Ponieważ sir Jack chciał mu przedstawić jakąś konkluzję, jakąś hipotezę; Axel dawno go nie widział w stanie takiego podniecenia.

– Damy żyją teraz niemal w zupełnej nędzy – powiedział sir Jack, zerkając na roślinki, które Axel posadził. – Mąż Theo roztrwonił jej pieniądze. Hattie, jako młodsza siostra, na wstępie miała ich mniej. Poszła na służbę do rodziny McArdle, kiedy owdowiała, jakieś dwadzieścia lat temu, a kiedy Madeline potrzebowała pracy, Hattie za nią poręczyła.

Żeby zebrać tego rodzaju informacje, sir Jack musiał zapewne rozmawiać z połową grupy modlitewnej proboszcza; było to niezwykle szacowne zgromadzenie.

– Teraz będziesz mówić o czymś, czego nie chcę słyszeć – powiedział Axel, uklepując ziemię wokół łodyżki delikatnego okazu. Nie wszystkie

sadzonki przeżywały przeniesienie w inne miejsce i nie dało się przewidzieć, która świetnie się przyjmie, a która zwiędnie.

– Brat Hectora McArdle’a, Caleb, narzucał się młodej Madeline. Hattie położyła temu kres, a Caleb postarał się, żeby ją oskarżono o kradzież. Hattie straciła pracę, Madeline czuje się winna. Zamiast pensji gospodyni i dochodów z ziemi, została z niczym. Hattie pewnie bardzo pomagała Theo do tego czasu.

– I tak przewrócił się domek z kart. – Jako były sędzia pokoju Axel posiadał pewną znajomość prawa. Człowiek, który mógł pewnego dnia wychowywać córkę, nie szanował jednak tych zapisów prawnych, które dotyczyły kobiet.

Królestwo prosperowało znakomicie pod kobiecą ręką, za rządów kobiety, która nie zechciała wstąpić w związek małżeński i dzięki temu zachowała kontrolę nad tronem. Jak długo angielskie kobiety miały ponosić karę za obrazę, jakiej dopuściła się Elżbieta wobec angielskich mężczyzn?

– Czy nie powinieneś nawodnić sadzonek? – zapytał sir Jack.

Wszyscy w tym kraju to botanicy amatorzy.

– Mam brudne ręce i jeszcze tu nie skończyłem. Możesz wziąć konewkę, jeśli chcesz, ale potop moje kwiatki, a…

– Tak, tak. Wyzwiesz mnie na pojedynek. Niechętnie, ale w morderczych zamiarach. Co to za rośliny?

– Róże.

Sir Jack podlewał z umiarem, nie za dużo wody, nie za mało.

– Jeden arogancki, młody kogut skazuje trzy kobiety na skrajną nędzę. Gdybyś był jedną z tych kobiet, Belmont, co byś zrobił?

Axel zastanowił się nad tym chwilę, przenosząc ostatnie roślinki.

Zrujnowane życie – bo dziewczyna z mocnym kręgosłupem odmówiła mężczyźnie przelotnej przyjemności, odrzucając jego niechciane awanse. Sprawa, o której nieprzyjemnie myśleć.

– Napuściłbym na niego ulicznicę, która zaraziłaby go nieuleczalną chorobą.

– Muszę pamiętać, Belmont, żeby ci nie wchodzić w drogę. – Jack skończył podlewać i odstawił konewkę na podłogę. – Ale rozumiesz, co chcę powiedzieć, Belmont?

Axel rozumiał, że wpuszczając gościa do szklarni, był w stanie nie przerywać pracy i dzięki temu rośliny korzystały podczas procesu transplantacji ze światła słonecznego. Przeszczepy najlepiej udawały się w nocy, podczas gdy…

– Wybacz, Fanning. Co masz na myśli?

– Kiedy zabrałem Madeline w odwiedziny do Theodosii, pani Hickman chwaliła się, że u niej węgla starcza na dłużej niż u sąsiadów.

– Węgiel. – Ten sam towar, który skradziono z podwórka Hectora McArdle’a. – Niedobrze, Fanning. Stare kobiety nie powinny myszkować po nocy, dokonując drobnych kradzieży przy pełni księżyca.

– A Hattie Hennessey ma dobre powody, żeby chcieć poprawić swoją sytuację kosztem McArdle’ów.

Axel wytarł ręce w szmatę, chociaż żyzna, czarna ziemia została mu pod paznokciami.

– Hattie i Theo mogłyby również skorzystać z pieniędzy z tawerny, a we dwie dałyby radę przenieść słój do kościoła.

Sir Jack podszedł do końca stołu, gdzie spod bujnego listowia wyglądał biały pąk.

– Obie mają u siebie zwierzęta domowe, Belmont, i są dosyć krzepkie. Każda z nich mogła dopuścić się takiej psoty tylko dlatego, żeby dogryźć Bartholomew Tavisowi.

Biedota hrabstwa przyklasnęłaby temu pomysłowi. Axel także raczej podziwiał tajemniczego złodzieja.

– Co zrobisz? – zapytał. – Cud ze słojem można uznać za zwykłą psotę, ale zabranie węgla z podwórka McArdle’a to już zwykła kradzież.

– A ja jestem królewskim urzędnikiem – stwierdził sir Jack. – To twoja wina.

Axel scyzorykiem oczyścił paznokcie lewej ręki.

– Szanowny Rutland miał w tym swój udział. – Bardzo niekompetentny udział i dlatego zarówno Axel, jak i Jack zostali zmuszeni do przejęcia tej funkcji.

– Nie obwiniaj człowieka, który miał na tyle rozumu, żeby się przenieść na stałe do Bath. Jak dla mnie, to ty spowodowałeś, że muszę się tym zajmować wtedy, gdy akurat zjechała do mnie rodzina, więc musisz mi pomóc się z tą sprawą uporać.

– Jak dla mnie, nie masz żadnych dowodów, które uzasadniałyby aresztowania. Wszystko, co masz, to przypuszczenia i zbiegi okoliczności. – Choćby nie wiadomo jak przekonujące.

– Pani Abernathy zobaczyła, jak mój kamerdyner niesie buty Madeline do kuchni, żeby je wyczyścić. Uznała, że to kradzież, choć w życiu nie widziałem tak nędznego obuwia. Nie zamieniwszy nawet słowa z Pahdim czy Madeline, pani Abernathy, jako sędzia, ława przysięgłych i kat w jednej osobie, domagała się ode mnie, żebym zwolnił Pahdiego bez referencji, przyjmując jej słowo za wystarczające. Skaleczysz się w ten sposób.

– Nie skaleczę. Chcesz powiedzieć, że jeśli te występki nie ustaną natychmiast, opinia publiczna i tak oskarży te kobiety, bez względu na to, czy ty wystąpisz z zarzutami wobec nich, czy nie.

– Właśnie, a Madeline nigdy mi nie wybaczy, ja nigdy sobie nie wybaczę, jeśli by do tego doszło; dlatego pomożesz mi rozwikłać tę sprawę, póki da się uniknąć prawnych działań.

– Auć! – Niech to diabli.

Sir Jack litościwie milczał, kiedy Axel odkładał scyzoryk.

9

Ktoś – lub coś – był w kuchni.

Madeline wiedziała, że Teak House ma kota, który poluje w spiżarni, szarego pręgusa, który wolał śnić o myszach, niż się nimi raczyć. Niewiele kotów polowało na stworzenia większe od myszy, a szmer na korytarzu nie wydawał się efektem mysiego działania.

Odłożyła na bok listę leczniczych ziół, choć nie miała ochoty opuszczać zielarni, przytulnego, cichego zakątka. Światło zimowego księżyca wpadało przez witrażowe okna, z belek pod sufitem zwieszały się pęki suszonych ziół i kwiatów.

Znowu rozległ się hałas, skrobanie, stuk… Inaczej niż w niektórych domach, w Teak House nikt nie spał w kuchni, może poza kotem.

Odejście pani Abernathy złagodziło nastroje wśród służby, chociaż najmłodsza służąca walczyła z pomywaczką o względy chłopca stajennego, w którym obie się kochały.

On zaś – młody, czarnowłosy osiłek o imieniu Apollo – flirtował z obiema dziewczynami, kiedy tylko miał okazję, a opuszczona kuchnia to znakomite miejsce do flirtu w zimową noc.

Madeline wciągnęła ostatni raz zapach rozmarynu – zioła budzącego wspomnienia – wzięła świecę i zdmuchnęła lampki na ścianach.

Szła korytarzem w stronę kuchni po cichu, ale nie skradając się. Ona, która zachowywała się tak skandalicznie w bibliotece, nie chciała zawstydzać innych w kuchni.

– Gdzie jest to przeklęte masło? – Jack otwierał szufladę za szufladą, a potem zabrał się do szafki.

– W pudełku na oknie.

Przestał buszować.

– Myślałem, że to Pahdi. Poruszasz się prawie równie cicho, chociaż jesteś bardziej pachnąca.

– Dziękuję.

– To była tylko obserwacja, nie komplement. Przy okazji, Belmont cię pozdrawia, byłem u niego dziś po południu. Co cię sprowadza w to odosobnione miejsce o tak późnej porze?

Jack był w koszuli z podwiniętymi mankietami i kamizelce. Plama atramentu na prawej dłoni sugerowała, że pracował nad księgami rachunkowymi albo korespondencją. Madeline miała na sobie nocny strój – kilka warstw materiału, otulających ją od stóp do głów, a na nogi włożyła najcieplejsze obuwie, jakie miała – domowe pantofle Jacka.

– Porządkuję zielarnię – oznajmiła, podając mu masło. – Pani Abernathy zaniedbała leki i ktoś musi to wszystko poukładać, zanim dom nawiedzi choroba. Czy przygotować ci tacę?

– Nie jestem głodny – odparł Jack. – Dokładałem do ognia, kiedy osunęła się kłoda i w tym bałaganie oparzyłem sobie rękę.

Stąd poszukiwanie masła.

– Lepiej przyłożyć zimny kompres.

Podniósł lewą rękę, na trzeciej kostce na grzbiecie dłoni widniała czerwona plama.

– A może lepiej, byś mnie pocałowała tam, gdzie boli?

– Może, ale jak zrobisz, co mówię.

Zmrużył oczy, wyraźnie mu się to podobało – to, że Madeline ustawiała go na właściwym miejscu.

– Poczekaj tutaj – powiedziała, biorąc czystą ściereczkę ze stosiku na kontuarze i znikając w korytarzu. Za drzwiami Madeline zawinęła w

szmatkę trochę śniegu.

– Weź to – powiedziała, podając ją Jackowi. – Złagodzi ból skuteczniej niż masło i oszczędzi zapasy w spiżarni.

Owinął chusteczkę wokół lewej dłoni. – Oczywiście, że lepiej. Twoja niezgłębiona wiedza nie przestaje robić na mnie wrażenia.

– Bardziej mi się podobasz, kiedy porównujesz mój zapach do zapachu kamerdynera.

– Przyznajesz, że ci się podobam. To mi pochlebia. Czy możesz mi poświęcić parę minut swojego cennego czasu?

Madeline była zachwycona, że Jack pyta ją, czy ma czas. Jack płacił jej pensję, choć odpowiadała przed jego matką. Wszystkie minuty jej czasu należały do niego, choć gdyby odmówiła wykonania jakiegoś polecenia, z pewnością by to uszanował.

W ciągu ostatnich paru dni, kiedy jeździł po sąsiadach w poszukiwaniu złodziei i dowcipnisiów, Madeline za nim tęskniła.

– Praca w zielarni nie jest pilna. Czy porozmawiamy tutaj?

Wskazał prawą ręką i Madeline ruszyła przed nim korytarzem. W domu panowała cisza, jak można się było spodziewać w dobrze skonstruowanym domu w spokojną, zimową noc.

Zielarnia liczyła osiem stóp kwadratowych, tyle co garderoba albo bieliźniarka, choć miała spore okno wychodzące na tylne ogrody i kominek, zajmujący większość jednej ściany.

Jack zamknął drzwi – uzasadnione działanie w chłodny wieczór.

– Zrobiłaś tu porządek.

– Po co są leki, jeśli nikt ich nie może znaleźć? – Madeline zajęła fotel przy kominku. – O czym chcesz rozmawiać?

Jack przysiadł jednym biodrem na stole.

– Nie o czym, a o kim. Odmrażałem sobie siedzenie, jeżdżąc po hrabstwie i wypytując ludzi o historię twojej rodziny i przyszło mi do

głowy, wtedy akurat, kiedy mój nos zaczął przypominać sopel, że mogę po prostu tobie zadać kilka pytań.

Madeline zrzuciła pantofle – pantofle Jacka – i wsunęła stopy pod siebie.

– Po co wypytywać o kobiety z rodziny Hennessey? – To było wszystko, co zostało z jej rodziny. Trzy kobiety bez majątku, z których żadna nie potrzebowała, żeby o nią wypytywał sędzia pokoju.

– Bo jesteś zagadką, niech to diabli, a ja lubię rozwiązywać zagadki. – Ściągnął brwi, patrząc na porzucone pantofle. – Lubię ciebie.

Lubienie kogoś było… dozwolone. Madeline lubiła każdego mężczyznę, którego obdarowała pocałunkiem albo pozwoliła na pieszczotę. To, że Jack Fanning ją lubił i mówił to głośno, stanowiło pewien problem. Miał tylko dyskretnie ją zabawiać, przekraczając nawet normy przyzwoitości; miał być zemstą za hipokryzję i fałszywą skromność społeczeństwa.

Dostarczać dreszczyku emocji.

– Ja też cię lubię.

– Więc powiedz mi, kim jesteś, Madeline Hennessey. Przybyłaś w te okolice w wieku czternastu lat, dołączyłaś do ciotki Hattie na służbie, w wieku piętnastu. To pozostawia połowę twojego życia, o której nic nie wiem.

I tak powinno być.

– Miałam rodziców, ojca i matkę, jak to zwykle. Kochali siebie nawzajem i kochali mnie. Mój ojciec był także wielbicielem dżinu.

Jack obracał w palcach gałązkę rozmarynu, ziołowy zapach rozchodził się po całym pomieszczeniu.

– Inna nazwa dla opium.

– Dla niektórych… – powiedziała Madeline, starając się nie zwracać uwagi na grę światła na twarzy Jacka w blasku kominka. Będzie pociągający i na starość, niech go diabli. – Papa pił nadmiernie i uprawiał hazard, a to jest droga dla tych, którzy mają tytuły albo ogromne bogactwo. Był dobrze urodzonym plebejuszem, który żył ponad stan. Kiedy matka

umarła, wysłał mnie do ciotek, zapewniając, że będzie regularnie przysyłać pieniądze na moje utrzymanie.

– Regularnie wysyłane pieniądze nigdy nie nadeszły – powiedział Jack – podczas gdy konieczność posiadania porządnych butów i nadejście zimy są boleśnie przewidywalne. Zrozumiałe, dlaczego nie pokładasz ufności w męskiej części naszego gatunku.

Co on takiego…?

Cóż. Madeline zadumała się, ponieważ w gorączce zarabiania na życie, opieki nad ciotkami, użerania się z natrętnymi lokajami, a czasem opatrywania czyjegoś bolącego kolana, nie miała czasu, żeby myśleć o przeszłości.

Po co wspominać nieszczęścia?

– Papa nie był złym człowiekiem, ale był słaby. Skończył w więzieniu Marshalsea, gdzie wszyscy go kochali, pomimo jego ogromnych długów. Zabrała go gruźlica i to było wybawienie. Moje ciotki nie powiedzą o nim dobrego słowa.

– A jednak – powiedział Jack – był czarujący, przystojny, dowcipny, lubiany i uwielbiał twoją matkę i ciebie. Nie byłaś nawet w stanie mieć mu za złe, kiedy łamał obietnicę za obietnicą.

Gdyby Jack rzucił w nią mokrą, zimną ściereczką, Madeline nie byłaby bardziej zdziwiona tą uwagą.

– Martwiliśmy się o niego. Kiedy papa chorował po swoich ekscesach, kiedy znikał na parę dni z rzędu, kiedy znajdowaliśmy go w stajni, martwiliśmy się o niego.

A teraz, po latach, w małej, cichej zielarni, Madeline poczuła palący żal do ojca.

I miała żal do matki i do głupiego angielskiego prawa, które kazało kobiecie trwać przy mężu, nawet gdy niszczył przyszłość całej rodziny.

Madeline miała pięć lat, kiedy przed śniadaniem znalazła po raz pierwszy ojca śpiącego w ogrodzie. Siedem, kiedy zorientowała się, że nikt nie

pracuje u nich zbyt długo. Osiem, kiedy straciła swojego kucyka.

– Ta rozmowa sprawia, że mam ochotę coś potłuc – powiedziała Madeline. – Coś delikatnego i cennego. – W zielarni było pełno szklanych słoi, różnych naczyń, miseczek… Chwyciła szal, żeby jej ręce nie znalazły czegoś kruchego i nie cisnęły w kominek.

Jack wstał i ukląkł obok niej.

– Nie jestem delikatny i nie proszę, żebyś mi zaufała, chyba że w tym, że ja ufam tobie.

Pocałował ją i to… pomogło. Madeline mogła odłożyć żale nad tym, co minęło i skupić się na nowej pasji – całowaniu Jacka Fanninga. Smakował miętową herbatą, a kiedy klęczał, Madeline mogła objąć go ramionami i panować nad postępem pocałunków.

To ona chciała decydować, kiedy pieszczota może stać się śmiała. Wplątała palce w jego włosy i przysunęła się bliżej, ogarnęło ją pożądanie i trudne do pojęcia emocje.

– Te przeklęte ubrania… – szepnął Jack, zmagając się z fałdami materiału.

– Zamknij te przeklęte drzwi – odparła Madeline, choć trzymała go kurczowo za ramiona.

Jack odsunął się, miał rozczochrane włosy i uśmiechał się diabolicznie.

– Jesteś w stanie myśleć w takim momencie. Doprawdy, mam przy sobie niezwykłą kobietę.

Podniósł się i przeszedł przez pokój, podczas gdy Madeline napawała się jego widokiem.

Jack zatrzymał się przy drzwiach.

– Chcę to zrobić w łóżku.

– Ja nie. Pokojówki, lokaje, twój brat, ktoś mógłby zobaczyć, jak idziemy na górę.

Panna DeWitt mogła ich zobaczyć albo matka Jacka.

Co gorsza, Madeline mogła wpaść w panikę gdzieś pomiędzy przytulną piwnicą a pełnymi przeciągów górnymi piętrami. Wspomnienie przeszłości, bolesnej i przypominającej o zdradzie sprawiło, że zapragnęła w dwójnasób przyjemności, jaką mógł jej dać Jack Fanning. Gdyby miała choć pięć minut, żeby zastanowić się nad swoim szaleństwem, mogłaby nigdy tej przyjemności nie zaznać.

Jack zamknął drzwi, metal zgrzytnął o metal, a Madeline pod wpływem tego dźwięku miała ochotę krzyknąć triumfalnie.

– Zrobimy to tak, jak ty chcesz – powiedział. – Tym razem.

– Dość gadania. – Madeline wstała z krzesła i zasunęła zasłonę w oknie. – Lepiej, żebyś miał coś więcej do zaoferowania niż paplaninę, Jacku Fanningu, bo może nie być następnego razu.

Nie powinno być następnego razu. Ani nawet tego razu.

– Uwielbiam wyzwania – oznajmił Jack, rozpinając kamizelkę. – Podejrzewam, że ty także.

– Dowiesz się wkrótce, jeśli przestaniesz paplać i…

Był przy niej w następnej chwili, otaczając ją ramionami, zamykając jej usta swoimi i to było dokładnie to miejsce, gdzie Madeline chciała go widzieć.

W Indiach przyjemność erotyczna stanowi szanowany i celebrowany aspekt małżeńskiego życia – oraz życia poza małżeństwem. Jack badał miejscowe obyczaje z takim samym zapałem jak inni samotni oficerowie, a jednak nigdy nie spotkał kobiety tak pewnej swoich celów, jak Madeline Hennessey.

Wydawała mu polecenia – rękami, ustami, ciałem.

Właśnie tak.

Znowu.

Bliżej.

Madeline nadawała tempo – szybkie, ale nie gorączkowe.

Rozpięła połowę guzików przy spodniach Jacka, żeby nie było wątpliwości, czemu ta prywatność ma służyć.

Pociągnęła Jacka przez pokój za krawat i ułożyła się na stole, w miejscu, gdzie przedtem Jack siedział.

Jack chętnie słuchał jej rozkazów – właśnie tak, znowu, bliżej. Przyjął jej tempo i wtulił się w ciepło jej ciała, kiedy rozsunęła nogi. Skapitulował wobec kaprysów i żądań Madeline nie dlatego, że wydawała się taka pewna swoich pragnień i tego, jak Jack powinien je spełniać.

Zupełnie odwrotnie. Jack podejrzewał – w istocie mógłby się założyć o swój najlepszy zaprząg – że Madeline Hennessey za wszelką cenę chce uniknąć kolejnego rozczarowania.

W jej pieszczotach, pocałunkach, szeptanych poleceniach, niespokojnych ruchach czuł gorycz i usiłującą się przebić przez nią nadzieję, rezygnację i radość, które ścierały się w walce o serce damy.

– Teraz – szepnęła przy ustach Jacka. – Chcę cię teraz. Dość tej zabawy, dość zwlekania…

Zabawy?

– Madeline Hennessey, jeszcze nie zacząłem się z tobą bawić.

Odważne słowa, ale w ustach człowieka, który przez dziesięć lat udawał, że seksualna wstrzemięźliwość całkiem mu odpowiada, były bzdurą. Jack pragnął Madeline Hennessey z taką samą pasją, jaką kiedyś darzył fajkę z opium i ta świadomość – uczciwa, przerażająca prawda – dała mu siłę panowania nad sobą.

Całował ją teraz delikatniej, gładząc po włosach.

– Nie ma pośpiechu, Madeline. Mamy całą noc, jeśli chcesz całej nocy.

Odsunęła się, zaniepokojona.

– Pięć minut powinno wystarczyć.

W piekle nie ma większego nieszczęścia niż kobieta przywykła do rozczarowań.

– Będę cię kochać, aż na twoim siedzeniu odbiją się słoje drewna, na którym leżysz. Będę cię całować, póki nie staniesz się samym pożądaniem. Będę ci sprawiać rozkosz aż do bólu.

Następne pięć minut Jack spędził, wprowadzając w życie swoje obietnice. Całował ją, ale tym razem delikatnie, cierpliwie, czule. Całował Madeline, jakby była uosobieniem jego najskrytszych marzeń. Kiedy wtuliła się w niego, wzdychając cicho, zapoznał ją z rozkoszami, jakie dawała pieszczota dłoni na jej piersiach.

Madeline Hennessey rozkwitła pod jego dłońmi, niczym mieniące się wszelkimi niuansami barw kwiaty passiflory, które Jack po raz pierwszy zobaczył w Indiach. Oddech za oddechem, westchnienie za westchnieniem jej desperacja ustępowała uległości, pośpiech zachwytowi.

– Jesteś doskonały… – szepnęła.

– My jesteśmy doskonali.

Ogień dogasał na kominku, a Jack rozpalał pożogę. Wieki mu zajęło, żeby wsunąć dłoń pod spódnicę Madeline, dał sobie czas, żeby zbadać każdą okrągłość i krzywiznę jej nóg, ucząc się ich na pamięć.

O mocnej budowie ciała, kobieca, silna, ciepła, interesująca – między kostką a kolanem Madeline Jack wymyślił z tuzin przymiotników na opisanie badanego terytorium.

Nowego terytorium – i to budziło w nim dumę i smutek. Smutek, ponieważ miłość, którą spotkał w Indiach, tam również stracił. Dumę – z powodu daru, jaki dostał od Madeline.

Wbrew sobie, pomimo wszystkich wcześniejszych rozczarowań, zaufała teraz Jackowi, uznając go przynajmniej za kochanka.

Odchyliła się do tyłu, opierając na rękach. Rozpuszczone włosy opadły jej kaskadą rudych loków na ramiona i plecy.

– Kiedy to robisz…

Jack podniósł jej spódnicę, żeby widzieć, czego dotyka. Świece i kominek nie dawały wiele światła, ale to, że pozwoliła na siebie spojrzeć,

znaczyło dla niego ogromnie wiele.

– Kiedy to robię, pragnę znaleźć się wewnątrz ciebie – powiedział Jack, ilustrując swoje słowa palcem. – Właśnie tak.

– Nieprzyzwoite – odparła. – Cudownie nieprzyzwoite.

Jack sprawił, że stało się to jeszcze cudowniejsze i o wiele bardziej nieprzyzwoite. Madeline poddała się rozkoszy; przez krótką chwilę, oszołomiona, dyszała ciężko przy jego ramieniu.

– Nie chcę, żebyś mnie puścił – szepnęła Madeline. – Nie mogę się ruszać.

– Dobrze.

Jack rozpiął spodnie do końca; Madeline najpierw pozostała bierna, a potem rozpoczęła zabawę w kotka i myszkę. On napierał, ona się cofała, aż w końcu ich ciała się połączyły.

– Tak – szepnęła Madeline. – Nie stój tak teraz.

– Potrzebuję chwili. – Żeby opanować rozkoszny wstrząs. Madeline była niebiańska – jak powrót do domu, jak przebudzenie w egzotycznym raju.

– Potrzebujesz…?

Jack czuł, że zaczyna go rozumieć; jej pocałunek smakował zadowoleniem i pewnością siebie.

– Masz tyle czasu, ile chcesz – powiedziała. – Mamy całą noc, jeśli tego ci trzeba.

W jakimś momencie zdjął koszulę, krawat i kamizelkę. Madeline językiem podkopywała jego samokontrolę.

– Madeline, staram się nie rozczarować cię.

Poruszyła się jak wąż, niech to.

– Smakujesz drzewem sandałowym – kolejna tortura, tym razem poruszyła się w drugą stronę – owocami, a może goździkami. Jesteś smakowity.

Jestem zgubiony.

– Nie będę tak stał, zanurzony w tobie i dyskutował o zapachu mojego mydła.

Madeline poruszyła się tak, że suknia i koszula opadły jej z ramion.

– Madeline Hennessey.

– Możesz mi mówić Maddie – powiedziała, znęcając się nad nim dalej.

Jack przyrzekł sobie, że to Madeline będzie decydować o tym, jak przebiega ich zbliżenie. Ona narzuciła tempo. Teraz uchronienie jej przed rozczarowaniem już nie wystarczyło. Chciał jej sprawić rozkosz, chciał, żeby zrozumiała, ile przyjemności może sobie dać dwoje ludzi, których łączy namiętność.

Świetny plan.

Jack poczuł, że płonie, kiedy Madeline przyciągnęła go bliżej i skrzyżowała kostki na jego plecach. Zdołał nad sobą zapanować i dał Madeline rozkosz raz jeszcze, ale to był kres jego wytrzymałości. Kiedy wróciła do poprzedniego tempa, Jack dał sobie spokój.

Objął ją ramionami, poruszając się szybko, energicznie. Madeline wbiła mu paznokcie w plecy; zatracił się w cudowności tych doznań.

Zadrżała, westchnęła, może nawet zawołała jego imię. Kiedy trwali w uścisku, dziękował bóstwom, czuwającym nad rozwiązłymi wdowcami, że zdołał wycofać się w porę – niewiele brakowało, a byłby nie zdążył.

Teraz doznawał przyjemności, o której już zapomniał – ulgi i poczucia niezwyciężoności, jaką dawał spełniony akt miłosny. Nogi i plecy paliły go, jakby przebiegł połowę drogi do Londynu, ale umysł miał niezwykle spokojny.

Pomacał stół za Madeline i wsunął jej koszulę i suknię z powrotem na ramiona – w odruchu opiekuńczości, ale także, bo ogarnęła go… pokora.

Madeline Hennessey wybrała go na kochanka i mógł tylko mieć nadzieję, że jej nie rozczarował, ponieważ bardzo – bardzo – pragnął, żeby był następny raz.

Wiele następnych razów. Najlepiej w przyjemnym, dużym, wygodnym łóżku.

– Prowadzenie takiego domu, jak ten, to wyzwanie dla każdej kobiety. – Pani Fanning przesunęła palcem wzdłuż półeczki nad kominkiem w rodzinnej bawialni. – Nie chodzi naturalnie o to, jak duży jest ten dom.

Czy była rozczarowana, że nie znalazła nawet drobinki kurzu?

Madeline udawała, że pochłania ją haft – para gruchających gołębi w obrosłej liśćmi altance w rogu jej niedzielnej chusteczki. Pani Fanning nie mogła znaleźć sadzy na kominku, brudu na ruszcie, chodniczków, które wymagałyby trzepania, choć nie szczędziła wysiłków, żeby coś takiego wypatrzyć.

– Z pewnością powiesz nam, na czym polega trudność – odezwała się panna DeWitt.

Pani Fanning ustawiła się przed kominkiem, blokując nieco światła i ciepła, które docierało do Madeline. Wieczór był chłodny, po zachodzie słońca zerwał się wiatr.

– Droga Lucy Anne – odparła pani Fanning – czy wyobrażasz sobie, jak zapewnić dotyk kobiecej ręki w domu, któremu nie tylko przez lata brakowało kompetentnego, damskiego nadzoru, ale którym w dodatku kierował ten przybysz zza morza, którego Jack wydaje się tak cenić?

Znowu to samo.

– Pan Pahdi wydaje się całkiem kompetentny. – Panna DeWitt podniosła wycinankę, w której wydawało się być więcej dziur niż papieru, tak zręcznie posługiwała się nożyczkami.

– W tym właśnie kłopot – parsknęła pani Fanning, uderzając dłonią w półeczkę nad kominkiem. – Pan Patty wydaje się kompetentny. Jack wybaczy mu wszystko, czego dowodzi nieszczęsna przygoda pani Abernathy. To bardzo ładne, Lucy Anne. Czy możesz zrobić drugą do pary?

– Z pewnością mogę spróbować.

Lucy Anne DeWitt nie wahała się próbować, była wytrwała wobec wszelkich przeciwności, umiała wykorzystywać karty, jakie dostała od losu. Madeline znienawidziłaby ją za to, tyle że szanowała Lucy Anne i zdawała sobie doskonale sprawę, jaki to ciężar być atrakcyjną panną na wydaniu.

– Sądzę, że pewna zmiana wzoru może okazać się interesująca – zauważyła Madeline, wiążąc supełek na złotej nitce. – A pani Abernathy będzie może szczęśliwsza w nowym miejscu.

Lucy Anne rzuciła Madeline niedowierzające spojrzenie, ponieważ jej uwagi brzmiały prawie tak, jakby dyskutowała z opiniami pani Fanning.

A to niedobrze. Odkąd kochała się z Jackiem w piwniczce dwie noce wcześniej, Madeline stała się inną osobą. Jakże była ślepa – jaką była ignorantką. Mężczyźni, którym przedtem pozwoliła na intymne zbliżenia, byli w najlepszym razie niezdarami, a najprawdopodobniej samolubnymi głupkami.

Kiedy Jack Fanning kochał się z kobietą, darzył ją uwielbieniem, dawał jej rozkosz i okazywał stałą troskę i uwagę.

Cóż za okrutna ironia, że Madeline dostała tę lekcję od niego, podczas gdy właśnie jego awanse powinna bezwzględnie odrzucać.

– Pani Abernathy była głupia – parsknęła pani Fanning. – Kamerdyner bez wątpienia kradł, ale to szef służby domowej i Jack jest wobec niego lojalny. Tylko bezrozumna kobieta ryzykuje konfrontację w takiej sytuacji.

Madeline odłożyła tamborek do pudełka z robótkami i zamknęła je.

Pani Abernathy była bigotką, służbistką, leniem i złym człowiekiem. Sądziła jednak, że zwraca uwagę pracodawcy, że pod jego dachem dzieje się coś złego, tak samo jak kiedyś ciotka Hattie. Kiedy mężczyzna mówi prawdę, ceni się go za uczciwość i odwagę. Kiedy kobieta mówi prawdę…

– Och, ojej! – Panna DeWitt odłożyła maleńkie nożyczki, których używała o tworzenia swoich małych arcydzieł. – Jaka ze mnie niezdara. – Przyłożyła poduszeczkę wskazującego palca do ust. – Chcemy, żeby nożyczki były ostre, a potem nie uważamy.

Madeline podała jej skrawek materiału z pudełka.

– To mi się zdarzyło mnóstwo razy. Zawiń mocno, a krwawienie wkrótce ustanie. – Madeline kaleczyła się kuchennymi nożami, nie nożyczkami do salonowego użytku.

– Kobietę, która zajmie się tym domem, czeka ogromne wyzwanie. – Pani Fanning położyła dłoń na kominku, jakby powtarzając scenę w teatralnej próbie. – Jack musi zrozumieć, że stan kawalerski już mu nie służy. Powinien przyjmować gości, jeździć na spotkania, spędzać sezon w Londynie i łożyć na oksfordzką dobroczynność. Pani domu będzie musiała nim kierować tak, żeby miał wrażenie, że nikt nie wpływa na jego wybory.

Wycinanka leżała na kolanach Lucy Anne; biały papier plamiła kropla czerwieni.

Z tej strony pomoc nie nadejdzie; Lucy Anne była przebiegła.

– Dlaczego po prostu nie wytłumaczyć synowi, że zaniedbuje obowiązki wynikające z jego pozycji? – zapytała Madeline.

Szanowała Jacka, że zdecydował się przyjąć obowiązki sędziego, zamiast tygodniami obtańcowywać damy w Londynie. Rozumiała, dlaczego żołnierz, który widział zbyt wiele przemocy, unika polowań na lisy, a także dlaczego Jacka nie pociągały wystawne uczty dla miejscowej szlachty.

Jack Fanning nie był chłopcem, lordziątkiem bawiącym się w życie. Był mężczyzną, który spędził wiele miesięcy w celi, mając śmierć za towarzyszkę i nie musiał na nikim wywierać wrażenia pozorami.

– Myślisz, że nie próbowałam uświadomić Jackowi, że błądzi, panno Hennessey? – Zaszeleściwszy gniewnie spódnicą, usiadła na kanapie obok Lucy Anne. – Jest uparty jak jego ojciec. Dziękuję Bogu za Jeremy’ego, moją jedyną pociechę, mimo że jest taki niepozorny.

Madeline pochyliła się nad niskim stolikiem, wzięła nieudaną wycinankę z kolan Lucy Anne i cisnęła ją w ogień.

– Bardzo lubię towarzystwo wielebnego Fanninga – powiedziała Madeline. – Jest uczciwy i dobry, każda matka byłaby z niego dumna, pani

Fanning. – Także bardzo przystojny, i podobnie jak brat, odznaczający się piękną budową ciała.

– Zgadzam się – powiedziała Lucy Anne, przyglądając się skaleczonemu palcowi. – Ma pani dwóch wspaniałych synów, pani Fanning. Bardzo różnych, ale znakomitych dżentelmenów.

Lucy Anne zerknęła na Madeline spod spuszczonych powiek. Niech się stara jędza spróbuje z tym nie zgodzić, wydawał się mówić wyraz jej twarzy.

Madeline mrugnęła do niej a pani Fanning pomaszerowała do sekretarzyka pod oknem.

– Tyle zrobiłam dla tych chłopców i jakie mnie spotyka podziękowanie? Jeremy nie potrafi zyskać przychylności biskupa. Jack upiera się przy zachowaniu pamiątek z Indii, wiedząc, że jestem temu przeciwna. To straszliwie męczące, jeśli chcecie wiedzieć. Matka żywi nadzieje wobec swoich dzieci… A ileż można znieść?

Z takich synów jak Jack i Jeremy można było czuć dumę. Każdy z nich, na swój sposób, dawał społeczeństwu coś cennego, podczas gdy pani Fanning…

Pani Fanning uosabiała wszystko, czego pragnąć powinna każda młoda kobieta. Bez trosk materialnych, z bezpieczną pozycją społeczną, szanowana przez rodzinę… także znudzona do łez, samotna i w związku z tym uwielbiająca wściubiać nos w nie swoje sprawy.

– Nie chcę przysparzać pani trosk – odezwała się Madeline – ale z decyzją o odejściu, którą podjęła pani Abernathy, wiąże się kłopot, którego nie można zlekceważyć, a któremu z pewnością ani sir Jack, ani Pahdi nie mogą zaradzić.

Pani Abernathy sama zdecydowała o odejściu, co Madeline chciała podkreślić.

– Nigdy nie odmówię pomocy moim chłopcom, jeśli to tylko leży w mojej mocy – powiedziała pani Fanning, patrząc w ciemność za oknem. –

Jakby się okazali niewdzięczni.

Jakby im nie zrzędziła nad uchem.

– W zielarni panował straszny bałagan – ciągnęła Madeline – i uporządkowałam ją, na ile się dało, ale nie mam żadnych przepisów na herbatki ziołowe, maści czy syropy. Pani Abernathy albo je ze sobą zabrała, albo polegała wyłącznie na pamięci i wiedzy służby.

– To niedobrze – powiedziała Lucy Anne. – Moja mama ma książkę, całą półkę książek o tym, jak sporządzać leki, usuwać plamy, przygotować środki czyszczące i tak dalej. Jakby ktoś zachorował…

– No właśnie – stwierdziła Madeline. – Wtedy będzie za późno na gromadzenie wiedzy, której powinno się strzec w każdym domu, a często się tego nie robi.

Pani Fanning przysiadła na pozłacanym krześle przy sekretarzyku.

– Szukałaś leków i syropów i nie znalazłaś?

– Szukałam. Pytałam kucharkę i Pahdiego, a oni odesłali mnie do naczelnego stajennego, który ma świetne przepisy na maści lecznicze.

– Końskie maści nie pomogą na ropiejące gardło. – Lucy Anne zaczęła tworzyć kolejne dzieło za pomocą maleńkich nożyczek.

– To prawda – zgodziła się pani Fanning, wyjmując kartkę pergaminu z szuflady. – Musimy sporządzić listę, moje panie. Zdrowie domowników jest w niebezpieczeństwie i do nas należy temu zapobiec.

Przez następną godzinę, podczas gdy Lucy Anne zaśmiecała dywan strzępkami papieru, a Madeline pracowicie dodawała kwiatki do wyhaftowanej altanki, pani Fanning pisała listę.

Wieczorną tacę z herbatą i ciasteczkami przyniesiono o dziesiątej, a lokaj został dłużej, żeby podsycić ogień na kominku. Zrobiło się ciepło i przytulnie, a pani Fanning, wyraźnie zadowolona, pogrążyła się w pracy.

Madeline przez chwilę cieszyła się po prostu luksusem, jaki był jej udziałem w mroźną, zimową noc.

Niedaleko stąd jej ciotki, głodne, drżały pewnie z łóżkach z zimna. Jak kobieta, pozbawiona pewnej pozycji w świecie, jak pani Fanning, i determinacji Lucy Anne, żeby znaleźć dobrą partię, mogła wybawić dwie samotne kobiety z nędzy, na którą nie zasługiwały w żaden sposób?

10

Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, najbardziej dostojny panie – powiedział Pahdi z ukłonem. – Muszę cię zawiadomić o niepokojącej sytuacji.

Jack odłożył pióro, ponieważ Pahdiego, który postanowił go o czymś zawiadomić, nie dałoby się powstrzymać, a popołudnie z księgami rachunkowymi wprawiło Jacka w nie najlepszy nastrój.

– Mów. Jeśli Apollo zrobił małej dziecko, nie musisz owijać w bawełnę. Wezmą ślub przed dniem św. Dawida, nawet jakbym miał zmusić Jeremy'ego do odprawienia ceremonii pod groźbą pistoletu.

Pahdi uniósł wieko czajniczka ze stygnącą herbatą, stojącą obok Jacka na biurku.

– Nie będę udawał, że pojmuję subtelności zalotów wśród znakomitych Anglików, którym mam zaszczyt służyć, ale jakiemu celowi służy broń palna podczas ceremonii zaślubin?

– To tylko przenośnia. Nakłonię Apolla do tego, żeby wziął odpowiedzialność za swoje potomstwo wszelkimi dostępnymi sposobami.

– Oczywiście. Zawsze mądrze jest inspirować kogoś do wypełniania obowiązków rodzicielskich i wiąże się to w pewien sposób z tym, o czym pragnę cię powiadomić.

Pahdi był młodzieńcem, kiedy Jack wrócił do Anglii, ale wpadające przez okno ukośne promienie popołudniowego słońca ukazywały go jako mężczyznę w sile wieku – wściekle przystojnego mężczyznę.

Jak sobie radził z damskim towarzystwem czy też przyjaźń z Jamesem zaspokajała wszelką potrzebę uczuć z jego strony? Dlaczego, w ciągu dziesięciu lat, Jack nigdy nie zastanawiał się nad tą tajemnicą, dotyczącą kogoś, kto najdłużej mu służył, kto był z nim poprzez małżeństwo spowinowacony?

– Powiedz, co masz do powiedzenia. – Jack podniósł się z poduszek. To, że Pahdi chciał z nim rozmawiać w zaciszu prywatnych pokoi Jacka, wskazywało na delikatną naturę sprawy.

– Jestem kamerdynerem w Teak House. – Pahdi postawił tacę z herbatą na komodzie. – Bezpieczeństwo tego domu i jego mieszkańców jest dla mnie najważniejsze, ponieważ troska o właściciela tego pięknego majątku to próżny trud dla każdej czującej istoty.

– Twój talent do wygłaszania kazań marnuje się poza kościołem.

– W swojej nieskończonej łaskawości zechciałeś przekazać mi tę opinię już wcześniej. – Pahdi wyjął cienką świeczkę ze słoika na kominku, wsunął w ogień na palenisku, a potem pozapalał lampki na ścianach. – Kwestia, na którą chciałbym zwrócić twoją uwagę, dotyczy morale i zachowania domowników, jednak przynajmniej jedna ze stron przede mną nie odpowiada. Dlatego twoje wskazówki są niezbędne, abym nie pobłądził w swojej ignorancji…

– Wystąpię z petycją do korony, żeby kwiecistość wymowy dodać do i tak już imponującej listy zbrodni wedle wykładni angielskiego prawa.

– Kilka nocy temu udałem się na obchód domu przed wieczornym spoczynkiem – oznajmił Pahdi, wrzucając płonącą świeczkę do kominka. – Co noc sprawdzam każdy zamek, obchodzę wszystkie piętra, zwracając uwagę na niezamknięte okna, na świece umieszczone zbyt blisko świątecznej zieleni.

Wszystko, co robił Pahdi, robił ze spokojem, jednak na końcu jego opowieści czaiło się niebezpieczeństwo tak oczywiste, jak zew zakochanego słonia.

– Moja wdzięczność za twoją czujność nie ma granic; nie powtarzam ci tego dostatecznie często.

Pahdi błądził wzrokiem po pokoju; jego twarz wyrażała dezaprobatę. Mógłby napisać książkę o tym, jak wyobraża sobie stosowne zachowanie u Anglików – głównie w oparciu o rozczarowujący przykład Jacka.

– Wykonuję zadania, za które jestem sowicie wynagradzany. Nocną inspekcję kończę pod schodami. Pilnuję, żeby spiżarnia była zamknięta, ogień na kuchni wygaszony, żeby było bezpieczne. Zielarnia jednakże pozostaje na ogół otwarta, na wypadek gdyby ktoś się obudził i zechciał napić rumianku albo naparu imbirowego na żołądek.

Cóż, a niech to.

– Czy ktoś złupił zapasy w zielarni? – Zdrowy rozum Jacka został tam złupiony. Starannie, bez reszty, kilkakroć.

– Czy jesteś świadom, że panna Hennessey wzięła na siebie uporządkowanie zielarni po odejściu tej zakały wśród służby domowej, którą miałeś nieszczęście zatrudnić w charakterze gospodyni?

Pahdi był dżentelmenem. To, że mówił o pani Abernathy w sposób tak uwłaczający, dowodziło, że sytuacja musiała być gorsza, niż Jack podejrzewał.

– Moja matka postanowiła kontynuować to, co panna Hennessey zaczęła – powiedział Jack. – Sporządza książkę przepisów zielarskich, tracąc czas. Axel Belmont to jeden z najbardziej uczonych znawców botaniki w królestwie i wystarczy tylko…

Pahdi ponownie spojrzał na niego z dezaprobatą; kamerdyner dysponował całym arsenałem westchnień, milczenia, min, mających na celu wyrażenie potępienia bez słów.

– Co takiego? – zapytał Jack, bo w tej dezaprobacie była nutka rozpaczy.

– Twoja matka może znać medykamenty, o których uczony i wielce szanowny pan Belmont mógł nigdy nie słyszeć.

Być może. Mama miała niezwykłą pamięć.

– Zatem cieszę się, że postanowiła utrwalić swoją wiedzę.

– W przeszłym życiu musiałem być bez wątpienia rabusiem świątynnym, pozbawiałem cnoty nieśmiałe, pobożne dziewice, przynosiłem wstyd matce i także jej matce, ponieważ twoja odpowiedź skłania mnie do powiedzenia czegoś, co roztropniej przemilczeć.

– A w przyszłym życiu będziesz kamerdynerem samego Belzebuba, jeśli zaraz mi nie powiesz, o co ci chodzi.

– Bel…?

– Kamerdynerem w piekle. Ty, skromny, pobożny anglikanin.

– Ci, którzy nie szanują swoich matek, w następnych wcieleniach mogą się spodziewać, że będą opróżniać nocniki podczas epidemii cholery. Zapewnił mnie o tym mój własny, świątobliwy ojciec, a nie oszukiwałby ukochanego syna.

– Pahdi, w czym rzecz? Jestem sędzią, jak może pamiętasz, a istotą tego wątpliwego zaszczytu jest to, że rozwiązuję problemy w granicach prawa.

Pahdi podniósł kołdrę w nogach łóżka i złożył ją ponownie tak, że brzegi idealnie do siebie pasowały.

– Mam powody sądzić, że ktoś, korzystając z odosobnienia, robił z zielarni niewłaściwy użytek kilka nocy temu. Panna Hennessey tam pracowała i dlatego w kominku palił się ogień. W związku z tym zielarnię także zamierzałem poddać inspekcji. Zastałem drzwi zamknięte, więc nie wiem, kim była szczęśliwa para i podczas gdy moja osobista opinia nie ma znaczenia, panna Hennessey nie byłaby z pewnością zadowolona, że ktoś oddaje się miłosnym rozkoszom pośród ziół i leków.

Mama zaprezentowałaby osiemnaście odmian histerii. Dzięki Bogu, że Madeline przypomniała Jackowi, żeby zamknął drzwi.

– Nie wiesz, kto mógłby się w ten sposób zabawiać o tak późnej porze?

Pahdi unikał kontaktu wzrokowego z osobami stojącymi wyżej od niego w hierarchii społecznej, jednak nic nie umykało jego uwadze. Jack wolał

podziwiać krwawą czerwień zachodzącego słońca za oknem, niż spojrzeć Pahdiemu w oczy.

– Nie mam pojęcia, czcigodny panie, kto mógłby okazać taki brak szacunku twojemu domowi podobnym zachowaniem.

– A gdybyś wiedział – zapytał Jack, poprawiając sznur przytrzymujący zasłony – co byś powiedział błądzącej parze?

Pahdi wiedział. Wiedział, kto znajdował się za zamkniętymi drzwiami i przez kilka dni zastanawiał się, jak poruszyć tę sprawę z męską połową owej pary.

– Ta para nie błądzi – odparł Pahdi. – To mężczyzna błądzi. Po pierwsze, nie kłopocze się, żeby sprawić przyjemność swojej damie w jednym z wielu łóżek w tym domu, ani nawet, żeby zaofiarować jej łoże pachnącego siana w odosobnionym kącie stodoły. Po drugie, cieszy się wdziękami damy w porze, kiedy nie cała służba udała się na spoczynek, narażając tym samym jej dobre imię. Po trzecie, jako że nie ma żonatych mężczyzn w majątku, ów mężczyzna jest w stanie oferować damie ochronę swojego nazwiska, zamiast tego czerpie chwilową przyjemność, zrywając kwiat, który powinno się kultywować jak największy skarb…

Podobnym kazaniem Jack biczował się w długie, bezsenne noce. Kochając się z Madeline Hennessey, miał wrażenie, że przeżywa na nowo zapamiętaną scenę, żeby stwierdzić, że jest jeszcze cudowniejsza, niż mu się wydawało.

Ale poczucie winy… Jack zapomniał o podstępnym, na wpół uświadomionym poczuciu winy, które uwierało sumienie, mącąc nawet piękne wspomnienia, jeśli mężczyzna nie dotrzymywał w pewnej sytuacji reguł. Młody człowiek mógł sobie poradzić z owym poczuciem winy, pijąc, walcząc, maszerując.

Dojrzały człowiek musi być wobec siebie uczciwy.

– Ona mnie nie chce, Pahdi.

– Zasługujesz zatem na surowe potępienie – stwierdził Pahdi, zdejmując zabłąkaną filiżankę z biurka i stawiając ją na tacy. – Zgoda kobiety zależy tylko od niej. Ty mnie tego nauczyłeś.

– Zgodziła się – powiedział Jack. – Była niezwykle chętna, nawet nalegała na to, ale jej celem nie jest małżeństwo.

A to było… dziwne, niepokojące, niezrozumiałe. Po raz pierwszy w życiu Jack doświadczył frustracji, która nieustannie jest udziałem kobiet. Czekały, żeby mężczyzna się oświadczył, czekały, żeby go znużyły wyprawy w dalekie kraje, czekały, aż zainteresuje się własnymi dziećmi, aż zdecyduje, której nocy odbędzie wizytę w jej sypialni.

Jak damy znosiły taką bezsilność? Przekonanie, że na tego czy innego mężczyznę warto czekać, bladło wobec doświadczenia… braku szacunku.

Ślub z Madeline Hennessey stworzyłby pewne problemy, ale to, że nie wolno mu było nawet brać go pod uwagę, męczyło go. On – pasowany na rycerza bohater spod Parrakan, pan domu, królewski urzędnik, przyzwoity, choć może pozbawiony wdzięku kawaler – nie zasługiwał, żeby go poślubić.

– Dama nie uważa cię za odpowiednią partię? – zapytał Pahdi niezwykle, jakże niezwykle ostrożnie.

– Wydaje się, że nie.

– Dlaczego?

– Ponieważ dałem impertynenckiemu hultajowi stanowisko kamerdynera.

Żart wypadł blado. Twarz Pahdiego zamknęła się. Skłonił się i podniósł tacę.

– Pahdi, Madeline broni cię jak lwica. To kobieta, która jako ostatnia mogłaby kwestionować mój wybór kamerdynera. Problemem jestem ja.

Pahdi odstawił tacę.

– To mądra kobieta, bo jesteś problemem, jeśli mogę mówić szczerze, nie ryzykując więzienia.

Dzięki Bogu, Pahdi zawsze mówił uczciwie to, co myśli – na swój sposób.

– Jeśli chcesz się podzielić ze mną jakąś mądrością, nie krępuj się.

– Dama nie uważa cię za odpowiednią partię. Musisz to zmienić. Czy Saras niczego cię nie nauczyła?

Saras nauczyła Jacka bardzo wiele – niektóre jej nauki obejmowały pióra, eliksiry, zabawki…

– Nauczyła mnie słuchać swojego brata, kiedy ów dostojny człowiek raczy się wypowiadać nieco jaśniej niż wyrocznia delficka.

– Masz wielki majątek. Cóż, wielu ma majątek. Jesteś rycerzem. Twój regent stworzył setki rycerzy. Dlaczego panna Hennessey miałaby przyjąć życzliwie twoje zaloty?

Jack usiadł na parapecie; chłodne powietrze na plecach wspomagało pracę mózgu.

– Ponieważ jako moja żona Madeline nie musiałaby usługiwać innym i słuchać poleceń, więc takie życie byłoby dla niej lepsze.

– Czy tak? Naprawę? Radości życia małżeńskiego z czającą się groźbą śmierci przy porodzie, z przekazaniem całej własności kobiety na rzecz męża, z utratą prawa do wydawania nawet własnych pieniędzy albo zatrudniania własnej służby są bardziej ponętne niż stała pensja i pół dnia wolnego od czasu do czasu?

Retoryczne pytania budziły wściekłość.

– Oczywiście, że małżeństwo jest lepsze niż służba. – Jeśli kobieta poślubia dobrego mężczyznę.

Bardzo dobrego mężczyznę. Prawdziwą rzadkość wśród mężczyzn. Świętego z majątkiem.

Może. Porody zabijały kobiety codziennie i była to straszna śmierć.

Pahdi wydał westchnienie godne Pana Boga, kiedy ten w osobach Adama i Ewy skazywał ludzkość na wygnanie z raju.

– Zostawiam cię z twoimi niewzruszonymi poglądami. – Pahdi skłonił się i zabrał tacę.

Zamknął cicho drzwi – prawdziwa sztuka, kiedy musiał utrzymać w równowadze ciężką tacę – a Jack policzył do dziesięciu, zanim porwał poduszkę z łóżka i rzucił nią o ścianę.

– Przepraszam, Pahdi – powiedziała Madeline. – Szukam sir Jacka.

Kamerdyner niósł srebrną tacę, na pewno ciężką. Mimo szczupłej budowy wydawał się świetnie sobie radzić.

– Sir Jack udał się do swoich pokoi, jak się wydaje, żeby zająć się w odosobnieniu księgami rachunkowymi, panno Hennessey. Jeśli chcesz, mogę posłać lokaja…

– Nie potrzeba – odparła Madeline. – Sama go znajdę.

Twarz Pahdiego ani drgnęła, ale Madeline zauważyła w jego oczach ostrzeżenie.

– Wiem – powiedziała. – Nie przeszkadza się dzielnemu rycerzowi, kiedy poleruje swój miecz czy też inaczej spędza leniwe popołudnie, ale to pilne.

Poklepała Pahdiego po ramieniu i odeszła energicznym krokiem. Udało jej się zaskoczyć niewzruszonego kamerdynera i to jej sprawiło drobną satysfakcję.

Madeline zastukała w drzwi pokoju Jacka trzy razy, dokładnie tak, jak Pahdi i kazano jej wejść.

– Jeśli musisz mnie znowu biczować, to przynajmniej… och, to ty.

Nie wydawał się uradowany jej widokiem.

– Spodziewałeś się, że ktoś cię pobije?

Madeline słyszała o podobnych praktykach. Candlewick miało w bibliotece kilka tekstów opisujących ze szczegółami egzotyczne obyczaje erotyczne. Odkurzanie książek nie dawało czasu na nic więcej niż bardzo

powierzchowne zapoznanie się z ich treścią, ku wielkiemu żalowi Madeline.

– Spodziewałem się, że mój kamerdyner znowu będzie mnie dręczyć. – Podniósł poduszkę z podłogi i rzucił ją na łóżko. – Wejdź.

Miał na sobie szlafrok, spodnie od pidżamy i nic więcej. Stopy miał bose, za jego plecami stało łóżko z baldachimem. Żadne kotary nie zasłaniały widoku łóżka ani miękkiej przestrzeni, gdzie Jack sypiał co noc.

W pokoju unosił się egzotyczny zapach – nie uspokajający aromat drzewa sandałowego, jak w bibliotece, ale bardziej złożony, jakby często palono tam kadzidła. Wejście do niego równało się dla Madeline przekroczeniu progu kulturowego i fizycznego; Madeline była tam obca.

– Może twój kamerdyner byłby szczęśliwszy w Indiach – powiedziała Madeline.

Wystrój wydawał się niezwykły, Łóżko zbudowano z drewna tekowego. Wzór na parawanie w kącie przedstawiał tygrysy na tle bujnej zieleni. Na bieliźniarce stał jaskrawy wachlarz z pawich piór, a biurko – także tekowe – było takie niskie, że trzeba było usiąść na ziemi, żeby móc przy nim pracować.

Może Jack byłby szczęśliwszy w Indiach?

– Moja matka byłaby szczęśliwa, gdybym odesłał Pahdiego do rodzinnego kraju – zauważył Jack. – Nie sądziłem, że podzielasz jej przesądy.

Madeline nie miała czasu na szermierkę słowną z mężczyzną, który zajmował jej myśli we dnie i w nocy.

– Twoja matka jest zazdrosna o twojego kamerdynera – powiedziała Madeline. – Poświęcasz mu więcej czasu i okazujesz więcej względów niż jej. Mam nadzieję, że nie żywię żadnych przesądów co do Pahdiego, ale nie przyszłam tutaj, żeby rozmawiać o samotności twojej matki.

Dla Madeline przebywanie sam na sam w tym pokoju z Jackiem było proszeniem się o skandal – znowu.

Jack rozwiązał szlafrok i otworzył szafę, kolejny masywny mebel z drewna tekowego.

– Mógłbym cię poprosić, żebyś wyszła i przyjęła mnie w rodzinnej bawialni za kwadrans, ale wydaje mi się to śmieszne. Co mogę dla ciebie zrobić?

Ściśle mówiąc, nie unikali się w ciągu ostatnich paru dni, ale Jack był zajęty ściganiem złodzieja z tawerny i złodzieja węgla. Madeline nie była pewna, czy Jack chce każdego ze złoczyńców postawić przed sądem i miała nadzieję, że nigdy się tego nie dowie.

– Moja ciotka Theodosia zachorowała. Jedna z pokojówek z Candlewick odwiedziła ją i okazało się, że walczy z gorączką płucną.

– Nienawidzę gorączki płucnej – stwierdził Jack, wieszając szlafrok na haku w szafie. – Nienawidzę wszystkiego, co pachnie chorobą i cierpieniem. Nie myślisz chyba, żeby ryzykować zarażenie i pojechać do niej osobiście?

O tym właśnie myślała Madeline, ale kiedy miała odpowiedzieć, Jack wyciągnął z szafy koszulę. A przy tej okazji stanął do niej tyłem, tak że zobaczyła jego plecy – tę część jego ciała, której nigdy nie widziała. Dotknęła blizn wijących się na jego skórze. Blizny były stare, blade i zbyt liczne.

– Nie chcesz, żeby matka wiedziała – powiedziała Madeline.

Jack naciągnął koszulę przez głowę.

– Słucham?

– Nie chcesz, żeby matka wiedziała, jak niewiele brakowało, żeby straciła syna w Indiach i dlatego trzymasz się od niej z daleka. Dystans ją rani.

– Także ją chroni, tak jak ty musisz się chronić przed chorobą ciotki. Wyślę wiadomość do doktora Higgansa. Obejrzy ją i da ci znać, jak się miewa.

– Nie zrobisz nic takiego. – Madeline podeszła bliżej do Jacka. – Higgans nie ruszy się, żeby zobaczyć starą, chorą kobietę, póki inni jego pacjenci nie staną się okazami zdrowia. Theo nie ma czym zapłacić, więc on powie, że jest za stara i nic się nie da zrobić. Dokładnie tak powiedział, kiedy zachorowała przed dwoma laty.

Madeline widziała w oczach Jacka, że chce się z nią kłócić – w męskim języku to się nazywa przemawianie do rozumu.

– Pójdę do niej bez twojego cennego pozwolenia, Jacku Fanningu; możesz to uznać za złamanie kontraktu i wyrzucić mnie na śnieg.

– Madeline, ja nigdy…

– Ale skazujesz starą kobietę, żeby cierpiała w samotności? Będzie usiłowała nakarmić kury w ten okropny mróz. Będzie się martwiła o te przeklęte psy i zaniedba się, uważając, że w ogóle może wstać z łóżka. Zakaszle się na śmierć, bo nikt jej nie da grogu ani nie znajdzie ciepłych pończoch na nogi. Niech cię diabli, jeśli tak rozumiesz chrześcijańską dobroczynność.

Jack wymachiwał bezsensownie chusteczką.

– Twój policzek – powiedział, dotykając własnej twarzy. – Masz łzy…

Wyrwała mu chusteczkę.

– Dziękuję. Pewnie nie będę na kolacji i nie spodziewaj się mnie jutro. Przeproszę twoją matkę, jeśli wrócę, a Belmontowie z pewnością zabiorą moje rzeczy, jeśli nie będę tu mile widziana.

– Wyślę wiadomość do Higgansa – powiedział Jack.

Był uczciwym, honorowym Anglikiem i ochronę kobiet ze swojego domu traktował jak obowiązek. Posłanie po doktora było szlachetne – Jack dopilnowałby, żeby Higgans otrzymał zapłatę – ale także pozbawione sensu.

– Nie mam nikogo poza ciotkami. Nie możesz mi teraz przeszkodzić w zobaczeniu się z Theo.

Wziął od niej chusteczkę; spodziewała się, że ją odrzuci, ale on zaczął delikatnie ocierać jej policzki.

– Spotkajmy się na dole za kwadrans. Potrzebujemy leków, czystej pościeli, koszyka z prowiantem i alkoholu. Jeśli musisz się rzucać bez broni na smoki dziesięć razy od ciebie większe, przynajmniej zrób to z zaufanym giermkiem u boku.

Jack nie był chętnym giermkiem – nie łudziła się co do tego – ale teraz, w tej chwili, był jej giermkiem, a ona bardzo potrzebowała pomocy.

Madeline wtuliła się w niego, zachwycona poczuciem bezpieczeństwa, jakie ogarniało ją w jego objęciach.

– Dziękuję. Dziękuję, Jack.

– Podziękuj, kiedy Theodosia wyzdrowieje, a twojemu zdrowiu nic nie zagrozi.

Madeline tuliła się do niego jeszcze długą chwilę, ponieważ ta sytuacja – ruszanie do bitwy bez broni przeciwko dziesięć razy większym od niej smokom – była jej zbyt dobrze znana.

Przywilej posiadania zaufanego giermka na ogół jej nie przysługiwał.

Jack cmoknął na konia, jak tylko Pahdi postawił koszyk z prowiantem na ławeczce sań obok Madeline. Panowało dotkliwe zimno, milczenie Madeline zdradzało jej obawy i troskę.

Podczas gdy Jacka ogarniał gniew.

Saras była równie uparta jak Madeline, nie chcąc opuścić Jacka, kiedy ten miotał się przez parę dni w gorączce, zmagając z sennymi koszmarami. Przez trzy tygodnie stopniowo dochodził do siebie, odzyskując siły. A potem ona zachorowała.

Głupia kobieta. Droga, szlachetna, wyjątkowa, śmiała, piękna, martwa, głupia kobieta. Nagle przejął go smutek, ponieważ tęsknił za swoją zmarłą żoną, choć tęsknota w pewnym momencie stała się bardziej nostalgiczna niż rozpaczliwa.

Kiedy to się stało?

– Czy Pahdi chce wrócić do Indii? – zapytała Madeline.

Jack czuł, jak kobieta drży pod płaszczem. Przeniósł lejce do jednej ręki, opatulił ją kocem i objął ramieniem.

– Jeśli zachorujesz i umrzesz, będę cię prześladować przez kolejnych siedem wcieleń.

Przysunęła się bliżej.

– Jeśli tobie to się zdarzy, nigdy sobie nie wybaczę.

– Owszem, wybaczysz. To może zająć dziesięć lat, ale wybaczysz. Nigdy nie pytałem Pahdiego, czy chciałby wrócić do Indii. Ma tam rodzinę i regularnie z nimi koresponduje.

Jack również miał nadal w Indiach paru przyjaciół czy raczej towarzyszy broni, których uznawał za przyjaciół.

– Jeśli go nie zapytasz, nigdy ci nie powie – stwierdziła Madeline.

– Pahdi potrafi być niezwykle wymowny, kiedy ma ochotę. Naprawdę myślę, że nie zostawi Jamesa.

Dobry Boże, noc była arktyczna. Jack ponaglił konie do galopu – im szybciej uciekną od mroźnego powietrza, tym lepiej.

– Pahdi cię nie zostawi – odparła Madeline. – Służba jest lojalna wobec pracodawców w błędnej nadziei, że ich oddanie zostanie odwzajemnione. Dla pracodawcy transakcja obejmuje pieniądze, zakwaterowanie i wyżywienie za oddawane usługi. Lojalność ze strony służby to próba pokazania, że pieniądze nie czynią z nas niewolników.

Jack pominął milczeniem tę prowokacyjną, obraźliwą uwagę. Madeline bała się o ciotkę i miała za sobą złe doświadczenia.

– Zawiadomiłem Higgansa. Spodziewam się, że się pojawi dziś wieczorem albo jutro rano.

– Dziękuję.

Nie wymienili więcej ani słowa, póki sanie nie stanęły na podwórku Theodosii. W chacie rozległo się szczekanie. W oknach nie paliły się

świece, Jack nie wyczuwał w powietrzu zapachu dymu.

– Zajmij się koniem – powiedziała Madeline, zeskakując na ziemię i ściągając torbę z ławeczki.

– Koń może chwilę postać. – Na takim zimnie tylko chwilę. – Rozładujmy najpierw to, co przywieźliśmy.

Madeline była już w połowie drogi do drzwi. Jack poszedł za nią, niosąc koce i, jak się wydawało, worek węgla. Na zaśnieżonym podwórku nie przekopano żadnych ścieżek, na płocie nie siedziała ani jedna kura.

Madeline zastukała w drzwi, potem pchnęła je i otworzyła.

Smród uderzył Jacka w nozdrza, zanim przestąpił próg. Zamknięte psy, choroba, gotowana kapusta i rozpacz. Ogień na palenisku ledwie się żarzył, dając marne światło. Gorąco z pewnością jeszcze nasiliłoby złe zapachy, ale Jack widział, jak jego oddech zamienia się w białą chmurę w pokoju.

– Ciociu Theo! – zawołała Madeline poprzez szczekanie i wycie psów. – Ciociu?

Psy ze szczeniakami zajmowały odgrodzoną deskami część frontowego pokoju; sądząc po zapachu, jakiś czas nie wychodziły.

– Zajmij się ogniem – powiedział Jack, kładąc koce na stole kuchennym. – Ja zobaczę co z Theodosią.

Czy żyje; żeby to sprawdzić, musiał najpierw zapalić łojówkę. Inaczej nic by nie widział w sypialni.

Theo leżała skulona na łóżku, spod koca wystawała tylko jej twarz. Włosy zakrywał nocny czepek, a chociaż wysoka, wydawała się mała i krucha.

– Theodosia – powiedział Jack, siadając na łóżku.

Madeline stanęła w drzwiach, wciąż w płaszczu i szalu.

– Theodosia, obudź się. – Delikatnie potrząsnął ją za ramię. – Theodosio Hickman, masz towarzystwo. Madeline przyszła cię odwiedzić i przykro jej, że zastaje cię w łóżku o takiej porze. – Theo zapewne schowała się w

łóżku, jak tylko słońce zaszło, choćby po to, żeby oszczędzać świece i węgiel.

– Maddie?

– Przyniosła bulion – oznajmił Jack. – Wypijesz go do ostatniej kropli.

– Martha.

– Martha też może trochę dostać.

– Jej pies – odezwała się Madeline z drugiego końca łóżka. – Zaopiekujemy się Marthą, kurami i tobą, ciociu Theo. – Przykryła ciotkę dodatkowym kocem, grubym, wełnianym, afgańskim kocem, zabranym z Teak House.

– Moje stopy – powiedziała Theo. – Takie zimne.

– Zagrzeję parę cegieł. – Madeline poklepała Theo po ramieniu i wstała.

– Muszę się zająć końmi – powiedział Jack. – Nie uciekniesz nam, Theo Hickman. Bądź dobra dla Maddie albo się od niej nasłuchasz, ode mnie też.

Jack zostawił drzwi sypialni otwarte; w sąsiednim pokoju Madeline dorzucała węgiel do zamierającego ognia. Z paleniska przez pewien czas nie wymiatano i pewnie tylko góra popiołu sprawiała, że z kominka wydobywało się jeszcze jakieś ciepło.

Gdyby ogień wygasł…

– Zadbam o konie – powiedział Jack. – Podaj jej trochę bulionu, jak tylko będziesz mogła. Powinien być jeszcze ciepły, kucharka zawinęła go w tyle ściereczek. Psy trzeba wypuścić. Nie sposób znieść tego smrodu.

Madeline wyprostowała się z żeliwnym pogrzebaczem w ręku.

– Theo kocha te psy. Szczeniaki są na sprzedaż i są jej własnością. Nie możesz ich po prostu wrzucić do rzeki, bo akurat źle trafiliśmy.

Jack położył Madeline ręce na ramionach.

– Miałem na myśli to, że przeniosę je do obórki, gdzie owce i kozy dają trochę ciepła. Suka jest z pewnością wygłodniała. Jeśli jest dość bulionu, jej także daj trochę do popicia.

Poza tym rzeka zamarzła na kamień, podobnie jak palce stóp Jacka, jego nos, uszy i broda.

Pocałował Madeline w czoło, objął ją krótko, a potem zmusił się, żeby znowu wyjść na mróz i w ciemność.

Madeline czuła się odrętwiała, choć drętwota wynikała raczej ze zmęczenia niż zimna.

W chacie Theo zrobiło się ciepło i przytulnie, psy umieszczono w obórce, garnek zupy parował na kuchni, a słońce późnego poranka wpadało przez okna.

Doktor nie zjawił się, oczywiście. Madeline się go nie spodziewała, inaczej niż Jack. Dzięki regularnemu popijaniu grogu z whisky kaszel Theo złagodniał, choć w nocy męczyła ją, od czasu do czasu, gorączka.

Jack także pojawiał się i znikał. Zajmował się kurami, owcami, kozami, napełnił drewnem skrzynię; potem wsiadł na sanie i odjechał do Teak House. Koło północy wrócił z większą ilością węgla oraz pożywienia dla psów, trzody i ludzi; zapach kadzidła przegnał psi smród. Przywiózł także trzy książki, zmianę ubrania dla Madeline i kilka par grubych, wełnianych pończoch.

Przez resztę nocy na przemian z Madeline siedział przy Theo i drzemał we frontowej izbie. Kiedy zaczęło się rozwidniać, odjechał znowu, obiecując, że wróci przed południem.

– Maddie?

– Idę, ciociu. – Madeline podniosła się z krzesła przy kominku, mimo gwałtownego protestu ze strony bioder i kolan. Praca pokojówki mściła się szczególnie na stawach, a zimno i zmęczenie nie pomagały.

– Jesteś tutaj. – Theo usiadła z trudem. – Nie byłam pewna, czy to sen, czy jawa. Bardzo dziwne śnić o tym, że ma się ciepło i przytulnie, kiedy wcale tak nie jest. Nie słyszę szczeniaków.

– Jack przeniósł je do obórki, sir Jack. Przyniósł także resztki z kuchni dla Marthy, owsiankę z mlekiem dla szczeniaków i ziarno dla kur. Wiele mu zawdzięczamy, ciociu.

Theo szarpnęła za pościel, w większości przywiezioną z Teak House.

– On też tu był – powiedziała Theo. – Pamiętam.

Madeline pamiętała, jak to jest mieć przy sobie Jacka w długą noc.

– Chcesz trochę owsianki? Mamy do niej miód, cynamon i mleko. Ja trochę zjadłam wcześniej.

W nocy Jack namoczył owies, tak żeby można było rano zjeść gorące śniadanie. Madeline była zbyt zajęta, żeby myśleć o śniadaniu, ale, och, ten pierwszy posiłek w ciągu dnia był czymś cudownym.

Także spożyty w samotności.

– Cynamon… Sir Jack jest hojnym człowiekiem, Madeline. Dobrze zrobiłaś, zatrudniając się w jego domu.

Madeline rozsunęła zasłony; ogień miał dość czasu, żeby przegnać chłód.

– Jak się czujesz, ciociu?

– Jestem stara, wdzięczna, martwię się o ciebie. Wiesz, że ja umrę, Madeline?

Madeline stała plecami do ciotki.

– Musisz?

Theo wplatała to oznajmienie w rozmowę od około dwóch lat, od czasu kiedy ostatnio chorowała.

– Ty też umrzesz – ciągnęła Theo. – Zauważam, że to cię specjalnie nie martwi. – Zakasłała lekko, choć Madeline podejrzewała, że kaszel, przynajmniej po części, jest sztuczny.

Wypytywanie i upominanie mogło się ciągnąć do wiosny, gdyby Madeline na to pozwoliła.

– Ciociu, mam dla niego wiele uczucia. Nie wiem, co robić.

Jack wiedział, co robić i wcale tego nie ukrywał. Madeline wyłoniła się z sypialni po tym, jak karmiła ciotkę bulionem i zastała Jacka na kolanach,

skrobiącego w kącie ten fragment izby, gdzie przedtem spały psy.

Jak służąca, ale z większą siłą i zacięciem. Madeline tak ten widok wytrącił z równowagi, że o mało nie uciekła z chaty.

Wygłaszano na jej cześć kwieciste przemowy i pochlebne toasty i robili to mężczyźni o niższej pozycji niż Jack. Obiecywano jej wiele, nawet oświadczano się parę razy. Widywała mężczyzn na kolanach, recytujących marną poezję, ale nie spodziewała się, że zobaczy mężczyznę – a co dopiero rycerza królestwa – na kolanach przed kubłem wody i ze szczotką do podłogi.

Chciało jej się płakać, ale zamiast tego przypomniała mu, że w ścianach też może się zachować przykry odór.

Wyszorował również ściany.

Na kontuarze leżały pomarańcze, chleb, masło, dżem, trzy książki, koszyk z robótkami Madeline, puszka czarnej herbaty i woreczek z głową cukru. W pudełku na oknie było masło, mleko i ser.

Madeline znowu miała ochotę płakać.

– Nieszczęsny smok, który ma do czynienia z takim giermkiem jak Jack Fanningiem u boku rycerza.

– Nie mamrocz, moja droga. Czy słyszę konie?

Tak, dzięki Bogu.

– Wrócił Jack i kogoś przywiózł.

– Nie tego okropnego Ralpha Higgansa, mam nadzieję. Ten człowiek nie umiałby leczyć zdrowego świniaka.

– To kobieta – powiedziała Madeline, odchodząc od okna. – Nie będziesz mówić o umieraniu w towarzystwie, Theodosio Hickman. – Madeline mogłaby się znowu rozpłakać, a już dwa razy doznała tego upokorzenia z Jackiem Fanningiem jako świadkiem.

– Jestem stara i chora – oznajmiła Theodosia. – Mogę mówić, co mi się podoba i mówię, że mogłabyś trafić dużo gorzej niż na Jacka Fanninga.

– Jesteś stara i nieprzyzwoita.

Madeline wybiegła z sypialni, ale zatrzymała się gwałtownie przy kuchni, kiedy Florentia Fanning przestąpiła próg chaty, z Jackiem za plecami.

– Pomarańcze są wskazane i dobre, ale cytryny o wiele skuteczniej uspokajają kaszel – mówiła właśnie. – Trochę soku cytrynowego z miodem i whisky, podgrzane mocno, z odrobiną cynamonu oraz gałki muszkatołowej. Panno Hennessey, biedactwo. Wyglądasz okropnie. Jakże musisz się martwić o swoją drogą ciotkę. Dobrze zrobiłaś, posyłając po mnie. Wiem, że Jack musiał się temu sprzeciwiać ze wszystkich sił, ale teraz tu jestem, mimo jego zrzędzenia i wszystko będzie dobrze.

11

Jack nadzorował przemieszczanie się oddziałów wojska w Indiach, przeniesienie Theodosii Hickman do Teak House wymagało tych samych umiejętności – cierpliwości i talentu do podnoszenia ciężarów. Powóz podróżny oddano do dyspozycji mamy, Theodosii, Marthy i szczeniaków, podczas gdy ubrania i rzeczy osobiste spakowano do części bagażowej. Jack i Madeline zostali w chacie, porządkując zapasy żywności przywiezione z Teak House, ścieląc łóżko, wygaszając ogień.

– Przeniosę tutaj czasowo jednego ze stajennych – powiedział Jack. – A jeśli Theo będzie dłużej dochodzić do zdrowia, znajdę syna jakiegoś dzierżawcy, chętnego, żeby spróbować gospodarowania małym majątkiem.

Madeline poruszała się wolno, zawijając nietrwałe produkty, porządkując szafki.

– Dochodzenie do zdrowia Theo… nie wiadomo, czy całkiem dojdzie do siebie. Kiedy twoja matka wyjedzie do Londynu, może będę musiała wprowadzić się do ciotki.

Jack mógł stracić cierpliwość w następnej sekundzie.

– Twoja ciotka potrzebuje pieniędzy, jakie zarabiasz na służbie. – Choć Madeline miała trochę racji. Theo ledwie dawała sobie radę, wyraźnie odsuwając od siebie pracę – na przykład czyszczenie koryta, sprzątanie obory, osuszanie i czyszczenie cysterny i inne ciężkie zadania.

Jedna porządna wiosenna burza, jak podejrzewał Jack i dach zacznie przeciekać – a to źle wróżyło małemu, staremu domostwu.

– Lubię moje stanowisko w Candlewick, ale samolubstwo nie zmieni tego, co się tutaj złego dzieje.

Pieniądze mogły temu zaradzić, ale instynkt podpowiedział Jackowi, żeby nie mówić o czymś tak oczywistym. Miał pieniądze, a panie Hennessey – dumne kobiety – mogły mu powiedzieć, żeby zachował dla siebie każdy grosz.

– Proboszcz Weekes potrzebuje szczeniaka – oznajmił Jack. – Szczeniaki są już chyba na tyle duże, że można je odstawić od matki.

Madeline zamknęła szafkę i spojrzała na Jacka, jakby przemówił w języku urdu.

– Proboszcz Weekes, który rzadko wystawia nos z kościoła albo plebanii, potrzebuje szczeniaka?

– Z pewnością. Pani Weekes zostaje czasem sama w nocy, kiedy proboszcz musi jechać do śmiertelnie chorego albo pocieszyć rodzinę, która straciła kogoś kochanego. Pies zapewnia zarazem towarzystwo i bezpieczeństwo, a te szczeniaki będą ogromne.

Będą także potrzebować ogromnych ilości jedzenia, a Theo ledwie była w stanie sama się wyżywić.

– Z pewnością masz rację – odparła Madeline. – Ale jestem zmęczona i czuję się nieswojo. Wydaje mi się, że proboszcz nigdy nie trzymał zwierząt w domu.

Spała na stojąco, podczas gdy Jack czuł przypływ energii jak przed bitwą. Ponieważ Madeline nie posłużyłoby przeniesienie się do nędznej, maleńkiej chatki, a Jack nie mógł jej mówić, co ma robić albo czego nie robić. To byłoby niewłaściwe.

A także głupie.

– Jeśli już tu skończyłaś – powiedział Jack, wkładając puszkę herbaty do szafki – to zabiorę cię do Teak House.

Jack stał tuż obok Madeline i widział ciemne kręgi pod jej oczami – skutek zmęczenia. Wcześniej w ciągu dnia upięła starannie włosy, ale

trzepanie chodniczków, słanie łóżka, wycieranie z kurzu każdego cala powierzchni w domku podniszczyło jej fryzurę.

Tak właśnie wyglądała miłość – zmęczona, niespokojna, rozczochrana, ale gotowa walczyć do upadłego.

Jack wyjął szpilkę, która już prawie wypadła z włosów Madeline i podał jej.

– Wysłałem Higgansowi wiadomość wczoraj wieczorem, zanim wyruszyliśmy.

– Wiem.

– Wysłałem także wiadomość Hattie, żeby wiedziała, co się dzieje. Nie dostałaś odpowiedzi od Higgansa, prawda?

– Odpowiedziałby raczej tobie, czyż nie?

Jack odwrócił Madeline za ramiona i wziął ją w objęcia.

– Podpisałem wiadomość: Ciotka Theo bardzo chora. Proszę przyjść, twoimi inicjałami. Nie chciałem wyjaśniać, dlaczego sąsiad zamieszkały trzy mile stąd zawiadamia doktora, a śpieszyliśmy się.

Madeline przytuliła się do niego, łagodząc w ten sposób gniew, jaki w nim narastał.

– Nie spodziewałam się, że przyjdzie, Jack. Ostatnim razem, kiedy ciotka zachorowała, trzy miesiące spłacałyśmy jego honorarium, a on tylko na nią spojrzał i powiedział, że trzeba wezwać chirurga, żeby puścił ciotce krew.

Nigdzie w chatce, poza świeżo zaścielonym łóżkiem, dwoje ludzi nie mogło usiąść obok siebie, więc Jack pozostał we frontowej izbie, obejmując Madeline.

– Jestem królewskim urzędnikiem, a pogarda Higgansa wobec chorej, bezradnej kobiety powinna być potraktowana jak przestępstwo. Nie mogę jednak nic zrobić, żeby go ukarać. – Stajenny, który dostarczył poprzedniego wieczoru list Higgansowi, zapewnił Jacka, że doktor był w domu i właśnie siadał do gorącej, obfitej kolacji.

Madeline wysunęła się z objęć Jacka.

– W tym momencie proboszcz Weekes powinien ci powiedzieć, że los Higgansa należy zostawić Bogu.

– Proboszcz Weekes żyje dostatnio, ma przytulne domostwo i lekkie obowiązki. Kiedy choruje pani Weekes, Higgans zjawia się galopem. Lubię Weekesa, ale jest leniwy, a w tym wypadku jego wskazówki są do niczego.

Ach, wreszcie. Nieśmiały uśmiech, mimo zmęczenia. Madeline pocałowała Jacka w policzek i rozejrzała się po chacie.

– Weekes jest leniwy, ale nie jest złym człowiekiem, a ty jesteś zajadły. Zrobiłam tutaj, ile się dało. Będę zachwycona, jeśli zabierzesz mnie z powrotem do Teak House.

Chorej Theodosii nie było w domu i w tej sytuacji przebywanie pod jednym dachem z Madeline – żadnej rodziny, służby, żadnej nagłej okoliczności, która by to usprawiedliwiała – groziło skandalem.

Jack pragnął być sam z Madeline, ale nie w takich warunkach.

Życie ostatnio okazało się wyjątkowo frustrujące. Jack, na przykład, rozwinął w sobie prawdziwą nienawiść wobec butów i płaszcza Madeline, a niewiele mógł z tym zrobić.

– Dzisiaj jest ten przeklęty turniej rzutek – powiedział Jack, kiedy pomógł Madeline wsiąść do sań i skierował konie na drogę. – Przyjdziesz?

– Oczywiście, że nie.

– Przyjdzie połowa służby Belmonta, żeby zagrzewać ich drużynę do walki. Twoja obecność nie byłaby niczym niezwykłym. – Pytanie nie wynikało z męskiej próżności, z pragnienia, żeby podziwiała jego zręczność w rzutkach – jeśli jeszcze odznaczał się jakąś zręcznością po ostatnich dwudziestu czterech godzinach – ale raczej z chęci, żeby Madeline zapomniała na chwilę o swoich troskach i zrzuciła brzemię odpowiedzialności.

Madeline pociągnęła koc i postawiła kołnierz swojego mocno zniszczonego płaszcza.

– Powiedziałeś matce, że błagałam, żeby przyjechała do ciotki Theo i przedstawiłeś to w ten sposób, jakby tobie ten pomysł straszliwie nie odpowiadał. Dlaczego?

Madeline, nawet zmęczona, nie zamierzała zrezygnować z wyjaśnienia tej sprawy.

– Mama mogłaby odmówić mojej prośbie, a ja bym tego nie zniósł. Wie mnóstwo o leczeniu, poza tym jej obecność w chacie zapewniła nam rodzaj przyzwoitki. Ta kobieta wszystko ma za złe. Gdybym ją poprosił, powiedziałaby, że się narzucam, wtrącam i brak mi rozsądku.

Jack był przerażony, że matka mogłaby odmówić pomocy.

– Dziękuję ci, że się wtrąciłeś – powiedziała Madeline. – Moja ciotka pewnie by nie żyła albo była umierająca, gdybyś był mniej chętny do wtrącania się. Twoja matka chce, żebyś ją zauważał, żebyś cenił ją i wszystko, czego się w życiu nauczyła.

Słowa Madeline niosły bez wątpienia niemile widzianą prawdę.

– Zauważam i doceniam, że moja matka, jak obecnie towarzysząca mi osoba, może być uparta i przekorna. Gdyby mama odmówiła przyjazdu, Jeremy zabrałby się ze mną bez zastanowienia.

Ponieważ Jeremy był dobrym człowiekiem. Jack miał również powód, aby mieć nadzieję, że Jeremy jest dobry w całowaniu.

Madeline ziewnęła, zasłaniając usta dłonią w rękawiczce.

– Lubię twoją rodzinę, Jacku Fanningu. Powinieneś ich kiedyś naprawdę poznać. Twoja matka nie jest jedyną osobą, która jest uparta i przekorna.

To była ostatnia rzecz, jaką powiedziała, zanim zasnęła z głową na ramieniu Jacka. Żeby lepiej ją ochronić przed dokuczliwym wiatrem, Jack kazał koniom zwolnić i jechał drogami, unikając skrótów przez ścieżki pomiędzy farmami.

– Cóż?

Jack Fanning potrafił jedną sylabę zamienić w całe przesłuchanie. Szkoda, że przedstawiciel króla nie miał dzieci – jeszcze – które przekonałyby go, jak mało skuteczny jest taki władczy ton i uniesienie brwi.

– Cóż, siadaj – powiedział Axel poprzez gwar turniejowej nocy w Łasicy. – Przysięgam, Fanning, to ostatni rok, kiedy stoję na czele drużyny. Będę sponsorować legiony, ale kiedy człowiek nie wysypia się porządnie tygodniami, ten nonsens przestaje mieć znaczenie. Moja obecność na balu to też nic pewnego.

Fanning wsunął się na ławkę po drugiej stronie stołu, tego samego stołu, przy którym siedzieli ostatnim razem, kiedy znosili gościnność Pod Łasicą. Pewna przewidywalność jedynie podnosi komfort życia.

Axel i Jack Fanning nie byli, ostatecznie, starzy. Osiągnęli tylko wiek… dojrzały.

– A niech to, pół hrabstwa musiało się tu dzisiaj zjechać – zauważył Fanning, podczas gdy piana w jego ale osiadała powoli. – Gdyby tak studia biblijne Weekesa cieszyły się takim powodzeniem. Jak się miewa pani Belmont?

Pani Belmont liczyła dnie – albo noce – do balu, podobnie jak jej mąż.

– Abigail rozkwita w macierzyństwie. Dziecku niczego nie brakuje, a wydaje się, że z dzieckiem w ramionach, Abigail także. Mężczyzna może się poczuć…

– Zbędny – powiedział Fanning. – Zwykłym dodatkiem. Tak jak wtedy, kiedy jest sześć osób chętnych do wista, a nie pięć i biedakowi, który udostępnił miejsce, mówi się, żeby uzupełnił księgi rachunkowe albo napisał do jakiegoś starego kamrata w Indiach. Jestem gospodarzem Teak House, przynajmniej w teorii, ale nagle moje ziemskie sanktuarium zostało najechane przez stado rozgadanych kobiet, wspomaganych przez mojego brata. Zna więcej sprośnych anegdot niż mama i Theodosia Hickman razem wzięte.

Przemknęła obok nich posługaczka i przy następnym stole jakiś pół pijany gospodarz wyciągnął nogę tak, że dziewczyna się przewróciła. Wylądowała prawie na kolanach Jacka Fanninga; goście wokół parsknęli śmiechem a dziewczyna obdarowała Fanninga dwuznacznym uśmiechem.

Fanning podniósł się z dziewczyną w ramionach, postawił ją na nogach, trzymając za nadgarstek. Spojrzał gniewnie na sąsiedni stół.

– Pobicie – warknął – polega na raniącym albo obraźliwym dotyku drugiej osoby. Przeproś damę albo będziesz miał okazję podziwiać mój salon przyjęć w poniedziałek rano, gdzie otrzymasz wezwanie na rozprawę.

Nie należy wtrącać się w to, co robi przedstawiciel królewskiej sprawiedliwości – zwłaszcza gdy ton jego głosu przywoływał wyobrażenie warczącego wściekle tygrysa, machającego ze świstem ogonem. Axel nie otworzył ust, podobnie jak poszkodowana dama.

– Nie chciałem nic złego – burknął młody człowiek.

– Gdyby panna Tansy przewróciła się i uderzyła głową o ten słupek – Fanning walnął mocno w solidne drewno – odniosłaby poważne obrażenia, nie mówiąc już o straconej pensji i upokorzeniu. Czy chciałeś jej zrobić krzywdę, czy nie, nie ma znaczenia. Przewróciłeś ją celowo.

Goście przy stole wyraźnie się zmieszali, a prześladowca Tansy dostał pięścią po ramieniu od sąsiada.

– Przeproś, Wyatt. Dziewczyna mogła się rąbnąć w twarz. Mój kuzyn stracił w ten sposób ząb.

– Przep…

Jack Fanning wciągnął powietrze i urósł trzy cale.

– Kiedy dżentelmen przeprasza damę, robi to, stojąc.

Tłum nie zauważył jeszcze tej wymiany zdań i dobrze się złożyło. W ciągu ostatnich lat Łasica bywała sceną drobnych burd przy okazji turniejów i Axel nie miał ochoty tłumaczyć damie swego serca, jak to się stało, że królewski urzędnik – trzeźwy, rozsądny człowiek – kiedy akurat nie był zakochany – dał sygnał do generalnego mordobicia.

Winowajca podniósł się z trudem i przygładził ręką rozczochrane włosy.

– Panno Tansy, przepraszam. Nie chciałem zrobić nic złego.

Pannie Tansy z rumieńcem było bardzo do twarzy.

– I? – dodał Fanning

– To się już nie powtórzy.

– Nigdy – powiedział Fanning, puszczając nadgarstek Tansy. – Na twoim miejscu, panno Tansy, gości przy tym stole obsługiwałbym zawsze na końcu.

Dygnęła i uciekła, rzucając Wyattowi znaczący uśmiech przez ramię. Młodzi mężczyźni podnieśli się zza stołu i szurając nogami, ruszyli w stronę tarczy.

– Zaręczą się jeszcze przed balem – stwierdził Axel, podczas gdy miał ochotę grzmotnąć głową Fanninga o słupek. – Dobra robota. Czy to była próbka legendarnej sztuki dyplomacji, którą wyróżniłeś się w Indiach?

Fanning opadł na ławę, ze wzrokiem utkwionym w młodych ludziach, którzy przy barze starali się wyglądać na dorosłych.

– Czy wiesz, że zostawiłem dziś wieczorem kamerdynera w wypożyczalni książek? Stamtąd miał wrócić pieszo do Teak House. Pomimo pogody chętnie przeszedłbym się dwadzieścia mil w dowolnym kierunku, byle dalej od tego nonsensu.

Axel zachował milczenie, bo przedstawiciel króla jeszcze nie skończył.

– W Indiach – oznajmił Fanning – nie tyle zajmowałem się dyplomacją, co tłumaczeniami. Służba uczyła mnie miejscowych języków i zdołałem dzięki temu zapobiec paru nieporozumieniom. Parę także wywołałem.

Temat mógł posłużyć dla odwrócenia uwagi w sytuacji, gdy Fanninga świerzbiły pięści, żeby komuś złoić skórę.

– Czy w ten sposób trafiłeś do niewoli? Wypełniając obowiązki tłumacza?

– Można na to spojrzeć w ten sposób. Inny sposób to taki, że wplątałem się w miejscową politykę, a mój prosty, nieskomplikowany angielski umysł

nie potrafił przewidzieć związków przyczynowo-skutkowych na o wiele bardziej złożonej arenie indyjskiego społeczeństwa.

– Jak debiutantka na balu – powiedział Axel. – Ale jak większość młodych dam, w końcu wyszedłeś na swoje?

Mężczyzna siedzący naprzeciwko Axela ze wzrokiem wbitym w kufel ale na pewno nie wyszedł na swoje. Zmęczony, łatwo ulegający irytacji, prawdopodobnie był do tego zadurzony. Najwyższy czas, żeby wyszedł z dżungli wspomnień.

– W końcu tak. Mój pułkownik kazał ogłosić, że nie żyję, pożarty przez tygrysa, utopiony, porwany przez zbójców. W Indiach nieszczęście spada na człowieka w różnych przebraniach. Kuzyni damy, którą poślubiłem, skrytykowali zachowanie paru młodszych oficerów wobec miejscowych kupców. Uwięziono mnie, żeby udzielić nauczki. Ponieważ pułkownik nie panował nad własnymi ludźmi, wykroczenia młodszych oficerów pozostały bezkarne i w związku z tym tytułem odwetu… To skomplikowane.

– Kiedy usiłowałeś zadośćuczynić za niekompetencję swoich przełożonych, uczyniono z ciebie przykład.

– Dopóki nie miałem czelności uciec, dopóty pułkownik nie miał innego wyjścia, jak tylko udawać, że jest szczęśliwy, że widzi mnie żywego.

– Choć, bez wątpienia, okazałeś się zbędny.

– Cicho siedź, Belmont.

Axel podniósł kufel w toaście.

– Jak się miewa Madeline?

Fanning skrzywił się jeszcze bardziej, co nie wydawało się możliwe.

– Madeline jest wyczerpana. Theodosia Hickman przeniosła się do Teak House. Zachorowała niebezpiecznie na gorączkę płucną i Madeline prawie nie spała, opiekując się nią.

Skąd Jack Fanning mógł wiedzieć, co porabia Madeline wczesnym rankiem, o ile nie…?

– Co z Theodosią?

– Nieźle. Będą na nią chuchać i dmuchać ponad wszelką miarę, aż wydobrzeje, żeby nie oszaleć. Nie wiedziałem, że Higgans bierze udział w tych spotkaniach.

Czcigodny medyk stał przy barze obok pastora Weekesa – obaj panowie pogrążeni w ożywionej dyskusji.

– Wszyscy tutaj zajrzą w tym czy innym momencie – powiedział Axel. – Ponieważ ty tu jesteś, podczas turnieju będzie spokojnie. Potem Tavis zostanie sam.

– Kiedy możesz wziąć szczeniaka?

Prawdziwa miłość najwyraźniej odbiera rozum i sprowadza gorączkę.

– Fanning, ciężko się z tobą rozmawia.

– Zwierzęta są w mojej stajni i pożerają więcej niż dorośli mężczyźni w pełni zdrowia. Obiecałeś, Belmont.

Axel obiecał, że porozmawia z żoną o ewentualności dodania psa do inwentarza Candlewick – między innymi.

– Mogę wziąć psa jutro, o ile głowa nie będzie cię zanadto bolała. Przywieź szczeniaka i Madeline także, tęsknię za nią.

Fanning odwrócił gniewne spojrzenie od doktora i proboszcza.

– Tęsknisz za nią?

– Ogromnie. Sekret znakomitych rogalików kucharki polegał na tym, że Madeline ubijała ciasto w taki, a nie inny sposób. Lokaje byli uszczęśliwieni, bo Madeline w równej mierze zmywała im głowy i flirtowała z nimi. Pani Turnbull oskarża pokojówki, że są zapominalskie, podczas gdy, w istocie, to gospodyni nie jest w stanie spamiętać, komu przydzieliła jaką pracę, bo to Madeline się tym zajmowała. Nawet szefowi stajni brakuje jedynej osoby, która mogła mu podpowiedzieć, jak uporządkować siodlarnię. Moją żonę, niestety, pochłania opieka nad niemowlęciem, i wobec tego, w obronie mojego całego królestwa, tęsknię za Madeline okropnie, podobnie jak reszta domowników.

Wyraz twarzy Fanninga zmieniał się interesująco – od groźnego, poprzez ciekawy, do żałosnego.

– Niedobrze, mój stary. Nie możesz jej odzyskać. Madeline grozi, że przeprowadzi się do Theodosii, kiedy moja matka wróci do Londynu.

Stąd gniewne miny, marszczenie brwi i groźby aresztu.

– Tak nie może być, Fanning. Starsze panie Hennessey to poważny problem i biada każdemu, kto im się narazi, usiłując narzucić jakieś rozwiązanie. Jeśli Madeline porzuci płatną posadę, żeby karmić kury z Theo, niczego to nie rozwiąże.

– Oczywiście, że nie.

– Co zatem zrobisz? – Oświadcz się, przeklęty durniu. Zegnij swoje przystojne kolana i poproś damę o rękę.

– Na początek sprzedam wszystkie szczeniaki, biorąc pieniądze z góry.

– Powinieneś podarować pannie DeWitt szczeniaka – stwierdził Jack.

Jeremy nie uważał siebie za myśliciela najwyższej miary, ale nie był głupcem.

– Powinienem podarować pannie DeWitt jednego z tych kundli z twojej stajni, które przypominają mięsożerne słonie?

– Oczywiście – odparł Jack, spacerując wokół biurka w kierunku zgodnym z ruchami wskazówek zegara w stosunku do tego, jak Jeremy siedział przy biurku. – Jeśli ja dam tej kobiecie cokolwiek, pojedynczy kwiat, mama pomyśli nie wiadomo co. Panna DeWitt to czarująca młoda dama, ale mama nie zawsze ma najszczęśliwsze pomysły.

To prawda. Mama miała dość pomysłów, żeby rozpocząć na nowo wojny napoleońskie. Przy wsparciu Theodosii Hickman wszelkie intrygi wydawały się możliwe.

– Szczeniak to raczej osobisty prezent – powiedział Jeremy. – To znaczy… – Szczeniaki były słodkie. Same łapy i uszy, niespokojne ogonki i lśniące, szczęśliwe szczenięce ślepia. – Rozumiem cię, Jack. Damy

dopatrują się ukrytych znaczeń tam, gdzie ich nie ma i wyobrażają sobie różne rzeczy.

Jeremy wyobrażał sobie coś – niezbyt po bratersku.

– Potrafisz być przyjacielski bez budzenia oczekiwań. – Jack zatrzymał się, żeby nakręcić zegar na kominku. – Z pewnością, jeśli zaczepisz pannę DeWitt pod jemiołą, panna uzna to za czarujący gest. Podczas gdy ja…

Jack porównał zegar ze swoim zegarkiem kieszonkowym i popchnął dłuższą wskazówkę o kwadrans.

Jeremy nie ośmielił się zaczepić damy pod jemiołą. Z entuzjazmem uczyła się pocałunków, a Jeremy był aż nadto chętnym nauczycielem. Dzięki Wszechmogącemu, że jemioła wkrótce zostanie zdjęta.

– Jestem czarujący – powiedział Jeremy. – Podczas gdy ty…?

– Podczas gdy ja nie jestem przyjacielski i panna DeWitt próbuje włączyć mnie w ten cały towarzyski nonsens z czystej litości.

Raczej z poczucia obowiązku – marna podstawa małżeństwa w dzisiejszych, oświeconych czasach.

– Czy nie chciałbyś okazać się przyjacielski, mimo swoich braków? Damy bywają litościwe, kiedy wiedzą, że się staramy.

Jakie to dziwne – udzielać rad sir Jackowi, bohaterowi spod Parrakan. Zadaniem kleru jest także doradzać, ale nie zabójczo przystojnym starszym braciom.

Jack usiadł przy biurku naprzeciwko, niezwykle pociągający, w stroju do konnej jazdy, kawaler do wzięcia.

– Czy mogę być szczery? – Jack otworzył małą, rzeźbioną szkatułkę na biurku i przysunął ją do nosa. W gabinecie rozeszła się uspokajająca woń jaśminu.

Mój brat wącha drewniane pudełka. Biedna Lucy Anne.

– Oczywiście, że możesz być szczery, a także możesz zaufać mojej dyskrecji.

Jack uśmiechnął się przelotnie, kpiąco.

– Bo zostałeś wyświęcony? Nie wyznaję grzechu, Jere.

Jere. Nikt inny nie używał tego przydomka; sprawił mu teraz ogromną przyjemność, pomimo że tylko zwiększył jego poczucie winy w stosunku do brata.

– Możesz zaufać mojej dyskrecji, ponieważ jestem twoim ukochanym młodszym bratem i twoje wyznania wiele dla mnie znaczą. – Jeremy szanował i kochał Jacka. Zawsze tak było.

– Unieszczęśliwiłbym pannę DeWitt – powiedział Jack. – Zbyt długo byłem sam, a ona jest… ona jest niewinna, urocza i taka młoda. Z drugiej strony, nie jestem mężczyzną dla niej, ale nie chcę zranić jej uczuć. A jeśli nie odpowiem na awanse panny DeWitt, mama będzie nękać nieszczęsną dziewczynę nieustannie, besztać ją i wmawiać głupstwa.

– Masz rację. Mama uwielbia swoje głupstwa i uważa się za kogoś w rodzaju swatki. – Jeremy uważał mamę za kogoś w rodzaju zarazy, ale kochanego, na swój sposób.

Jack wciągnął ponownie jaśminowy zapach.

– Mama swatką? Nie miałem pojęcia. Biedną pannę DeWitt postawiono w okropnej sytuacji. Myślę, że najmniej, co możemy zrobić, to podarować damie szczeniaka, żeby ją pocieszyć. Theodosia z pewnością jednego nam sprzeda.

Jeremy w duchu zdjął na moment koloratkę – ten kawałek materiału potrafił za bardzo skomplikować stosunki braterskie.

– Co z panną Hennessey, Jack?

– Nie sądzę, żeby chciała szczeniaka. Spędza całe dnie, zajmując się mamą, gospodarstwem, ciotkami… Wciąż jest mniej czy bardziej na służbie i szczeniak utrudniłby jej życie.

Nic dziwnego, że Lucy Anne czuła się bezradna wobec sir Bohatera.

– Miałem na myśli, co z twoimi uczuciami wobec panny Hennessey? Galanteria, jaką okazałeś w stosunku do jej ciotki, jest godna pochwały, ale

czy w pannie Hennessey nie obudziło to jakichś ciepłych uczuć dla tak troskliwego, szlachetnego mężczyzny?

Jeremy, ze względy na swoje przeciążone sumienie, miał nadzieję, że tak właśnie się stało.

– Panny Hennessey nie interesuje małżeństwo ze mną ani z nikim innym. Ma niepochlebne mniemanie o męskiej części gatunku z powodów, o których, jako dżentelmeni, nie będziemy dyskutować.

Jak się powiedziało a, albo szczeniak, to…

– Jack, wyniosłeś ją z sań, kiedy wróciłeś wczoraj po południu od Theodosii. Widziałem cię z okna rodzinnego salonu i widziałem, jak zatrzymałeś się przed tylnymi drzwiami i pocałowałeś damę, i to nawet nie pod jemiołą.

Wielki bohater wydawał się… smutny i trochę onieśmielony.

– Czy nigdy nie miałeś ochoty pocałować śpiącej księżniczki, żeby ją obudzić?

Akurat w chwili, gdy Jack miał, być może, wyznanie na końcu języka, na Jeremy’ego spłynęło olśnienie.

– Miałem ochotę pocałować księżniczkę raz czy dwa. – A może nieskończoną ilość razy. – Należy wybaczać takie odruchy wobec księżniczki, pod warunkiem że dama jest chętna. Panna Hennessey najwyraźniej obudziła się pełna chęci.

Ponieważ oddała Jackowi pocałunek i to była pewnego rodzaju zagadka. Mężczyzna, który całował pannę Hennessey, dokładnie wiedział, co robi. Gbur – beneficjent świątecznego pocałunku panny Lucy Anne pod jemiołą, pozostał całkowicie obojętny, na ile Jeremy zauważył.

Lucy Anne stwierdziła, że był obojętny, a jej zdanie decydowało.

– Pannie Hennessey możesz się podobać bardziej, niż ci się wydaje – stwierdził Jeremy, co było okropne z jego strony. Panna Hennessey była śliczną kobietą i zapewne przywykła do kradzionych pocałunków. – Zeszłej

nocy wzięła powozik; powiedziano mi, że udała się na turniej rzutek. Może chciała podziwiać, jak celnie wypuszczasz z łuku strzały Kupidyna, hm?

Jack zamknął z trzaskiem pachnące pudełeczko.

– Madeline wzięła powozik?

– Ty i Pahdi wzięliście sanie, a śniegu świeżo nie napadało. I tak mieliśmy czwórkę do wista, a mama nie ma pretensji, że ktoś czasem korzysta z rozrywek towarzyskich.

– Pod Łasicą było bardzo tłoczno – powiedział Jack, wstając. – Skupiłem się na pilnowaniu spokoju i kierowaniu drużyną, które to cele nie zawsze są ze sobą zgodne. Wybierzesz szczeniaka dla panny DeWitt?

Jeremy wstał również. Przyszedł tu, chcąc wyjaśnić swoją sytuację w stosunku do panny DeWitt, wspomagając się Pismem, ale w głowie wciąż mu brzmiał fragment z Ezdrasza – o byciu zbyt zawstydzonym i zmieszanym, żeby prosić Pana o pomoc… a to przypominało mu pocałunki, które owo zmieszanie wywołały.

To były takie słodkie, cudowne pocałunki, choć stanowczo zbyt rzadkie. Lucy Anne uczyła się szybko, pachniała pięknie, miała miękkie, ponętne ciało, była cudownie pomysłowa, jeśli chodzi o ręce i smakowała słodko.

– Z pewnością wybiorę dla niej szczeniaka – zapewnił Jeremy. – Jestem twoim bratem. To najmniej, co mogę zrobić.

Jack poklepał go po ramieniu.

– Wiedziałem, że zrozumiesz. Możesz także zaczaić się pod jemiołą. Panna DeWitt, jak się wydaje, jest bardzo przywiązana do świątecznych tradycji, a komu zaszkodzi parę pocałunków?

– Zgadzam się z tobą w pełni. – Panna DeWitt chyba także. Chwała niech będzie Stwórcy.

– Jadę, żeby zawieźć jednego szczeniaka do Candlewick; dzięki, Jeremy, że zechciałeś mnie wysłuchać.

– Proszę bardzo. Kiedy zechcesz. Cała przyjemność po mojej stronie.

Jack oddalił się w dobrym humorze, a Jeremy poszedł poszukać panny DeWitt. Dama, ostatecznie, powinna sama móc wybrać sobie szczeniaka.

– Mój brat uważa, że powinienem się do ciebie zalecać – powiedział Jack, pobudzając konia do biegu. Madeline siedziała obok niego w „psim” powoziku, w części powozu przeznaczonej właśnie do przewozu psów wiercił się, popiskując, szczeniak. Ponieważ stworzenie miotało się, hałasowało i atakowało łapami otaczające je ściany, Jack czuł się tak, jakby miał za chwilę tłumić rozruchy.

– Myślę, że powinieneś patrzeć na drogę, sir Jack.

Sir Jack. Madeline zachowywała chłód, odkąd przywieziono Theodosię do domu, poprzedniego wieczoru. Zdrowie pani Hickman poprawiło się znacząco, w przeciwieństwie do humoru Madeline. Nastrój Jacka nie był wiele lepszy, ale miał chociaż nadzieję, że pchnął Jeremy’ego w kierunku panny DeWitt.

– Jeżdżę tymi drogami od lat – powiedział Jack. – Zawiozę ciebie i tego piekielnego szczeniaka bezpiecznie na miejsce. Czy odwiedzając Candlewick, poczujesz się niezręcznie?

– Tak, ale pan Belmont przemówił, więc muszę się pojawić. Lubił zawsze wydawać edykty i rozkazywać.

Jack gdzieś w głębi duszy czuł się nieco niepewnie i dlatego lubił słuchać, jak mówiła o genialnym Axelu Belmoncie z lekceważeniem, tyle że Madeline lubiła i szanowała Belmonta, a niemądra drażliwość była obca jej naturze.

– Madeline, dzieje się coś złego?

Milczała przez długie, chłodne chwile. Rozmaite myśli przebiegały głowę Jacka, podczas gdy szczeniak wiercił się i piszczał.

Czy służba Candlewick będzie miała żal do Madeline, że znalazła tymczasową, ale jednak lepszą pracę? Indie nie były jedynym miejscem, gdzie panował opresyjny system kastowy.

Czy Madeline wciąż była wyczerpana po tym, co przeszła z Theodosią? Starsza kobieta wyraźnie wracała do zdrowia, ale otarła się o śmierć, co z pewnością przeraziło Madeline.

A potem, kiedy podjazd Candlewick pojawił się w zasięgu wzroku, uwagę Jacka przykuła jedna, zwariowana jak marcowy zając, myśl.

– Jeśli nosisz dziecko, Madeline, weźmiemy ślub.

Spojrzenie, jakie mu posłała, złamało mu serce. Niedowierzające, czułe, rozpaczliwe.

– Wycofałeś się. Nie powinnam być w ciąży.

– Jeśli jesteś…

Jedno koło wpadło w głęboką koleinę i pies od pisku przeszedł do szczekania. Żadne szczekanie na ziemi nie było bardziej dokuczliwe niż szczekanie przestraszonego szczeniaka. Jack zatrzymał powóz i podał lejce Madeline.

– Ten szczeniak nie dożyje do Candlewick, jeśli ten hałas nie ustanie. – Jack wysiadł i otworzył przegródkę, gdzie siedział pies. Mały zwierzak machał ogonem i próbował skakać i w rezultacie uderzył się głową o dach przegrody.

– Nie lubisz być zamknięty – powiedział Jack, wyjmując szczeniaka – i tęsknisz za rodziną, co jest zupełnie zrozumiałe. Panna Hennessey spróbuje cię ukoić w tej męce, ale jeśli zabrudzisz jej spódnice, każę kucharce przerobić cię na kanapki.

Madeline wzięła od Jacka wiercącego się niespokojnie pieska.

– Nie wolno ci tak do niego mówić, Jack. Rozumieją więcej, niż ci się wydaje.

Jack rozumiał więcej, niż sądziła Madeline. Na przykład – była przygnębiona, ale także demonstrowała legendarny upór kobiet z rodziny Hennessey, usiłując samodzielnie uporać się z wszelkimi trudnościami.

– Proboszcz zgodził się wziąć szczeniaka, Jeremy podaruje jednego pannie DeWitt, doktor Higgans już zapłacił za swojego. Zostaje jeden,

którego chętnie kupię, jeśli Theodosia zdecyduje się z nim rozstać.

Szczeniak nie okazywał cienia godności, tuląc się do piersi Madeline i usiłując polizać ją w brodę przez szal. Jego ogon uderzał wściekle o udo Jacka.

– Stałeś się handlarzem psami? – zapytała Madeline, uchylając się od psich całusów. – To ładnie z twojej strony. Kiedy tego dokonałeś?

– Proboszcz Weekes i doktor Higgans byli na turnieju. Zaczepiłem obu i nie zostawiłem im wątpliwości, że potrzebują psa.

Jack skręcił w podjazd Candlewick; konie zwolniły biegu. Podjazd nie był drogą publiczną, więc pokrywało go więcej śniegu. Dyskusja z Madeline nie dobiegła jeszcze końca.

Madeline ukryła jednak twarz na szyi pieska. Kiedy podniosła wzrok, minę miała wściekłą.

– Higgans może uczestniczyć w turnieju w zimową noc, ale nie może leczyć mojej chorej ciotki. Mam nadzieję, że wybrałeś mu krnąbrnego szczeniaka, który gryzie i nie słucha poleceń.

– Zobaczę, co się da zrobić, ale już poddałem Higgansa publicznie słownej chłoście.

– Co zrobiłeś?

– Udzieliłem Higgansowi nagany publicznej, choć w sposób cywilizowany, za nieprzyjście z pomocą uczciwej starej kobiecie, w dodatku wdowie, która prędzej by umarła, niż sama wystąpiła z taką prośbą. Ponadto poinformowałem jego oraz wszystkich zgromadzonych, że w przyszłym roku to on sponsoruje turniej, jako że Tavis wszystkie wygrane postanowił przekazać na rzecz wdów i sierot.

– Jacku Fanningu, jesteś niemądry. – Madeline pocałowała go przy wsparciu szczeniaka. – Zrugałeś Higgansa wobec połowy hrabstwa. Mam nadzieję, że nie zachorujesz w najbliższej przyszłości.

– Cieszę się dobrym zdrowiem, a moja własna matka jest bardzo kompetentna jako pielęgniarka. Rozumiem, dlaczego Theodosia wolałaby

raczej zamarznąć na śmierć, niż prosić o pomoc tych, którzy uchylają się od spełnienia chrześcijańskiego obowiązku. A tak przy okazji, dlaczego cię nie było, kiedy mówiłem Higgansowi, co o nim myślę?

– Uprzedziłam cię, że mnie nie będzie. Nie dość, że moja ciotka to dodatkowy ciężar w domu, to ja jeszcze miałabym ją zostawić, żeby spędzić wieczór z gromadą pijanych gospodarzy… o nie, dziękuję.

W Indiach Jack nauczył się sprytu. Jeśli pułkownik uśmiechał się odrobinę niepewnie, Jack wiedział, że należy uważnie przyjrzeć się rozkazom, które radośnie wciśnięto mu w dłoń. Jeśli przewodnicy przestawali rozmawiać między sobą, Jack trzymał pistolet gotowy do strzału i to samo nakazywał swoim ludziom.

A jednak o mało nie umarł w wilgotnej, cuchnącej celi, zapomniany przez wszystkich, których zadaniem było dbać o jego bezpieczeństwo.

Instynkt podpowiadał mu, że Madeline coś ukrywa – opinię, uczucie, decyzję, urazę, cokolwiek.

– Skoro nie uczestniczyłaś w zabawie w Łasicy, to gdzie się podziewałaś?

– Słucham?

– Zabrałaś ten właśnie powozik zeszłej nocy i Jeremy myślał, że jedziesz do oberży. Nie widziałem cię, najwyraźniej nie dotarłaś. Gdzie byłaś?

– Ja… To jest największy wiercipięta pośród psów, jakiego spotkałam. Nazwiemy go Piłeczką. Pojechałam odwiedzić ciotkę Hattie. Bardzo się martwiła o Theo, zwłaszcza że w liście nie wspomniałeś, żeby Higgans się do niej wybrał. Ucieszyła się, że stan Theo się poprawia z godziny na godzinę.

Jack zatrzymał powóz na dziedzińcu stajennym Candlewick, stajenny wyszedł, żeby przytrzymać konia, kiedy Jack zeskoczył na ziemię.

Madeline mogła posłać do Hattie chłopca stajennego z listem, mogła poprosić Jacka, żeby wstąpił do ciotki po drodze do wsi, mogła poczekać do dzisiejszego rana. Chciała, żeby uwierzył, że – w typowy dla niej sposób

– sama się tym zajęła, w nocy, w środku zimy, bez stajennego, który by jej towarzyszył.

Należało o tym jeszcze porozmawiać, ale to nie był odpowiedni moment.

Jack wziął szczeniaka, trzymając go jedną ręką, pomagając jednocześnie damie wysiąść. W drzwiach frontowych Candlewick przywitał ich sam Belmont.

– Ach, obiecany szczeniak i moja marnotrawna Hennessey. Madeline, wejdź i weź ze sobą sir Jacka, jeśli musisz. Abigail, musisz oczarować sir Jacka, żeby nie zwrócił uwagi, kiedy Madeline wyzna, jak bardzo za mną tęskniła i jak bardzo pragnie uciec od nudy w Teak House.

Jack wziął szczeniaka od Madeline i wcisnął go w ramiona Belmonta.

– Nazywa się Beowulf. Uparcie siusia, gdzie nie powinien. Podrze twoje ulubione pantofle domowe na strzępy i wyrzuca z siebie więcej gazów niż koń pociągowy na łące wiosną. Panna Hennessey wybrała go dla ciebie.

Pani Belmont zeszła, uśmiechając się, po głównych schodach wewnątrz domu; wyglądała zdecydowanie zbyt pięknie jak na kobietę z niemowlęciem w pokoju dziecinnym i Belmontem w charakterze męża. Jack znał ją od lat, a jednak ta szczęśliwa, promienna dama była pod wieloma względami całkiem mu obca.

– Jesteś po prostu zazdrosny – szepnął Belmont, kiedy kobiety się objęły i zniknęły w górze schodów. – Ja też walczę z zazdrością. Mały nicpoń w pokoju dziecinnym ukradł serce swojej matki. Zwróć uwagę, że Abigail ledwie poklepała szczeniaka po łepku.

– Zauważam, że brak ci godności, Belmont. Ty i Beowulf wspaniale się dogadacie. A ja mam kłopot.

– Chodź do mojego gabinetu. – Belmont prowadził korytarzem ze szczeniakiem w ramionach. – Wszelkie kłopoty znajdują rozwiązanie, jeśli ktoś jest wytrwały i wypije dość dobrego trunku. Dam Madeline posag, jeśli o to chodzi. Abigail tego ode mnie oczekuje. Szczęśliwa żona, szczęśliwe życie, jak powiadają.

Jack zamknął drzwi gabinetu, a Belmont postawił psa na podłodze.

– Czy musisz być tak obrzydliwie zadowolony, Belmont?

– Tak, muszę. Ostatecznie jestem mężem Abigail. Brandy? Koniak? Armagnac?

– Co tam masz.

Alkohol uspokoił Jacka, podobnie jak – w dziwny sposób – obecność Belmonta. Szczeniak znalazł przed kominkiem pudło wyścielone starym kocem, zwinął się w nim w kłębek i położył brodę na łapach z psim westchnieniem.

– Szczęśliwego nowego roku – powiedział Belmont, stukając kieliszkiem w kieliszek Jacka. – No to w czym rzecz?

Jack usiadł na miękkim fotelu. Jako sędzia miał okazję wysłuchiwać wszelkiego rodzaju wyznań i zwierzeń od ludzi, których znał tylko z kościelnego dziedzińca. Belmont był przyjacielem – dobrym przyjacielem – i dzięki temu Jack zdobył się na to, żeby mówić zupełnie otwarcie.

– Madeline mnie okłamuje. Nie jest utalentowaną kłamczuchą i nawet ze słodkim szczeniakiem w ramionach nie potrafiła kłamać przekonująco. Nigdy nie spotkałem uczciwszej kobiety, a jednak mnie okłamuje.

12

Dziecko urosło w krótkim czasie, kiedy Madeline przebywała poza Candlewick; poczuła się jak banita, wygnana z jedynego domu, jaki znała.

– Służba hurmem domaga się twojego powrotu – oznajmiła Abigail, wyjmując dziecko z kołyski i kładąc je sobie na ramieniu. – Kucharka udaje, że bez ciebie nie potrafi upiec niedzielnych rogalików. Lokaje i pokojówki pozorują wojnę. Nawet pani Turnbull spiskuje.

Matka i dziecko tworzyli towarzystwo wzajemnej adoracji. Dziecko wyciągnęło kosmyk włosów z fryzury Abigail i wsadziło go sobie do buzi; Abigail najwyraźniej uznała ten występek za uroczy.

– Pani Turnbull nie potrafiłaby nikogo zwieść – powiedziała Madeline. – Usiądziemy?

Pokojówka nigdy nie odezwałaby się w ten sposób, ale Madeline nie była w tej chwili pokojówką, a Abigail od dawana była dla niej kimś w rodzaju przyjaciółki. Usiadły bliżej kominka, przyjemny trzask ognia przeplatał się z pełnym zadowolenia popiskiwaniem dziecka.

– Pani Turnbull chce nas przekonać, że pamięć ją zawodzi – wyjaśniła Abigail, przenosząc dziecko na drugie ramię. – Mam nadzieję, że chociaż przesadza, jeśli już całkiem nie udaje. Candlewick nie może dobrze funkcjonować z gospodynią, która stale o czymś zapomina. Ja jestem zajęta moim małym skarbem. Głowa pana Belmonta jest zajęta wyłącznie planami budowy nowej szklarni.

Głowa pana Belmonta była zajęta żoną i dzieckiem; co do tego Madeline nie miała wątpliwości.

– Panią Turnbull zawodzą oczy i nie słyszy już tak dobrze, jak kiedyś – powiedziała Madeline. – Ściśle mówiąc, pamięć niekoniecznie ją zawodzi, ale czasami nie potrafi odczytać własnych notatek i nie zawsze słyszy, co się do niej mówi.

Madeline odkryła to wcześniej niż przed rokiem, zanim Abigail wprowadziła się do domu. Dlaczego ludzie nie zauważają służby, która czuwa nad nimi dzień i noc?

Z drugiej strony, pan i pani Belmont byli zajęci zauważaniem siebie nawzajem, a duma pani Turnbull niemal dorównywała dumie rodziny Hennessey.

– Słuch i wzrok ją zawodzą? Jesteś pewna?

– Skarżyła mi się wiele razy, ale nie chciała odejść z pracy, kiedy miało się urodzić dziecko.

Albo porzucić pracy, która tyle dla niej znaczyła.

– Pani Turnbull postępuje niemądrze – stwierdziła Abigail, gładząc plecki niemowlęcia. Mogło być rudowłose, żadna wada u mężczyzny. – Odejdzie z pracy z dobrą rentą i zamieszka w jednym z domów w gospodarstwie, choć raczej nie pozwolimy jej odejść, póki nie zdąży wyszkolić następczyni. Miałam nadzieję, że pomożesz nam wybrać tę osobę.

Belmontowie mieli nadzieję, że Madeline im pomoże? To jej pomoc nie była już potrzebna i oczywista?

Dlaczego Madeline, która znała służbę i dom lepiej niż swoje drzewo genealogiczne, nie była brana pod uwagę jako naturalna następczyni pani Turnbull?

I dlaczego to maleństwo musiało być takie piekielnie słodkie? Miało wyraziste brwi ojca, nawet w tak młodym wieku, oraz nos i brodę matki.

– Madeline, dobrze się czujesz? Nie podoba mi się ta melancholia.

– Nic mi nie dolega. Ciotka Theo przebywa w Teak House, dochodzi do siebie po ataku gorączki płucnej. Ta sytuacja to dla mnie urwanie głowy, a nie jestem całkiem… – Nie całkiem już panuję nad swoim umysłem.

Madeline nie powinna była opuszczać Teak House poprzedniego wieczoru z jakiegokolwiek powodu.

Spojrzenie Abigail było spojrzeniem przyjaciółki, co gorsza – matki.

– Czy Jack Fanning utrudnia ci życie?

Był niemożliwie kochany.

– Sir Jack okazał wielką dobroć wobec ciotki Theo. Doktor nie przyszedł, a Theo była w trudnej sytuacji. Gdyby nie Jack, doszłoby do najgorszego. To… to człowiek godny podziwu.

Broda Madeline zaczęła drżeć, mrugała szybko, ale nie zdołała powstrzymać dwóch łez, które spłynęły jej po policzkach.

– Sir Jack jest okropny. – Abigail, trzymając dziecko, wyciągnęła chusteczkę z kieszeni. – Gra przy tobie rycerza bez skazy, polując cały czas na złodziei węgla i żartownisiów. Mam nadzieję, że zachował na tyle przyzwoitości, żeby zatrzymać się z tobą pod jemiołą raz czy dwa razy.

Madeline rozpłakała się, ale nie tak jak dama, która delikatnie pociąga nosem. Od czasu, kiedy ciotkę Hattie wyrzucono bez referencji, a ona dostała pierwsze niezasłużone bicie, nie ogarnęło jej takie poczucie beznadziei i rozpaczy.

– Nie możesz tak tego przyjmować – powiedziała Abigail, poklepując Madeline po ramieniu. – Wszystko może się wydawać ponure, ale Jack cię uwielbia. Pan Belmont tak twierdzi, a to bardzo spostrzegawczy człowiek. Znam Jacka Fanninga od wieków, ale odkąd wstąpiłaś na służbę do Teak House, pan Belmont zapewnia, że Jack stał się innym człowiekiem. Więcej w nim życia, zdecydowania. Twoja obecność dobrze mu robi.

– Nie pomagasz mi – jęknęła Madeline. – Nie pomagasz mi wcale. Problem nie tkwi w Jacku, tylko we mnie. We mnie i to jest wszystko, a on jest sędzią, a ja byłam bardzo, bardzo głupia.

Abigail podniosła się razem z dzieckiem, które zaczęło się wiercić.

– Nigdy nie jesteś głupia.

– To właśnie problem. Nigdy nie byłam głupia, a teraz jestem, w każdej sytuacji. Ciotka Theo nie powinna próbować dawać sobie rady sama, a przypuszczam, że ciotka Hattie znajdzie się wkrótce w podobnym położeniu. To moja rodzina, a ja nie mogę zapewnić im odpowiedniej opieki i to wszystko… To wszystko jest skomplikowane, jestem zmęczona i nie chcę karmić kur przez resztę życia, a sir Jack jest sędzią.

Abigail spacerowała po pokoju dziecinnym, wolnym, kołyszącym krokiem, który uspokajał dziecko i budził w Madeline taką zawiść, że o mało znowu nie wybuchnęła płaczem.

– Wspomniałaś dwa razy, że Jack jest sędzią. Nie rozumiem, co mają jego obowiązki wspólnego z tym wszystkim, zwłaszcza z czajeniem się na ciebie pod jemiołą. Pan Belmont skłania się do dyplomacji w delikatnych sprawach, podczas gdy ja ani w połowie nie jestem taka wstrzemięźliwa. Jeśli Jackowi trzeba przemówić do rozumu, nie zawaham się…

Dziecko pacnęło matkę lekko w usta, jakby nawet ono wiedziało, że przedstawianie Axela Belmonta jako dyplomaty jest naciągane.

– Jack Fanning poradził sobie całkiem nieźle pod jemiołą – powiedziała Madeline. – Poradził sobie znakomicie.

Abigail uśmiechnęła się promiennie.

– Wiedziałam. Podobacie się sobie nawzajem. Oboje jesteście dorośli, inteligentni i zdrowi i trzeba wam było tylko bliskości i okazji. Pan Belmont zapewni ci posag i oboje będziemy stać przy tobie na ślubie.

– Nie może dojść do ślubu – oznajmiła Madeline. – Jack jest sędzią i traktuje swoje obowiązki poważnie. Jest dżentelmenem i jego honor nie może zostać splamiony.

Abigail przestała się uśmiechać.

– A ty będziesz skompromitowana? Madeline, mów jaśniej. Uważam, że kobieta ma prawo cieszyć się taką wolnością, jak to tylko możliwe w

naszym wspaniałym królestwie, ale nie chciałam, żebyś przyjmując stanowisko w Teak House, zrujnowała sobie życie.

– Nie zrujnowałam sobie życia, ale byłam głupia. Ten złodziej, którego Jack ściga z takim zapałem, ten żartowniś? To ja. Jestem złodziejką, on jest sędzią i teraz nie mogę go poślubić.

Świat oszalał.

Ledwie Jack zdążył zawieźć milczącą i zmizerniałą Madeline do Teak House, kiedy na podjeździe zaturkotała zgrabna dwukółka doktora Higgansa o czerwonych obręczach na kołach. Higgans był ostatnią osobą, którą Jack miał ochotę oglądać, ale może zjawił się, żeby zabrać swojego szczeniaka.

– Przejdziemy do biblioteki? – zapytał Jack, kiedy doktor przekazał swoje rękawiczki, kapelusz i płaszcz z kapturem Pahdiemu.

– Gdzieś, gdzie będziemy sami, ponieważ w przeciwieństwie do niektórych, nie zwykłem przedstawiać swoich opinii publicznie.

– Do biblioteki tędy – powiedział Jack. – Pahdi, nie będziemy na razie potrzebować tacy, ale daj znać w kuchni, że mamy gościa.

Kiedy Jack wraz z gościem znaleźli się za zamkniętymi drzwiami biblioteki, Jack zasiadł za biurkiem, podkreślając godność sędziego.

– Co to za dziwny zapach? – zapytał Higgans.

– Drzewo sandałowe. Palę kadzidła, żeby zapobiec wilgoci. – I ponieważ ten zapach był piękny.

Higgans podjął inspekcję biblioteki i Jack na to pozwolił. Milczenie należało do najpotężniejszych narzędzi sędziego, a biblioteka świadczyła niezawodnie o wykształceniu, wyrafinowaniu i mądrości.

– To drzewo tekowe – powiedział Higgans, zerkając na komodę. – Nie widuje się dużo tego rodzaju drewna ani takich wymyślnych czajników.

– To się nazywa samowar. – Może powinienem ci to przeliterować, powoli.

Obejrzawszy dokładnie bibliotekę Jacka, Higgans wyraźnie zmienił nieco stosunek do jej właściciela. Książki kosztowały majątek, a Jack miał ich całą kolekcję. Pianino, piękny instrument, pochodziło z manufaktury lorda Valentine'a Windhama, który mieszkał w sąsiedztwie. Zabytkowy samowar ze srebra mógł kosztować więcej niż dom Higgansa.

– Dlaczego człowiek, który posiada takie bogactwo, zawraca sobie głowę zabawą w sędziego?

Pytanie nie padło z ust zarozumiałego, uczonego medyka, tylko zaniepokojonego, starego, wiejskiego doktora. Pozwalającego sobie na zbyt wiele, zaniepokojonego, starego, wiejskiego doktora.

– Usiądź, doktorze Higgans. Proszę?

Doktor usiadł ostrożnie na krześle naprzeciwko Jacka. Obolałe biodra, jak domyślał się Jack, albo bolące kolana. Może jedno i drugie, a różowy nos Higgansa wskazywał raczej na upodobanie do trunków niż wpływ mroźnego powietrza.

– Jestem sędzią – Jack nie bawił się w sędziego – po części dlatego, że mam majątek, który gwarantuje, że nie pełnię urzędu dla zysku. Lubię rozwiązywać zagadki oraz żywię ogromny szacunek dla zasad prawa. Mieszkałem tam, gdzie królewska sprawiedliwość była czymś niewiele więcej niż zabawną bajką i nie chcę dopuścić, żeby w mojej parafii działo się podobnie. Poza tym to kwestia honoru. Prawo nie działa samo z siebie.

Higgans poruszył się na krześle.

– Theo Hickman to twarda sztuka. Jedno pociągnięcie nosem czy kaszel nie odeśle jej do Stwórcy.

Jeśli Higgans szukał rozgrzeszenia, Jack nie zamierzał mu go ofiarować.

– Nie przedstawiałem swoich opinii Pod Łasicą, wyliczałem fakty. Kobieta była ciężko chora. Wezwano cię i otrzymałeś to wezwanie we własnym ciepłym wygodnym domu. Zignorowałeś prośbę o pomoc i nie podałeś żadnych powodów, chociaż z ochotą stawiłeś czoło żywiołom, żeby następnego wieczoru sączyć marne ale w gospodzie i krytykować zręczność

każdego z zawodników. Czy do tego przygotowuje wykształcenie medyczne?

Jack był rozgniewany i to mu nie pomagało. Madeline jednak także wpadła w gniew i miała powody.

– Nie musisz się powtarzać – odparł Higgans. – Podjechałem do chaty Theodosii następnego rana, ale ją już przeniesiono tutaj. Byłem wyczerpany, przez cały poprzedni dzień odwiedzałem różnych pacjentów i zamierzałem, oczywiście…

– Dość. – Jeśli Jack miał dla Higgansa odrobinę współczucia, to właśnie je stracił. – Ani słowa więcej, chyba że jesteś gotów powiedzieć prawdę.

Higgans, na próbę, parsknął z oburzeniem, na co Jack odpowiedział spojrzeniem bazyliszka. Nie czuł takiego gniewu od czasów… od czasów Indii i dobrze było znowu poczuć się we własnej skórze.

– Nie było cię w chacie Theodosii następnego rana – stwierdził Jack. – Dłużej niż pół dnia zajęło nam pakowanie jej rzeczy, przygotowanie powozu i wypełnianie rozmaitych zaleceń mojej matki. Poprzedniego dnia nie widziałeś się także z żadnymi pacjentami, chyba że twój stajenny mnie okłamał co do tego, kiedy z nim rozmawiałem, zanim zjawiłeś się w Łasicy. Po prostu nie chciało ci się zajrzeć do starej, chorej kobiety.

Co gorsza, Higgans wciąż nie zapytał, jak się czuje Theodosia.

Higgans wstał, przypominając Jackowi pewnego pułkownika w Indiach. Obaj korpulentni, siwowłosi, o sprytnych oczach i starannie wypielęgnowanych wąsach. Obaj byli zapewne przystojnymi, zepsutymi młodzieńcami i obaj robili dystyngowane wrażenie w późniejszych latach.

Obaj byli także leniwymi, kłamliwymi tchórzami.

– Mów, o co chodzi, Higgans. Choć kłamiesz we własnym interesie, jeśli chcesz mi donieść o występku kogoś innego, muszę cię wysłuchać i naprawić zło, jeśli to możliwe.

– Wy, nababowie – parsknął szyderczo Higgans. – Myślicie, że jesteście lepsi z waszym bogactwem i pretensjami. Czy aresztujesz własnego

kamerdynera, jeśli oskarżę go o kradzież torby z instrumentami medycznymi? Ponieważ zniknęła, zabrano ją z mojego własnego domu, a widziałem go wczoraj w nocy, jak włóczył się po mieście, podczas gdy wszyscy inni uczciwi ludzie bawili się w Łasicy. Nie możesz ręczyć za niego – ciągnął Higgans – bo byłeś zbyt zajęty, wylewając mi kubeł pomyj na głowę w tawernie. Ta torba zawiera narzędzia mojej profesji i należała do mojego ojca. Tak bardzo pragniesz naprawiać zło, więc wezwij kamerdynera przed sąd. Przez niego Berthilda Abernathy straciła pracę, a ona także zwróciła uwagę na niecną kradzież, jakiej się dopuścił.

Niech to piekło pochłonie. Jack w duchu policzył do dziesięciu w hindi, a potem znowu po łacinie.

– Wypożyczalnia książek jest dwa domy od ciebie – powiedział Jack – a Pahdi pochłania książki łapczywie. Zabrałem go, kiedy jechałem do Łasicy, ale gościna Tavisa nie odpowiada Pahdiemu. Pahdi załatwił swoje sprawy w bibliotece i wrócił pieszo do domu.

Higgans oparł ręce na biurku i pochylił się w przód.

– Jak podejrzewałem, nie możesz poświadczyć, gdzie spędzał czas. Zakraść się pod mój dom, podnieść okno i ukraść torbę to dla takiego huncwota jak on, robota na jedną chwilę. Albo znajdź tego, kto ukradł torbę, albo aresztuj kamerdynera. Zeznam pod przysięgą, że widziałem go na scenie zbrodni i ogłoszę to także Pod Łasicą.

Jack wstał; szczęśliwie się złożyło, że górował nad doktorem o kilka cali – oraz że odczuwał głęboką niechęć wobec przemocy.

– Nie było cię na miejscu przestępstwa, skoro torbę ukradziono z twojego domu. Byłeś w Łasicy, racząc się obficie trunkami. Jeśli widziałeś Pahdiego po drugiej stronie ulicy przy wypożyczalni, to chyba wtedy, gdy wychodziłeś na dwór, odpowiadając na zew natury i na pewno nie w pełnym świetle dnia. Mów, co chcesz i gdzie ci się podoba, ale nie aresztuję nikogo na mocy przypadkowej obserwacji pijaka.

– Znajdź torbę i znajdź tego, kto ją ukradł – parsknął Higgans. – Jeśli nie zostanie mi zwrócona, poproszę, żeby inny sędzia przejął tę sprawę. To niegodne, żeby wahać się aresztować złodzieja we własnym domu i wszyscy o tym wiedzą albo się wkrótce dowiedzą.

Nastrój Jacka eskalował od irytacji poprzez gniew, do wściekłości. Usiadł, wyjął kartkę pergaminu i otworzył buteleczkę atramentu.

– Będę potrzebował listy.

Brwi Higgansa drgnęły.

– Listy?

– Twierdzisz, że padłeś ofiarą kradzieży. Żeby odzyskać ukradzioną własność, potrzebuję listy rzeczy, które zginęły. – Jack podniósł pióro ze stojaka i przyjrzał się jego końcówce, którą najchętniej wbiłby w ciało doktora. – Opisz torbę.

– Ucięłyśmy sobie z Hattie cudowną pogawędkę dziś rano – oznajmiła ciotka Theo, siadając na kanapie możliwie blisko ognia. – Brakowało mi tego, żeby móc pogadać z siostrą, kiedy tylko mam ochotę, zapominając o całym świecie. Florrie powiada, że nie zestarzałyśmy się ani o jeden dzień, odkąd nas ostatnio widziała. Tylko sobie wyobraź.

Madeline o mało nie skaleczyła się igłą do haftowania.

– Florrie? – I dlaczego nie powiedziano jej, że ciotka Hattie przyszła z wizytą?

– Florentia Hammerschmidt była wspaniałą dziewczyną w tamtych czasach. Jestem, oczywiście, parę lat starsza, ale Mayfair nie było takie zatłoczone, zanim wyszłam za mąż. Lepsze rodziny znały się między sobą i Hammerschmidttowie, choć nieutytułowani, w powszechnej opinii zawsze należeli do towarzystwa. Florentia dobrze zrobiła, poślubiając tego chłopaka Fanningów, chociaż nie miała z nim łatwego życia.

Theo była co najmniej dziesięć lat starsza niż pani Fanning.

– Znasz panią Fanning. – To odkrycie z niejasnego powodu przygnębiło Madeline.

– Niezbyt dobrze, rzecz jasna. Nigdy nie korespondowałyśmy, ale nasze rodziny pozostawały w serdecznych stosunkach przez jakiś czas.

Innymi słowy, póki los nie odwrócił się od rodziny Hennessey.

– Cieszę się, że mogłyście odnowić stare znajomości. Czy mam zadzwonić po herbatę?

– Na Boga, nie! My, damy, zagramy teraz w wista z wielebnym Fanningiem i mamy tyle herbatników i maślanych ciasteczek, ile dusza zapragnie.

My damy, jak się wydawało, przestało nagle obejmować Madeline, zostawiając… panią Fanning, Theo i pannę DeWitt.

– Cieszę się, że czujesz się, ciociu, o wiele lepiej, ale postaraj się nie przesadzać. – Ponieważ ta idylla wśród wspomnień i przy dobrej herbacie mogła się skończyć i Theo znowu znajdzie się w swoim maleńkim gospodarstwie, licząc każde jajko i każdą bryłkę węgla.

Tego dnia Madeline haftowała letnią koszulę nocną. Wyszywała szlaczek z niezapominajek, choć był to próżny trud. Kiedy pogoda złagodnieje, wyjedzie z Teak House i nikt nie będzie podziwiać delikatnego błękitu i wesołej żółci na krawędzi jej szaty.

– Hattie wpadła na wspaniały pomysł – powiedziała Theo, wygładzając aksamitną poduszkę. – Kiedy usłyszała, że będę towarzyszyć drogiej Florrie do miasta, powiedziała, że pomówi z panią Belmont o pracy w Candlewick. Nadine Turnbull się starzeje, a Hattie wie, jak się prowadzi dom. Z pewnością możesz szepnąć o niej dobre słówko.

Zachwyt Theo dorównywał niemal zdumieniu Madeline.

– O czym ty mówisz? Jeśli pojedziesz do Londynu, kto będzie karmić twoje kury? Kto będzie sadził w twoim ogrodzie? Nie masz odpowiednich strojów do miasta, nie masz nawet kufra, do którego mogłabyś je włożyć. –

A jeśli Nadine Turnbull się starzała, to Hattie starzała się w tym samym tempie.

Theo odłożyła poduszkę na bok.

– Ten ton jest bardzo niestosowny, Madeline Aphrodite. Powinnaś być szczęśliwa ze względu na mnie. Jeśli chciałabyś zamieszkać w gospodarstwie, chętnie to z tobą omówię, ale ja już się zdecydowałam. Florrie uświadomiła sobie, jak towarzystwo innej damy może umilić jej dni i oferowała to stanowisko mnie, kiedy całkiem dojdę do siebie. Hattie była zachwycona, ty też powinnaś.

– A niech to.

– Drogie dziecko, jeśli to jest twoje…

– Węzeł francuski nie wyszedł w środku – powiedziała Madeline, szukając w pudełku nożyczek do haftu. – Masz stanowisko damy do towarzystwa pani Fanning?

To był zwykły akt miłosierdzia, jawna dobroczynność. Theodosia Hennessey pochodziła z dobrej rodziny, dawno, dawno temu, ale trudno ją było uznać za trzymającą się w cieniu, słodką, potulną istotę, z gatunku tych, jakie najlepiej sprawdzały się w tej roli.

Z drugiej strony, Madeline także taka nie była. Dawała sobie radę jako tymczasowa dama do towarzystwa, ponieważ to oznaczało dobre pieniądze w krótkim czasie. Taka z niej była dama do towarzystwa jak z paru akrów Theo farma.

– Florentię męczą młodzi ludzie, a inne damy w Londynie tylko skaczą sobie do oczu. To się nigdy nie zmieni. Zaprasza mnie do swojego domu na tak długo, jak zechcę. Może powinnaś kupić okulary, moja droga. Haft bardzo męczy oczy.

Rodzina także potrafi bardzo męczyć. Gdyby Madeline miała dość pieniędzy na okulary, wydałaby je na ciotki.

– Jeśli będziesz szczęśliwa w domu pani Fanning, ja także będę szczęśliwa. Martwię się jednak, że dzierżawca nie zadba o twoją ziemię tak

dobrze jak ty, ty zaś, jako właścicielka, wszystkie zarobione pieniądze wydasz na naprawy i utrzymanie inwentarza. – Małe gospodarstwo Theo potrzebowało pieniędzy, podobnie jak gospodarstwo Hattie.

Theo poklepała Madeline po kolanie.

– Po to są siostrzenice; jeśli przypilnujesz dzierżawcę, z pewnością należycie zadba o gospodarstwo, o ile nie chcesz chaty dla siebie?

Madeline odłożyła na bok koszulę nocną, jako że wszelkie próby wykonania prostego ściegu były skazane na niepowodzenie. Zdrowy rozsądek ciotka widocznie zostawiła z kurami, ponieważ Madeline nie byłaby w stanie ani nadzorować pracy dzierżawcy, ani zajmować się naprawami.

I pomyśleć, że Madeline dopuściła się przestępstw, żeby poprawić los ciotek.

– Czy o czymś nie zapomniałaś, ciociu?

– Mam doskonałą pamięć, młoda damo.

Nie, nie miała.

– Jeśli Hattie pójdzie do pracy w Candlewick jako gospodyni, a ty wyjedziesz do Londynu z panią Fanning, to zostaną dwa gospodarstwa, które trzeba będzie wydzierżawić i nadzorować. W najlepszym wypadku mogłabym zająć jedno, ale nie wychowałam się na wsi, ciociu Theo. Wychowałam się w Londynie, a potem poszłam na służbę. To, co wiem o prowadzeniu gospodarstwa, nie pozwoli mi sprostać wyzwaniu.

I to przyjmując, że uniknie aresztu za kradzież i – głupotę.

Wyraz twarzy Theo przywodził na myśl kurę, która wysiaduje jaja, podczas gdy kot kręci się przy kurniku.

– Madeline, nie mogę zaradzić wszystkim twoim kłopotom. Hattie i ja zrobiłyśmy dla ciebie, co się dało, ale pora, żebyś sama o siebie zadbała. To nie jest tak, że przejęcie jednego gospodarstwa równa się skazaniu na dożywotnie galery. Stare panny muszą gdzieś mieszkać, a własny majątek

to dużo więcej niż służba u obcych. Ktoś może zechcieć cię poślubić choćby po to, żeby dostać w swoje ręce kawał dobrej ziemi.

Dobrej ziemi? Madeline poświęcała każde pół dnia wolnego – od lat – żeby pomagać ciotkom w cięższych pracach. Każdy grosz nadwyżki przeznaczała na zapełnienie im spiżarni i zakup ziarna. Każdą sztukę ubrania, którą szyła późno w nocy, szyła z myślą o ciotkach, a połowie przystojnych, wesołych mężczyzn, których zaloty odrzuciła, dała kosza właśnie dlatego, że nie chcieliby utrzymywać Hattie i Theo.

– Dałaś mi wiele do myślenia. – Madeline odłożyła robótkę do pudełka i zamknęła wieczko. – Ale służba to wszystko, co znam i jestem w tym dobra. Wybacz, proszę. Mam przejrzeć jadłospisy z kucharką. – Oraz uporządkować garderobę z naczelną pokojówką i omówić zakup wina z Pahdim.

– No to z Bogiem. – Ciocia Theo machnęła niedbale ręką. – Zdrzemnę się trochę przed lunchem, tak żeby być w dobrej formie przy kartach. Wielebny Fanning zna tyle wspaniałych historii, a on i panna DeWitt to zachwycająca para.

Madeline opuściła salon dostojnym krokiem, choć miała ochotę pobiec do drzwi.

Ta radosna, samolubna wersja ciotki Theo nie była jej znana, jednak Madeline rozumiała, dlaczego ciotce tak bardzo zależy na wyjeździe z hrabstwa. Gdyby nie dobroć Jacka i przypadkowa wizyta pokojówki z Candlewick, Theo mogłaby wykasłać swoje życie na dobre.

Czy to znaczy, że Madeline musi dać się pochować w nędznej chacie z kurami, owcami i starym psem za jedyne towarzystwo?

O ile nie zostanie aresztowana za kradzież.

Gdyby Jack nie walczył rozpaczliwie z chęcią wyrzucenia doktora z pokoju, cała sytuacja mogłaby być komiczna.

Cenna torba medyczna okazała się zużytą, czarną, skórzaną sakwą o nieokreślonej wartości. Zawierała skalpel, trochę typowych leków, pęknięte lusterko ręczne i buteleczkę z mocnym octem.

Złodziejem najwyraźniej nie kierowała chciwość.

Higgans przyglądał się oprawnej w srebro buteleczce z atramentem, jednej z dwóch na stojaku z przyborami do pisania.

– Słucham?

– Czy masz zapasową torbę?

– Nie mam. Torba po ojcu jest dla mnie cenna, jej zawartość dobrze mi służyła przez dziesiątki lat. Ma dla mnie ogromną wartość sentymentalną.

Och, oczywiście. Jack był niemal pewien, że torba zawierała także jedną czy dwie flaszki.

– Jak sądzisz, co złodziej z tym zrobi?

– Sprzeda, rzecz jasna. Pieniądze to wszystko, o czym tacy jak on myślą i o tym, jak je zdobyć bez pracy.

Jack pociągnął za sznur dzwonka, choć wolałby go wyrwać z sufitu. W chwilę później rozległo się potrójne pukanie do drzwi i Jack poprosił Pahdiego, żeby wszedł.

– Pahdi, bądź tak dobry – odezwał się Jack – i powiedz mi, dlaczego wypożyczasz książki z biblioteki?

– Ponieważ, dostojny panie, przeczytałem wszystkie książki, które masz tutaj po angielsku, francusku i hindi. Pożyczam także książki z biblioteki Candlewick, dla siebie i dla Jamesa Smitha, dla którego, przy niedostatku słuchu, czytanie jest bezcenną pociechą.

Pahdi mówił przyjemnym, pełnym szacunku głosem, ale rozumiał, oczywiście, że jakieś oskarżenia wiszą w powietrzu.

– Jakie książki pożyczyłeś z biblioteki w tym tygodniu? – zapytał Jack.

– Wypożyczalnię właśnie zamykano, kiedy przyszedłem, ponieważ wielu klientów bardziej się interesowało turniejem, w którym uczestniczyłeś,

szlachetny panie. Nie miałem czasu wybrać nowych książek, więc tylko zwróciłem opowieść o życiu Hannah Snell, stara historia, ale zajmująca.

– A jakąż to historię opisano w owej interesującej książce? – parsknął Higgans.

Pahdi skłonił się w kierunku Higgansa.

– Pani Snell, w męskim stroju, wstąpiła do królewskiej piechoty, żeby szukać niewiernego męża i służyła pod imieniem Jamesa Graya. Następnie zaciągnęła się do marynarki, służyła w Indiach, odniosła liczne rany w bitwie pod Pondicherry, a następnie wróciła do swego niezmiernie oświeconego królestwa, gdzie nadal nosiła mundur wojskowy i stroje, które przystoją mężczyznom. Szczerze polecam panu tę książkę, znakomity, szanowny i dostojny panie.

Trzy przymiotniki i ukłon przekonały Jacka, że Pahdi jest wściekły. Nad nowym rokiem w Teak House zbierały się ciemne chmury.

– Jeszcze jakieś pytania, Higgans? – zapytał Jack.

– To niczego nie dowodzi.

– Dziękuję, Pahdi – powiedział Jack. – Możesz odejść.

Kamerdyner wycofał się, złożywszy kolejne dwa uniżone, pełne wdzięku ukłony.

– Miał wspaniałą okazję, żeby przywłaszczyć sobie moją torbę – oświadczył Higgans. – Wypożyczalnia poświadczy, że był w mieście i nic na to nie możesz poradzić.

– Higgans, zanim wezwałem Pahdiego, sprawdziłem, że był w mieście. Nawet ty musisz przyznać, że wieczór był ciemny, światło księżyca skąpe i niewystarczające, żeby wiele zobaczyć. Przyjadę do ciebie później w tygodniu i zbadam miejsce przestępstwa na okoliczność włamania. A tymczasem życzę ci dobrego dnia.

Żeby podkreślić, że spotkanie dobiegło końca, Jack otworzył drzwi biblioteki i Higgans nie miał wyboru, jak tylko wyjść.

– Sumienny sędzia przeprowadziłby śledztwo od razu – stwierdził Higgans – a nie, kiedy mu to odpowiada.

– Zacznę śledztwo dziś po południu – powiedział Jack – i zacznę od przesłuchania tych, którzy brali udział w turnieju. Póki pamięć jest świeża, ktoś może sobie przypomnieć jakiś dziwny szczegół, urywek rozmowy i wtedy przeszukanie twojego domu może okazać się bardziej owocne.

Higgans zatrzymał się gwałtownie w sieni.

– Przeszukanie mojego domu? A to po co, do diabła?

James w milczeniu podał Higgansowi płaszcz, piękne okrycie z wełny, dobre na każdy mróz.

– Czy chcesz, żebym znalazł twoją torbę – powiedział Jack – czy mam wydać wyrok na Pahdiego, nie przesłuchując oskarżonego, bez sądu? Może powykręcać mu palce? Możemy przywrócić wieki ciemne tutaj, w naszym zakątku Oksfordshire, i do diabła z procedurami, prawem i zwykłą przyzwoitością.

Do diabła z przeklętą torbą. Do diabła z arogancją i nieudolnością Higgansa.

Na szczycie schodów ukazała się mama, ale rozsądnie zatrzymała się tam, gdzie Higgans nie mógł jej zobaczyć.

– Bardzo lekko podchodzisz do swoich obowiązków – stwierdził Higgans, wkładając rękawiczki.

Jack nie mógł się powstrzymać.

– Pewnie zapodziałeś gdzieś tę starą torbę, tę, w której nosisz marne naśladownictwo wyposażenia medycznego, a nie diament Koh-i-noor. Jednakże rozpocznę śledztwo w ciągu najbliższej godziny. Może mój przykład zainspiruje cię następnym razem, kiedy stara sąsiadka będzie leżała sama, zziębnięta i na granicy śmierci z braku opieki. Twój szczeniak czeka w stajni. Nazwaliśmy go Hipokrates.

Higgans wcisnął kapelusz na głowę i wypadł na zewnątrz.

Rozległy się powolne oklaski, kiedy hałas zatrzaskiwanych drzwi rozszedł się po sieni.

– Co za odrażający stary hałaśliwy łajdak – powiedziała mama, schodząc po schodach. – Dlaczego pozwoliłeś mu obrzydzić sobie dzień?

– Ponieważ jestem sędzią, a prawo jest ważne. – No, proszę.

Mama poklepała go po ramieniu.

– Powinieneś coś zjeść. Na pewno jesteś głodny. Dlaczego pan Patty wyglądał na takiego rozgniewanego?

– Nazywa się Pahdi. – Jack nigdy nie widział, żeby Pahdi wyglądał inaczej niż godnie, chyba że wtedy, kiedy spudłował, strzelając do tamtego tygrysa.

– No, toż mówię: Patty.

– Doktor Higgans oskarżył Pahdiego o kradzież; przedmiot kradzieży jest praktycznie bez żadnej wartości, a Higgans nie ma żadnych dowodów przestępstwa poza swoją urażoną dumą.

– Jesteś jednak zmartwiony – zauważyła mama. – Ten okropny człowiek wprawił cię w przygnębienie.

Zawsze miała bystre oko, ale kiedy stała się taka mała?

– To jest okropny człowiek i jeśli postawi na swoim, wsadzę Pahdiego na następny statek udający się do Indii.

– To by mi przyniosło ulgę.

Jeśli Jack wykazywał kiedyś jakieś zdolności dyplomatyczne, na pewno nie odziedziczył ich po matce.

– Mamo, bardzo by mi Pahdiego brakowało. – Myśl o życiu bez spokojnej obecności Pahdiego, pozbawionego służalczości i uczciwego bez reszty, sprawiała Jackowi fizyczny ból.

Mama wyprostowała się niczym kobieta wojownik przed walką.

– Brakowałoby ci go? Bardzo? Nieszczęsny chłopcze, a jak myślisz, jak się czułam, kiedy uciekłeś do tej samej dżungli, która rok za rokiem uwodziła twojego ojca? Miesiącami czekałam na twoje listy, a potem ten

koszmarny pułkownik przysłał wiadomość, że uznano cię za zmarłego. Jeśli pan Patty skusi cię na wyjazd do Indii, po prostu będę musiała jechać z tobą. Nie mogę znieść myśli, że mógłbyś pojechać tak daleko, gdzie nie masz rodziny, żadnych przyjaciół, mamy, ty… och, ty niedobry, wstrętny chłopaku.

To już przekroczyło wszelkie granice głupoty, zamieniając się w jakiś kompletny absurd. Jednak znał swoją matkę, swoją przekorną, upartą, dumną matkę. I wiedział, że ją kocha.

Jack wziął matkę w ostrożne objęcia, ponieważ nie wiedział, co robić.

Kogoś skrzywdził i sąd wyższy, niż królewski, domagał się zadośćuczynienia.

– Twoja twarz była ostatnią znajomą twarzą, jaką widziałem, opuszczając Portsmouth, mamo, i pierwszą, którą zobaczyłem po powrocie. Nie byłem w domu, póki cię znowu nie zobaczyłem. Jestem w domu. Jestem w domu na dobre.

Matka, która nigdy dotąd nie uroniła jednej łzy w obecności syna marnotrawnego, która co miesiąc, niezawodnie, pisała do niego długaśne epistoły, która bez wątpienia modliła się za Jacka każdej nocy, rozpłakała się. Stała cicha i drżąca w jego ramionach, a Jack zmagał się z rozmaitymi uczuciami.

Wyrzuty sumienia, bo sprawił, że matka przez niego płakała, a on był nieczułym draniem – prawdopodobnie przez połowę życia.

Spokój, ponieważ rozmawiał szczerze z matką. Teak House był teraz jego domem, a pewnego dnia może także jej domem. Słowa, które padły, pozwoliły mu wreszcie opanować niepokój.

Frustracja także odegrała pewną rolę, ponieważ gdyby matka go o to zapytała, powiedziałby jej, że skończył z Indiami – ale czy zachęcał ją do pytań? Czy zrobił cokolwiek poza tym, że unikał jej swatów i narzekał na wtrącanie się w nie swoje sprawy?

Temu wszystkiemu towarzyszyła jednak spokojna pewność siebie, ponieważ Jack miał dość przygód na całe życie. Jedyne skarby, których musiał szukać czy strzec, były tutaj, w Oksfordshire.

Przy tych wszystkich zmiennych, walczących ze sobą uczuciach Jack odnalazł w sobie szacunek dla matki za jej wytrwałość i stoicyzm i to mu sprawiło ulgę. Jack chciał szanować matkę, oczywiście, że tak, a jedyne, czego od niej pragnął, to właśnie szacunku dla siebie.

Powinien był wiedzieć, że to dążenie jest nieco chybione, ponieważ matka nie tylko go szanowała. Kochała go niezachwianie i miała kochać do końca życia.

– Zamieniłeś mnie w konewkę – powiedziała mama, wyjmując chusteczkę z rękawa. – Jesteś bardzo niegrzecznym chłopcem. Dobrze, że twój brat jest święty, bo inaczej moje rachunki u Wszechmocnego marnie by wyglądały.

Jack przytulił ją delikatnie raz jeszcze i puścił.

– Może, jeśli skończyłaś besztać syna, który żeglował po oceanach, żeby do ciebie wrócić, mogłabyś poświęcić mi chwilę.

Mama przestała ocierać oczy i wsunęła chusteczkę ponownie do rękawa.

– Jeśli chodzi o nadchodzący bal, nic ci nie pomogę. Pójdziesz na niego, Johnie Deweyu Fanningu i będziesz tańczyć z każdą podpierającą ścianę panną, która nie będzie na tyle podchmielona, żeby nie móc wykonać paru kroków na parkiecie.

I paroma, które będą.

– Ale zanim zganisz mnie za tańce, które dopiero się odbędą, może zechcesz pomóc mi rozwiązać parę zagadek kryminalnych?

Mama chwyciła go za ramię i skierowała do biblioteki.

– Myślałam, że nigdy nie zapytasz.

13

Madeline śniła o lawendowych łąkach, srebrzystych przestrzeniach usianych pachnącymi, fioletowymi gałązkami. Ten zapach przynosił spokój i poczucie bezpieczeństwa, których jej tak rozpaczliwie brakowało.

– Pani, obudź się, proszę.

Pani nie chciała opuścić wyśnionego ogrodu, przyjmując, że Madeline była panią.

– Pani, nie możesz spędzać nocy wśród bielizny.

Ktoś próbował nieśmiało potrząsnąć nią za ramię.

– Pani, proszę, obudź się.

Wezwanie było tak naglące, że Madeline otworzyła oczy; zaniepokojony Pahdi wpatrywał się w nią z góry. Znajdowali się w schowku na bieliznę, w przestrzeni oświetlonej świecą, którą trzymał Pahdi i pojedynczą świeczką, dopalającą się w świeczniku Madeline.

– Pahdi, dobry wieczór.

– Muszę prosić o wybaczenie, że wyrażę swój sprzeciw. Jeśli sir Jack odkryje, że pozwoliłem ci zasnąć tutaj, o takiej porze, kiedy wszyscy powinni leżeć we własnych łóżkach, zostanę surowo pouczony o tym, co oznacza prowadzić cywilizowany, angielski dom. Nieważne, że cywilizowany i angielski uważane są za sprzeczne pojęcia przez większość świata.

Plecy Madeline z pewnością wolałyby znaleźć się w łóżku.

– Która godzina?

– Prawie jedenasta i, owszem, sir Jack wrócił.

Jacka nie było na kolacji, prowadził śledztwo w sprawie kolejnej drobnej kradzieży. Madeline nie podejrzewała, żeby śledztwo doprowadziło go do torby doktora.

– Dziękuję, że mnie obudziłeś – powiedziała, wstając. W schowku panował cudowny zapach, ale krzesło, na którym siedziała Madeline, nie miało poduszki. Tęskniła nie za łóżkiem, ale za towarzystwem Jacka.

– Jeśli chcesz mi podziękować, wielce szanowna pani – powiedział Pahdi, wskazując ręką drzwi – udaj się do łóżka, zanim sir Jack cię tu odkryje. Już niedobrze, że musi tracić czas, prowadząc dochodzenie w związku z głupimi oskarżeniami doktora wobec mnie. Nie chcę, żeby sir Jack martwił się jeszcze o twoje zdrowie.

Madeline podniosła świecznik i płomyczek świeczki zamigotał.

– Jakie oskarżenia?

W blasku świecy twarz Pahdiego przybrała srogi wyraz.

– Ukradłem torbę doktora Higgansa, oczywiście. Choć krewni w Indiach uważają mnie za zamożnego człowieka, muszę ryzykować wolność, sprowadzać wstyd na Teak House i sir Jacka, kradnąc starą torbę z bezużytecznymi śmieciami i brudnymi nożami, należącą do doktora.

– Oskarżono cię o kradzież, znowu?

Madeline opadła na twarde krzesło, osłupiała jak wtedy, gdy Theo przedstawiła jej plan ucieczki do Londynu. Nic nie układało się pomyślnie, odkąd Madeline zgodziła się wstąpić na służbę do Teak House.

Albo odkąd, uznała, że parafii przyda się parę lekcji dobroczynności.

– Naturalnie, że znowu mnie oskarżono – potwierdził Pahdi. – Sir Jack zganił czcigodnego doktora publicznie za zaniedbywanie obowiązków, a doktor, oszczerczy łajdak, nie mógł się pogodzić z zasłużoną krytyką. Chce zniesławić Teak House i jego właściciela.

To była… to była katastrofa, która mogła przerodzić się wkrótce w tragedię i to nie tylko dla Pahdiego, który był całkowicie niewinny. Złość

Higgansa mogła uderzyć w Jacka, zmuszając go do rezygnacji z urzędu sędziego.

Cienie zatańczyły, kiedy drzwi schowka otworzyły się szerzej.

– Moja służba zbiera się ostatnio w dziwnych miejscach. – Jack oparł się ramieniem o framugę. – Wydaje się, że to nawet pasuje do tego, co działo się w ciągu dnia. Tutaj, przynajmniej, ładnie pachnie.

– Bieliznę trzeba było uporządkować – powiedziała Madeline, podnosząc się powoli. – Zasnęłam.

Pahdi i Jack wymienili spojrzenia i Jack leciutko skinął głową.

Rzecz jasna, wieczór przy piwie w oberży nie pomógł ujawnić ostatniego złoczyńcy. Złoczyńca stał przed Jackiem z rozdartym sercem.

– Idź się położyć, Pahdi – powiedział Jack. – Poświecę pannie Hennessey w drodze do pokoju.

Pahdi skłonił się i wyszedł, przekazując Jackowi świeczkę.

– Martwi się – powiedziała Madeline. Ona sama już się nie martwiła, ogarniała ją ślepa panika, choć wiedziała, co robić.

– Ja się martwię – oznajmił Jack, podnosząc świecznik. – Nastrój Pod Łasicą nie był radosny i pełen oczekiwania, jak to zwykle przed Nowym Rokiem. Mortimer Cotton plótł o wdowach, które wynoszą się ponad swój stan, a zwycięska drużyna w rzutki bolała, że musi oddać wygraną.

Madeline bolała, że jej ciotka o mało nie zamarzła na śmierć.

– No to po co ją oddawać?

– Duma. – Jack zamknął drzwi schowka, kiedy Madeline wyszła na korytarz. – Pewnie honor.

– Honor sprzeciwia się, żeby wdowy i sieroty spały w ciepłym łóżku?

Co do tego Madeline nie żywiła żadnych wątpliwości. Jeśli jej nocne, przestępcze sprawki oszczędziły jej ciotkom i ludziom w podobnej sytuacji niezasłużonego cierpienia, to nie żałowała swoich czynów. Żałowała tylko, że mogą spowodować więcej niezasłużonego cierpienia.

Bardzo żałowała.

– Nie rozwiążemy moralnych dylematów hrabstwa tego wieczoru – powiedział Jack, kiedy skręcili w korytarz wiodący do rodzinnego skrzydła. – Ale lepiej, żebym znalazł tę przeklętą torbę, zanim Pahdiego deportują w łańcuchach.

Deportacja w łańcuchach jawiła się jako przyjemna perspektywa, biorąc pod uwagę inne możliwości.

Na to Madeline, rzecz jasna, nie mogła pozwolić. Pahdi nie zasługiwał na podejrzenia i obelgi, które padały pod jego adresem, podobnie jak ciotka Theo nie zasługiwała na nędzną śmierć z powodu braku worka węgla.

– Nawet jeśli znajdziesz torbę – zauważyła Madeline – Higgans nie zajrzy do Theo następnym razem, kiedy ciotka zachoruje. Nie będzie sobie zawracał głowy leczeniem dziecka chorego na gruźlicę, o ile rodzice nie zapłacą honorarium. Gospodarze Pod Łasicą nie nauczą się hojności i szlachetności. Mortimer Cotton nie przestanie narzekać, że ciotka Hattie ukradła barana, który waży prawie tyle, co ona sama.

Madeline zrozumiała to teraz, kiedy praktycznie założyła sobie pętlę na szyję.

– Jesteś zmęczona – powiedział Jack. – Dzień był męczący, a starsze panie, jak rozumiem, snują intrygi zrodzone pewnie z nadmiaru nalewki z czarnego bzu i z tego, że nie poświęcają ci dość uwagi. Znajdę tę przeklętą torbę i wszystko ucichnie.

Ktoś powinien wkrótce znaleźć tę przeklętą torbę, jeśli plan Madeline się powiedzie, ale tym kimś nie będzie Jack.

– Jestem zmęczona. – Madeline zatrzymała się pod drzwiami sypialni. – W gruncie rzeczy, wyczerpana. – Znużona nadziejami, służbą, pragnieniami, dawaniem sobie rady. Jej działalność przestępcza stworzyła więcej problemów, niż rozwiązała i z tymi problemami Madeline także musiała sobie poradzić.

– Tęskniłem dzisiaj za tobą – powiedział Jack. – Masz taki dar, że zauważasz, co trzeba zrobić, potrafisz właściwie ocenić trudną sytuację.

Nie chciałabyś przypadkiem spróbować pracy sędziego?

Ten żart podkreślał tylko ograniczenia, z jakimi Madeline musiała się zmagać. Była kobietą – biedną, atrakcyjną, inteligentną – to wszystko raczej przekleństwo niż błogosławieństwo.

– Nie chcę kandydować na stanowisko sędziego – odparła Madeline, całując Jacka w usta. – Chcę sędziego. W łóżku, tak żeby mi nie przeszkodziły kroki na korytarzu czy kamerdyner z dobrymi intencjami. Chcę poduszek, pościeli pachnącej lawendą i prywatności.

Chciała o wiele więcej, ale Jack byłby wściekły, gdyby powiedziała mu prawdę. Dla siebie mogła ukraść tylko trochę wspomnień.

Jack oddał pocałunek, słodki, przeciągły, niczym miłosne westchnienie.

– Potrzebujesz odpoczynku.

– Potrzebuję ciebie.

Madeline potrzebowała jednej nocy z nim, dla siebie. Byli już ze sobą blisko, więc jedna noc nie sprawi różnicy, kiedy prawda wyjdzie na jaw. Ale wobec ponurych perspektyw następnego dnia warto było sprawić sobie jakąś radość, żeby łatwiej znieść cierpienie.

– Ja też cię potrzebuję – powiedział Jack, ujmując ją za rękę. – Nie chcę cię jednak skompromitować, a większą prywatność zapewnimy sobie w moich apartamentach.

– Wezmę tylko koszulę nocną i coś na wierzch. – Madeline położyła rękę na klamce.

– Madeline, do tego, o czym myślę, nie będą ci potrzebne.

Będzie za nim straszliwie tęsknić – od jutra.

– Zabierz mnie do łóżka i wtedy zobaczymy, czego potrzebuję.

Jack nie powinien utrzymywać intymnych stosunków z przyzwoitą kobietą, z którą nie był zaręczony, ale też Madeline nie powinna odrzucać jego zalotów.

Spędził popołudnie, przesłuchując różnych klientów wypożyczalni – wszyscy potwierdzili obecność Pahdiego w miasteczku w noc turnieju – nie wzbogacając swojej wiedzy na ten temat. Nikt nie odprowadzał Pahdiego do granicy zabudowań. Nikt nie był w stanie wnieść niczego do ewentualnej obrony kamerdynera przed sądem.

Zajrzał także do chaty Hattie Hennessey, zniósł filiżankę słabej herbaty i nasłuchał się o bliskiej przeprowadzce Theodosii do Londynu oraz możliwości, że Hattie obejmie stanowisko gospodyni w Candlewick.

Hattie spędziła wieczór turnieju w domu, przy krosnach – tak jak większość zimowych wieczorów. Tak przynajmniej twierdziła.

– Mój dzień był głównie stracony – stwierdził Jack, wprowadzając Madeline do sypialni. – Ty zapewne spędziłaś go pożytecznie?

Choć bardzo pragnął widzieć ją nagą w łóżku, równie mocno chciał złagodzić napięcie dnia, rozmawiając tak, jak potrafią tylko zakochane pary. Chciał wiedzieć, co Madeline robiła ze swoim czasem i co wywołało smutek w jej oczach.

– Byłam… byłam bezużyteczna – powiedziała Madeline, zamykając drzwi. – Theodosia razem z twoją matką wpadły na szalony pomysł ucieczki do Londynu, a ciocia Hattie wbiła sobie do głowy, że zostanie gospodynią w Candlewick, o ile szepnę o niej dobre słówko. Nie ma pojęcia o tej pracy i nie prowadziła domu od lat, ale jest… jest zrozpaczona.

Jack wziął Madeline w ramiona, stęskniony za jej dotykiem.

– A ponieważ nie możesz mówić starszym od siebie, co mają robić, postanowiłaś zamęczyć się liczeniem poszewek na poduszki. – Jack nie wspomniał, że Candlewick wyszłoby o wiele lepiej na tym, gdyby to Madeline została jego gospodynią.

Niech przepadnie wszelka myśl o tym, że mogłaby wrócić do domu Belmonta na jakichkolwiek warunkach.

– Nie zaproszono mnie na partię wista. Ani na te po lunchu, ani po kolacji, ale tak jest dobrze. Większość popołudnia trzeba było decydować,

jak ułożyć pościel, kiedy pokojówki nie mogą dojść do porozumienia…

Westchnęła i przytuliła się mocniej.

– Martwię się o ciebie, sir Jack. Jeździsz złymi drogami do białego rana, próbując rozwiązać zagadkę drobnych przestępstw.

Madeline nosiła zapach lawendy – na ubraniu, we włosach, na skórze.

– Nie mogę pozbyć się wrażenia, że w związku z tym nagłym wybuchem przestępczości umyka mi coś oczywistego, jakiś schemat, który wykracza poza irytującą naturę tych występków. Przedstawiciel króla nie powinien dać się przechytrzyć żartownisiom i złoczyńcom.

Madeline odsunęła się i usiadła przy toaletce Jacka.

– Jeśli Pahdi zostanie oskarżony o kradzież torby Higgansa, sprawa będzie poważna.

Wyjęła z włosów szpilki, układając je w schludny stosik po prawej stronie. Miedziany warkocz, oswobodzony, opadł poniżej jej kibici. Widok był taki… intymny, tak pozbawiony sztuczności, że Jack przez chwilę nie mógł wydobyć słowa.

Zrzucił marynarkę, powiesił ją w szafie i rozpiął spinki przy mankietach.

– Prawo nie skazuje człowieka na podstawie relacji niezbyt trzeźwych świadków. – Jack usiadł na łóżku, żeby ściągnąć buty. – Albo nie powinno. Tyle tylko Higgans może oferować, oskarżenia.

Madeline rozplotła warkocz, jej włosy opadły luźną zasłoną loków na plecy.

– Wiesz dobrze, że Pahdiego można oskarżyć na podstawie czyichkolwiek oskarżeń, a jeśli nie posłuchasz, Higgans narobi rabanu i zmusi cię, żebyś wycofał się z tej sprawy. Twoje miejsce zajmie pan Belmont, choć niechętnie. Kiedy oskarżenia padną, wszystko może się zdarzyć, włącznie z wyrokiem i skazaniem.

– Twojego ojca uwięziono za długi. Twoja opinia o królewskiej sprawiedliwości jest, ze zrozumiałych względów, niepochlebna.

– Realistyczna – odparła Madeline, przyglądając się szczotce do włosów Jacka, osadzonej w złocie i masie perłowej. – Plan ciotki, żeby uciec do Londynu nie jest realistyczny.

Plan Jacka, żeby poślubić Madeline Hennessey, był bardzo… cóż, nie dbał o to, czy był realistyczny. Przez resztę życia chciał kończyć swój dzień właśnie w ten sposób – rozmawiając z Madeline, patrząc, jak Madeline przygotowuje się do łóżka i dzieląc z nią to łóżko.

A ciotkami też się zajmie. Madeline wymyśli jakiś sposób, a także jak sprawić, żeby Weekes nie był tak słabego ducha i z większym zapałem zachęcał swoje owieczki do łożenia na cele dobroczynne.

– Mama ma dobre serce – powiedział Jack – choć może wydawać się inaczej. Theodosii będzie się dobrze wiodło pod jej dachem.

Madeline odłożyła szczotkę i odwróciła się na stołku twarzą do Jacka.

– Dobrze dla Theodosii, ale co z jej gospodarstwem? Nie sprzeda go, ponieważ chce mi je koniecznie zostawić w spadku. Mogę tam mieszkać, jednak nie mam pojęcia, jak zapewnić sobie dochód; ani ona, ani Hattie nie zastanawiały się, jak mam sobie poradzić z dwoma gospodarstwami, podczas gdy nie mam ani pieniędzy, ani umiejętności, żeby prowadzić choć jedno.

Mimo spokojnego tonu, w głosie Madeline brzmiał gniew i niedowierzanie.

– Nigdy nie chciałam żyć z gospodarstwa – ciągnęła – a one uznały, nie zadając sobie trudu, żeby mnie o to zapytać, że będę zachwycona, podejmując pracę, która jest ciężka nawet dla młodych, silnych mężczyzn, pracę, o której nie mam pojęcia i której, szczerze mówiąc, moje ciotki nie podołały. Tak jakbym znowu miała piętnaście lat i uczyła się nakrywać do stołu albo trzepać chodniki.

Ta część natury Jacka, która lubiła rebusy, zaczęła wymyślać rozwiązania: sprzedać jedno gospodarstwo, mieszkać w drugim, uzyskane

środki wykorzystać na niezbędne ulepszenia. Wydzierżawić oba i zatrudnić zarządcę. Puścić w dzierżawę jedno, żyć w drugim.

Ułożenie ramion Madeline ostrzegło go, żeby zachował te pomocne rady dla siebie. Żaden z tych pomysłów nie okazałby się dobry na długo, jeśli właścicielką była samotna, młoda kobieta. Ciotki tolerowano ze względu na status wdów, przy niewielkim wsparciu finansowym kościoła i pomocy sąsiedzkiej. Madeline byłoby o wiele trudniej niż ciotkom.

Ponadto problemu nie stanowiły same gospodarstwa, ale raczej osoby, które bezmyślnie obarczały tym ciężarem Madeline.

– Nigdy nie nakrywałaś do stołu jako dziecko?

– Do podwieczorków w pokoju dziecinnym. – Madeline podniosła buty Jacka i postawiła je za drzwiami. – Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że za każdym razem, kiedy siadałam do śniadania, wszystko przedtem starannie na nim poukładano, każdą rzecz. To głupie, jedzenie smakuje tak samo, pod warunkiem że talerz i sztućce są czyste, ale nie było głupie, kiedy zaczynałam służbę.

Jack wyjął kieszonkowy zegarek i powiesił kamizelkę na krześle przy biurku.

– Gniewasz się, Madeline?

Była zła na Higgansa, który równie dobrze sam mógłby ukryć swoją torbę, żeby oskarżyć niewinnego człowieka.

– Tak. – Przekręciła klucz w zamku ze zdecydowanym kliknięciem. – Tak, gniewam się, skoro już pytasz. Nie opisywałam tak własnych uczuć, ale jestem wściekła i urażona i jak moje ciotki mogą zakładać, że chętnie zostawię wszystko, co znam, ludzi, których znam i zajmę się karmieniem kur? Dawałam im każdy zarobiony grosz, zostawiając sobie tylko odrobinę na stare lata, ponieważ nalegały. Poświęcałam swój wolny czas, obywałam się bez… nigdy bym nie przypuszczała, że mnie po prostu porzucą.

– Ale nie ośmielasz się im tego powiedzieć, ponieważ ich szczęście jest dla ciebie takie ważne.

Tak samo jak mama nie powstrzymała Jacka przed wyjazdem do Indii, choć zapewne czuła się straszliwie zdradzona.

A także bała się, bała się o swojego pierworodnego syna. Bez wątpienia decyzja Jeremy’ego, żeby wstąpić do stanu duchownego, także wynikała z determinacji Jacka, żeby zobaczyć Indie na własne oczy.

– Czy możesz porozmawiać z ciotkami? – Czy Jack mógł z nimi porozmawiać? Mógł kupić oba gospodarstwa, znaleźć Madeline dzierżawców i kazać swojemu zarządcy się nimi zająć, ale nie mógł zmusić Madeline do przyjęcia pomocy, której sobie nie życzyła.

– Nie mogę odmówić Theo szansy, żeby żyła o wiele wygodniej, wiem o tym. Ja tylko… obejmij mnie.

To Jack mógłby robić z radością – przez wieczność. Ściągnął koszulę przez głowę i rzucił ją w kierunku szafy, po czym objął swoją zmęczoną, przestraszoną, rozgniewaną damę.

– Czy poprosiłabyś mnie o pomoc, gdybyś jej potrzebowała, Madeline?

Ziewnęła przy jego ramieniu.

– Czy ty prosisz kogoś o pomoc?

– Poprosiłem ciebie o pomoc i nie zawiodłaś mnie. Moi domownicy są szczęśliwsi, moja matka doceniła zalety dobrego towarzystwa i wszystko w nowym roku potoczy się bardziej gładko, dzięki twojej kompetentnej ręce…

Madeline zsunęła kompetentną rękę na jego siedzenie.

– Dobrze mi płacisz za mój czas.

Pieniądze, z punktu widzeniu Jacka, nie miały tutaj nic do rzeczy.

– Mogłaś mi odmówić. Miałaś wygodną, dobrą pracę w Candlewick. Nic mi nie jesteś winna.

Nie znalazła na to gładkiej odpowiedzi, poza tym miała na sobie za dużo ubrań.

– Czy ty zasypiasz, Madeline? Moja męska duma ucierpiałaby na tym straszliwie, gdybyś wolała spać, niż spróbować moich wdzięków.

Odwróciła się, podnosząc włosy do góry, ukazując rząd haftek na plecach sukni.

– Bądź zatem moją osobistą pokojówką. Pokojówka potrafi ubrać się i rozebrać ze swojego mundurka bez pomocy, ale nie dama do towarzystwa.

Stała w pozie wyrażającej ufność i uwodzicielskiej zarazem. Jack zajął się rozpinaniem jej sukni i poluzowaniem gorsetu, zamiast myśleć o tym, na ile sposobów miałby ochotę całować jej kark.

– Możesz użyć mojego proszku do zębów – oznajmił Jack – a woda się grzeje przy kominku.

Madeline poszła w stronę parawanu; jej rozpięta suknia i rozpuszczone włosy wywołały gwałtowny niepokój w ciele Jacka.

Nigdy nie czuł się tak wobec kobiety, nawet wobec Saras. Była egzotyczna, namiętna, wierna, inteligentna i piękna, ale młodzieńczy Jack nie rozumiał, że mógł w niej także mieć przyjaciela. A ona w nim.

– Przynieść ci wodę?

– Proszę.

Dlaczego nie pozapalał więcej świeczek, kiedy miał okazję? Za parawanem Madeline stała w koszuli i pończochach – cienkiej koszuli, pocerowanych pończochach – zaplatając ponownie włosy w warkocz. Jack przyniósł jej wystrzępioną wstążkę do włosów z toaletki.

– Nie jesteś nieśmiała. Podoba mi się to. – Nienawidził tego, że nie miała nawet porządnych pończoch.

– Nie mam już szesnastu lat i wkrótce zobaczysz wszystkie skarby, które posiadam. Może zechcesz najpierw wyjść ze swoich bryczesów.

Bardzo chciał wyjść z bryczesów, ale moment, żeby pokazać swoje dobra, jeszcze nie nadszedł.

– Ogrzeję pościel.

Łóżko zostało pościelone, kiedy Pahdi ostatnio rozpalał w kominku i przyniósł wodę do mycia. Jack napełnił ogrzewacz węgielkami i użył go

sumiennie, ogrzewając nawet poduszki, a potem naciągnął z powrotem kołdrę.

Madeline wyłoniła się zza parawanu w szlafroku Jacka, świetnej szacie z brązowego aksamitu, podszytej niebieskim jedwabiem. Prawdopodobnie nigdy nie miała na sobie tak bogatego stroju – a Jack pragnął go jedynie z niej zdjąć.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że go pożyczyłam – powiedziała. – Podoba mi się, że pachnie tobą.

– Uchroni cię także przed zimowym chłodem. Chodź do łóżka. Przyjdę za chwilę.

Jack stał przed kominkiem, nie ruszając się, nie zostawiając Madeline samej. Przynajmniej teraz oczekiwał od niej zaufania.

Madeline rozwiązała pasek, zsunęła szatę z ramion i podała mu.

Pozwolił, żeby spadła na podłogę. Madeline Hennessey była… żywą Afrodytą. Jej ciało świadczyło zarazem o stałej aktywności fizycznej, jak i dobrym odżywianiu, a widok jej kobiecych okrągłości wywoływał u Jacka ból, począwszy od rąk a skończywszy na przyrodzeniu, podczas gdy jej ufność napełniała ciepłem jego serce.

– Nie jestem dziewczyną – powiedziała Madeline, opuszczając brodę. – Wiesz o tym.

To, co Jack wiedział, to tyle, że Madeline nie była do końca jego. Jeszcze nie. Podszedł do niej i objął ją. Tuląc jej nagie ciało, miał wrażenie, że trzyma ogień życia, wrażenie szokująco i niebezpiecznie rozkoszne.

– Mam plecy pocięte bliznami – powiedział Jack. – Jestem dumny z tych blizn, ponieważ przypominają mi, że potrafię walczyć, kiedy muszę, walczyć, kiedy rozsądniejsi ludzie dawno by się poddali. Jesteś piękna, nie potrzebujesz mnie, żeby to wiedzieć, ale to nie twoje cudowne ciało jest dla mnie najważniejsze.

Przerwał, żeby ją pocałować, mocno, prawdziwie, pocałować nieprzyzwoicie.

– Podoba ci cię moje ciało – powiedziała Madeline. – Kiedy patrzysz na mnie w ten sposób i tak mnie całujesz, ja także lubię swoje ciało.

Najwyższa pora.

– Zrobię dużo więcej, niż tylko będą patrzeć na ciebie z upodobaniem, kiedy przyjdę do ciebie, do łóżka. Nie pozwól, żeby pościel wystygła. – Zdołał uwolnić się z objęć Madeline i podszedł do parawanu, nie potykając się, choć było to trudne.

Dla niej zapanuje nad szaloną namiętnością i będzie sprawiał damie rozkosz tak długo, jak mu na to pozwoli – nie zapominając o sobie. Nie wątpił, że zdoła to zrobić.

Nie wiedział natomiast, jak przekazać Madeline swoje podejrzenia, że jej ciotka Hattie dopuszcza się drobnych kradzieży i że jego własna matka zgodziła się, że taka hipoteza wyjaśnia wszystkie fakty.

A Jack nie miał pojęcia, co z tym zrobić.

Ze wszystkich kradzieży, jakich Madeline się dopuściła, kradziona noc z Jackiem była tą, której nie żałowała. Coś go niepokoiło – może zaginiona torba doktora – dla niej jednak zapominał o roli sędziego i stawał się jej kochankiem.

A ona jego kochanką.

Wyłonił się nagi zza parawanu, wysoki, szczupły wojownik, oszlifowany przez życie i ku głębokiemu zadowoleniu Madeline, mający już za sobą szaloną, pyszną młodość. Kiedy odwrócił się, żeby przysypać węgle na kominku popiołem, miała okazję przyjrzeć się znowu jego bliznom.

Stare blizny; słusznie był z nich dumny. Nie poddał się wbrew strasznym okolicznościom ani też nie kradł, żeby udzielić silniejszym od siebie milczących lekcji.

Żołnierzom jednak wolno było walczyć. Nie musieli czyścić rusztów na kominku, odkurzać mebli i szorować boazerii do bólu kolan, a ich starsi krewni nie umierali z biedy i wyczerpania.

Jack odłożył pogrzebacz na miejsce i ustawił na nowo parawanik przed kominkiem.

– Masz zamyślony wyraz twarzy, panno Hennessey.

– Czegoś żałujesz, Jack?

– Tak – odparł, wchodząc do łóżka. – Żałuję, że mnie nie poślubisz, na razie, mimo że twój zdrowy rozsądek i pragmatyzm bardzo by mi pomogły stać się bardziej użytecznym dla sąsiadów jako sędzia i w każdy inny sposób. Bądź gotowa na popis mojej słynnej nieustępliwości.

Madeline zmusiła się do uśmiechu.

– To niemal przechwałki. Na szczęście mamy całą noc, żebyś wykazał tę nieustępliwość.

– Porozmawiamy – oznajmił Jack. – Długo. O powodach, dla których odrzucasz oświadczyny człowieka, który szanuje cię ponad wszelką miarę. Jeśli boisz się, że ucieknę do Indii, mylisz się. Jeśli obawiasz się, że znudzę się i stanę obojętny, w tym także błądzisz. Jeśli sądzisz, że lekko potraktuje przysięgę, to pozwól…

Madeline dotknęła jego ust dwoma palcami.

Bała się, że będzie stać na straży prawa. Człowiek, który uważał za swój obowiązek zapobiegać wojnom, nie zawaha się, żeby aresztować kochankę, kiedy szczerze wyzna mu swoje grzechy.

– Dość gadania – powiedziała. – Jutro przyjdzie zbyt szybko, a oboje mamy wiele spraw, z którymi musimy się uporać. Dzisiejsza noc to czas na przyjemność.

I wzajemny szacunek i – och, dlaczego nie pozwolić sobie na szczerość? – na miłość. Madeline kochała Jacka Fanninga w taki sposób, w jaki młoda dziewczyna nie potrafi, szanując i akceptując mężczyznę, jakim był i zdając sobie sprawę, że z miłością czasami przychodzi rozczarowanie.

Jack pochylił się nad nią, przyciskając ją do pościeli.

– Zwróć uwagę, że śpię, nie zaciągając zasłon. Po to, żeby budząc się z koszmaru, nie myśleć, że znowu jestem w tamtej celi.

– Ja też mam koszmary, Jack.

Nie chcąc znosić jego zadawanych w dobrej wierze pytań, Madeline pocałowała go. Jack całował w inny sposób niż mężczyźni, których Madeline wcześniej znała. Nie mogła go opisać jako kogoś, kto dziobie, splata języki albo jest niewinny jak chłopczyk z chóru…

Za każdym razem robił to inaczej, poświęcając jej wielką uwagę i nigdy nie zmuszając do szybszego tempa niż to, które jej odpowiadało.

– Wejdź pod kołdrę, Jack. Chcę cię owinąć nogami.

Oparł jej czoło na piersi.

– Dążę do pewnej finezji, Madeline. Pragnę cię zadowolić.

Niemądry mężczyzna. Pogłaskała go po włosach.

– Zadowalaj pod kołdrą. Teraz, proszę.

Czuła, jak się uśmiecha, jak próbuje językiem jej dekoltu.

– Powiedziałaś: proszę. – Znalazł się pod kołdrą w następnej chwili, Madeline w jakiś sposób – nad nim. – Jeśli masz ochotę to kontrolować, to taka pozycja daje ci więcej swobody.

Tak było – początkowo.

Madeline całowała go, pieściła, cieszyła się każdą chwilą.

A potem Jack zaczął używać rąk – swobodnych, bo leżał na plecach – pieszcząc plecy Madeline, jej biodra, tors, ramiona…

– Piersi – szepnęła między pocałunkami. – Dotknij moich piersi.

– Maniery, panno Hennessey.

– Proszę, niech cię diabli.

Och, był szelmą, cudownym, pomysłowym, zdecydowanym szelmą. Jego ręce, usta… dotyk jego ust na jej piersi był olśnieniem.

Nie kochano jej, jak należy, zanim zbliżyła się do Jacka Fanninga. Uwielbiał sprawiać jej rozkosz, akt miłosny zamieniał w sztukę i nie krępował się, czerpiąc z tego własną przyjemność.

Ręce na jej biodrach uniosły ją do góry.

– Co ty robisz?

– Jestem nieustępliwy, a także samolubny. Chwyć zagłówek.

– Dlaczego…?

Dobry Boże. Na to, co robił ustami, nie było chyba słów po angielsku, na te wszystkie cudowne, nieprzyzwoite rzeczy. Madeline poruszała się delikatnie, chłonąc rozkosz, a Jack położył jej prawą dłoń na piersi.

Żadne z jej poprzednich doświadczeń nie mogło się równać z tym, co przeżywała Madeline w następnych chwilach. Jęczała, miotała się, doznawała zbyt wiele naraz i nie mogła się nasycić.

Kiedy wisiała nad nim, oszołomiona, dysząc ciężko i powoli, uspokajająco gładził jej biodro, nie pozwalając uciec i ukryć się pod łóżkiem. Zsunęła się z niego, nakrywając się kołdrą.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Madeline bez protestu wsunęła się w objęcia Jacka, które wydawały się tak samo bezpiecznym miejscem jak każde inne. W tej chwili najlepszym miejscem, żeby się schować. Jedynym.

– Nie mogę uwierzyć, że tyle czasu upłynęło, zanim to się stało. Dobrze mi robią pewne wskazówki, moje umiejętności nieco zardzewiały i zostawianie mnie własnym domysłom nie jest… chcę, żeby ci było dobrze, Madeline.

Jeśli to była prezentacja zardzewiałych umiejętności, Madeline była w łóżku z huraganem.

– Jak mogę udzielać wskazówek, skoro ty znasz teren, o którego istnieniu ja nawet nie wiedziałam?

Pocałował ją w skroń.

– Krajobraz jest piękny. Razem go zwiedzimy.

Nie, nie zrobią tego. Nie po dzisiejszej nocy. Nie wdając się w wyjaśnienia, ulegając tchórzostwu, Madeline pozwoliła, żeby zmorzył ją sen.

Zbliżała się północ, Jeremy wciąż siedział przy stole, układając melancholijnie pasjansa. Ona dotykała tych kart, jego Lucy Anne, która nie

była jego.

Paskudna sztuczka dotycząca pasjansa była taka, że dawało się wygrać – w teorii. Ten teoretyczny sen o zwycięstwie trzymał go przy grze, wciąż żywiąc nadzieją mimo jednej porażki za drugą.

Drzwi otworzyły się z cichym kliknięciem; Jeremy spodziewał się, że wypiją z Jackiem kieliszek na dobranoc. To właśnie bracia robili w późny zimowy wieczór – pili coś razem, grali w karty, wymieniali parę uwag o polityce, narzekali razem na zbliżający się bal.

Jeremy był niemal pewien, że bracia tak się właśnie zachowywali, większość braci. Jacka zbytnio absorbował urząd sędziego, żeby spędzać czas w ten sposób z własnym bratem. Jeremy nie miał mu za złe, że tak się przejmuje obowiązkami, ale człowiek…

– Wielebny Jeremy, nie spodziewałam się, że cię tu zastanę.

Lucy Anne – do diabła z panną – stała przy drzwiach w nocnej koszuli i szlafroku; jej stopy okrywały grube, wełniane pończochy.

Jeremy podniósł się od stolika.

– O tej porze, czy nie sądzisz, że mógłbym być po prostu Jeremym? Układam pasjansa, nieustannie zaprzepaszczając szanse na zwycięstwo. Czy miałabyś ochotę ze mną przez chwilę pograć?

Nie była stosownie ubrana, a Jeremy’ego fascynowały te wełniane pończochy. Gdzie dama podziała swoje domowe pantofle? Jednak całe jej ciało było skromnie zakryte i gdyby poślubiła Jacka, to Jeremy musiałby zbierać siły, żeby przeżyć kolejne święta w bliskości żony brata.

Jack mógł się damą nie interesować, ale kiedy to liczono się z życzeniami pana młodego, jeśli jego matka i panna młoda postanowiły doprowadzić go do ołtarza? Jack miał poczucie obowiązku, podczas gdy Jeremy… Jeremy fascynował się wełnianymi pończochami.

Żadne przykazanie nie zabraniało fascynacji damskimi pończochami, jednak sposób, w jaki ukazywały zarys stóp Lucy Anne, skazywał

Jeremy’ego na czyściec. Szczupłe, wąskie, pełne wdzięku stopy; Jeremy wyobrażał sobie, że jej palce…

– Przyszłam po robótkę – oznajmiła. – Ostatnio tyle graliśmy w wista, że nie miałam czasu pracować nad haftem.

– Można by powiedzieć, że wpadliśmy w nałóg karciany.

– Można by powiedzieć, że jestem zrozpaczona. Jak mam uwodzić mężczyznę, którego prawie wcale nie ma w domu?

Jeremy zastanawiał się, czy Jack unika Lucy Anne. Jakie znaczenie miała stara skórzana torba, którą pewnie sam właściciel gdzieś zapodział, albo parę bryłek węgla, zamieniających się w błoto?

– Lucy Anne, czy mama poinstruowała cię, żebyś uwiodła Jacka? – To pytanie męczyło Jeremy’ego, ponieważ mama nie krępowała się z hałaśliwym i dobitnym wyrażaniem swoich opinii – wobec służby, przyjaciół, kasztanowych wałachów czy – swoich dzieci.

– Ależ tak. Pani Fanning powiedziała, abym była miła dla jej syna i że przyjmie z zadowoleniem wynikłe stąd propozycje małżeństwa. – Lucy Anne spacerowała przed kominkiem, zawijając suknię z takim impetem, że Jeremy przeżywał męki, widząc coś więcej niż odziane w wełniane pończochy stopy. – Byłam wesoła, czarująca, cierpliwa, miła, najbardziej, jak potrafię, a Jack Fanning nie mógłby okazać mniejszego zainteresowania.

Człowiek, który regularnie studiował Pismo, był wyczulony na niuanse językowe. W zaleceniach mamy nic nie wskazywało, że Jack jest jedyną możliwą partią. Czyżby celowo?

– Ja jestem zainteresowany, Lucy Anne. – Zafascynowany, zadurzony, zakochany po uszy, zaintrygowany. Niech reputacja wielkiego bohatera zmierzy się z tymi uczuciami, niech tylko spróbuje.

Zatrzymała się gwałtownie, suknia zafalowała jej wokół kostek.

– Zainteresowany… mną?

– Tobą. – Jej nagimi palcami, pocałunkami, uśmiechami, śmiechem, uporem. Jeremy był bardzo zainteresowany jej uporem. Nie żył jak mnich w czasach uniwersyteckich i zdecydowana kobieta miała w jego oczach szczególny urok.

– Ja nie jestem… – Lucy Anne odwróciła się w stronę ognia. – Nie jestem pobożna. Nie jestem… kościelna. Jesteś taki doskonały, dobry, współczujący, tolerancyjny… Nie jestem taka jak ty. Jestem frywolna. Nieszkodliwa. Twojemu bratu przydałby się ktoś o wesołym usposobieniu, ale ty jesteś… nie potrzebujesz do tego kobiety.

Nieszkodliwa, o nie. Nie pod jemiołą, nie o tak późnej porze, zaniepokojona i boleśnie uczciwa.

Jeremy podszedł bliżej, żeby lepiej widzieć jej twarz; on też chciał być uczciwy.

– Ja też nie jestem pobożny. Te szaty i śpiew są przyjemne, ale najbardziej lubię przebywać na kościelnym dziedzińcu. Słuchać, jak się ludziom wiedzie, czyja jałówka powiła bliźniaki, który dzieciak wybił sobie przednie zęby. Myślę, że byłabyś doskonała, okazując ludziom zainteresowanie. To ważniejsze, niż myślisz.

Wpatrywała się w ogień, który nie palił się zbyt mocno o tak późnej porze.

– Okazywanie przyjaznych uczuć to nie jest pobożność, Jeremy. Wiem, jak ludzie potrafią patrzeć na żonę proboszcza.

Co to za przywiązanie do pozorów?

– Czy mogę cię pocałować, Lucy Anne?

– Całowałeś mnie już wcześniej. Jak na mężczyznę w sutannie…

Nie słysząc sprzeciwu, Jeremy pocałował damę delikatnie w policzek, a ona wsunęła się w jego ramiona z cudowną ochotą. Przez długie, słodkie chwile wyjaśniał – pocałunek za pocałunkiem – że miłość ma różne postaci, a miłość mężczyzny dla przyszłej żony należy do najcudowniejszych, pod warunkiem że dama jest równie przejęta uczuciem.

– Moja profesja nie jest skomplikowana – powiedział Jeremy, przygarniając blisko Lucy Anne. – Mam pomagać ludziom, żeby byli dobrzy i uczciwi i w związku z tym sam muszę być dobry i uczciwy. Lubię być proboszczem, ale przy tym zajęciu bywa się… samotnym. Lepiej będę spełniał swoje powołanie i będę szczęśliwszy z tobą u boku jako moją ukochaną towarzyszką. Czy uczynisz mi ogromny zaszczyt, zostając moją żoną?

Lucy Anne wciągnęła z drżeniem powietrze, co nie wróżyło dobrze przyszłości Jeremy'ego. Zachował jednak spokój, ponieważ nie ma lepszej żony niż taka, która się waha. Kobiety nie miały wiele wyboru w życiu i do tej jednej decyzji nie należało ich zmuszać.

– Byłam chora – powiedziała Lucy Anne. – Chora na myśl, że mam pogodzić się z życiem jako niewidzialna żona Jacka Fanninga. On tylko zajmuje się swoimi obowiązkami i ciągle go nie ma w domu. Nie siada i nie gra w karty z damami, bo lubi nasze towarzystwo. Toleruje nas, kiedy wolałby raczej wypełniać powinności królewskiego urzędnika. Mimo woli myślę, że wolałby wrócić do Indii, nosić dziwne stroje i jeździć na słoniach. Ja jestem nudna, a on jest…

– Bohaterem spod Parrakan – dokończył Jeremy. – Nie jesteś całkiem sprawiedliwa wobec Jacka, ale nie chcę ci przerywać. Mam nadzieję, że uznasz moją propozycję za coś więcej niż pocieszenie wobec braku zainteresowania ze strony Jacka.

Jeremy zamierzał się przy tym upierać dla dobra wszystkich, włącznie z Lucy Anne.

– Pomyślisz, że jestem niedobra – powiedziała Lucy Anne, cofając się. – Czy pamiętasz, jak prosiłam cię o lekcje całowania?

Jeremy z pewnością miał o nich pamiętać, jeszcze kiedy stanie się stary i zniedołężniały.

– Pamiętam.

– Siedziałam naprzeciwko ciebie przy karcianym stoliku i starałam się nie gapić, Jeremy Fanningu. Masz takie dobre oczy, a twoje ręce… Przychodziły mi do głowy najbardziej niestosowne myśli na temat twoich rąk. Żaden mężczyzna nie może się pochwalić tak idealnym wzrostem. Ani bardziej czarującym uśmiechem czy dźwięcznym głosem. Będziesz mnie kochać, kiedy będę stara i kłótliwa. Będziesz takim papą, jakiego powinna mieć każda córka. Będziesz…

– Będę takim mężem, o jakim marzyłaś – powiedział Jeremy w przypływie bohaterstwa. – Przyrzekam ci to. Jack może być bogatym krewnym, który będzie rozpuszczał nasze dzieci, a my będziemy rodziną, która będzie go traktować jak rodzinę, a nie nababa przybyłego z wizytą. Chciałbym ogłosić nasze zaręczyny na dorocznym balu, ale muszę porozmawiać z twoim ojcem.

Lucy Anne objęła go ramionami w pasie.

– Chciałabym, żebyśmy mogli wziąć ślub w tej chwili.

Tak samo jak Jeremy. Musiał się jednak zadowolić pocałowaniem swojej narzeczonej, ponieważ doprawdy żadne słowa nie mogły oddać radości, jaką dała mu zgoda Lucy Anne.

Jack powinien być szczęśliwy z ich powodu, na Boga, albo Jeremy pouczy bohatera spod Parrakan o podstawach braterskiej miłości.

14

Jack tulił Madeline, która spała, jakby obejmowanie jej pozwalało mu zakotwiczyć się podczas burzy uczuć. Kochać ją do utraty sił, pokazywać rozkosze, których przedtem nie znała – to napełniało go dumą większą niż jakiekolwiek osiągnięcie dyplomatyczne albo zwycięstwo w bitwie.

Mimo pozorów pewności siebie i kompetencji w prowadzeniu domu, Madeline Hennessey była przekonana o swojej niedoskonałości, nieśmiała i w pewnym sensie niedoświadczona.

Zamierzał ją z tego wyleczyć.

Madeline poruszyła się, muskając ręką brzuch Jacka. Prosta pieszczota wywołała w ciele Jacka rewolucję.

– Śpij – szepnął Jack. Była, ostatecznie, zmęczona.

Madeline podniosła głowę znad jego ramienia.

– Ty nie chcesz spać. – Tę wiedzę czerpała stąd, że trzymała rękę na jego przyrodzeniu.

– Chcę, żebyś odpoczęła tak, jak potrzebujesz, Madeline. Zbyt wielu ludzi potraktowało cię samolubnie.

Madeline puściła go i Jack przeklął w duchu dżentelmeńskie skrupuły, tak czasami wściekle niewygodne. A potem poczuł, jak pojedynczy palec przesuwa się po jego najwrażliwszej części ciała.

– Wyspałam się cudownie; dziękuję, Jack. Jestem gotowa dokończyć to, co z taką inwencją zacząłeś. Pozwolisz, że użyję ust?

Wytrzymałby tyle, ile czasu zabiera owcy machnąć dwa razy ogonem i wykazałby połowę takiej finezji jak Charles II w szczytowej formie.

– Zostawmy tę przyjemność na później, kiedy nie będę pragnął do szaleństwa znaleźć się wewnątrz ciebie. – Tylko kiedy to później nastąpi? Życie erotyczne nigdy nie przesłaniało Jackowi innych spraw ale jego zainteresowanie Madeline Hennessey nie słabło.

– Pragniesz do szaleństwa…?

– Znaleźć się w tobie – powiedział Jack, układając się nad nią. – Rozpaczliwie, szaleńczo, gorączkowo. Od wielu dni i nocy. Myślisz, że jadę gawędzić z klientami biblioteki dla przyjemności? Kiedy cię widzę, chcę cię dotknąć. Ustami, dłońmi, wszystkim.

Madeline otoczyła jego boki nogami.

– Więc dlaczego tego nie robisz?

Posłuchał z radością, zapałem, zapamiętaniem, które, jak mu się wydawało, zostawił w Indiach. Madeline oddawała pocałunek za pocałunek, westchnienie za westchnienie, pieszczotę za pieszczotę, doprowadzając Jacka do szaleństwa.

– Madeline?

– Hm?

– Teraz?

Tak bardzo panowała nad sobą, że przez chwilę gładziła tylko blizny na plecach Jacka.

– Wiesz, że cię ogromnie szanuję, Jacku Fanningu? Nigdy nie szanowałam mężczyzny, nigdy nie lubiłam mężczyzny, nigdy nie pragnęłam mężczyzny tak bardzo jak ciebie. Chcę, żebyś wiedział.

Jack wsunął się w nią, szukając zastępczej przyjemności; szacunek, sympatia, poważanie i pożądanie nie równały się z jego własnymi uczuciami.

Więziono go w strasznych warunkach. Poruszał się bez broni między wrogimi, uzbrojonymi oddziałami. Odrzucał rozkazy i ryzykował sąd

wojenny, kiedy honor tego wymagał. Stać go chyba na odwagę wobec kobiety, którą trzymał w ramionach?

– Kocham cię, Madeline – powiedział, wtulając się w jej miękkie, ciepłe ciało. – Całym sobą pragnę być blisko ciebie, chronić cię, starzeć się przy tobie, wychowywać z tobą dzieci. Chcę sprawiać ci rozkosz, aż zaczniesz krzyczeć, śmiać się z tobą, wycierać twoje łzy. Wyjdź za mnie.

W odpowiedzi uniosła biodra i skrzyżowała kostki stóp na jego plecach, poruszając się z nim w harmonii sprawiającej, że stali się jednym ciałem. To nie był tylko akt miłości cielesnej, to była… miłość. Fizyczna, metafizyczna; emocje i doznania wykraczały poza czas, zacierały granice między ich ciałami i umysłami.

Nie był już Jackiem Fanningiem, był po prostu kochankiem Madeline, doskonale ją uzupełniając, tak jak ona jego. Przez słodką, cudowną wieczność pozostawali złączeni, aż Madeline zwiększyła tempo, żądając więcej.

Posłuchał, dając jej rozkosz, powoli tracąc panowanie nad samym sobą. Madeline przejęła inicjatywę. Próbował się odsunąć, ale była silna i trzymała go nogami.

– Madeline, ja nie mogę… nie możemy…

– Zostań ze mną.

Szaleństwo, ale Jack nie panował już nad własnym umysłem na tyle, żeby odmówić. Nigdy nie doświadczał tak intensywnej jedności, całe jego ciało połączyło się z ciałem kochanki i pozostała tylko rozkosz, zachwyt, wrażenie, że stanęli oboje na progach raju.

Kiedy Jack odzyskał zdolność myślenia, leżeli oboje wtuleni w siebie w pościeli, dysząc w zgodnym rytmie. Madeline pocałowała go w policzek, Jack oparł czoło na jej czole.

Mogła nie być cała jego, ale on był cały i na wieki jej.

– Wyjdź za mnie, Madeline. Proszę.

Jeśli odmówi, będzie się znowu z nią kochać, choć może przypłacić to życiem. Odmowa byłaby gorsza od śmierci.

– Wyjdę za ciebie – powiedziała, rozplatając nogi. – Ale najpierw może będziesz musiał mnie aresztować.

Madeline nie mogła okłamywać człowieka, który kochał ją…. kochał w ten sposób. Całym sobą, całym sercem, do zatracenia. To nie była zabawa, igraszki w pościeli.

Kochał Madeline. Złamał jej serce i natychmiast je uleczył. Teraz ona musiała złamać jego.

Uniósł się na tyle, że się trochę od siebie odsunęli.

– Jeśli chcesz zmienić nastrój, to mowa o aresztowaniu cię brzmi jak interesujący początek. – Pocałował ją w nos, wyszedł z łóżka i zniknął za parawanem.

Wrócił po chwili i podał Madeline mokrą flanelową ściereczkę.

– Chyba że wolałabyś… – Wskazał parawan.

Święci w niebiosach, śmiałości mu nie brakowało. Madeline wolała poradzić sobie pod kołdrą, niż przemaszerować przez pokój w całej swojej krasie. Oddała ściereczkę Jackowi, który przerzucił ją przez parawan. Miękkie pacnięcie flaneli o porcelanę rozległo się, gdy Jack wsuwał się z powrotem do łóżka.

Jej kochanek miał dobry cel.

– Ślub ze mną to nie zbrodnia – powiedział. – Dlaczego miałbym cię aresztować?

Madeline miała najwyraźniej odpowiedzieć, wtulona plecami w Jacka… wtulona w Jacka.

– Popełniłam przestępstwa, liczne. Nie jestem z tego dumna, ale jesteś sędzią, więc musisz mnie aresztować. Przyznaję się.

– Przyznajesz? Przyjmujesz moje oświadczyny, dopilnuję, żebyś dotrzymała słowa, a teraz przyznajesz się do przestępstw. To dla mnie

nowość. Myślałem, że po akcie miłosnym ludzie się do siebie tulą i prowadzą łóżkowe rozmowy.

Wsunął rękę pod szyję Madeline, drugą objął ją w pasie. Jack ją otaczał i nic – jego ciało czy ton głosu – nie wskazywało, żeby jej wyznanie go przygnębiło.

– Ukradłam węgiel McArdle’a i podzieliłam między ciotki bez ich wiedzy. Zabrałam pieniądze z Łasicy. Ukradłam torbę Higgansa, byłam rozgniewana. – Jack pocałował ją w ramię, budząc jej irytację. – Przedstawiam ci rozwiązanie wszystkich zagadek kryminalnych, a ty flirtujesz.

– Pani, przekroczyliśmy granice flirtu parę uniesień temu. Co cię rozgniewało?

Na to pytanie nie było tak łatwo odpowiedzieć, jak się Madeline mogło wydawać.

– Byłam zła od lat, odkąd mój ojciec przepił i przegrał w karty całe nasze bezpieczeństwo, odkąd bito mnie za występki, których nie popełniłam, odkąd mężowie, zdradzając ich zaufanie, skazali moje ciotki na nędzę.

– To dobre powody, żeby czuć gniew. Czy jesteś zła na mnie?

To nie było pytanie od sędziego, a raczej od kochanka – odważnego kochanka.

– Nie, nie jestem zła na ciebie, jestem zła na siebie za to, że cię rozczarowałam. Kradzież jest zła, wiem, ale bycie dobrym, uprzejmym i uczciwym nie ogrzałoby moich ciotek w styczniu ani nie skłoniło proboszcza, żeby przekazał pieniądze na biednych wtedy, kiedy powstaje taka potrzeba, a nie wtedy, gdy sobie przypomni.

– A torba Higgansa?

– Ciotka Theo umarłaby z powodu jego lenistwa. Nie żałuję, że wzięłam tę torbę. W sprawiedliwym świecie zostawiłabym go, żeby trząsł się w gorączce, chory na płuca i samotny w chacie, gdzie ogień całkiem wygasł. Nie mogłam tego zrobić, więc zabrałam mu symbol jego profesji.

Jack zaczął delikatnie ugniatać ramiona Madeline.

– Kradzież to przestępstwo, masz rację. Nie jestem pewien, czy przeniesienie turniejowych pieniędzy z oberży do kościoła można uznać za kradzież, ale, Madeline, kłamstwo też nie uchodzi za przejaw cnoty. Nawet jeśli kłamiemy, żeby ochronić tych, których kochamy.

Madeline odwróciła głowę, żeby spojrzeć na Jacka.

– O czym ty mówisz? Wyznanie jest wtedy, kiedy mówi się prawdę i to właśnie zrobiłam.

Wsunęła się w jego ramiona, zastanawiając, czy to ostatnie chwile, jakie spędza w jego objęciach.

– Madeline – powiedział Jack bardzo blisko jej ucha. – Cenię cię za twoje przywiązanie do rodziny, ale nie musisz udawać. Wiem, że Hattie zabrała węgiel od McArdle’a, przeniosła pieniądze i ukradła tę torbę. Rozmawiałem z nią dzisiaj i co do dwóch wieczorów, kiedy podobno ją odwiedzałaś, nie wspomniała ani słowem o twojej wizycie. Nie było jej w domu, prawda?

Dobry Boże. To gorsze, niż niechcący rzucić podejrzenie na Pahdiego, albo przynajmniej równie złe.

– Gdyby to Hattie była winna, oskarżyłbyś ją?

Jego westchnienie owiało jej kark.

– Poprzysiągłem wymierzać królewską sprawiedliwość, ale oskarżanie starej kobiety o to, że chciała się ogrzać, paląc coś, co dla McArdle’a było zwykłym śmieciem, jest nie na moje siły. Żadna szkoda nie wynikła z przeniesienia słoja, prawdziwy cud, jeśli wierzyć Tavisowi, a wszystko, co trzeba zrobić w wypadku Higgansa, to zwrócić mu tę przeklętą torbę.

Innymi słowy, sędzia wyżej cenił naprawienie szkód od uwięzienia winowajcy. Dobrze wiedzieć.

W istocie, cudownie wiedzieć.

– Jack, Hattie nie wspomniała o moich wizytach, bo byłam zajęta kradzieżą węgla, przenoszeniem słoja z pieniędzmi do kościelnego holu i

wykradaniem torby Higgansa. Zrobiłam to i nie mogę się usprawiedliwiać wiekiem czy biedą. Chciałam, jak sądzę… sprawiedliwości albo żeby ktoś sobie uświadomił, że Theo, Hattie i im podobni potrzebują i zasługują na pomoc.

Jack znieruchomiał, zaprzestając pieszczot. Madeline nie czuła nawet jego oddechu na ramieniu.

– Ty popełniłaś te przestępstwa?

Och, to niedowierzanie w jego głosie. Madeline nie wiedziała, czy ma się czuć pochlebiona, czy przestraszona.

– Tak. Nie zarabiam dość, żeby przeprowadzić konieczne naprawy w domach ciotek. Nie stać by mnie było na barana Cottona dla ciotki Hattie. Nie mogłam prosić proboszcza, żeby bardziej stanowczo nakłaniał ludzi do przekazywania datków na biednych. Nie mogłam porzucić pracy w Candlewick, bo bez tych pieniędzy moim ciotkom wiodłoby się gorzej niż teraz. Nie wiedziałam, co robić.

– Nie wiedziałaś, co robić? – powiedział to obojętnym tonem, jakby się upewniał co do tłumaczenia z obcego języka.

– Mówisz, że jestem kompetentna. – Madeline czuła ból w gardle. – Nie jestem. Nie wiedziałam, jak pomóc ciotkom, a wszystko, czego próbowałam, nie wystarczało. Jestem taka zmęczona tym, że nie wiem, co robić.

Przeturlała się, przytulając do piersi Jacka. Potrzebowała jego ramion wokół siebie i nawet gdyby kazał jej wyjść z łóżka, nie była pewna, czy zdołałaby się do tego zmusić.

– To prawdziwe wyznanie. – Jack przyciągnął ją mocniej i przytulił policzek do jej skroni. – Jesteś wyczerpana, przestraszona, gotowa paść tam, gdzie stoisz, ale się nie poddasz. Znam to uczucie, Madeline. Naprawdę.

Madeline rozpłakała się; szlochała głośno, całkiem nie jak dama. Teraz chciała uciec z pokoju, ale ramiona Jacka trzymały ją mocno.

– Czasami myślę, że ich nienawidzę – powiedziała – ich obu. Są takie uparte i takie godne podziwu, a one są wszystkim, co mam i ja nie mogę… ja nie…

Zaprzestała prób wyjaśniania kłębowiska uczuć – opiekuńczości, frustracji, przerażenia, które ją przepełniały, a Jack cały czas trzymał ją w objęciach. Nic nie mówił, nie dyskutował z nią, nie sądził ani nie pouczał; w jego milczeniu Madeline czuła zrozumienie.

– Nie aresztujesz mnie? – Jej głos od płaczu brzmiał nisko i chrypliwie. – Nie zabrałam przeklętego barana Cottonowi, ale to mnie natchnęło.

Ręka Jacka na jej plecach znieruchomiała, a potem znowu zaczęła krążyć po jej łopatkach.

– Charles II był dla ciebie natchnieniem?

– Nie baran, ale fakt, że pojawił się w chwili, gdy ciotka go potrzebowała. Ktoś pewnie przypadkiem nie zamknął furtki i stado Hattie na tym skorzystało. Cotton nie stracił żadnych pieniędzy, ciotka nie zapłaciłaby nigdy za wizytę barana u jej owiec, ale problem został rozwiązany. Jagnięta pojawią się późno, więc nikt nie będzie musiał obniżać ceny na targu. Wiem, że Cottona po cichu pomówiono o szlachetność, ale nie wierzę, żeby tak istotnie było.

– A zatem zobaczyłaś na tym przykładzie przestępstwo bez ofiary.

Głos Jacka brzmiał chłodno, ale jego dotyk pozostał łagodny.

– Zobaczyłam sposób… żeby zadośćuczynić za to, co musiałam zrobić. McArdle potrzebował kłódki i nie może przecież sprzedawać śmieci.

– Zatem McArdle otrzymał cenną lekcję i czyste podwórko. A co z pieniędzmi z turnieju? Kolejna lekcja: dla Tavisa i proboszcza?

Mówił niemal z podziwem.

– Albo całej kongregacji. Tak w ogóle, jesteśmy szczęśliwą parafią. Powinniśmy lepiej zadbać o nasze wdowy, a Pod Łasicą cieszyło się lepszą reputacją, kiedy żyła matka Tavisa.

– To bezsprzeczne. Co z torbą Higgansa?

– Nie miałam innego celu, jak sprawić, żeby wyszedł na durnia – powiedziała Madeline. – I wpakowałam Pahdiego w niezłe tarapaty. Czy wierzysz, że nie miałam nic wspólnego z ucieczką barana Cottona?

To miało dla Madeline znaczenie. Przyznanie się do występków, które popełniła, już było trudne, a wizyta zbłąkanego barana wypadła w tak doskonałym dla Hattie momencie, że Madeline chciała wierzyć, że to dzieło dobrej Opatrzności.

Jack znowu pocałował ją w ramię i tym razem Madeline nie doszukała się w tym geście niczego irytującego.

– Nie miałaś nic wspólnego z odwiedzinami barana u owiec Hattie, Cotton także nie. Wiem dokładnie, kto się do tego przyczynił.

Jack jednak nie aresztował nikogo ani też nie zaprzeczył plotkom, że to sam Cotton wypuścił barana.

– Kto mógłby coś takiego zrobić? To było sprytne i teraz wszyscy się zastanawiają, czy Cotton nie ukrywa pokładów przyzwoitości pod całą tą fanfaronadą. Pochwalam tego złodzieja czy też porywacza baranów, ktokolwiek to jest.

Podczas chwili interesującego milczenia Jack wycałował ścieżkę od ramienia Madeline do jej ucha.

Potem przewrócił się na plecy i ułożył Madeline wzdłuż swojego boku.

– To pochwal mnie, Madeline. To ja zaprowadziłem barana do owiec Hattie i będę wdzięczny, jeśli mnie nie wydasz. Mama ma bardzo wysokie mniemanie o bohaterze spod Parrakan i chciałbym zachować jej życzliwość.

– Ty…? Ty zaprowadziłeś barana do owiec Hattie?

– Nie przyjęłaby dobroczynności, a Cotton nie jest do niej skory. Nikt nie chciał się wtrącać, ale coś należało zrobić. Kosztowało mnie to pół nocy niespania, a mój powozik będzie śmierdział baranem do następnego lata. Przestań się śmiać, Madeline. Myślałem, że wyczujesz ten zapach, kiedy wiozłem cię z Candlewick do Teak House.

Nie mogła przestać się śmiać. Śmiała się równie mocno, jak płakała, aż w końcu Jack opanował śmiech na tyle długo, żeby zauważyć, że muszą zwrócić torbę Higgansowi i zająć się przygotowaniami do ślubu.

– Na tym polega kłopot – powiedziała Madeline. – Tej przeklętej torby nie ma tam, gdzie ją schowałam. Patrzyłam dwa razy i to wstrętne torbiszcze w jakiś sposób naprawdę zginęło.

Madeline podniosła okno gabinetu Higgansa, wzięła torbę i schowała w wozie na nawóz w stajni parę domów dalej. Powozik zostawiła za stajnią, tam, gdzie zwykle zostawiano najzwyklejsze wozy. Nikt jej nie złapał, bo wszyscy byli zbyt zajęci tym, co działo się w Łasicy, albo myśleli o tym, żeby wrócić do domu, zanim temperatura jeszcze spadnie.

Jack przeszukał stajnie najstaranniej, jak się dało, nie budząc podejrzeń i chociaż wóz na koński nawóz stał na swoim miejscu – w stajniach bardzo pilnowano porządku – nie znalazł śladu torby Higgansa.

– Czy mogę ci przeszkodzić? – zapytał Jeremy. Stał w drzwiach gabinetu Jacka, poranne słońce z korytarza ozłacało jego głowę.

– Oczywiście. Potrzebujesz oddechu od entuzjastek wista?

Jeremy wszedł do gabinetu i zamknął drzwi za sobą, chociaż nie usiadł na krześle naprzeciwko Jacka.

– Nigdy specjalnie nie lubiłem wista. Przypuszczam, że ty także.

Jack przez ostatnich parę dni był zbyt zajęty, żeby znaleźć czas na wista.

– Nie gram zbyt dobrze. – Kiedy raz jeden zasiadł do gry z mamą, Jeremym i panną DeWitt, mama weszła w rolę swatki i jej aluzje przebiły liczbą karty.

Jack trzymał na biurku pudełko herbaty jaśminowej, tak samo jak w bibliotece i na biureczku w sypialni. Jeremy podniósł je do góry i przyjrzał się rzeźbieniom.

– Nie musisz być dobry w karty, Jack. Nie w tym rzecz. To nie jest przyzwoite.

Większość ludzi tego nie zauważała.

– Jest ładne. Podoba mi się. A zapach jaśminu działa uspokajająco.

Jeremy odstawił je na miejsce; wyraz twarzy miał trochę smutny.

– Żenię się.

A niech to. Jack miał nadzieję, że panna DeWitt zauważy, jakim brylantem jest Jeremy i rozwiąże parę problemów jednym pocałunkiem.

– Gratuluję. Kimkolwiek ona jest, to szczęśliwa kobieta.

Teraz Jeremy opadł na krzesło po drugiej stronie biurka.

– Nie rozmawiałem jeszcze z jej rodziną, ale młoda dama jest bardzo chętna. Nad czym pracujesz?

– Sporządziłem listę wszystkich ludzi, którzy byli w wypożyczalni książek. Muszę znowu z nimi porozmawiać o tej nocy, kiedy zginęła torba Higgansa.

– Nie chcesz znać imienia mojej narzeczonej?

– Tylko jeśli chcesz mi je zdradzić. Jeśli boisz się, że jej rodzina cię odrzuci, to się nie martw. Nie potrzebujemy niczyich pieniędzy, żeby żyć wygodnie i zapewnić młodej damie dostatnie życie, kiedy przyjmie nazwisko Fanning. Skoro ją wybrałeś, to zasługuje na nasze względy i opiekę. Poza tym wszystkim, jej rodzina byłaby głupia, odmawiając ci.

Lista leżąca na biurku przed Jackiem była wściekle długa, a obok leżał list Higgansa z zapytaniem, jakie poczyniono postępy w jego sprawie.

Przeklęta sprawa będzie musiała poczekać, Jeremy wybrał narzeczoną.

– To znaczy? – zapytał Jeremy, pochylając się w przód. – Spodobała mi się dama, a ty już jesteś gotów wypisywać czeki bankowe i polecać mnie jako starającego się o rękę?

Jeremy znał ojca jeszcze mniej niż Jack, co mogło wyjaśnić pewną nieśmiałość z jego strony. Ojciec mógłby udzielić rad czy wskazówek co do wyboru przyszłej żony. Jedyne, co mógł oferować Jack, to moralne wsparcie.

– Jere, jesteś wspaniałym mężczyzną i dżentelmenem. Jestem dumny, mogąc nazywać cię bratem. Nie mógłbym przez dwa tygodnie robić tego, co ty robisz, ani tym bardziej robić tego tak dobrze jak ty. Sprawiasz, że mama się śmieje. Wywołujesz uśmiech u Pahdiego. Mogę policzyć na palcach jednej ręki, ile razy ten człowiek się uśmiechnął, a znam go pół życia. Kiedy wchodzisz do pokoju, panna DeWitt się rozjaśnia. Byłbyś o wiele lepszym dyplomatą ode mnie, ale masz w sobie tyle szczerej pokory, że nigdy nie przyszłoby ci do głowy, żeby wstąpić do korpusu dyplomatycznego.

Jeremy wstał.

– Panna DeWitt zgodziłaby się z tobą. Myśli, że jestem wzorem wszelkich cnót. Zabawne, ale tak jest.

Dzięki niech będą Bogu, Lucy Anne DeWitt, zdrowym apetytom mężczyzn z rodziny Fanningów – i ich narzeczonych.

– Panna DeWitt ma doskonały gust, ale teraz trochę rozumiesz, jak się czuję z tym całym bajaniem o bohaterstwie, podczas gdy głównie udawało mi się czegoś całkiem nie zepsuć.

– To nie może być łatwe – powiedział Jeremy. – Rodzi przekonanie, że powinno się być bohaterem, podczas gdy nie ma się pojęcia, co właściwie robić. Trudna rzecz, być bohaterem bez mapy.

Jeremy wydawał się tylko częściowo oszołomiony. Poza tym uśmiechał się szatańsko do nikogo i niczego w szczególności. Jednak trafnie opisał sytuację Jacka. Bohater bez mapy to mało zabawne.

– Bądź bohaterem panny DeWitt, a wszystko inne się rozwiąże.

Powiedział najwyraźniej to, co należało powiedzieć, bo uśmiech Jeremy’ego stał się olśniewający.

– Ona stanie się moją bohaterką i będziemy mieli małych bohaterów i bohaterki, i możesz ich rozpieszczać do nieprzytomności. Będziemy tu przyjeżdżać na święta i latem, a mama stanie się obiektem zazdrości swoich przyjaciółek.

– Nie śpiesz się za bardzo z tymi małymi bohaterami i bohaterkami. Chyba że myślisz o specjalnym pozwoleniu?

Uszy wielebnego Jeremy’ego przybrały niepasującą do szat duchownego barwę czerwieni.

– Mojej Lucy Anne dosyć trudno… się oprzeć.

– Podobnie jak mojej Madeline.

Jack miał za sobą nieprzespaną noc; spędził ją z Madeline, ryzykując przedwczesnym pojawieniem się potomstwa, podczas gdy on nie włożył jej jeszcze obrączki na palec.

– Miałem pewne podejrzenia – powiedział Jeremy, podchodząc do okna. – Panna Hennessey patrzy na ciebie w taki sposób, jak mama kiedyś latem wpatrywała się w morze w Brighton, kiedy byłeś w Indiach.

– Nigdy ci za to nie podziękowałem – odparł Jack, przyłączając się do brata przy oknie. Pogoda w końcu złagodniała, co oznaczało, że na drogach leżało błoto, z dachu kapało, a nocą wszystko pokrywało się lodem.

– Nie podziękowałeś?

– Mogłeś wykupić patent oficerski i ruszyć za mną do Indii. Mama by cię nie powstrzymała. Zostałeś jednak i strzegłeś ją przed melancholią i rozgoryczeniem. Jestem ci winien podziękowania za to, że mama mnie nie wydziedziczyła, kiedy dostałem się do niewoli.

– Chciała płynąć za tobą, kiedy usłyszeliśmy, że prawdopodobnie zginąłeś. Była gotowa w pojedynkę pokonać plemiona bengalskie. Moja Lucy Anne będzie taką samą matką.

Tak samo jak moja Madeline. Chociaż najpierw, przede wszystkim, należało znaleźć przeklętą torbę Higgansa.

– Za to, że nie pozwoliłeś mamie wsiąść na statek, masz moją dozgonną wdzięczność. – Jack wyciągnął rękę do brata. – Gratulacje z powodu bliskiego ślubu.

– Poślubię ją, Jack. Choćbym miał uciec do Szkocji i zostać prezbiterianinem. Sądzę, że tak samo jest z tobą i panną Hennessey?

Każdy człowiek powinien mieć takiego dobrego, tolerancyjnego brata, z którym łatwo się rozmawia o wszystkim.

– Madeline rzuca wyzwanie wszelkim moim pojęciom o instytucji małżeństwa i jej zaletach, poprzestańmy na tym. Zanim jednak ogłosimy zaręczyny, muszę znaleźć przeklętą torbę Higgansa.

Jeremy usiadł na krześle Jacka za biurkiem.

– Co ma torba jakiegoś zapominalskiego doktora wspólnego z instytucją małżeństwa albo jej… zaletami? – Jeremy wypowiedział te słowa, jakby próbował ich brzmienia, zamierzając użyć w kazaniu.

Jack wrócił z Indii z wielu powodów, nie najmniej ważne było to, że egzotyka go znużyła, przygody spowszedniały, a samotność stała się dominującym doświadczeniem życia. Tęsknił za Saras. Tęsknił za krainą spokoju, którą rozumiał. Tęsknił za klimatem, w którym pogoda zmienia się w zależności od pory roku, a nie przynosi tylko różne odmiany śmiertelnej gorączki.

Tęsknił za domem. Jeremy był jego bratem, choć Jack miał wrażenie, że dopiero teraz on staje się bratem dla Jeremy’ego.

– Sprawa z Higgansem jest skomplikowana – powiedział Jack – i jeśli masz czas, żeby mnie wysłuchać, opowiem ci wszystko, powierzając szczegóły dyskrecji duchownego.

Innymi słowy Jeremy, nawet pod przysięgą, nie mógłby wyjawić tego, co powiedziałby mu Jack.

– Napsociłeś – stwierdził Jeremy. – Miło wiedzieć, że bohater potrafi psocić tak samo jak reszta z nas. Wysłucham cię jak brat, pomogę, jak będę potrafił i trzymał swoje przystojne usta zamknięte na kłódkę. Co zrobiłeś?

Jack zaczął od pożyczenia barana bez pozwolenia – wyznając własny grzech, jeśli był to grzech – a potem przeszedł do tego, jak jego postępek natchnął Madeline, a jej postępki rzuciły podejrzenia na Pahdiego, przynajmniej w przekonaniu Higgansa.

Opowiadanie po kolei o tym, co się wydarzyło, pozwoliło Jackowi uporządkować tę sprawę we własnej głowie, ale nie przywiodło mu na myśl żadnych nowych miejsc, gdzie mógłby szukać feralnej torby.

– Mógłbyś posłać Pahdiego do Londynu, żeby obejrzał miasto – podpowiedział Jeremy. – Albo z powrotem do Indii.

– To potwierdziłoby jego winę, a to nie w porządku. Ta torba gdzieś musi być.

– A czy szukałeś w dole na nawóz koło stajni? Ktoś mógł po prostu opróżnić wóz, nie zwracając uwagi na torbę.

Okropna – woniejąca myśl.

– Poprosiłem stajnie o dostarczenie dwóch wozów świeżego nawozu i… nic. Gdyby torba była w dole, już bym ją znalazł.

– Higgans nie odpuści?

– Popełniłem błąd, Jere. Obraziłem Higgansa publicznie, a teraz on z zemsty chce okryć wstydem mnie i mój dom, oskarżając Pahdiego. Nie odpuści.

– A ty nie chcesz się odsunąć jako sędzia, bo królewska sprawiedliwość bywa kapryśna nawet w szczęśliwszych okolicznościach, a życia naszego Pahdiego nie można powierzyć kaprysom losu. A jeśli odwrócimy uwagę ludzi, urządzając wesele?

Nasz Pahdi. Jack pokochałby brata choćby za te dwa słowa, gdyby potrzebował jeszcze jakiegoś powodu.

– Musisz mieć specjalne zezwolenie. – I szybkiego konia, żeby pojechać do miasta.

– Tak się składa, że mam sprawę do ojca panny DeWitt w mieście i załatwienie specjalnego zezwolenia nie sprawi mi kłopotu.

Jeremy, nie uchybiając dobremu zachowaniu, palił się, żeby jechać jak najszybciej.

– Weź powóz na wypadek, gdybyś wracał z rodzicami panny DeWitt. I, Jere, specjalne pozwolenie?

– Mam pięć funtów. Nie obrażaj mnie. Stać mnie na specjalne pozwolenie.

– W to nie wątpię. – Jack wyciągnął banknot pięciofuntowy z szuflady biurka. – Ale skoro odbywasz podróż, żeby dostać specjalne pozwolenie, to może postarasz się o dwa?

15

Pan młody wydawał się… spokojny, po raz pierwszy w ciągu długiej znajomości z Axelem Belmontem. Mama Jacka po prostu promieniała z radości, blask, jaki roztaczała panna młoda, trudno by ująć w słowa.

Axel stał z Madeline przy drzwiach biblioteki Candlewick, zastanawiając się, co mężczyzna powinien powiedzieć, kiedy popełnił taki poważny błąd – choć Madeline miała oczy i uszy tylko dla swojego oblubieńca.

– Madeline, przykro mi.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Jesteś niemądry.

Prosiła, żeby ślub odbył się w Candlewick, tak żeby służba, z którą pracowała przez tyle lat, mogła w nim uczestniczyć *en masse*. Lokaje ustawili krzesła dla starszych, pani Turnbull zasiadała blisko kominka, a wielebny Jeremy delikatnie odwoływał połowę wydawanych przez nią poleceń.

Abigail stała z Jackiem przy pianinie, a sir Jack trzymał dziecko.

I wydawał się robić to niezwykle kompetentnie jak na mężczyznę, który nie miał swoich własnych – jeszcze.

– Przykro mi – powiedział Axel – ponieważ ty byłaś damą w potrzebie, a ja zawiodłem jako dżentelmen, nie orientując się w sytuacji, a co dopiero mówić o pomocy.

Nie była damą w potrzebie, była dziewczyną.

– Czy pamiętasz różowe róże? – zapytała Madeline.

Axel miał tysiące różowych róż, ale wiedział dokładnie, o które jej chodzi.

– Wyrzuciłem je, bo myślałem, że zwiędły w drodze z Persji, a trzy miesiące później góra kompostu rozkwitła najwspanialszymi okazami.

Nie odrywała wzroku od sir Jacka.

– Przypuszczam, że lepiej się miały w twoim kompoście niż wcześniej w Persji. Należą do najżywotniejszych roślin, jakie wyhodowałeś i mają niebiański zapach.

Axel często wygłaszał wykłady w Oksfordzie na tematy związane z botaniką i znał się na parabolach.

– Kiedy przestałem podlewać, przycinać i trząść się nad tymi różami i zostawiłem je na łasce żywiołów, rozkwitły. Nie jesteś perską różą, Madeline. Powinienem był zauważyć twój francuski, fascynację biblioteką, postawę, godność, twoją umiejętność prowadzenia domu bez narzucania się komukolwiek, to, jak uczyłaś chłopców dobrych manier, nie strofując ich… przyjąłem damę o szlachetnym wychowaniu pod swój dach, a teraz…

Madeline pocałowała go w policzek.

– Jestem panną młodą, wolno mi pocałować nawet starego, najeżonego botanika, którego onieśmielają śluby.

– Nie jestem stary. – Axel zaczerwienił się jednak, a Abigail rozbawiło jego zmieszanie, jeśli jej kpiący uśmiech stanowił wskazówkę. Sir Jack był zajęty poznawaniem najmłodszego syna Axela, a mała szelma uśmiechała się tak cudownie, że Axela bolało serce.

– Sądziłeś, że wyrzucasz róże na śmieci, że są martwe. A w istocie znalazły się tam, gdzie miały ciepło, pożywienie, ciszę i spokój oraz ochronę przed wiatrem. Szczęśliwe róże, o które tak zadbano i które mogły w nowym miejscu zapuścić solidne korzenie. Byłam tutaj bezpieczna, szanowana, miałam znaczącą pracę, życzliwe otoczenie i czas, żeby dojść ze sobą do ładu. Miałam i mam przyjaciół. Przestań, proszę, męczyć pannę młodą jakimiś głupstwami w dniu jej ślubu.

Wielebny Jeremy uchwycił wzrok Axela.

– Jeśli kiedyś sir Jack da ci powód do skargi, Madeline, przyjedź do Candlewick po pomoc. Przyrzekam, że nie wychłoszczę go zbyt mocno, ale nie ręczę za Abigail. To sroga kobieta.

Panna Lucy Anne DeWitt usiadła przy pianinie i podjęła przyjemną melodię w tonacji durowej – być może uproszczony utwór Bacha.

– Tak samo ty i twoja rodzina znajdziecie pomoc w Teak House, panie Belmont. Mam jednak prośbę.

Sir Jack przekazał dziecko ponownie Abigail i uśmiechnął się do narzeczonej z taką miłością, że Axel… ucieszył się ze względu na przyjaciela. Na przyjaciół.

– Mów, Madeline. Wszystko, co mam do oddania, poza rodziną, jest twoje.

– Już mi dałeś swoją rodzinę. Chciałabym jedną z tych róż, z tych różowych, które rozkwitają, kiedy myślisz, że nie ma już dla nich nadziei. Mamie Jacka także się spodoba, a jeśli jej przyjaciółki w Londynie również się zainteresują, to będziesz potrzebował nowej szklarni, żeby je rozmnażać.

Sposób, w jaki Madeline uśmiechała się do sir Jacka, wskazywał, że rozmnażanie figurowało w planach szczęśliwej pary.

Panna DeWitt, a wkrótce pani Jeremy Fanning – zakończyła grę i Axel zgiął ramię.

– Oddaję cię z wahaniem.

Madeline wsunęła dłoń w rękawiczce pod jego rękę.

– Oddaję się z radością. Przestań marudzić.

Axel nie marudził, jeśli chodzi o państwa młodych. Byli w tak oczywisty sposób zakochani, że wiosna powinna przyśpieszyć swoje nadejście, wraz z króliczkami i szczebioczącymi rudzikami. Martwił się jednak z powodu narzekań, jakie w ostatnich dniach słyszał Pod Mokrą Łasicą.

Higgans był durniem, rzucając niejasne groźby i rozpuszczając plotki. Axel miał nadzieję, że w jakiejś chwili uda mu się odciągnąć Jacka na bok i ostrzec przed wieczornym balem, ale okazja się nie nadarzyła.

– Panie Belmont, poruszaj nogami.

– Tak, Madeline.

Axel nie pochlebiał sobie, że przekazuje pannę młodą. Po prostu odprowadził pannę młodą do pana młodego i zajął miejsce obok przyjaciela. Wielebny Jeremy celebrował, Abigail pociągała nosem, a dziecko zachowywało się wzorowo.

Takie szczęście nie mogło pewnie trwać długo, a bal – z udziałem Higgansa – rozpoczynał się za niecałe dwie godziny.

– Twój brat pięknie odprawił ceremonię – powiedziała Madeline, kiedy powóz zaturkotał po podjeździe Candlewick. Jack nalegał, żeby ślub odbył się przed balem w nadziei, że ogłoszenie zaślubin przyćmi nieprzyjemności, jakie z pewnością szykował im Higgans.

Higgans w poprzednim tygodniu dwa razy odwiedzał Teak House, żądając, żeby Jack aresztował Pahdiego albo oddał skradzioną torbę. Pahdi oznajmił, że jest gotów opuścić hrabstwo, nawet jeśli w ten sposób umocni podejrzenia, ale Jack mu to odradził.

Jack twierdził, że jeśli słowo Higgansa ma taką moc, żeby wygnać niewinnego człowieka z domu, to sprawiedliwość ulatywała razem z oskarżonym. Miał rację, ale Madeline nie była taka pewna jak Jack, czy rozum rzeczywiście zwycięży.

– Jesteś piękną panną młodą – powiedział Jack. – Wszyscy kawalerowie na balu będą mi zazdrościć, paru żonatych także.

– Wszystkie kobiety na balu będą mi zazdrościć, być może z wyjątkiem pani Belmont.

Abigail zagroziła, że zrobi piekło, jeśli zostawią ją w domu z dzieckiem, podczas gdy mąż i pasierbowie pójdą na bal.

– Nie miałem pewności, czy Belmont cię wyda, tak był zajęty rzucaniem gniewnych spojrzeń w moją stronę; przed uroczystością dano mi do zrozumienia, że jeśli nie będziesz ekstatycznie szczęśliwa pod moim dachem, Belmont dowie się o tym i wpłynie na moje zachowanie, masakrując moją przystojną twarz pięściami.

Jednak pan Belmont poklepał pocieszająco dłoń Madeline i odprowadził ją do salonu jak kochający – choć nieco groźny – kuzyn.

– Podziękowałem mu za gratulacje – dodał Jack. – Czy jesteś zdenerwowana, Madeline?

Ściśle rzecz ujmując, Jack nie popełnił mezaliansu. Jego rodzina była, jak się okazało, w dobrych stosunkach z rodziną Madeline, choć wiele lat wcześniej. Jednak w oczach sąsiadów Madeline poślubiła kogoś stojącego o wiele wyżej od siebie w hierarchii społecznej.

– Jestem zdenerwowana – odparła Madeline. – Wiem, że Higgans coś szykuje. – Czy zbyt wiele żądała od losu, chcąc, żeby dzień jej wesela upłynął bez przykrych niespodzianek?

– A niech próbuje zakłócać spokój i wszczynać jakieś burdy. Nie ma więcej dowodów przeciwko mnie niż przeciwko Pahdiemu, bo ja też byłem w mieście tamtej nocy, kiedy ta przeklęta torba zniknęła. Był też proboszcz z panią Weekes, a także Belmont. Higgans nie ma w stosunku do nich podejrzeń.

Wynikało z tego, że Jack się niepokoił. Miał gotowe argumenty, jeśli Higgans zaczepiłby go przy wazie z ponczem. Jeremy i Lucy Anne mieli przyjechać z Belmontami, a pani Fanning z ciotką Theo wybierały się po Hattie w podróżnym powozie Fanningów.

Jack nie zostanie bez sprzymierzeńców, a Pahdi wróci do Teak House, nadzorując uroczystości pod schodami z okazji ślubu.

Podczas gdy Madeline będzie… męczyć niepokój.

Powóz zatrzymał się przed karczmę Pod Łasicą i Jack pomógł Madeline wysiąść. Po paru dniach łagodniejszej pogody ulicę pokrywało błoto, ale na

ziemi rozłożono siano, żeby damy nie pobrudziły sobie spódnic.

– Będziesz ściągać na siebie wszystkie spojrzenia – powiedział Jack, podając Madeline ramię. – Będą się gapić nie dlatego, że była pokojówka tańczy z lepszymi ponoć, od siebie, ale dlatego, że lady Fanning tak cudownie wygląda w nowej sukni.

Lady Fanning. Przynajmniej część zdenerwowania Madeline można było przypisać zmianie w jej życiu, ale głównie niepokoiła się, przeczuwając, że szykuje się coś złego – jakieś kłopoty, które sama wywołała – a dzisiejszego wieczoru, jak podpowiadała logika, musiała nastąpić eskalacja.

Jack – jej mąż – wyglądał oszałamiająco w stroju wieczorowym i ta świadomość pozwoliła Madeline nieco się odprężyć. Sędzia – szanowany, bogaty i cały jej. Jeśli głowy miały się odwracać w ich kierunku, to ze zdziwienia, dlaczego tak wspaniały mężczyzna wybrał na żonę Madeline Hennessey.

Pierwszym manewrem Jacka było przedstawienie Madeline ciemnowłosemu mężczyźnie; obok niego stała kobieta, którą Madeline pamiętała mgliście z dni targowych.

– Lady Valentine, czy mogę ci przedstawić moją żonę, Madeline… – Coś jej w głowie zostało z lekcji z dzieciństwa i Madeline zdołała poradzić sobie w tej sytuacji bez potknięcia. Jednak człowiek, któremu ją w tak swobodny sposób przedstawiono, był synem markiza a może nawet księcia.

– Jack, pozwolisz, że przyniosę coś do picia? – zapytała Madeline.

Lord Valentine nieco się zdziwił.

– Ja ci przyniosę coś do picia – powiedział Jack. – Lady Valentine, czy ty także masz ochotę się napić?

Dama była śliczną młodą kobietą i mąż wyraźnie darzył ją wielkim uczuciem.

– Nie, dziękuję, sir Jack. Możesz zostawić pannę młodą pod naszą opieką i udać się na podbój wazy z ponczem. Nie poddamy jej przesłuchaniu.

Jack mrugnął do Madeline i odszedł raźnym krokiem akurat wtedy, gdy z szatni wyłonili się Jeremy, Lucy Anne, ciotki i pani Fanning. Nastąpiły kolejne powitania, a w kącie muzycy zaczęli stroić skrzypce i wiolonczelę.

Może Higgans nie zamierzał jednak się pojawić. Pomieszczenie się wypełniało, a Tavis, nieformalny mistrz ceremonii, lada chwila miał powitać gości.

– Czy nie cieszysz się na myśl o tańcu z mężem? – zapytała Abigail Belmont. – Jack robi wrażenie na parkiecie.

– Pani – szepnął Axel Belmont – gdzie twoja małżeńska lojalność? Ja robię wrażenie na parkiecie. Sir Jack sobie radzi.

Jack wrócił z ponczem i przez jakieś dwadzieścia minut gawędzono, uśmiechano się i składano gratulacje. W chwili gdy Madeline myślała, że zwariuje z nudy, Tavis puknął łyżeczką o szkło, zwracając uwagę zgromadzonych.

– W imieniu Łasicy witam przyjaciół i sąsiadów. Mam specjalne życzenie co do pierwszego tańca, aby uczcić zaślubiny, jakie się dzisiaj odbyły. Zaczniemy bal od walca, a tańce rozpocznie sir Jack Fanning i jego nowa żona!

– Uśmiechnij się – rozkazała Abigail, sama radośnie uśmiechnięta, klaszcząc głośno. Inni nie poszli natychmiast za jej przykładem, ale wkrótce cała sala rozbrzmiewała radosnym hałasem.

Jack poprowadził Madeline na środek parkietu. Skłonił się, ona dygnęła i oboje przyjęli pozycję do walca.

– Nie umiem tańczyć walca – powiedziała Madeline. Walc stosunkowo niedawno dotarł do Anglii z kontynentu, więc nie należał do tych tańców, których Madeline uczyła się w dzieciństwie.

– Ja umiem. Po prostu poddaj się mojemu prowadzeniu. Kiedy reszta dołączy na parkiecie, wymkniemy się.

Jack potrafił tańczyć walca i potrafił uczyć go Madeline bez słów. Najpierw poruszali się dostojnie, na środku sali, a potem śmielej, po całym

parkiecie; wówczas dołączyli do nich Belmontowie i inne małżeńskie pary.

Przez trzydzieści dwa takty w metrum trójdzielnym Madeline po prostu tańczyła z mężem. Ogarniał ją żal – pijaństwo ojca pozbawiło ją tylu tańców i przyjemnych chwil, ale gdyby nie poszła na służbę, nigdy nie znalazłaby się w domu Jacka.

– Masz do tego talent – stwierdził Jack, przyciągając ją blisko przy obrocie. – Nie wszystkie damy go mają.

– Mam talent do bycia twoją żoną. Zabraniam ci całować mnie, kiedy ten taniec się skończy.

Błysk w oczach Jacka zamienił się w płomień i, rzecz jasna, kiedy skrzypce przycichły, wygrywając ostatni nuty, zamiast pozwolić Madeline opaść w dygnięciu, Jack przytrzymał ją mocno i pocałował tak, jak każda panna młoda powinna być całowana w dniu ślubu.

Potem Jack się ukłonił, a Madeline, wśród oklasków, dygnęła.

Może Higgans został w domu. Może wścibskie bóstwa, które tak często wtrącały się złośliwie w jej życie, znalazły sobie inne zajęcie. Jack podał jej ramię, Madeline je przyjęła; nie miała zamiaru tańczyć całą noc do upadłego. Pan Belmont będzie pewnie nalegał, Jeremy także miał prawo do jednego tańca, ale poza tym…

Od strony szatni dobiegły odgłosy zamieszania i pojawił się doktor Higgans, a za nim jeszcze dwóch mężczyzn.

– Znalazłem drania! – wrzasnął Higgans. – Złapałem go na gorącym uczynku ze złodziejskim łupem! – Doktor podniósł do góry czarną, skórzaną torbę; dwaj miejscowi trzymali Pahdiego za ramiona.

Wściekłość utrzymywała Jacka przy życiu, kiedy go głodzono, bito, wyśmiewano i grożono codziennie śmiercią. Był zdecydowany żyć, wrócić do swojego garnizonu i do żony. Przez jakiś czas, oszalały z gniewu, gotów był kopać ubitą ziemię zgiętą łyżką, przedzierać się przez pełną

drapieżników dżunglę, trzymać się życia wbrew głodowi, gorączce i rozpaczy.

Wściekłość – z powodu własnej krzywdy – uratowała mu życie.

Wściekłość, jaką poczuł na widok Higgansa z przeklętą czarną torbą, była wściekłością ze względu na Pahdiego, który był takim samym złodziejem jak Jack cesarzem rzymskim.

A pod tą wściekłością kryło się zimne, głębokie obrzydzenie, że ten… nędzny, zakłamany konował śmiał zepsuć wesele Madeline.

– Doktorze Higgans – powiedział Jack. – Tańce właśnie się zaczęły. Jeśli masz do mnie sprawę, przeniesiemy dyskusję na zewnątrz, tak żeby sąsiedzi mogli się bawić bez zakłóceń.

Jack zastanawiał się, czyby nie aresztować Higgansa za naruszenie spokoju publicznego, ale to, ku jego żalowi, byłoby nadużycie władzy sędziowskiej.

Sala ucichła, oczywiście, łowiono każde słowo, żeby móc je potem powtórzyć przy herbacie albo szklaneczce ale.

– Usłyszysz, co mam do powiedzenie właśnie teraz – oznajmił Higgans. – Przy świadkach oskarżysz tego… to swoje popychadło domowe o kradzież.

– Twierdzisz, że człowiek, który jest moim kamerdynerem od blisko dziesięciu lat, zabrał ci tę torbę siłą bądź przez zastraszenie, żeby cię jej na stałe pozbawić?

Higgans opuścił torbę.

– Łajdak ukradł ją z mojego domu.

Nie, nie ukradł.

– A zatem mówisz o włamaniu. Masz, przyjmuję, świadków?

– Nie widziałem, jak kradnie tę przeklętą torbę – odparł Higgans.

– Nie wyrażaj się, Higgans. Mówisz przy damach. Może wyjdziemy na dwór? – Jack mówił uprzejmym tonem, zwykł był negocjować z radżami,

którzy najmowali dziesiątki zabójców, ale w głowie mu szumiało. Co Pahdi robił z tą torbą i jak Jack może go uchronić przed oskarżeniem o kradzież?

Pahdi spojrzał Jackowi w oczy spokojnie, niemal przepraszająco – i Jack zrozumiał.

Pahdi widział, jak Madeline kradnie torbę i zostawia ją w stajni i postanowił ją ukryć, żeby chronić Madeline przed podejrzeniami. Przerażona twarz lady Fanning świadczyła, że zrozumiała to szybciej od Jacka.

Jack przesłuchał wszystkich klientów wypożyczalni książek, z wyjątkiem… Pahdiego, który był tam w noc kradzieży.

Dżuma, cholera, piekło i szatany.

– Nie pozwolę gadaniną wykręcić się od aresztowania tego człowieka – warknął Higgans. – Miał moją torbę, a całe hrabstwo wie, że zginęła. A to znaczy, że był w posiadaniu kradzionych dóbr, co jest bardzo poważnym przestępstwem, nawet gdy nikt nie widział, jak kradł torbę.

Tłum wokół parkietu zamruczał, zgadzając się zapewne z logiką Higgansa, ale Jacka to po prostu nie obchodziło.

– Musimy jeszcze ustalić, czy twoja torba została rzeczywiście ukradziona – powiedział Jack; z punktu widzenia Higgansa kwestia nie ulegała wątpliwości. – Co więcej, torba zaginęła ponad tydzień temu. Przez ten czas nikt nie potwierdził twoich oskarżeń wobec Pahdiego i mocno podejrzewam, że wyciągnąłeś zbyt pośpieszne, niewybaczalne wnioski. Pahdi, co robiłeś z torbą doktora Higgansa?

Pahdi skłonił się przed Jackiem ceremonialnie.

– Zwracałem torbę właścicielowi, dostojny panie. Wiem, że podejmowałeś ogromne wysiłki w zeszłym tygodniu, żeby tę torbę odnaleźć. Odwiedzałem dziś wieczorem woźnicę w stajni i zobaczyłem torbę stojącą obok kupy końskiego… końskich pledów. Wiedząc, jak wielką wartość sentymentalną tenże przedmiot posiada dla znakomitego, uczonego, czcigodnego, wielce poważanego doktora, chciałem mu ją

natychmiast zanieść. Zatrzymał mnie na ulicy, kiedy zbliżałem się do jego domu. Ci dżentelmeni uprzejmie pomogli mi stawić się przed prześwietnym zgromadzeniem, zanim poproszono mnie o wyjaśnienia.

Dzięki Bogu za bystry umysł i zdolność wyrecytowania na poczekaniu wiarygodnie brzmiącej historii. Jack spojrzał gniewnie na poplecznikόw Higgansa.

– To prawda? Pahdi zbliżał się do domu Higgansa z torbą na widoku?

Większy z dwóch mężczyzn mruknął coś pod nosem.

– Słucham? – ponaglił go Jack.

– To prawda, szedł w stronę domu, ale było ciemno. Z drugiej strony ulicy…

– Dziękuję – przerwał mu Jack. – Higgans, jaki złodziej przynosi kontrabandę na miejsce przestępstwa?

– Moja torba nie przeniosła się sama do stajni, sir Jack. Co ten osobnik robił w nocy w mieście, jeśli nie próbował zwrócić rzeczy, którą ukradł? Wiedział, że tu będę i wybrał tę sposobność z chytrością właściwą swojej rasie.

Jeremy położył rękę na ramieniu Jacka, jakby wyczuwając, że za chwilę brat nie zdoła się powstrzymać przed użyciem przemocy. Higgans zepsuł wieczór, który powinien być dla Madeline wyjątkowy i groził niewinnemu człowiekowi.

– Być może Pahdi odwiedzał wypoży…

– Wypożyczalnia jest dzisiaj zamknięta! – ryknął Higgans. – Aresztuj tego człowieka albo przyznaj, że nie więcej cię obchodzi królewska sprawiedliwość niż tego bandytę…

Madeline przeszła przez salę i wyrwała torbę z rąk Higgansa.

– Dość tej żółci. – Otworzyła torbę i wysypała jej zawartość na podłogę. Wypadł z niej skalpel – niezbyt czysty – wraz z dwiema buteleczkami jakichś leków, pojemniczkiem z solami trzeźwiącymi i pękniętym ręcznym lusterkiem.

Oraz sporej wielkości srebrna flaszka kieszonkowa.

Madeline wycelowała palcem w podłogę.

– Oto twoja ukradziona własność. To twoja wymówka, żeby zrujnować życie człowieka, który nie zrobił ci nic złego. Ja ukradłam twoją żałosną torbę. Oddał ci ją człowiek, który z kradzieżą nie miał nic wspólnego. Zwrócisz się do sędziego, żeby aresztował własną żonę?

Och, Madeline. Nie.

Higgans wpatrywał się w bałagan na podłodze i brawura go opuszczała.

– Nigdy nie zamierzałem… ja chciałem tylko odzyskać torbę. Doktor potrzebuje… Jesteś bardzo dzielna, panno Hennessey…

– Lady Fanning – parsknęła gniewnie Madeline. – Ukradłam twoją torbę, bo odmówiłeś odwiedzin u starej, chorej kobiety, która nie miała nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc medyczną. Leczysz bogatych, resztę z nas ignorujesz, nawet jak mamy czym zapłacić. Ja może jestem przestępczynią, ale ty jesteś zakałą.

Higgans podniósł flaszkę i włożył do kieszeni.

– Panno… lady… pani, doceniam twoją lojalność wobec służby męża, można to zrozumieć, wziąwszy pod uwagę twoje pochodzenie, to znaczy… – Higgans wskazał na Pahdiego. – Dość tego udawania. Nie zwiedzie mnie żadna babska, histeryczna gadanina. Żądam, żeby tego człowieka aresztowano.

Jack był szalenie dumny z żony, ale Higgansa miał po dziurki w nosie.

– Zgadzam się z tobą, Higgans – powiedział. – Myśl, że Madeline mogłaby uciec się do kradzieży, nawet jeśli zlekceważyłeś być może śmiertelnie niebezpieczną sytuację w jej rodzinie, nie powinna nas zajmować. Ja ukradłem twoją torbę.

Madeline posłała mu całusa w powietrzu. Jack skłonił się.

– Och, dajcie spokój, wy dwoje – odezwał się Axel Belmont. – Ja ukradłem twoją torbę, Higgans. Wiesz, jacy są botanicy, zawsze biorą coś, co do nich nie należy. Włóczymy się po hrabstwie, kradnąc rośliny z

moczarów i polnych dróżek. Jesteśmy jak kieszonkowcy w królestwie przyrody.

– Panie Belmont – rozległ się głos Abigail Belmont. – To młodym matkom nie wolno ufać, kiedy znajdą się w pobliżu starych, woniejących toreb z medykamentami. Wzięłam tę torbę, kiedy byłeś w szklarni i nie kłóć się z damą.

– Nigdy nie kłóciłbym się z damą – włączył się Jeremy – ale Jack powinien aresztować nas wszystkich, ponieważ czuję, że jeśli nawet osobiście nie ukradliśmy tej torby, być może powinniśmy byli to zrobić. Nie robi się tak, Higgans, nie wolno traktować obojętnie starszych ludzi, kiedy są w potrzebie, czy odwracać się plecami do chorych, biednych i ludzi, którzy przybyli z daleka.

Mortimer Cotton odchrząknął. Hector McArdle zapatrzył się w szklankę ponczu.

Lucy Anne zebrała z podłogi lusterko, buteleczki i skalpel, włożyła je do zniszczonej torby i podała Higgansowi.

Wziął torbę, przyciskając ją do ciała i rozejrzał się po sali, w której zapanowała cisza.

– Przykro mi, że wzięłam twoją torbę – powiedziała Madeline. – Chciałam ją oddać po paru dniach, żebyś zdążył się trochę pomartwić. Mogłam stracić ciotkę i chciałam, żebyś poczuł trochę tej bezradności i przygnębienia. Nie powinnam zabierać tej torby. Jeśli chcesz odszkodowania, chętnie zapłacę, ale żadne pieniądze nie wynagrodziłyby mi straty ciotki.

Przeproś moją żonę. Jack o mało nie rzucił się naprzód, żeby wykrzyczeć te słowa Higgansowi w twarz, ale Belmont stał po jego lewej stronie, a Jeremy po prawej. Gotowi chwycić Jacka za ramiona i już to samo wpływało na niego uspokajająco.

Higgans wcisnął torbę z powrotem Madeline, zakręcił się na pięcie i wyszedł.

Madeline odrzuciła torbę na bok i padła w ramiona Jacka; w sali wciąż nikt się nie odzywał.

Przez niego moja żona płacze. Jack był rozdarty pomiędzy wściekłością na grubiaństwo Higgansa i szczerą radością, ponieważ Madeline stała się lady Fanning i wobec grupy w większości dobrych, zdumionych ludzi broniła, swoim kosztem, niewinnego człowieka, a potem zwróciła się do Jacka, szukając pociechy i wsparcia.

– Poszedł sobie – powiedział Jack. – Jeśli się do ciebie zbliży, aresztuję go za nękanie i obrazę gatunku ludzkiego.

– Jeśli zbliży się do ciebie, Pahdi, albo do moich ciotek, nie odpowiadam za siebie. – Madeline cofnęła się o krok, nie puszczając jednak ręki Jacka. – Jack… – skinęła w prawo.

Pahdi stał z boku, ze stoickim wyrazem twarzy, czujny. Nie ośmielał się wyjść, ponieważ Higgans mógł na niego czekać na ulicy.

Madeline użyła wcześniej właściwego słowa: dość. Dość szukania wymówek dla wiejskiego zacofania, dość silenia się na cierpliwość, dość zgody na to, żeby człowieka, który uratował Jackowi życie, traktowano jak pariasa.

– Pahdi – odezwał się Jack na tyle głośno, żeby słyszano go w każdym kącie pomieszczenia. – Będę zaszczycony, jeśli zostaniesz na szklaneczkę ponczu. Przepraszam za zachowanie Higgansa i przyrzekam, że to się więcej nie powtórzy.

– Trzymam się blisko wazy z ponczem dla dam – oznajmił Belmont. – I to nie tylko dlatego, że damy gromadzą się w pobliżu.

– Można by je pomieszać – odezwał się Jeremy. – Trochę słodyczy, trochę ognia. – Podniósł szklankę w kierunku Lucy Anne.

– Proszę, Pahdi – powiedziała Madeline, wyciągając do niego rękę. – Muszę uspokoić nerwy. Wyobrażam sobie, że ty także.

Pahdi nie pił alkoholu. Jack zastanawiał się, jak uprzejmie wybrnąć z niezręcznej sytuacji, kiedy Pahdi uśmiechnął się do Madeline. Był szalenie

przystojny, niejedna młoda dama z pewnością zwróciła na to uwagę.

– Poncz dla dam wydaje się bezpieczniejszy – odparł Pahdi – i może odrobina tego przepysznego tortu gruszkowego albo szarlotki?

– Spróbuj obu – powiedział Jack. – Ja zamierzam.

A potem zabierze żonę, zawiezie ją prosto do domu i zapewni jej taką noc poślubną, że zapomni o męczących sąsiadach, zaniedbywanych ciotkach i lawinie przestępstw.

Po tym, jak się kochali na zmianę entuzjastycznie, czule, namiętnie i twórczo, Madeline zasnęła w ramionach męża, uspokojona po raz pierwszy od lat. Z pomocą Jacka mogła rozwiązać problemy Hattie i Theo, czy to sprzedając ich gospodarstwa, puszczając je w dzierżawę, czy przyłączając do majątku Jacka.

Ważne, że nie musiała już dawać sobie rady sama.

– Nie martw się – powiedział Jack, całując jej palce, kiedy pierwsze blade promienie słońca rozjaśniły zasłony w oknach. – Przyznałaś, wszem wobec, że ukradłaś tę przeklętą torbę. Jeśli Higgans uzna, że mówiłaś prawdę i zażąda odszkodowania, dam mu tak obscenicznie ogromną sumę, że wyprowadzi się z hrabstwa. Mama nie może przestać się zachwycać, jaką wspaniałą kobietę wybrałem na żonę.

Madeline splotła palce z palcami Jacka.

– Twoja mama chce, żebyśmy byli płodni i się rozmnażali.

– Ja także, o ile tobie to odpowiada.

Madeline to cudownie odpowiadało dwa razy tej nocy. Oparła się pokusie, żeby zacząć dzień w ten sam sposób, zamiast tego leżąc po prostu u boku męża.

– Nie chcę, żeby nasze dzieci miały rodziców złodziei, Jack. Skończyłam z zakradaniem się w różne miejsca po nocy i mam nadzieję, że ty także.

– Czy mam się przyznać, że pożyczyłem barana Cottona?

Pytał zupełnie poważnie.

– Ani się waż. Nie znosisz zamknięcia, a pan Belmont może cię aresztować w przypływie męskiej głupoty. Proponuję, żebyśmy zamiast tego podarowali Cottonowi jagnięta Hattie.

Jack przewrócił się na bok, zerkając na Madeline w słabym blasku przedświtu.

– Błyskotliwa myśl. Co z McArdle’em?

– Kupimy od niego znaczącą ilość węgla z przeznaczeniem dla biednych, ale zażądamy rabatu na tak duże zamówienie.

Jack pocałował ją w policzek.

– Powinnaś być sędzią. Sądzę, że powinniśmy zaprosić pana Weekesa na herbatę w przyszłym tygodniu i porozmawiać o tym, jak planuje wykorzystać fundusz na potrzeby biednych. Jeremy twierdzi, że gromadzenie monet i czekanie, aż proboszcz raczy zauważyć jakąś palącą potrzebę, nie jest nowoczesnym podejściem.

Im więcej Madeline dowiadywała się o Jeremym, tym bardziej go lubiła. Lucy Anne DeWitt, wkrótce Fanning, była zachwycona narzeczonym, a jej rodzice również okazywali ogromne zadowolenie.

– Zaprosimy Weekesów na herbatę, ale, proszę, nie w przyszłym tygodniu. W przyszłym miesiącu.

– Wspaniale. Czy wiedziałaś, że mówisz przez sen?

Madeline także ułożyła się na boku, żeby mieć większą pewność, czy Jack nie żartuje.

– Miewam żywe sny. Co mówiłam?

– Że najcudowniej w świecie całuję i że mam cudownie wielki… Madeline Fanning, małżeństwo uczyniło cię śmiałą.

– Bądź poważny.

– Jeśli nie przestaniesz trzymać tej szczególnej części mojej anatomii, to rozmowa, a zwłaszcza poważna dyskusja, będą przerastać moje możliwości. Nie zrozumiałem ani słowa z tego, co mówiłaś przez sen.

Madeline puściła Jacka – na razie – ale przysunęła się bliżej, przerzucając mu nogę przez biodro.

– Jest sen, który się ciągle powtarzał. Jestem z mamą w Londynie w piękny, słoneczny dzień. Na ulicach tłok, wszyscy szczęśliwi. I nagle to się zmienia.

Jack objął ją mocno, tak że Madeline czuła bicie jego serca pod dłonią, rytmiczny, uspokajający werbel.

– Opowiedz.

– Trzymam mamę za rękę, a za chwilę nie mogę jej znaleźć. Stoję na ruchliwym skrzyżowaniu i nie rozpoznaję żadnego budynku. Ludzie nie są szczęśliwi, wszyscy gdzieś gonią. Nie wiem, dokąd się zwrócić i nagle widzę, że zamiatacz ulic mi się przygląda. Jestem przerażona, ale wiem, że jeśli pobiegnę, on zacznie mnie ścigać.

– To nie sen, Madeline, to koszmar.

– Wszyscy wiedzą, dokąd idą, Jack, a ja stoję tam, bojąc się zrobić choćby jeden krok.

Madeline uwielbiała wdychać jego zapach z tak bliska. Uwielbiała być blisko niego.

– Obudzę cię następnym razem, kiedy będę myślał, że przeżywasz ten koszmar. Ty zrobisz to samo dla mnie.

Och, jakże go kochała.

– Oczywiście, że tak, ale sen przybrał inny obrót zeszłej nocy.

Ciche, potrójne pukanie przerwało wyznania Madeline.

– Idź do diabła, bezwstydny draniu! – wrzasnął Jack. – Zostaw tę przeklętą tacę za drzwiami i nie wracaj po nią do wiosny.

Na korytarzu ktoś się roześmiał, a potem rozległ się odgłos oddalających się kroków.

– Przypomnij mi, żebym zwolnił Pahdiego bez referencji – powiedział Jack.

– Zaraz potem, jak nadamy pierworodnemu imię na jego cześć.

– Doskonale. A teraz opowiedz mi resztę swojego snu.

Madeline nie chciała mówić mu wszystkiego – jej matka twierdziła, że ma dar jasnowidzenia, a Madeline miewała silne przeczucia. Mogła jednak opowiedzieć Jackowi to, co najważniejsze.

– Stałam na tej samej okropnej ulicy, przerażona, walcząc z paniką, a ty wjechałeś powoli małym powozikiem. Powóz pachniał lekko owcą, ale ty miałeś takie dobre oczy, że kiedy podałeś mi rękę, wsiadłam do niego i zawiozłeś mnie do Teak House.

– Spodobały ci się moje oczy?

One także.

– Tak. Czy mam przynieść tacę?

Jack przytulił ją do siebie.

– Jesteś moją żoną. Jeśli życzysz sobie tacę, to możesz mnie po nią posłać, podziwiając przy okazji moje ciało w całej, nagiej krasie, do czego masz prawo. Potem przygotuję ci herbatę dokładnie tak, jak lubisz, i pokornie przyjmę polecenia co do ilości masła, jaką położyć na toście.

Podkreślił swój punkt widzenia, delikatnie całując Madeline w szyję, a ona odpłaciła mu, oplatając go w pasie nogami.

Długie, cudowne chwile później Madeline uznała, że może poczekać, aż Jack przygotuje jej herbatę, żeby powiedzieć mu, że w jej śnie na ławeczce powozu siedziało trzech ślicznych małych chłopców, wszyscy z płonącymi rudymi włosami po matce i szelmowskim uśmiechem ojca.

Czwarte dziecko, dziewczynka starsza od pozostałej trójki, pomachała ręką Madeline i wyszeptała:

– Nazywam się Jacqueline i mam urodziny w październiku.

Do czasu, kiedy Jack przygotował herbatę, Madeline policzyła tygodnie i zaczęła obmyślać drugie imię. Jack zauważył jej roztargnione spojrzenie i, cóż… spóźnili się na lunch. Spóźniali się przez cały następny tydzień, ale Madeline postawiła na swoim i dziecko ochrzczono Jacqueline Pahdi Fanning.

Przypisy

[1] Księga Przysłów 17:17; *Biblia* w Internecie (*Pismo Święte* w przekładzie Nowego Świata).

[2] Księga Przysłów 17:22.